

Jacek Piekara

Świat jest pełen chętnych suk

I. Miłość, seks, nienawiść

1. Zielone pola Avalonu

Deidre nie mogła nastawiać budzika, bo sygnał z całą pewnością obudziłby Reginalda. Ale lata praktyki spowodowały, iż była czujna jak ptak. Punktualnie o piątej otwierała oczy i przeżywała chwilę satysfakcji, wpatrując się w połyskujące seledynowo w ciemnościach wskazówki zegara. Mała stała na piątce, duża już pochylała się w stronę dwunastki i tylko włos dzielił ją, aby ulokować się pomiędzy jedynką a dwójką. Deidre przez chwilę wsłuchiwała się w głośne sapanie śpiącego Reginalda, a następnie powolutku odgarnęła kołdrę. Mąż ruszył się niespokojnie, więc zamarła na moment. Potem opuściła cichutko bose stopy na podłogę i podniosła się z łóżka. Przemknęła jak duch przez sypialnię i bardzo, bardzo ostrożnie uchyliła drzwi. I równie ostrożnie zamknęła je za sobą. Od tej chwili mogła zachowywać się dużo swobodniej. Drzwi i ściany sypialni zostały niegdyś przebudowane i wypełnione specjalną dźwiękoszczelną watą. I nie było zza nich słyszeć ani szumu wody, ani nawet grającego radiodbiornika lub telewizora. Może dlatego Reggie tylko w sypialni przeprowadzał z nią naprawdę poważne rozmowy.

- Będę musiał z tobą naprawdę poważnie porozmawiać, Di - mówił, a jego ciemne oczy spoglądały na nią jak dwa wypolerowane okruchy obsydianu.

Nienawidziła, kiedy ktokolwiek nazywał ją Di, a Reginald mówił tak zawsze. Tylko raz zwróciła mu uwagę, na samym początku małżeństwa. Tylko raz, bo potem bardzo skutecznie przekonał ją, iż w tym domu tylko on jest od zwracania uwagi.

Była piąta i miała dwie godziny na przygotowanie wszystkiego, co trzeba. Zeszła na dół do lśniącej czystością kuchni i włączyła telewizor. Wyjęła paczkę tostów, jajka, dżem i sprawdziła, czy w automacie jest wystarczająca ilość ziaren kawy. Pamiętała ten poranek, kiedy zapomniała sprawdzić, czy w pojemniku jest kawa. Automat zasyczał, wypuł z siebie pół kubka ciemnej, gorącej cieczy, a potem umilkł. Nerwowo raz i drugi nacisnęła przycisk, czując cały czas na sobie wzrok Reggiego. Wiedziała, że przestał jeść i wpatruje się w jej plecy.

- Jakies kłopoty, kochanie? - zapytał.

- Nie - odparła chyba nieco za głośno i zajrzała do pojemnika.

Zamarła, kiedy zobaczyła, że nie ma w nim ani jednego ziarenka kawy. Co gorsza, kawy nie było również w szafce. A przecież powinna tam stać! Brązowa paczka ze złotym napisem.

Potrąciła paczkę z płatkami śniadaniowymi i w ostatniej chwili udało jej się ją złapać. Tylko dwa złote płatki wypadły i sfrunęły na podłogę. Pochyliła się, by je podnieść.

- Gdzie jest moja kawa, Di? - usłyszała.

Wzięła płatki z podłogi i włożyła z powrotem do otwartej paczki. Nie powinna tego robić, ale zdała sobie sprawę z błędu dopiero w chwili, kiedy je tam wrzucała. Reggie szarpnął ją za ramię. Kiedy wstał z krzesła? - zdążyła tylko pomyśleć.

- Myślisz, że będę jadł to gówno, kobieto? - trzymał ją za ramię palcami silnymi jak obcegi - myślisz, że będę jadł płatki z tym całym syfem z podłogi?

Wziął paczkę i sypanął jej płatkami w twarz. Potem zanurzył prawą dłoń, nabrał garść płatków, skruszył je w palcach i zaczął wcierać w jej twarz i usta. Szarpnęła się, a on puścił ją nadspodziewanie szybko.

- Posprzątaj tu, flejo - powiedział z obojętnym niesmakiem i wtarł kilka okruchów podeszwą buta w podłogę.

Myślała, że wtedy wszystko się skończy. Nadspodziewanie dobrze jak na stopień jej winy.

Ale Reggie zapomniał o kawie tylko na moment. Zobaczył napełniony do połowy kubek i odwrócił się w jej stronę, niczym atakujący wąż. Jego oczy były puste i martwe.

- Jestem dobrym mężem, prawda Di? - spytał przeciągając samogłoski - mam pracę, przynoszę do domu pensję, nie wychodzę wieczorami, czyż nie? Opiekuję się tobą i dbam o ciebie. A czy chcę w zamian tak dużo? - znowu poczuła jak na ramieniu zaciskają się jego palce. Wiedziała już, że co najmniej przez tydzień będzie miała siniaki.

- Chcę tylko dostać śniadanie - ciągnął. - Dobre, domowe śniadanie z kawą. I co? - Wrzasnął prosto w jej twarz. - I dostaję to!

Chwytał kubek z szafki, a gorący płyn prysnął mu na palce i na dekolcie Deidre.

- Jakaś resztkę marnych szczyń!

Chwytał ją za brodę i jednym ruchem rzucił na blat szafki. Nogami unieruchomił jej nogi. Wisiał nad nią potężny, ciemnowłosy i pachnący Old Spicem.

- Sama to sobie pij! - nacisnął palcami jej szczęki tak, że musiała je rozewrzeć i wlał pół kubka kawy w jej usta. Ból ją ogłuszył. Wrzątek poparzył usta, język, podniebienie i gardło. Nie mogła krzyknąć, bo się dławiała, a poza tym cały czas jej szczęki były unieruchomione w tym potężnym uścisku palców Reggiego. W końcu pchnął ją na podłogę i upadła tam, łkając.

Podszedł do stołu i zrzucił na podłogę i na nią samą wszystko, co przygotowała. Jajka na bekonie i tosty, zimny sok pomarańczowy ze świeżo wyciśniętych owoców i serdelki z musztardą. Potem zrozumiała, że Reginald zastanawia się, co robić dalej i wiedziała, że musi wykorzystać ten moment. Gdyż w innym wypadku będzie z nią naprawdę źle. Obróciła się, podpierając łokciem.

- Spóźnisz się do pracy, kochanie - powiedziała, a łzy ciekły jej po policzkach, tak bardzo bolało ją samo mówienie - już prawie ósma.

Spojrzał na nią, a w jego oczach coś błysnęło. Jakby zadziałał jakiś wewnętrzny flesz. Nie były już czarne i martwe.

- No właśnie - powiedział z żalem w głosie - a tu taki bałagan. Zrobisz mi drugie śniadanie, aniołku?

- Oczywiście, kochanie - wstała - i zaraz się zabiorę za sprzątanie.

- Moja mała gospodyni - klepnął ją czule w tyłek i wyszedł z kuchni.

Zrobiła mu drugie śniadanie. Kanapki z salami, kanapki z tuńczykiem i sałatkę owocową w plastikowym pojemniku. Włożył wszystko do teczki i podziękował jej roztargnionym uśmiechem, a ona miała czas i odwagę, by zacząć płakać dopiero, kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Tak więc od tamtej chwili dbała już, aby kawa z całą pewnością znajdowała się w pojemniku. Nie mogło też zabraknąć mleka, dżemu morelowego (tylko takiego, w którym były całe kawałki owoców), tostów, boczku, jajek, soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy i serdelków z indyka. Od czasu do czasu Reginald lubił też zamaczać tosta w syropie klonowym, ale zdarzało się to rzadko, gdyż dbał o linię. Na szczęście nie było tych produktów na tyle dużo, by Deidre miała kłopoty z zapamiętaniem, co kupić i co rano przygotować. Gorzej, że Reginald miał swoje upodobania. Jajka nie mogły gotować się dłużej niż trzy minuty, a serdelki musiały być podgrzane, ale nie na tyle, by parzyły w palce, kiedy zdejmowano z nich skórkę.

- Może ja ci obiiorę parówki, kochanie? - zaproponowała kiedyś.

- Przecież nie będziesz mi usługiwać jak dziecku - obruszył się natychmiast.

Z kolei sok pomarańczowy miał być chłodny, ale nie na tyle zimny, by utracić aromat, a boczek przyrumieniony, ale broń Boże przypieczony lub zwęglony na brzegach. Zwęglony boczek kosztował Deidre wytluczoną jedynekę i wizytę u doktora Milesa, który dobrotliwie narzekał jak tak piękna kobieta z tak zdrowymi zębami mogła dopuścić do tego, by tak nieostrożnie jeść brzoskwinie.

- Pestki to straszna sprawa, moja droga - mówił opiłowywując jej resztkę zęba i szykując miejsce pod koronkę - żebyś ty widziała, ilu siedziało tu ludzi, którzy myśleli, że ich zęby są twardsze od pestek!

Kiedy wróciła do domu, Reggie spojrzął tylko na nią zza gazety.

- Miło widzieć znowu twój piękny uśmiech - powiedział uprzejmie i rozlał do kieliszków białe wino. Przygotował nawet półmisek owoców morza i dopilnował, aby zjadła wszystko, co nałożył jej na talerz. Zapalił świece w mosiężnym świeczniku (plama rdzy na nim kosztowała ją kiedyś siniaka pod okiem), a potem długo kochał się z nią na sofie. Patrzyła w śnieżnobiały sufit i myślała o tym, że kiedy skończy już nad nią sapać i dyszeć, będzie mogła pójść do kuchni i pozmywać naczynia. Ale jednocześnie była mu wdzięczna, że stara się jej sprawiać przyjemność, więc w odpowiednim momencie głośno krzyknęła i, tak jak lubił, przeorała mu plecy paznokciami.

Reggie wstawał o siódmej rano, ale zrobienie śniadania nie było jedynym obowiązkiem Deidre. Musiała zadbać, aby ręczniki były suche, świeże i pachnące, a do wanny lała się właśnie ciepła woda. I żeby nie było jej ani za dużo ani za mało, tak, by punktualnie o siódmej dziesięć Reginald mógł położyć się w wannie i aby woda sięgnęła mu obojczyków, ale nie wylała się na posadzkę. No i żeby nie była ani za zimna, ani za gorąca.

- Chłodna kąpiel psuje mi humor na cały dzień - wyznał jej kiedyś i miała okazję sprawdzić, jak bardzo zły jest to humor, kiedy poważnie porozmawiał z nią za wygłuszonymi ścianami sypialni.

Poza tym Reggie lubił czytać przy śniadaniu, więc na stole musiała leżeć dzisiejsza gazeta. A w garderobie wyprasowana koszula. Dobrze wyprasowana - jak zaznaczał. Resztę ubioru dobierał sobie sam i czasami w Deidre budziło się coś na kształt macierzyńskiego rozczulenia, kiedy miał kłopoty z doborem krawata i patrzył na nią tym wilgotnym, włoskim wzrokiem, mówiąc: „Kochanie, chyba tylko ty mi możesz pomóc”.

Czas do ósmej, do wyjścia męża, był dla Deidre nieustannym zmaganiem z rzeczami i własną pamięcią. I nieustannym niepokojem, czy wszystko jest, jak trzeba. Kiedyś wypatrzył w holu plamę błota, której nie usunęła, zabierając sprzed drzwi gazetę.

- Wiesz Di - powiedział, dotykając przelotnie jej ramienia (z trudem pohamowała się tylko, by nie uskoczyć, a to by go na pewno rozsierdziło) - może powinienem zatrudnić sprzątaczkę. Pomogłaby ci trochę...

Zastanawiała się później nad tym, czy w ogóle choćby przez chwilę pomyślał serio o tej propozycji. Sądziła jednak, że to były jedynie nic nie znaczące słowa. Jak mógłby wpuścić do domu kogoś obcego? On, który nigdy nie zapraszał gości, a każda wizyta elektryka, hydraulika czy innego fachowca (przecież w domu zdarzały się, jak wszędzie, awarie) była śledzona przez niego z najwyższą podejrzliwością. Raz na zawsze zabronił również wpuszczania domokrażców i akwizytorów, co zresztą wydawało się Deidre słuszne zważywszy na to, ile w telewizji mówiono o napadach i kradzieżach. Nie wyobrażała sobie jednak w domu obcej kobiety. Kobiety nieznającej przyzwyczajień Reggiego, niewiedzącej, że story w salonie mają być zawsze zaciągnięte, a na kolekcji porcelanowych i gipsowych słoników nie ma prawa znaleźć się nawet jeden pyłek kurzu. Te słonie, począwszy od maleńkich jak paznokiec, aż do olbrzymów z dumnie zadartymi trąbami, doprowadzały początkowo Deidre do szału. Ale potem przyzwyczała się do nich tak jak do wszystkiego. Do tego, by codziennie dokładnie ścierać je za pomocą szmatki nasączonej antyelektryzującym płynem i uważać, aby po wytarciu stały dokładnie w tej samej pozycji jak poprzednio. Reggie nie znosił, kiedy jego rzeczy były przekładane, a słonie z kolekcji ułożył w sobie tylko wiadomej (ale świetnie rozpoznawanej) konfiguracji.

Ten dzień miał jednak być, inny od poprzednich. Reginald wstał w dobrym humorze i schodząc do kuchni uszczypnął ją czule w pierś, uśmiechając się przy tym łobuzersko. Lubił, jak od samego rana jest zadbana i przygotowana do dnia. O siódmej rano musiała mieć przygotowany staranny makijaż i pomalowane paznokcie (a nie było tak łatwo uważać na lakier, kiedy miało się tyle domowych obowiązków). Dopuszczał co prawda, kiedy ubierała się w białe, frottowy szlafrok (sam jej go kupił na urodziny), ale znacznie bardziej wolał ją w którejś z jasnych, wydekoltowanych sukienek. Miała ich całą kolekcję. Krótkich, niesięgających kolan i obcisłych na tyłku. Wiedziała, że podobają mu się jej zgrabne nogi (kiedy go nie było lubiła przeglądać się w lustrze i doskonale zdawała sobie sprawę, że ma wyjątkowo ładne łydki oraz uda) i duży biust wypychający materiał sukienki. Nie lubił, kiedy nosiła staniki, chyba że wieczorem zakładała czerwony lub czarny z delikatnej koronki.

- Lubię, jak ci tak sterczą - mawiał, kiedy był w dobrym humorze i szczypał ją w sutki, a ona uśmiechała się, bo choć ją bolało, to wiedziała, że jest to oznaka czułości.

Jednak tego dnia Reginaldowi humor popsuł się dość szybko. O wpół do ósmej rano zadzwonił telefon i mąż Deidre stał w przedpokoju z zasepioną miną i mówił tylko:

- Tak, panie prezesie. Oczywiście, panie prezesie. Nie ma żadnego kłopotu, panie

prezesie.

Ale kiedy odłożył słuchawkę, miał zaciętą twarz i znowu te martwe, czarne oczy bez wyrazu.

- Ten kutas wysyła mnie na tydzień w delegację - powiedział i uderzył słuchawką w aparat, tak że w środku aż coś jęknęło - zachorował gość ode mnie z działu i wysyłają mnie.

Odwrócił się i Deidre widziała, że drżą mu dłonie. Stał w przedpokoju, ubrany tylko w biały podkoszulek i białe bokserki, a Deidre wiedziała, że przebywa teraz gdzieś daleko we własnym świecie. Jego oczy ciemniały i mętniały coraz bardziej.

- Dokąd jedziesz, kochanie? - zapytała najspokojniejszym tonem, na jaki tylko mogła się zdobyć.

Mogła nie pytać. Ale przecież wtedy Reggie mógłby podejść do niej tym swoim wolnym, kołyszącym krokiem i wziąć ją pod brodę. - Nie interesuje cię dokąd wysyłają męża? - zapytałby z głuszoną wściekłością w głosie - nie ma dla ciebie różnicy, czy to jest Nowy Jork (tu padłby pierwszy cios), Pernambuco, czy Laponia?! Geograficznym nazwom towarzyszyłyby następne uderzenia, a kiedy by już upadła na podłogę, pochyliłby się nad nią i podniósł szarpnięciem.

- Musimy poważnie porozmawiać o twoim stosunku do małżeństwa - powiedziała.

Dlatego też wolała spytać. W jego oczach znowu błysnęło coś jak wewnętrzny flesz i odetchnęła z ulgą. Zacisnęła dłonie w pięści, by nie pokazać, że drżą jej palce.

- Do Londynu - powiedział z żalem - osiem godzin drogi pieprzonym samolotem, w którym nie można nawet zapalić.

Podrapał się za uchem i przeszedł do kuchni. Usiadł przy stole i pogrzebał widelcem w jajkach, które zdążyły pokryć się już szklistym nalotem. Deidre zamarła, ale wzięła się w garść i weszła odważnie do kuchni.

- Usmażyć ci następne, kochanie? - zapytała - przez ten telefon wszystko wystygło.

- Nie - mruknął - dziękuję - podniósł na nią wzrok - jesteś taka kochana, Di. Co ja bym bez ciebie zrobił?

Wstał i przytulił ją mocno do piersi, a potem pocałował za szyją.

- Ślicznie pachniesz - powiedział - a co byś powiedziała na małe, pożegnalne rżniętko, hmm? W końcu nie będziesz tego mieć przez cały tydzień!

- Jasne, Reggie - powiedziała i wsunęła dłoń w jego bokserki - sama nie wiem, jak dam radę tyle bez ciebie wytrzymać.

Obrócił ją tak, że prawie położyła się na stole. Wyciągnął jej piersi z za sukienki i wszedł mocno od tyłu. Naczynia szczękały, kiedy stół poruszał się pod wpływem jego pchnięć. Deidre patrzyła na kawę w żółtym kubku, która kołysała się jak powierzchnia wzburzonego morza i miała nadzieję, że napój nie zaleje białego obrusa, gdyż z doświadczenia wiedziała, że plamy po kawie bardzo ciężko jest wywabić.

* * *

Dom bez Reggiego wydawał się inny. Pierwszego ranka Deidre obudziła się punktualnie o piątej i jak zwykle spojrzała na seledynowe wskazówki zegara. Ostrożnie odchyliła kołdrę i zsunęła stopy na podłogę. I w tej samej chwili zdała sobie sprawę z tego, iż ostrożność jest zupełnie niepotrzebna. Leżała chwilę na wznak, wsłuchując się w ciszę panującą w pokoju.

Słyszała tylko swój własny cichy i spokojny oddech. Ale obok niej panowała cisza. Żadnego sennego posapywania, chrząkania, szelestu pościeli. Miejsce obok było puste i chłodne. Powiodła palcami dłoni po delikatnej powierzchni jedwabiu, jakby chcąc się upewnić. Ale zamiast ciepłego ciała Reginalda był tylko jedwab. Wtedy uśmiechnęła się do własnych myśli, schowała stopy pod pościel i przekręciła się na bok. Wtuliła poduszkę pod głowę i zasnęła znowu.

Obudziła się, kiedy krótsza wskazówka sięgała dziewiątki. Przerazenie o mała nie zatrzymało jej oddechu. Czuła jak serce trzepocze w piersiach niczym mały, przerażony szczur złapany do laboratoryjnej klatki. Zimny dreszcz przebiegł od pośladków aż po nasadę karku. W jaki sposób obudzi Reggiego? Jak powie mu, że przyjdzie do pracy co najmniej godzinę spóźniony? Nie będzie miał czasu na poważne rozmowy, ale po południu, kiedy wróci z pracy, nic nie obroni jej przed małą dyskusją w sypialni. Bo Reggie tak powie: „czas na małą dyskusję, Di”. I zaprosi ją do środka uprzejmym, pozbawionym emocji gestem.

Deidre wiedziała, jak to będzie, gdyż kiedyś zdarzyło jej się zasnąć prawie dwie godziny. Po południu Reginald stanął w sypialni, jeszcze w garniturze i z teczką w ręku. Ona siedziała na brzeжку łóżka wtulając dłonie pomiędzy drżące uda.

- Mam nadzieję, że nie miałeś przeze mnie kłopotów - powiedziała cicho, nie podnosząc wzroku.

To zdanie wyzwoliło w nim agresję. Cisnął w nią teczką, a srebrne okucie rozdarło skórę

nad prawym okiem. Do dzisiaj miała w tym miejscu leciutką, bladą bliznę. Wąziutką kreseczkę wędrującą od prawego kąca w stronę skroni. Nie szpeciła jej, a Reginald kiedyś powiedział, że dodaje jej twarzy charakteru. Ale potem było gorzej. Chwytał ją za włosy i rzucił twarzą w pościel. Czowała tylko zapach jego potu i zapach wściekłości.

- Prezes bardzo pilnie chciał się ze mną widzieć o dziewiątej - mówił, wyraźnie akcentując każde słowo i przy każdym słowie tłukąc ją z całej siły pięścią między łopatki.

Nie mogła ani krzyczeć, ani płakać, bo powietrze uwięzło jej w płucach. Zresztą krzyk i płacz najczęściej tylko rozdrażniały Reginalda. Wtedy chwycił ją obiema dłońmi za włosy i walił jej twarzą w poduszkę. To nawet nie bolało. Starła się tylko obracać twarz policzkiem, aby przez przypadek nie złamał jej nosa. Wreszcie zmęczył się i zszedł z łóżka. Usłyszała trzaśnięcie drzwi. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na cichy płacz w wybrudzoną szminką poduszkę. A potem Reggie wrócił, przebrany już w domowe ubranie, i powiedział wesołym głosem.

- Wiesz co, pomyślałem sobie: pieprzyć prezesa. Co ja się będę przejmował? Zamówiłem chińszczyznę, kochanie. Co ty na to? Może wyjdę po butelkę wina, a ty się w międzyczasie wykąpiesz?

- Oczywiście, Reggie - odparła - miałam dzisiaj prawdziwą ochotę na coś ostrego.

- Coś ostrego będzie dopiero wieczorem - odparł z figlarnym uśmiechem i słyszała, jak schodzi po schodach, pogwizdując arię z Cyrulika Sewilskiego.

Dlatego teraz leżała, jak sparaliżowana, dopóki nie uzmysłowiła sobie, że nie musi nikogo budzić. Była dziewiąta godzina, a Reggie przebywał daleko stąd. Kilka tysięcy kilometrów dalej, w małym, londyńskim hoteliku na Gloucester Road. Zadzwoił do niej zaraz po przyjeździe i opowiedział (a raczej poskarżył się) dokładnie jaki ma pokój i jak działa londyńskie metro (działało źle).

Wstała i odwróciła zegarek cyferblatem do blatu szafki. Zarzuciła na ramiona biały szlafrok i zeszła na dół, do kuchni. Wrzuciła do miseczki garść kukurydzianych płatków z owocami i zalała mlekiem. Przez chwilę miała ochotę wyjąć jajka oraz serdelki, ale potem uśmiechnęła się do siebie samej i wrzuciła wszystkie serdelki do worka na śmieci. Reggiego nie będzie przez tydzień, więc i tak nie będzie kto miał tego zjeść. Podgrzała tosta, posmarowała go duńskim masłem, po czym zostawiła na stole niedojedzone resztki.

Do południa wylegiwała się w wannie i nastawiła jacuzzi na delikatny masaż. Od czasu do czasu, kiedy słyszała jakieś skrzypnięcie lub hałas dobiegający z zewnątrz, zamierało w niej

serce. Zastanawiała się, co by było, gdyby teraz rozległ się w zamku drzewi chrobot klucza, a Reggie stanąłby w progu i z zadowoloną miną powiedział: „ale cię nabrałem, co?”. Wiedziała jednak, że to absolutnie niemożliwe. Dokładnie o 23 czasu londyńskiego zadzwoniła do jego nieprzytulnego (jak mówił) hotelu na Gloucester Road, aby życzyć mu dobrych snów i pocałować na dobranoc. Kiedy się z nią żegnał, słyszała w jego głosie niespotykaną czułość.

Tak więc nie musiała się bać, że to tylko dowcip. Znała go też na tyle, by wiedzieć, iż odwołany wcześniej z delegacji z całą pewnością zadzwoni, aby się poskarżyć i wyżalić. Bardzo rzadko rozmawiał z nią o swojej pracy i jeśli rozmowy takie już były, to ograniczały się do utyskiwań na tępych współpracowników i nic nierozumiejących szefów. Nie do końca wiedziała, czym się zajmował, poza tym, iż miało to związek z finansami i inwestycjami prowadzonymi głównie w Europie Zachodniej.

Po kąpieli dokładnie wytarła się suchym, dopiero co zdjętym z elektrycznego podgrzewacza, ręcznikiem i stanęła przed lustrem. Uśmiechnęła się na widok swojego ciała i lekko uniosła piersi dłońmi. Miała już trzydzieści jeden lat, ale ciało nastolatki. Szczupłe, zgrabne uda, idealnie przewęzoną talię, biodra bez grama tłuszczu i piersi godne modelek Playboya. Była z Reggie od jedenastu lat i nigdy nie kochała się z nikim prócz niego.

Zdawała sobie sprawę z tego, że dwudziestoletnia dziewica to dość śmieszne w dzisiejszych czasach, ale jej doświadczenia erotyczne ograniczały się do pocałunków na prywatkach i ewentualnie delikatnych obmacywanek, z których szybko się wycofywała, widząc, że sprawy mogą zajść za daleko. Seks nie sprawiał jej ani szczególnej przyjemności, ani przykrości. Ale doskonale zdawała sobie sprawę, że Reginald oczekuje czegoś więcej. Z pism kobiecych czy z filmów świetnie wiedziała, jak powinna zachowywać się gorąca kochanka. „Och, kochanie, tak, tak właśnie rób”, „Reggie, wsadź mi go, błagam”, „Taaak, właśnie taaak, proszę cię”. I spazmatyczny krzyk na koniec połączony z szarpnięciem paznokciami po plecach. Mógł być z niej zadowolony (widziała, że kiedyś oglądał w lustrze blizny po jej paznokciach z wyraźną satysfakcją), a jej nie sprawiało kłopotu wypowiedzenie tych słów, które przelatowały gdzieś obok i niknęły, nieważne i nieistotne.

Przebrała się w zieloną sukienkę, zeszła do salonu i włączyła telewizor. Do wysmukłego kieliszka naląła sobie odrobinę martini, położyła się wygodnie na sofie i sięgnęła po puszkę z solonymi orzeszkami. I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. Serce podskoczyło jej do gardła, ale zdała sobie sprawę, że to nie może być Reginald. Z całą pewnością nie dzwoniłby, tylko

skorzystał z kluczy. Chyba, że... a jeśli zapomniał ich w Londynie? Nie, nie - starała się uspokoić - przecież wiesz, że to niemożliwe, aby wrócił już teraz. Wstała i cichutko podeszła do drzwi. Ktoś znowu nacisnął szybko i jakby ze zniecierpliwieni przycisk dzwonka. Raz, drugi i trzeci.

- Kto tani? - zapytała, przełamując się - kto tam? - powtórzyła głośniejsze.

- Federal Express - głos za drzwiami był trochę zniecierpliwiony - mam dla pani przesyłkę.

- Przesyłkę? - zdziwiła się - nie czekam na żadną przesyłkę.

- Proszę pani - głos naprawdę starał się być uprzejmy - ja tylko roznoszę paczki. Jeśli pani mieszka na Elm Street 12, to przesyłka jest do pani.

Deidre ostrożnie nachyliła się do wizjera. Przed progiem stał szpakowaty mężczyzna w pocztowym uniformie. Na ulicy zobaczyła zaparkowaną półciężarówkę z napisem FedEx. Ale ostatecznie przekonało ją, kiedy rozdzwoniła się komórka wisząca przy pasie u boku mężczyzny i wysłuchał on z niej jakiegoś głośnego, choć niewyraźnego polecenia i powiedział: „już jadę, szefie, tylko załatwię sprawę na Elm”. Deidre odsunęła zasuwkę, a potem zdjęła łańcuch. Ostrożnie uchyliła drzwi.

- To dla pani - mężczyzna wyciągnął w jej stronę paczkę owiniętą w szary papier - pani Rice, prawda?

Deidre nie miała na nazwisko Rice. Pierwszy raz je usłyszała z ust tego mężczyzny. Już miała powiedzieć, że to pomyłka, i zamknąć drzwi, kiedy nagle wbrew sobie i zdumiona własnymi słowami powiedziała:

- Oczywiście, a któżby inny?

Zabrała paczkę z jego rąk (była ona naprawdę ciężka jak na swój rozmiar) i postawiła tuż za progiem.

- Proszę pokwitować - podał jej długopis, a ona jak głupia chciała wykaligrafować własne nazwisko i dopiero po chwili zorientowała się, że powinna podpisać się nazwiskiem Rice, więc zostawiła jakiś bazgrał, w którym wyróżniała się duża litera R. Pocziarz nic nie zauważył i schował bloczek.

- Miłego dnia, proszę pani - powiedział i odwrócił się.

Zamknęła drzwi, czując dreszczyk niepokoju. Co znajduje się w tej paczce, która dziwnym zbiegiem okoliczności trafiła do jej rąk? Czy jeśli właściciel albo poczta zorientują się w oszustwie, nie będzie miała kłopotów? Czy uda jej się jakoś wyłgać? W jej podpisie - bazgrole

- z całą pewnością nie dało się wyróżnić słowa „Rice”, a sama Deidre nosiła nazwisko Reggiego, czyli Rose. Reginald kiedyś przyznał się, że jeszcze jego ojciec miał na nazwisko Rosellini, ale on sam zmienił je na bardziej amerykańskie. No cóż, jeśli nawet był różą, to taką, która ma bardzo wiele bardzo kłujących kolców.

Podniosła paczkę, zaniósła ją do kuchni i położyła na stole. Wyjęła z szuflady ostry nóż zakończony kłującym jak szpilka szpicem i biorąc głęboki wdech, rozcięła papier. W środku było kartonowe pudełko. Deidre odlepiła szarą taśmę i otworzyła karton. Wewnątrz znajdowało się mnóstwo mocno zbitej, białej waty, a w niej...Wyciągnęła na stół opakowany w folię ciężki, chyba kamienny posążek. Zdjęła z niego folię i obejrzała go z mieszaniną fascynacji oraz zdumienia. Posążek przedstawiał postać siedzącą na kamieniu. Był to jasnowłosy mężczyzna ubrany w zielony kubrak i zielony, trójkątny kapelusik. W dłoniach trzymał coś, co przypominało niewielką gitarę o okrągłym pudle.

- Lutnia? - pomyślała Deidre.

Ale mężczyzna był nie tylko bardem lub trubadurem. Wzdłuż lewego uda widać było pochwę krótkiego miecza, a z tej pochwy sterczała błyszcząca srebrem głownia. Nie była to zresztą jedyna jego broń. Zza długiej cholewy prawego buta wystawała rękojeść noża. Jednak najbardziej zdumiewające były oczy figurki. Bard miał bardzo zimne i bardzo niebieskie oczy. Jak zimowe morze wokół norweskich fiordów - pomyślała Deidre, choć nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek widziała takie morze nawet w telewizji lub w albumie.

Poza tym z całą pewnością był kimś, kogo budowę zwykło się nazywać herkulesową. Obcisły zielony kubrak wypychały potężne mięśnie, a lutnia zdawała się ginąć w jego wielkich dłoniach.

Siedział na kamieniu lekko pochylony i jakby pogrążony w zamyśleniu. Palcami prawej dłoni niedbale dotykał strun instrumentu. W tym wszystkim Deidre była najbardziej zdumiona nieprawdopodobnym realizmem w przedstawieniu postaci przez rzeźbiarza. Bard miał jasną skórę i niewielki garb na nosie, a jego usta układały się w grymas lekkiego niezadowolenia.

Deidre przeciągnęła palcami po figurce i poczuła chłód metalu lub kamienia. Właśnie, z czego był zrobiony posążek? Uniosła go, zbadała powierzchnię dłońmi i doszła do wniosku, że jest to jednak kamień. Ale lutnia oraz głownia miecza i noża były najwyraźniej metalowe. Struny też były wykonane z cieniutkich, metalowych drutów.

- Kim ty jesteś? - zapytała w przestrzeń.

Nagle zdała sobie sprawę, że figurka może być jakimś okazem kolekcjonerskim i rzadkim dziełem sztuki. Nie знаła się na sztuce i nie miała pojęcia, co w dzisiejszych czasach może być arcydziełem, a co kiczem. Ale jeśli rzeźba miała znaczną wartość, przestępstwo jej przywłaszczenia mogło zostać tym gorzej odebrane. Zastanowiła się, czy nie zadzwonić do FedExu i nie poinformować jego pracowników o pomyłce. Wtedy wszystko szybko się skończy. Zaraz przyjedzie uprzejmy i zabiegany poczciarz, odbierze posążek za pokwitowaniem i odjedzie. Jednak na myśl o tym, iż rzeźba tego pięknego mężczyzny mogłaby zniknąć z domu, poczuła jakiś żal.

- Ciekawe, kto do niej pozował? - zapytała samą siebie.

Wtedy z salonu rozległ się brzęczyk telefonu. Deidre drgnęła i rozejrzała się w panice. Sygnał znowu zaświdrował w jej uszach. Spłoszona wrzuciła pudełko, sznurki i masę waty do worka na śmieci i chwyciła figurkę w dłonie. Rozpaczliwie zastanawiała się, co z nią zrobić, a wtedy telefon zadzwonił po raz trzeci. Pobiegła z rzeźbą do przedpokoju, otworzyła drzwi swojej szafy i wepchnęła rzeźbę daleko w kąt, gdzieś pod równo złożone bluzki. Potem pobiegła do pokoju i rzuciła się do słuchawki, kiedy telefon zabrzączał po raz piąty.

- Dom państwa Rose - powiedziała opanowanym głosem, z trudem powstrzymując szybszy oddech.

- Di? - głos Reginalda brzmiał tak wyraźnie, jakby mąż siedział w budce telefonicznej na sąsiedniej ulicy.

- A któżby inny, kochanie?

- Strasznie długo musiałem czekać, aż raczysz odebrać - powiedział z niezadowolaniem.

- Pastowałam podłogę w kuchni - powiedziała - i wiesz, zanim wytarłam ręce i dobiegłam, to zajęło trochę. Strasznie się cieszę, że dzwonisz.

- No - powiedział tylko, ale słyszała, że jest zadowolony.

Potem opowiadał jej przez kilka minut o londyńskiej pogodzie (była fatalna), angielskim jedzeniu (było zupełnie niestrawne) i swoich angielskich partnerach w interesach (byli nudni oraz ograniczeni umysłowo).

- Jeszcze całe pięć dni - rzekł na koniec - szafu tu dostanę.

- Postaram się poprawić ci humor jak przyjedziesz - powiedziała starając się wykrzesać w głosie nutkę zalotności.

- Jasne! - odparł i wiedziała, że tam po drugiej stronie Atlantyku uśmiecha się z

satysfakcją - dobra Di, muszę kończyć. Zadzwoń jutro, dobrze?

Oczywiście nie zainteresowało go, co ona robiła przez cały dzień. Zresztą nawet gdyby ją spytał, nie zamierzała powiedzieć o dziwnej przygodzie z rzeźbą. Pluła sobie tylko w brodę, iż tak przeraził ją dźwięk telefonu, że schowała figurę do szary. Przecież Reggie nie mógł widzieć, co się dzieje w domu w czasie rozmowy telefonicznej! A nawet, gdyby mieli wideotelefon, to na Boga, nie mógłby za jego pomocą dostrzec, co stoi na kuchennym blacie!

- Och, moja mała, ale z ciebie panikara - skarciła samą siebie i poszła do przedpokoju.

Otworzyła szafkę i sięgnęła w głąb, pod bluzki, tam gdzie ukryła figurkę. I nagle syknęła z bólu i zaskoczenia. W drewnie była jakaś drzazga albo pineska, która wbiła jej się w palec. Namacała jednak posążek i wyjęła go z szafy. Zobaczyła, że wskazujący palec ma zraniony opuszek i cieknie z niego krew. Twarz barda była teraz nie biała, lecz różowa od krwi, a krew spływała też wolno z jego dłoni na lutnię.

- O rany - mruknęła i poszła do łazienki.

Odłożyła posążek na blat, przemyła ranę pod zimną wodą i wyjęła z szafki torebkę z plastrami. Uważnie zakleiła skaleczenie, które jak wszystkie skaleczenia na opuszkach palców miało, pomimo swej znikomej wielkości, tendencję do intensywnego krwawienia.

Zastanowiła się, czy włożyć rzeźbę pod strumień wody, ale nie wiedziała, czy taka kąpiel by jej nie zaszkodziła. Przypuszczała, co prawda, że farba nie powinna reagować na wodę, ale uznała też, że lepiej dmuchać na zimne. Skończyło się więc na tym, iż przetała rzeźbę dokładnie za pomocą wilgotnej szmatki. Potem poszła na górę i postawiła ją na szafce nocnej w sypialni.

- Hmm, wiesz, miło będzie spać, wiedząc, że jesteś obok - powiedziała.

Położyła się dopiero koło północy. Obejrzała stary film z Marlonem Brando (kiedyś był naprawdę przystojny - pomyślała) i wypila jeszcze dwa małe martini zmieszane z wodą. Czowała, że lekko szumi jej w głowie, bo zawsze szybko reagowała na alkohol. W końcu to właśnie po jakiejś mocno zakrapianej imprezie straciła dziewictwo w malutkim pokoiku w domu kumpla Reggiego.

- Nie chcę! - krzyknęła, kiedy zdarł jej majtki, ale był tak silny, że nie mogła nawet drgnąć.

Lewą ręką ścisnął jej dłonie w nadgarstkach (przez tydzień miała potem ślady jak po kajdankach), a prawą rozwarł jej uda. Potem już tylko zaciskała zęby, bo wszystko bardzo ją bolało w środku, a Reginald sapał i dyszał nad nią śmierdzący wódką i Old Spicem.

- Fajnie było, co mała? - powiedział na koniec i zdziwił się, zobaczywszy, że ma całe podbrzusze we krwi.

- Masz, kurwa, okres? - wtedy, mimo prawie całkowitej ciemności, pierwszy raz zobaczyła, jak jego oczy mętnieją.

- Nigdy jeszcze z nikim nie byłam - powiedziała cicho do poduszki, ale usłyszał te słowa i myślał chwilę nad nimi.

- O żesz, w mordę - powiedział - wypieprzyłem małą dziewicę - usłyszała w je go głosie wyraźne zadowolenie.

Położył się obok niej i dopiero teraz zdjął jej stanik szybkim, wyćwiczonym ruchem.

- No to chyba pociągniemy tę naukę - rzekł ze śmiechem.

Ale teraz po tych trzech małych martini w głowie czuła tylko przyjemny szum i postanowiła pójść spać. Umyła zęby, przebrała się w ciemnozieloną jedwabną koszulkę nocną i wśliznęła pod kołdrę. W półmroku zobaczyła figurkę barda stojącą u wezgłowia, na nocnej szafce.

- Dobranoc - powiedziała, ziewając - to był miły dzień.

Bardzo rzadko miewała sny. Najczęściej tylko jakieś nieuświadomione i nie zapamiętywane koszmary. Zdarzało się, iż budziła się z przyspieszonym oddechem, spocona i z sercem bijącym jak dzwon. Nie pamiętała, co ją tak przestraszyło, ale miała potem kłopoty z zaśnięciem. Tym razem jednak sen był bardzo wyrazisty, wręcz realny. Oto w progu jej sypialni stał jasnowłosy mężczyzna. Tyle, że teraz nie miał w dłoniach śmiesznego instrumentu z sześcioma strunami i był nagi. Zupełnie nagi, a w półmroku widać było potężne sploty jego mięśni.

- Jesteś taka piękna - powiedział miękkiem głosem z jakimś dziwnym, staromodnym akcentem.

Musiał tak powiedzieć, bo piękni, nadzy mężczyźni pojawiający się w snach muszą być przecież uprzejmi. Obróciła się na bok i podparła ręką policzek.

- Chodź do mnie - powiedziała, gdyż przecież był to tylko sen i mogła robić wszystko, na co miała ochotę.

Uśmiechnął się, a ten uśmiech rozjaśnił jego lodowate, niebieskie oczy. Usiadł obok niej i delikatnie położył dłonie na jej włosach. Jego ręce były silne, ale niespodziewanie delikatne.

- Jak masz na imię, moja piękna? - zapytał.

- Deidre - odpowiedziała miękko, poddając się pieszczocie.

- To królewskie imię - rzekł poważnie - piękne imię.

Przesunął dłonie na jej ramiona i zaczął ją delikatnie masować. Okręciła się w jego rękach i ułożyła wygodniej.

- A ty? - zapytała - jak ty masz na imię?

Przez chwilę milczał, a dłonie pobiegły ku jej obojczykom.

- Lance - powiedział w końcu - myślę, że tak możesz mnie nazywać.

- Hmmm - zastanowiła się leniwie - gdzieś słyszałam to imię... chyba...

Palce mężczyzny delikatnie zsunęły się na jej piersi. Czuła, jak żar zstępuje z jej twarzy do sutków i biegnie aż do brzucha i pomiędzy uda. Szarpnęła się i chwyciła go za szyję. Zgarnęła jego głowę pomiędzy swoje piersi. Poczowała pocałunki. Delikatne jak powiew wiatru znad morza.

- Lance - powiedziała, żeby posmakować jego imię - och, Lance...

Kiedy obudziła się i zerknęła na zegarek, zobaczyła, że cyferblat cały czas obrócony jest w stronę blatu. Podniosła zegarek i z niedowierzaniem wpatrywała się we wskazówki. Była za pięć dwunasta! Nie pamiętała już, kiedy zdarzyło jej się spać tak długo. I wtedy przypomniała sobie ten niewiarygodny sen, który miała dzisiejszej nocy. Przypomniała go sobie i chociaż to był przecież tylko sen, poczuła, że rumieniec wypełza na jej policzki i dekolci.

- O, mój Boże - powiedziała do siebie - jakie ja śniłam świństwa!

Spojrzała na posążek barda, który w półmroku wydawał się uśmiechać do niej.

- Trzeba powiedzieć, kochanie, że masz nieliczną wyobraźnię - rzekła i sama nie wiedziała, czy myśli o sobie, czy też o wyśnionym mężczyźnie, który pokazał jej rzeczy, o których do tej pory nawet nie odważyła się myśleć.

Od dawien dawna nie miała już erotycznych snów, więc ten sprawił jej prawdziwą przyjemność. Zwłaszcza, że był tak bardzo, bardzo realistyczny. Wręcz wydawało jej się, że czuje na sobie zapach mężczyzny ze snu, a piersi i podbrzusze leciutko, ale przyjemnie ją pobołewały.

Wyskoczyła z łóżka i przyszykowała kąpiel pełną piany. Wylegiwała się w niej co najmniej godzinę, a potem zamówiła ogromną i baaardzo niezdrową pizzę pełną frutti di mare. Spałaszowała całą, popijając lodowatym białym winem i nie pamiętała już, kiedy miała tak ogromny apetyt na cokolwiek.

- Lance - powtórzyła w myślach - co ja za imię sobie wymyśliłam? Ciekawe, czy ktoś taki

istniał naprawdę? Może kolega ze szkoły, którego nawet już nie kojarzę, a którego imię na tyle mi się podobało, żeby podświadomie je zapamiętać?

Jednak nie mogła sobie za nic przypomnieć, gdzie mogła słyszeć takie oryginalne imię, w którym było coś uroczo staromodnego.

Resztę popołudnia spędziła przed telewizorem, a kiedy zadzwonił Reginald, starała się rozmawiać z nim zupełnie naturalnie. Na szczęście nie wypytywał, co się dzieje w domu, bo zajęty był opowiadaniem o fatalnych warunkach pracy, podłej żonawce i zatłoczonym metrze. Słuchała tego, co mówi jednym uchem i czasami uprzejmie potakiwała, a czasami wyrażała zatroskanie. Wydawało jej się, że Reggie był zadowolony, kiedy odkładał słuchawkę.

Wieczór spędziła równie leniwie jak popołudnie. Rozkoszowała się nie tyle możliwością nic nie robienia, ile faktem, że nie musi zwracać ciągłej uwagi na Reginalda i jego kaprysy. Czasami jeszcze czuła ukłucie lęku, kiedy myślała o tym, jak zareagowałby na zlew pełen brudnych naczyń, nieprzyzwoicie rozłożone pudełko po pizzy na kuchennym stole czy wilgotne ręczniki piętrzące się na suszarce. Ale wiedziała też, że będzie miała czas, by wszystko posprzątać i znowu stać się niezwykle solidną panią domu.

Tuż przed dwunastą poszła na górę do sypialni i wzięła pierwszą lepszą książkę z bibliotecznej półki. Czytała w łóżku przez mniej więcej godzinę (kiedyś uwielbiała czytać w łóżku, ale Reginald nie znosił, jak to robiła, więc odzwyczaiła się), a potem włożyła pomiędzy strony zakładkę i zgasiła lampkę.

- Ciekawe, co przyśni mi się dzisiaj? - pomyślała i miała nadzieję, że znowu będzie śnić o tym potężnym jasnowłosym mężczyźnie o delikatnych dłoniach. Niestety zdawała sobie sprawę, że sny rzadko kiedy przychodzą na zawołanie i zamówienie.

Wtuliła twarz w poduszkę i zasnęła prawie natychmiast. Zerwała się z krzykiem w środku nocy, bo śniło jej się, że usłyszała w zamku chrobot klucza i że na progu domu stał Reginald z parasolem w dłoni i zmoczonym żonawką prochowcu. Zapaliła nocną lampkę i usiadła, wsłuchując się w ciszę. Nie było żadnego chrobotu klucza ani kroków w holu, jednak nie mogła się powstrzymać, by nie zejść na dół. Sprawdziła drzwi (były dokładnie zamknięte) i poszła do lodówki po wodę mineralną. Nalała sobie pełną szklanekę wody bez gazu (bąbelki powodują wzdęcia - wyjaśnił kiedyś Reginald) i wypila ją duszkiem. Spojrzała na ścienny zegar. Była czwarta rano i Deidre nie mogła oprzeć się myśli, iż jest to fatalna noc, gdyż zamiast pięknego sennego marzenia miała tylko koszmar z Reggie w roli głównej.

Czytała kiedyś w jednym z kobiecych pism (miała na to zwykle chwilę czasu, kiedy Reginald był w pracy), że każdy człowiek jest w stanie sterować własnymi snami i trzeba się tego uczyć, myśląc intensywnie przed pójściem spać o przyjemnych rzeczach, które mają nam się przyśnić. Nie do końca, co prawda, wierzyła w tak piękną teorię, ale uznała, że nie zawadzi spróbować. Nie pamiętała już, co to był za magazyn, bo Reggie nie znosił kobiecych pism, gdyż uważał, że zatruwają życie rodzinne i powodują, że kobietom przewraca się w głowach.

Słowo „kosmodziwki” było czymś, czego lubił używać, aby określić kobiety nie tyle wyemancypowane, ile mające własne zdanie. Dlatego Deidre dbała, aby przed przyjściem Reginalda z pracy wszelkie tego rodzaju magazyny wylądowały w worku na śmieci.

W każdym razie wróciła do sypialni, weszła pod kołdrę, zgasiła światło i zamykając oczy, zaczęła koncentrować się na jasnowłosym mężczyźnie ze snu. Przypomniała sobie jego potężne bicepsy i długie, opadające na ramiona jasne włosy. Starła się wskrzesić jego zapach i jedwabisty dotyk skóry. Próbowwała przypomnieć sobie ciepły oddech, który czuła na karku, na piersiach, między udami, wszędzie... Usiłowała usłyszeć jego miękkie, poważny głos i słowa, które powtarzał: „Deidre, czy wiesz, że to imię królowej?”. Ale niestety z przywoływań i marzeń nic nie wyszło. Zasnęła twardym snem i spała zarówno bez koszmarów, jak bez marzeń.

Obudziła się znowu koło południa, ale tym razem już nie tak podekscytowana i rozradowana, jak zeszłego dnia, lecz nieco ospała. Czuła, że coś drapie ją w gardle i miała wrażenie, jak gdyby łąpała ją gorączka.

- Tylko nie to - pomyślała z rozpaczą - spędzić czas, kiedy nie ma Reginalda, chorując w łóżku, kaszląc i smarząc w chustkę byłoby chyba najgorszym rozwiązaniem!

Zaparzyła szklankę herbaty z cytryną, wyciągnęła zapasik lekarstw z szafki i wyszukała te przeciwko anginie, grypie i przeziębieniu. Zażyła solidną dawkę, a potem znowu zamówiła pizzę, lecz tym razem tylko z serem, oliwkami i ogromną ilością pikantnego sosu pomidorowego. Kończyła jeść (przeziębienie wydawało się odchodzić w niepamięć), kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. O mało nie zakrztusiła się kawałkiem pizzy i znowu przez chwilę musiała uspokajać rozdygotane serce. Dzwonek zabrzmiał jeszcze dwa razy. Szybko i niecierpliwie. Zbliżyła się na palcach i ostrożnie pochyliła się w stronę wizjera. Na progu stała młoda, elegancka kobieta w szarej garsonce. Miała ciemne, spięte w wysoki kok włosy i bystre, duże oczy. Zbliżyła znowu palce do dzwonka i Deidre dostrzegła, iż ma długie paznokcie (chyba z tipsami - pomyślała) pomalowane ciemnoczerwonym, wpadającym wręcz w bordowy lakierem.

- Proszę otworzyć - powiedziała nieznajoma spokojnym, ale stanowczym głosem i wdusiła przycisk jeszcze dłużej.

Deidre odczekała, aż dzwonek umilknie i odsunęła zasuwkę. Zdjęła łańcuch i uchyliła drzwi. Kobieta na pewno nie wyglądała na włamywaczkę lub akwizytorkę. Raczej na PR'a w dużej firmie notowanej na rynku NASDAQ. Deidre sama nie wiedziała, czemu taka myśl przyszła jej do głowy.

- Słucham? - powiedziała.

- Pani Rose, prawda? - zapytała kobieta bez uśmiechu. Jej wzrok był bystry, inteligentny i twardy.

- Tak - odparła Deidre.

- Czy pozwoli pani, że wejdę?

- Proszę - Deidre zawahała się przez moment, ale potem otworzyła szerzej drzwi.

Kobieta podziękowała skinieniem głowy i weszła do środka. Deidre poprowadziła ją do salonu i uprzejmym gestem wskazała miejsce na fotelu. Nie mogła nie zauważyć uważnego wzroku nieznajomej i tego, w jaki sposób spoglądała na kolekcję słoni.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała.

- Nazywam się Rice - wyjaśniła kobieta - Ann Rice. Czy to nazwisko coś pani mówi?

Deidre ledwo powstrzymała się, by nie przełknąć nerwowo śliny. A więc pojawiła się właściwa adresatka posażka! Teraz należało grzecznie wyjaśnić sprawę, oddać kobiecie jej własność i uprzejmie się pożegnać. Zamiast tego Deidre powiedziała:

- Przykro mi, ale nie. A powinno?

- Odebrała pani moją przesyłkę - głos - kobiety stwardniał - cenną rzeźbę, którą ci debile z FedExu źle przepakowali i pomylili adres.

- Naprawdę mi przykro - powtórzyła Deidre - może się pani napije kawy?

- A może przyjdę z policją?

Deidre poczuła zimny dreszcz biegnący od nasady kręgosłupa aż po kark. Co powiedziałby Reginald na wizytę policji w domu? Jak by mu to wyjaśniła? Ośmieszasz mnie, Di - usłyszałyby - musimy chyba przedyskutować ten problem.

- Jak pani sobie życzy - powiedziała oschle, starając się zapanować nad emocjami - nie wiem, o co pani chodzi, ale uważam tę rozmowę za skończoną. Czy wyjdzie pani sama, czy to ja mam zadzwonić po policję?

Kobieta wstała z fotela i przyjrzała się Deidre zaintrygowanym, ale nie wrogim wzrokiem.

- Tak pani na niej zależy? - zapytała - ciekawe...

- Do widzenia.

- No cóż - pani Rice skierowała się do wyjścia - miłej zabawy, kochanie - powiedziała już, stojąc przy drzwiach i Deidre zobaczyła na jej twarzy lekki, ironiczny uśmiešek.

Oslupiała zamknęła machinalnie drzwi za swym nieproszonym gościem, poszła do kuchni i wypita duszkiem szklankę wody. Zobaczyła, że drżą jej dłonie. Co ona miała na myśli? O co jej chodziło? - pytała sama siebie. I zabawne, że była wręcz pewna, iż zna odpowiedź, chociaż sama bała się przed sobą do tego przyznać.

* * *

Śniło jej się, że usłyszała kroki na korytarzu. Drzwi do sypialni było otwarte (a przecież pamiętała, iż zamknęła je, kładąc się do łóżka). W mroku stał jasnowłosy mężczyzna z jej marzeń. Tym razem nie był nagi, lecz ubrany w zielony kubrak, w lewej dłoni trzymał śmieszny trójkątny kapelusik, a w prawej lutnię. Wydawał się jakby nierealny, jakby rozmyty lub lekko przezroczysty. Wydawało się jej, że widzi poprzez jego ciało drzwi do łazienki.

- Krew, moja pani - usłyszała głos jak szept, który otulał ją - krew to życie, piękna Deidre. Krew to miłość...

Szept zanikał, a postać stawała się coraz bardziej przezroczysta, wreszcie zachwiała się, jakby w podmuchu wiatru, i szczyła w mroku. Deidre obudziła się nagle, oczy miała mokre od łez. Nie wiedziała, czemu chwycił ją za serce tak straszny, dojmujący żal. Obróciła się i płakała długo w poduszkę, sama nie pojmując, dlaczego rozpacza. Cały czas była pogrążona w czymś w rodzaju snu-nie snu i jawy-nie jawy. Gdzieś na granicy świadomości tańczyły słowa: „krew to miłość, krew to życie, piękna...”.

Wreszcie wybudziła się naprawdę i podniosła z łóżka, czując, że bolą ją skronie. Spojrzała na zegarek. Była dopiero czwarta trzydzieści, a ona wiedziała, że nie da rady już zasnąć, pomimo że późno się położyła i niespokojnie spała. Słowa usłyszane we śnie cały czas ją zastanawiały i lekko przerażały. Czy nie powinna pójść do psychoterapeuty? Do psychoanalityka? Co to wszystko miało znaczyć? Spojrzała na stojącą u wezglowia łóżka figurkę.

Bard wydawał się zadumany i spoglądał gdzieś w dal wzrokiem, w którym Deidre wyczytywała tęsknotę. Nagle zdecydowała się. Porwała posążek, wzięła go w dłonie i zbiegła po schodach do kuchni. Zapaliła światło i gwałtownie wyciągnęła szufladę. Na podłogę z grzechotem posypały się sztucce. Deidre wyciągnęła nóż o spiczastym czubku.

- Chcesz krwi? - zapytała w powietrze - dobra, będziesz miał krew!

Zamknęła oczy i przejechała ostrzem przez środek dłoni. Zabolało. Zapiękło.

Odważyła się odemknąć powieki i dostrzegła, że krew zalała środek dłoni i skapuje na podłogę.

- Jezuuus, co ja robię??? - zawyło w niej to rozsądniejsze „ja”.

Ale szalona Deidre w tym samym momencie chwyciła w prawą dłoń posążek, a lewą dłoń, pełną krwi, zawiesiła nad głową barda. Figurka momentalnie pokryła się czerwienią. Deidre poczekała chwilę, a potem odstawiła rzeźbę na stolik. Skąpany we krwi bard wyglądał co najmniej dziwnie. Wtedy dopiero w pełni dotarło do niej, co naprawdę zrobiła i pobiegła do łazienki, starając się nie chlapać wszędzie krwią. Ale i tak na podłodze korytarza wykwiwały w ślad jej kroków czerwone plamy.

Skaleczenie okazało się powierzchowne, ale spędziła w łazience sporo czasu, zanim udało się jej zatamować krew i nałożyć plastry, które trzymałyby się skóry. Potem - jak porządna pani domu - przeszła przez dom ze ścierką i starannie usunęła wszystkie szkarłatne plamy.

Wreszcie spojrzała na posążek, na którym krew - jej krew! - zdążyła już ściemnieć i zastygnąć. Westchnęła i zabrała go do łazienki, a tam, tak jak poprzednio, dokładnie przetarła wilgotną szmatką. Następnie wysuszyła rzeźbę i zaniósła z powrotem na nocny stolik.

Wsunęła się w pościel i spojrzała na twarz barda. Nie była pewna, czy kąpiele nie zaszkodziły posążkowi, bo bard teraz wydawał się patrzeć prosto na nią, a kąciki jego ust zginały się w leciuteńkim uśmiechu.

- Jestem szurnięta - powiedziała do siebie i zgasiła światło - szurnięta jak Marcowy Zając - porównanie rozbawiło ją i wyobraziła sobie siebie samą na herbatce z Kapelusznikiem, więc parsknęła śmiechem w poduszkę.

Tym razem była pewna, że to już nie jest sen. Mężczyzna siedział obok, na skraju łóżka, i z uśmiechem bawił się jej rudymi włosami. Zaplątywał je sobie wokół palca i rozplątywał.

Poczuła nieprawdopodobny wręcz strach, ale wtedy delikatnie dotknął jej policzka.

- Nic bój się, moja pani - powiedział, starając się nadać głosowi miękkość - przecież

mówiłem ci, że krew to życie i krew to miłość...

Nie mogła pohamować drżenia dłoni ani bicia serca. Zaszło jej w ustach.

- Nie przybyłem, aby wyrządzić ci jakąkolwiek krzywdę - jej strach wyraźnie go przygnębiał - jestem po to, by ci służyć.

- By mi służyć? - zdołała wyjąkać.

- Twoja krew pulsuje w moich żyłach, bicie twego serca jest biciem mojego serca. Patrz...

Ujął delikatnie jej dłoń i przyłożył do swojej klatki piersiowej, potem wziął drugą dłoń i położył tuż pod lewą piersią Deidre. Poczwała, że oba serca - jej i Lancet - biją jednym rytmem.

- Kim jesteś? - powtórzyła, ale teraz to pytanie było dużo poważniejsze niż tam to zadane, jak by się mogło wydawać, przez sen.

- Jestem Lance - odparł i zobaczyła w jego oczach nieskończony ból.

I wtedy nagle ujrzała go jakby był kimś innym. Trwało to tylko moment, chwilunie dłuższą niż ta, która pozwala na zmrużenie powiek albo na jedno uderzenie serca. Zobaczyła go w srebrnej, stalowej zbroi i w hełmie. Jasne włosy sypały się na lśniące naramienniki, u boku tkwił miecz o inkrustowanej złotem i szlachetnymi kamieniami rękojeści.

- Lancelot - powiedziała olśniona - jeden z rycerzy Artura!

I znowu widziała już tylko smutnego, jasnowłosego olbrzyma w zielonym kubraku.

- Inni zginęli, szukając świętego Graala - rzekł i słyszała w jego głosie ból - walczyli z Morganą i Mordredem, a ja zawiodłem. Szukałem doczesnych rozkoszy i oszalałem z miłości dla królowej. Zdradziłem mego władcę, uwiodłem jego żonę i zabiłem sir Gawaina, mego przyjaciela i najszlachetniejszego wśród ludzi. Gdy ginął Artur, mnie nie było w słodkiej Anglii - niezauważalnie zaczął mówić z tak silnym akcentem, że prawie go nie rozumiała - więc, kiedy mój król umarł, tylko ja jeden nie ruszyłem z nim na zielone pola Avalonu...

- Dlaczego tu jesteś? - ośmieliła się mu przerwać.

- By odkupić grzechy - powiedział znów wyraźnym głosem - by dawać, a nie brać. By służyć, a nie rządzić. By słuchać, a nie żądać. By myśleć o innych, a nie o sobie.

- Och, Lance - przytuliła go do siebie, czując jego ból i tęsknotę tak wyraźnie, jak gdyby były jej bólem i jej tęsknotą.

* * *

Dni do przyjazdu Reggiego, które spędziła w towarzystwie Lancelota, były najpiękniejszymi chwilami w jej życiu. Czasami wydawało się, że są tak cudowne, iż mogą być tylko bajką. Otoczył ją opieką i czułością, a w każdym momencie zdawała sobie sprawę z jego miłości i pożądania. Kiedy usypiała, wiedziała, że patrzy na nią, a jego palce delikatnie trącały struny lutni. Kiedyś zauważyła, że przestał grać, ale muzyka trwała nadal i kołysała ją do snu.

Telefon od Reginalda odebrała tylko raz, pomimo że często słyszała awanturujący się dzwonek. Ale nie miała zamiaru rozmawiać z człowiekiem, który teraz wydawał jej się obcy i odległy. Tak więc tylko raz zeszła do salonu, by podnieść słuchawkę i wysłuchała całej litanii narzekań. Gdzieś tam czuła też w jego głosie zaniepokojenie, a pod tym zaniepokojeniem kryła się groźba. Nie mógł sobie pozwolić na mówienie o małej dyskusji lub poważnej rozmowie, gdyż był za daleko, ale wiedziała, że rośnie w nim chęć, aby sprowadzić ją z powrotem na ziemię i przypomnieć o małżeńskich obowiązkach.

Nie rozmawiała z Lancelotem o swoich kłopotach, a on nigdy już nie wrócił do tematu odkupienia win. Bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej o Arturze i jego rycerzach (kiedy była nastolatką, starała się czytać wszystko, co tylko możliwe na ten temat, ale ogromna większość wiadomości wyparowała z jej pamięci), lecz zdawała sobie sprawę, że Lance za bardzo cierpiał, aby mówić o tym spokojnie. Dlatego nie rozmawiali wiele. Czas spędzali w łóżku, w wannie, leniwie przytuleni na sofie w salonie, w kuchni, gdzie starała się gotować wymyślne potrawy, a on jadł i śmiał się, że prowadzi na nim eksperymenty.

Wychodziła codziennie tylko na moment, aby kupić coś do jedzenia. Głównie owoce i świeże pieczywo. Lancelot lubił to samo, co ona. Smakował mu omlet z brzoskwiniami i cielece bitki z francuskimi kluskami. Uwielbiał sałatę w ostrym czosnkowym sosie (przecież nie może mi śmierdzieć z ust - rzekł lodowatym tonem Reggie, kiedy zrobiła taką sałatę po raz pierwszy) oraz marcepan w czekoladzie.

Deidre nie myślała o powrocie Reginalda, ale zdawała sobie sprawę, że ten dzień nadejdzie. Dzień, kiedy Reggie stanie w drzwiach ich domu, a jego oczy zmętnieją. Wiedziała, że powinna się bać tej chwili, ale znajdowała schronienie w ramionach Lancelota.

Jednak, kiedy siódmego dnia obudziła się całkiem sama w łóżku, nie była zdziwiona. Na początku myślała, że poszedł do łazienki, potem szukała go w salonie, aż wreszcie zdała sobie sprawę z faktu, że odszedł na dobre. Wróciła do sypialni i spojrzała na figurkę barda stojącą u wezgłowia. To był tylko pozbawiony życia kamienny posążek.

- To już koniec, prawda? - zapytała w przestrzeń ze smutkiem, ale bez żalu.

Zdawała sobie sprawę, że to musiało się stać. Wykąpała się, starannie ubrała i spakowała walizki, a potem postawiła je w holu pod schodami. Wszystkie czynności wykonywała automatycznie i bez pośpiechu, z jakąś przerażającą, starannością. Było jej cały czas nieludzko smutno, ale jednocześnie żarzyła się w niej nadzieja, iż wszystko to miało swój sens.

Kiedy usłyszała chrobot klucza w zamku, nie przestraszyła się. Serce uderzyło mocniej, ale zaraz wróciło do spokojnego rytmu. Stała w holu. Ubrana w długą, obszerną sukienkę w kolorze złamanej czerwieni, którą Reginald kazał jej wyrzucić dawno temu, a która cudem ocalała w szafie. Reggie pojawił się w progu. Miał na sobie długi prochowiec, a w ręku trzymał ociekający wodą parasol.

- Co się dzieje, Di? - warknął zamiast powitania - dzwonię wczoraj, dzwonię dzisiaj. Myślałem, że przyjedziesz po mnie na lotnisko! Co ty wyprawiasz, do cholery?

Patrzyła na niego i wiedziała, że się go już nie boi. Ale on zrozumiał jej spokój jako zakłopotanie i przyznanie do winy. Zdjął z ramion płaszcz i odstawił parasol.

- Będziemy musieli poważnie porozmawiać, Di - powiedział grobowym tonem – o twoim stosunku do małżeństwa.

Z jego oczu znowu wyjrzało czarne zwierzę, które zwykle wprawiało ją w paraliżującą panikę. Ale nie teraz.

- Tak, Reginald - powiedziała spokojnie - pogadamy sobie o naszym małżeństwie.

Zwierzę zatrzymało się i spojrzało na nią badawczo. Jeszcze nie zaniepokojone, ale już zaintrygowane.

- Chcesz mi pyskować, kobieto? - powiedziało.

- Nie - odparła spokojnie - spakowałam twoje walizki - machnęła dłonią w stronę schodów - zabieraj je i wynoś się stąd. Wynoś się z mojego życia.

Wtedy zwierzę ruszyło. W bezpardonowym, wściekłym ataku. Nawet nie zdążyła się zorientować, kiedy runęło na nią całym ciężarem, przyparło do ściany i chwyciło za szyję.

Jak zwykle pachniało Old Spicem.

- Czy ja dobrze słyszę? - zasyczało - och, wierz mi Di, to będzie bardzo, bardzo poważna rozmowa - powiedziało z przerażającym rozmarzeniem w głosie.

Wtedy z całej siły uniosła do góry kolano. I trafiła celnie. Reginald zawył i zwałił się na podłogę, nie mogąc złapać oddechu. Ciemne zwierzę w jego oczach cofnęło się. Jeszcze nie

przerazone, ale już zaniepokojone. Kiedy związał się i ciężko dyszał (ubarwiając to dyszenie słowami, ty kurwo, ty dziwko, zabiję cię) podeszła i zabrała parasol. Chwyliła go za srebrny szpic tak, że ciężka kościana rączka mogła jej służyć za broń. Uderzyła z półobrotu, celując prosto w twarz, ale zdołał zasłonić się dłonią. Krzyknął, bo chyba połamano mu palec.

Uśmiechnęła się do własnych myśli i weszła do salonu. Odłożyła parasol i zajrzała do barku. Wyjęła wysoką szklanę i nalała sobie na pół palca martini, a resztę dopełniła wodą. Dopijała drinka, kiedy pojawił się w progu pokoju.

- Ty cholerna kurwo - powiedział głosem bez wyrazu - to ja sobie żyły wypruwam, żeby cię utrzymać, a ty tak mi odpłacasz?

Nie zamierzała go słuchać. Ujęła znowu parasol za srebrny szpic i podeszła do jego kolekcji słoń. Wzięła zamach jak wytrawny bejsbolista. Bach! Wielki zielony słoń oberwał prosto w głowę i rozpadł się na kawałki. Jeden z okruchów trafił Reggiego pod oko. Bum! Wycelowano w małego, kamiennego słonika z opuszczoną trąbą, a ten poleciał jak pocisk i ugodził Reginalda prosto w czoło. Reggie opadł na kolana, a ciemne zwierzę w jego oczach uciekało w dzikiej panice. Trach! Przezroczysty szklany słoń oberwał w samą trąbę i zakręcił się jak baletnica, roztrzaskując pozostałe figurki. Buch! Zamiotła parasolem po szafce, strącając wszystkie posążki na podłogę.

- Wynoś się, Reginald - powiedziała spokojnie - bo za chwilę dołączysz do swoich słoń.

Patrzył na nią wzrokiem, w którym nie było nic. Ani wściekłości, ani żalu, ani żądzy zemsty. A nie, jednak coś było. Jakieś niewiarygodne niezrozumienie.

- To już? - zapytało małe, ciemne, skurczone zwierzątko w jego oczach – zabawa siem już skończyła?

- Zabawa się skończyła - odpowiedziała zwierzątku i z całej siły, z góry jak obuchem wyrzuciła kościaną rączką w szklany stolik.

Pękł z hukiem i lamentem rozpryskiwanego wokół szkła. Ostry jak sztylet kawałek sam trafił do jej dłoni. Ujęła go ostrożnie, bo nie chciała poranić sobie palców.

- Masz ochotę na poważną rozmowę o naszym małżeństwie, Reggie? - spytała, uśmiechając się.

Starł się wycofać rakiem do holu i udało mu się to.

- Nie? To zabieraj walizki!

- Dobra - powiedział Pan Opanowany, zaczynając nową grę - teraz stąd wyjdę i wrócę jak

dojdiesz do siebie...

Ledwo zdążył się uchylić, bo szklany szpikulec przeleciał tuż obok jego policzka i rozprysnął się na ścianie.

- Zmykaj, Reginald - powiedziała obojętnym tonem.

Potem usłyszała już tylko trzask zamykanych drzwi i zasunęła zasuwkę. Weszła do salonu pełnego okruchów rozbitego szkła i opadła na klęczki, nie zważając na to, że może poranić sobie kolana.

- Och, Lance - jęknęła wtulając twarz, w poduszki leżące na sofie, bo cała energia już z niej uciekła - gdzie jesteś, Lance?

I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. A raczej trzy szybkie, krótkie dzwonki. Wstała i ujęła parasol. Nie był już śmiercionośną bronią, więc odłożyła go na bok. Powlokła się do drzwi i odsunęła zasuwkę.

- Niech będzie, co ma być! - pomyślała.

W progu stała Ann Rice. Jak poprzednio elegancka i zimna, niczym lód.

- Dobrze - powiedziała Deidre zrezygnowanym tonem - mam pani rzeźbę. Proszę wejść.

Pani Rice weszła do środka i uważnie przyjrzała się okruchom szkła w przedpokoju, a potem obejrzała kolekcję słoni, która zaścielała dywan w salonie. Uśmiechnęła się i uśmiech uczynił jej zimną twarz prawie że miłą.

- To już nieważne, kochanie - powiedziała - nie przychodzę w sprawie rzeźby. Pomyślałam sobie, że możesz potrzebować pomocy.

Sięgnęła do kieszeni i podała jej wizytówkę. Przeczucia zawiodły Deidre, gdyż pani Rice nie była PR koncernu notowanego na rynku NASDAQ. Była jednym z trzech wspólników firmy adwokackiej.

- Przyniosłam upoważnienie - powiedziała rozkładając na stole papiery - podpisz je szybko, moja droga i zaczniemy całą zabawę.

- Upoważnienie? - zapytała.

- Tak, kochanie. Upoważnienie do reprezentowania cię w czasie sprawy rozwodowej. Zaczniemy od zakazu zbliżania się na odległość pięciuset metrów, zablokowania kont męża na poczet podziału majątku oraz oddania ci do dyspozycji waszego domu do czasu wydania wyroku.

Deidre patrzyła na nią oszołomiona.

- Nie mam pieniędzy na adwokata - powiedziała w końcu.

- Jest taki dowcip, który mówi: co to jest tysiąc adwokatów na dnie morza? A odpowiedź brzmi: dobry początek - roześmiała się pani Rice - ale ja poprowadzę tę sprawę dla własnej satysfakcji, Deidre - dodała - więc podpisuj, dziewczyno!

Podpisała, a wszystko wydawało jej się jakimś zdumiewającym snem. Pani Rice zgarnęła papiery do teczki.

- Jeszcze dzisiaj załatwię nakaz - powiedziała - a za godzinę zjawi się przed twoim domem ochroniarz.

Odprowadziła ją do drzwi.

- Ann? - zagadnęła.

- Tak?

- Skąd wiedziałaś?

Uśmiechnęła się samymi ustami.

- Z wiarygodnego źródła, kochanie - powiedziała i miała lekko rozbawiony głos.

- Czy... czy on istniał? - ośmieliła się zapytać i opuściła wzrok.

Ann Rice przez chwilę milczała.

- Mam ci odpowiedzieć jako prawnik, czy jako... - zawiesiła głos, jakby zastanawiając się jakiego słowa ma użyć - przyjaciółka?

- Jako przyjaciółka - Deidre podniosła wzrok.

- Oczywiście, że istniał - odparła - Lancelot, Gawain, Tristan, sir Cyd, Robin z Sherwood... Kimkolwiek by nie był - istniał. Czy nie widzisz jak odmienił twoje życie? Czy trzeba lepszego świadectwa?

- Wróci? - chwyciła ją za rękę.

- Nie, Deidre - pani Rice spojrzała na nią tym razem poważnie - i lepiej, aby nie wracał.

- Dlaczego?

- Bo Artur jest tylko tam, gdzie zagraża Mordred. Tylko kiedy przybywa cudak z Gisbourne, pojawia się Robin. Tylko kiedy atakuje cię drapieżnik, musisz wezwać myśliwego. Rozumiesz, co mam na myśli, kochanie, prawda?

- Rozumiem - powiedziała i zamknęła za nią drzwi.

Kiedy spojrzała przez okno, zobaczyła jak pani Rice wsiada do srebrnego BMW zaparkowanego na podjeździe. Nadal padał deszcz, a burzowe chmury przetaczały się nad miastem. Deidre natężyła wzrok i wydawało jej się, że w półmroku, gdzieś w cieniu domu po

przeciwnej stronie ulicy, stoi ogromna postać w zielonym kubraku. Zamrugła, ale kiedy podniosła powieki, nie było już nikogo.

- Och, Lance - powiedziała w pustkę, ale wiedziała, że już niedługo żal umrze i pozostanie tylko słodka pamięć.

2. Świat jest pełen chętnych suk

Najważniejsze są buty. Buty i paznokcie. Nie zdajesz sobie nawet sprawy z tego, że dziewczyna, którą dopiero co spotkałeś i z którą zamieniłeś kilka pierwszych zdań, potrafi już powiedzieć wszystko o twoich butach i dłoniach. Potrafi również stwierdzić, czy jej się podobają, czy też nie. A jeśli jej się podobają, być może rozważy twoją kandydaturę na spędzenie najbliższej nocy. Oczywiście, świat jest również pełen blachar bardziej zainteresowanych grubością twojego portfela niż twoim wyglądem i dbałością o detale. Ale nie będziemy przecież rozmawiać o blacharach. Prawdziwą kobietę, kobietę z krwi i kości, charakteryzuje dbałość o detale. Nie musisz być Antonio Banderasem. Bądź sobą i miej styl. Ja byłem sobą i miałem styl. Lubiłem drogie przedmioty, jednak w tym wypadku również należy zachować umiar. Nie ma nic gorszego niż facet wyciągający złotą papierošnicę, i jeszcze nabijaną drogimi kamyczkami. Jasne, za sprzedaż tej papierošnicy można by nieźle pożyć; za wachlarz dolarów też można nieźle pożyć, a publiczne wachlowanie się nimi nie jest uważane za szczyt dobrych manier. Ja miałem skromną, srebrną papierošnicę z delikatnie wybitymi w rogu inicjałami. Zresztą nie nosiłem w niej papierosów. Srebrna papierošnica była legowiskiem Białej Damy. Zaręczę ci, że koks wciągany ze srebrnej papierošnicy smakuje lepiej niż wciągany z łazienkowej półki lub, nie daj Boże, z deski sedesowej. Miej styl - zawsze to powtarzam. Jeśli masz styl, uchodzi ci płazem wiele rzeczy, które robione bez stylu są tylko żałosne.

Siedziałem przy trzecim barze w moim ulubionym klubie w centrum miasta. Nie było tu ani za głośno, ani za cicho. Muzyka taka, by leciutko ożywić umysł, a nie zagłuszyć go hukiem decybeli. Red Bull z Absolutem wymieszany w proporcjach jeden do jednego. I kostka lodu. Nigdy dwie. Zawsze tylko jedna. No cóż, nikt nie powiedział, że nie lubię prostych rozrywek. Czasami dobra jest jagnięcina w truflach, a czasami krwista wołowina zdjęta z osmolonego grilla i garść nieobronnych ze skórki podpieczonych ziemniaków. Przychodziłem do tego klubu co drugi wieczór. Ciężko wyobrazić mi sobie, że mógłbym spędzać wieczory samotnie przed telewizorem albo z gazetą w ręku. O nie, kochany. Kluby to czysta, żywa adrenalina. To wyprawa na polowanie. Ty jesteś myśliwym, one są zwierzyną. Nawiasem mówiąc, zwierzyną jak najchętniej wystawiającą się na celny strzał. Nomen omen... Dla nich ważne jest między innymi to, by potem można się pochwalić myśliwym. Ja chciałem być myśliwym, którym można się chwalić. Próżność, powiesz? A cóż złego jest w próżności? Że jest jednym z siedmiu grzechów głównych?

Popełniłem ich tyle, że główny czy mały, jeden, drugi lub dziesiąty nie robiły na mnie wrażenia.

Dziewczyna, na którą zwróciłem uwagę, siedziała samotnie w rogu baru. Przyszła tu najprawdopodobniej bez koleżanek i bez faceta, a przynajmniej nikt do niej nie podszedł od dobrej pół godziny. Popijała pomarańczowego drinka w wysokiej szklance i zdawała się nie zwracać uwagi na otaczający ją świat. Złote, długie kolczyki w jej uszach lśniły w czerwonym świetle pulsującego z sali reflektora. Skinąłem na barmana.

- Kto to? - zapytałem cicho, wskazując ją ledwo dostrzegalnym ruchem podbródka.
- Nie mam pojęcia. - Był dobrze wytrenowany, bo nawet nie spojrzał w kierunku dziewczyny. Między innymi dlatego lubiłem tu przychodzić. - Chyba jest pierwszy raz.
- Niezła - powiedziałem, upijając łyczek. - Nie w moim typie, ale zupełnie niezła.

Faktycznie nie była w moim typie. Bardzo wysoka i krótko ostrzyżona. A za tym nie przepadam. Podobno upodobanie mężczyzn do długich włosów to atawizm. Pędząc na koniu, można było pochwycić brankę z długimi włosami i przytroczyć ją za nie do siodła. Koncepcja ciekawa, jednak ja jakoś słabo wierzę w atawizmy. Bardziej podobał mi się obraz kobiety, która jedzie na mnie, a jej długie, gęste włosy falują jak porywane wiatrem. No dobrze, tyle na temat włosów. Jej, niestety, nie miało co falować. Za to pod czarną sukienką rysował się duży biust. Naprawdę duży biust. A to z kolei działa na mnie jak płachta na byka. Budzi zastrzyk adrenaliny. Duży biust jest stworzony do zabawy nim. Co śmieszne, ta zabawa nigdy się nie nudzi. Jeśli masz dziewczynę z małymi piersiami, prędzej czy później obsesyjnie zaczniesz myśleć o wielkim biuście. O ogromnych piersiach. O cycach jak szczyty Mount Everestu. O falujących górach bitej śmietany. Zaczniesz przeglądać pisma dla panów i wybierać tylko takie filmy porno, gdzie aktorki uginają się pod ciężarem własnych piersi. A jeśli dziewczyna ma duży biust? Cóż, taka zabawa nigdy nie staje się nużąca. Stary dowcip mówi, że dziewięciu na dziesięciu facetów woli laski z wielkimi cycami, a ten dziesiąty woli tych dziewięciu. Coś w tym jest. Znałem facetów z upodobaniem do małych piersi i prędzej czy później okazywali się ukrytymi homoseksualistami. Nie żebym miał coś przeciwko homoseksualistom. Przynajmniej wtedy, kiedy znajdują się maksymalnie daleko od mojego tyłka.

Laska siedząca przy barze miała pociągłą, szczupłą twarz o lekko wystających kościach policzkowych, bardzo jasną cerę i śliczne, długie palce pianistki. Uwielbiam długie, szczupłe palce. Z długimi, pomalowanymi paznokciami. I niekoniecznie w kolorze krwistej czerwieni, bo to w końcu bardzo, ale to bardzo trywialne. Wystarczy bezbarwny albo perłowy lakier. Tak

naprawdę liczy się kształt i długość, a nie kolor. I miała eleganckie, złote kolczyki. Łezki połyskujące różem w blasku czerwonego światła.

W nieinteresującej się zewnętrznym światem dziewczynie przy barze coś mnie nieodparcie pociągało. Oczywiście może się okazać, że to tylko poza. Sygnał sprzedawany światu: „Patrz - siedzę tu taka samotna, zajmij się mną...”. No cóż, zobaczymy. Jednak uznałem, że przed spotkaniem z nią, czas na spotkanie z Białą Damą. Biała Dama nie zmienia mojego spojrzenia na świat. Nie czuję się dzięki niej bardziej atrakcyjny lub bardziej wygadany. Bogu dziękować nie brakuje mi ani jednego, ani drugiego. Ale sam moment wciągnięcia w nozdrza tego gorzkiego proszku jest jak podróż na drugi koniec tęczy. Jest zapowiedzią garnka ze złotem, który ukrył przemyślny leprechaun. Oczywiście każdy mądry człowiek zdaje sobie sprawę, jak niebezpieczne jest zabieranie leprechaunowi jego złota. Wielu mówi, że nie tylko narażasz się na pościg właściciela, złoto w promieniach słońca okaże się zeschniętymi liśćmi albo kupką miedzi. I następna prawda o Białej Damie: jeśli pozwolisz, aby zaczęła rządzić twym życiem, zacznie to robić. Z całą bezlitosną i okrutną obojętnością. Ja już nie miałem się czego bać. Czułem na sobie oddech leprechauna i czułem też, że Biała Dama coraz bardziej się mną interesuje. Tak to już jest. Jeśli zbyt długo patrzysz w otchłań, uważaj, bo otchłań może spojrzeć w ciebie. We mnie otchłań wpatrywała się od dawna.

Westchnąłem. To był zły czas na takie myśli. W końcu nie przyszedłem tu, by zastanawiać się nad nędzą swojego istnienia. Debetem na kartach kredytowych i niespłaconymi długami zaciągniętymi u ludzi, którzy nie przepadają za niesolidnymi dłużnikami. Teraz był wieczór. Czas zabawy. Czas polowania. Jutro będzie jutro i niech je diabli porwą!

Podszedłem do nieznanym dziewczyny, gdy Biała Dama mocno się już rozgościła w moim ciele. Siedziała pod sercem i w mózgu, zadowolona, uśmiechnięta, dzieląc się ze mną swoją radością. Kiedy się zbliżałem, poczułem ciężką, kadzidlaną woń perfum. To był naprawdę ładny zapach, a ja uwielbiam, gdy kobiety ładnie pachną.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - powiedziałem, zniżając głos. - Pozwól tylko, że spytam, czy nie za bardzo się potłukłaś?

- Kiedy spadałam z nieba? - odparła znużonym tonem i nawet na mnie nie spojrzała. - Czy faceci nie mogą wymyślić czegoś bardziej oryginalnego?

Nie byłem wcale zaskoczony. W końcu prawdziwy myśliwy potrafi poradzić sobie zarówno ze zwierzyną, która ucieka, jak i taką, która atakuje

- Strasznie mi przykro, że ktoś wcześniej po raz pierwszy ci to powiedział, i mogę tylko żałować, że to nie byłem ja. Niezależnie od tego, ile razy byś słyszała, że jesteś piękna, będzie to zawsze prawdą.

Tym razem spojrzała na mnie. Miała przejrzyste, niebieskie oczy o barwie południowego nieba.

- Słowa podlegają inflacji - stwierdziła. - Im więcej mówisz, tym mniej jest to warte.

- Zawsze możemy posiedzieć i pomilczeć. - Uśmiechnąłem się. - A ja wtedy wyteżę cały zmysł telepatyczny, by poznać twoje imię.

- A może byś go tak wyteżła na własnym miejscu? - zaproponowała.

- Oczywiście - odparłem. - Pozwolisz tylko, że na do widzenia zamówię ci drinka. - Podniosłem dłoń, uprzedzając jej protest. - Drinka, który będziesz mogła wypić spokojnie, ciesząc się samotnością. Myślę tylko nad tym, co do ciebie pasuje. Zastanówmy się. Najpierw mleko, jak biel twojej skóry. Potem *blue curacao*, które tylko w małym stopniu odda ten cudowny błękit oczu, który mogę podziwiać. Do tego biały rum, aby lekko ogrzać twoje serce. I gałązka mięty dla ozdoby...

- A co ona ma symbolizować? - spytała.

- Oczywiście chłód twego głosu - odparłem. - Do całości dodamy kulkę lodów waniliowych, aby przypominała ci Królową Lodu, zapewne bliską i serdeczną przyjaciółkę.

Tym razem się roześmiała. Miała piękny, głęboki śmiech, tak różny od głupiutkiego chichotu blachar.

- Blue Moon - powiedziała. - Dobry wybór. Ile drinków masz opanowanych w ten sposób? Wszystkie typy urody? Wszystkie kolory włosów?

- Polegam na intuicji oraz szybkich skojarzeniach - odrzekłem. - A jaki drink pasuje do mnie?

Spojrzała i otaksowała mnie wzrokiem.

- Red Buli - stwierdziła. - Bo idziesz przed siebie jak byk, nie zwracając uwagi na innych. Wypełnić szklankę Absolutem, bo przecież nie wypada pić innej wódki. Dodać kostkę lodu. Jedną. Dla zaznaczenia pewnej namiastki stylu.

Zatkało mnie, jednak się roześmiałem.

- Słyszałaś, prawda? - zapytałem. - Wierzę w kobiecą intuicję, ale nie do tego stopnia. Podaj Blue Moon, jeśli łaska - zwróciłem się do barmana, który flirtował ze szczupłą dziewczyną

o długich, spalonych trwałą włosach. Mimo flirtowania zamówienie usłyszał natychmiast. Ot, profesjonalizm.

• Słyszałam - przyznała. - Coś w tym jednak jest. Cóż, nie stój tak. Skoro już się pojawiłeś, usiądź i wypij ze mną tego drinka.

- Dzięki za zaproszenie - odparłem i zgrabnie posadziłem tyłek na stołku.

I tak to już jest, przyjacielu. Tak naprawdę, one chcą ciebie tak samo, jak ty ich. Wymagają jednak jednego: byś przez moment je zainteresował. Byś nie dukał, nie pocił się i nie czerwienił. Byś nie szukał słów, nie milkł w nieodpowiednim momencie. Byś słuchał, kiedy one mówią i mówił, kiedy one chcą słuchać. To takie proste. Ha, gdyby to było takie proste, ty byś miał co wieczór inną dziewczynę, a nie ja.

Jej ciało było doskonalsze niż mogłem przypuszczać. Wyćwiczone fitnesssem i kształtne. Strome piersi z różowawymi, sterczącymi sutkami. Długie nogi o pięknie uformowanych łydkach i cudownie wąskie w pęcinach. A poza tym ślicznie pachniała. Nie tylko jej kadzidlane, ciężkie perfumy. Pachniało jej ciało. Skóra. Pot.

Leżała obok mnie, spocona, z głową odrzuconą na poduszkę i z zamglonymi oczami. Wpatrywała się w sufit nad nami.

- Słodki Boże - westchnęła.

Dotknąłem opuszkami palców jej szyi i karku. Prawie niezauważalnie. Każdy człowiek ma na karku włoski. Zwykle bardzo krótkie i delikatne. Jeśli potrafisz w odpowiedni sposób ich dotknąć, kobieta zaczyna tylko marzyć, żeby rozłożyć przed tobą nogi. Jasne, że kark i szyja są strefami erogennymi, ale nie o to chodzi. Każda kobieta w momencie, gdy dotykasz jej szyi, wyobraża sobie, co będzie, kiedy tak samo delikatnie, czule, jak powiew letniego wietrzyku, dotkniesz jej w innych miejscach. Faceci są zwykle tak prości, gwałtowni i niezręczni. Jasne, że one lubią siłę i brutalność. Symulowany gwałt. Odrobinę przemocy. Jednak lubią wiedzieć, że to tylko taka gra, a ty potrafisz swoimi ustami i palcami dotrzeć do samego dna ich duszy.

- Mmmm - mruknęła. - Aleks, gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś?

Nie było dobrej odpowiedzi na to pytanie. Ludzie rodzą się z pewnymi darami. Jeden potrafi pięknie malować, inny śpiewać, a jeszcze inny grać. Ja byłem wirtuozem instrumentu, jakim jest kobiece ciało. Od czternastego roku życia - pierwszej seksualnej inicjacji - wiedziałem, co trzeba robić, by z dziewczęcych ust wydobyć soprany krzyku i alty słodkich pomrukiwań. Od czternastego roku życia otaczały mnie kobiety, które po pierwszej spędzonej razem nocy

zachowywały się jak kotki w rui. Lubiłem to. Do czasu. Bo powołaniem prawdziwego artysty jest dzielenie się swym kunsztem z możliwie najszerszą publicznością. Czy wyobrażasz sobie wirtuoza skrzypiec chcącego grać tylko dla jednej osoby? Przez całe życie dla jednej osoby? Jakież to byłoby straszne, podcinające skrzydła, depresyjne... Poza tym ja je naprawdę kochałem. Wszystkie. Jasnowłose, rude i ciemne. Te wysokie, o długich nogach i dużych piersiach, ale również te niskie, szczupłe i z małymi biustami. I one to wiedziały. Że w łóżku jestem dla nich, bo prawdziwym zadaniem mistrza jest stworzenie genialnej muzyki na każdym dostępnym instrumencie. Słowo „oziębłość” nie istniało w moim słowniku, tak samo jak słowa „nie chcę” i „za dużo”. Ja ich po prostu nigdy nie słyszałem. Kobiety były moimi stradivariusami i steinwayami i potrafiłem im to okazać. A każda z nich lubi czuć się najważniejsza. To się nie zmieniło. To się nigdy nie zmieni.

- To nie ja - odparłem. - To ty. Jesteś perfekcyjna w każdym calu. Cudowna. Nie wiesz nawet, jakie to genialne uczucie mieć cię obok siebie. Czuć twój smak i zapach. - Przejechałem szybko językiem po jej naprężonych sutkach, a ona jęknęła. - Widzieć, jak leżysz tutaj... Taka piękna i doskonała. Jakbyś wyszła spod dłuta Fidiasza albo z morskiej piany.

Uśmiechnęła się. One zawsze się uśmiechają. Pod warunkiem, że są w stanie zrozumieć, co mówisz. Ale to już twoje zadanie. Dobieraj słownik do partnerki, a nie odwrotnie. Są takie, które finezja tylko rozśmieszy. Są takie, nad którymi trzeba się pochylić i, patrząc im głęboko w oczy, ściskając im pierś tak, by jęknęły z bólu, powiedzieć:

- Mógłbym cię rznąć do końca świata, suko.

Cóż, dla każdego coś miłego.

Doprowadziłem ją do końca cztery razy, a za każdym razem błękit w jej oczach coraz bardziej się rozmazywał i były teraz jak zamglone, letnie niebo. Zasnęliśmy, a kiedy się obudziłem, zobaczyłem, że w moim skórzanym fotelu, naprzeciwko łóżka, siedzi facet w ciemnym płaszczu. Zamrugałem.

- Co pan tu robi, do cholery? - Prawą rękę delikatnie przesunąłem w stronę szafki, w której trzymam broń.

Broń. Szumnie powiedziane. Nic specjalnego. Małeńki pistolecik-zabawka kalibru 22. Nie zastrzełiłyś nim niedźwiedzia, ale z kilku metrów na pewno możesz skrzywdzić człowieka.

- Nie, nie - zacmokał. - Ja to mam.

Przerzucił mój pistolet z lewej do prawej dłoni i uśmiechnął się. Nawet nie z wyższością,

czy paskudnie. Ot, tak: z roztargnieniem. Przyjrzałem mu się uważniej. Był elegancko ubrany. Czarny płaszcz, nienagannie skrojony ciemny garnitur, starannie wypastowane buty o tępych czubach. W świetle lampki zauważyłem, że ma jednak zdecydowanie zbyt długie paznokcie i zbyt długie włosy. W pewnym wieku nie wypada, by włosy spadały ci na kołnierzyk koszuli. A on musiał mieć co najmniej pięćdziesiąt lat. Przypominał trochę Richarda Chamberlaina. Sympatyczny, ale cyniczny uśmiezek, lekka zniewieściałość w głosie, wyglądzie i ubiorze. To nie był mój typ faceta, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Nie obawiaj się, Aleks - powiedział spokojnie. - Przyszedłem tylko pogadać, korzystając z twojej bliskiej znajomości z Di.

Di? Ach tak. Di. Tak przedstawiła się moja dzisiejsza blondynka.

- To od Diany? - zapytałem wtedy.
- Skoro ci się podoba, niech będzie, że od Diany.

Z mroku, cicho jak kot, wyłoniła się właśnie Di. W moim granatowym szlafroku. Musiała mocno podwinąć rękawy, jednak trzeba przyznać, że i tak wyglądała uroczo. Usiadła w drugim fotelu i założyła nogę na nogę. Poły szlafroka rozwarły się, a ja poczułem się jak na „Nagim instynkcie”.

• Jesteście małżeństwem? - Tylko to mi przyszło na myśl. Zazdrosny mąż, poszukujący nieco zbyt łatwo ulegającej pokusom żony.

- Nie. - Roześmiał się szczerze, jakby sama myśl setnie go ubawiła.

Odetchnąłem z ulgą. Zazdrośni mężowie nie byli tym, co tygrysy lubiły najbardziej. Nieznajomy tymczasem ostrożnie odłożył na stolik mój pistolet. Pstryknął w lufę, a broń zawirowała na blacie.

- Przyszedłem z pewną propozycją, Aleks - powiedział, patrząc gdzieś za moje plecy. - Kiedy zasnąłeś, Di zadzwoniła do mnie i opowiedziała mi o twoich wyjątkowych... hm - zatrzymał się, jakby szukał właściwego słowa - talentach. Pomyślałem, że być może będę mógł z nich skorzystać...

- Jezuuu, nie robię tego z facetami - przerwałem mu. Patrzył na mnie przez chwilę, jakby nie rozumiejąc.

• Och, nie - rzekł w końcu. - Nie to miałem na myśli. Osobiście nie mam co prawda nic przeciwko seksowi z mężczyznami, ale potrafię zrozumieć inny punkt widzenia. - Pokiwał wyrozumiale głową, jakbym był prostym tubylcem, nieumiejącym docenić wyrafinowanych

przysmaków rozwiniętej cywilizacji. - Szczerze mówiąc, nie mam nic przeciwko żadnym konfiguracjom łóżkowym, to jednak nie należy do tematu naszej rozmowy.

- A co do niego należy? - zapytałem.

- Chciałbym ci zaproponować pracę, Aleks. - Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza złotą papierośnicę. Oczka rubinów zalśniły czerwienią.

- Mogę? - zapytał.

- Bardzo proszę - odparłem.

Rozejrzałem się i sięgnąłem po paczkę czerwonych Marlboro leżącą na nocnym stoliku. Była pusta.

- Czy byłby pan tak uprzejmy...?

- Przykro mi. Moje papierosy nie smakowałyby ci, Aleks. Di?

- Tak, proszę pana?

- Daj Aleksowi papierosa.

Już chciałem powiedzieć, że ona przecież nie pali, ale ugryzłem się w język. Wyciągnęła z kieszeni szlafroka (mojego szlafroka!) paczkę Marlboro i rzuciła ją prosto w moje dłonie. Rozpakowałem i zapaliłem. Nieznajomy spokojnie czekał, aż usiądę wygodniej i zaciągnę się.

- Tak więc, wracając do naszej rozmowy. Co sądzisz o stałej, dobrze płatnej pracy w miłych warunkach? I o świetnych propozycjach emerytalnych na przyszłość?

- Nie wybieram się na emeryturę - mruknąłem.

- Jeszcze nie - odparł. - Jednak starość przychodzi szybciej niż ktokolwiek by pomyślał.

Poza tym z tego, co wiem, twoja sytuacja finansowa nie wygląda najlepiej... Prawda?

- O jakiej pracy pan myśli? - zapytałem, decydując się pominąć milczeniem uwagę na temat moich długów. Skoro o tym wiedział, nie było nic do dodania.

- Aleks, wiesz na czym polega rola dobrego menedżera?

- Chętnie posłucham.

- Rolą dobrego menedżera jest znalezienie pracownikowi takiego zajęcia, w którym tenże pracownik się spełnia. Kiedy do pracy przychodzi z radością i satysfakcją, pełen nowych, innowacyjnych pomysłów, pełen zapału i fantazji. Rolą dobrego menedżera jest sprawienie, by pracownik żegnał każdy dzień z radością z wypełnionych obowiązków i miło podniecony czekał na to, co przyniesie dzień następny...

- Mówi pan o sytuacji idealnej. To bardzo piękne - powiedziałem, bo wyraźnie oczekiwał

jakiejś uwagi z mojej strony.

• A dlaczego mamy nie mówić o ideałach? - prawie wykrzyknął, a ja widziałem, że Di leciutko się uśmiechnęła. - Oczywiście, że mówmy o ideałach! Kto szykuje się, by zdobyć Mount Everest, ten na pewno wejdzie chociaż na Alpy. A kto myśli o górze przed domem, nigdy nie spojrzy na świat z szerszej perspektywy.

- Całkowicie się z panem zgadzam - przyznałem, i była to prawda.
- Di, nalej nam whisky. Widzę, że z Alekssem bardzo miło się konwersuje.

Podniósł pistolecik ze stołu i rzucił w moją stronę. Złapałem.

- Schowaj go na miejsce, Aleks - rzekł poważnym tonem. - To na dowód, że nie zamierzam ci zrobić żadnej krzywdy.

Poczułem się lepiej, wiedząc, że broń jest teraz obok mojej prawej ręki. Inna rzecz, że nieznajomy faktycznie nie budził strachu. W sposobie jego mówienia, zachowania, krótko mówiąc: w jego stylu, było coś dziwnego, coś odmiennego, może leciutko staroświeckiego, ale nie było to bynajmniej niemiłe. Poza tym, jeśli ktoś chce z tobą robić interesy, jeśli do czegoś cię potrzebuje, to przynajmniej przez pewien czas istnieje nadzieja, iż możesz czuć się w jego towarzystwie bezpiecznie.

Di podeszła do barku. Wyjęła dwie ciężkie szklaneczki o grubych dnach i nałwała do nich whisky na trzy palce. Najpierw zaniósła drinka swojemu szefowi, potem podeszła do mnie. Kiedy podawała mi szklanę, nasze palce się zetknęły. Nie cofnęła dłoni, tylko uśmiechnęła się.

- Czy mogłabym położyć się obok Aleksa? - zapytała.

Machnął dłonią, jakby go to zupełnie nie obchodziło. Di jednym zgrabnym ruchem ściągnęła z ramion szlafrok i zupełnie nieskrępowana, z pełną swobodą wślizgnęła się pod kołdrę. Wtuliła się w moje ramię i delikatnie drapnęła paznokciami po brzuchu.

• Wszystko będzie dobrze - tchnęła mi w ucho. - Sam zobaczysz, on ma dla ciebie fajną propozycję.

- Nie szepcz w towarzystwie, Di - upomniał ją dobrotliwie, z uśmiechem.

Założyłbym się, iż wiedział, co mi powiedziała.

- Jassne - mruknęła i wpasowała głowę pod moją pachę. - Nie wyspałam się, cholera.
- Chyba nie żałujesz, co? - zapytał i skosztował whisky.

Poczułem, że ona się uśmiecha spod mojego ramienia, ale nic nie odpowiedziała.

- Dobrze, Aleks. Miło nam się rozmawia, jednak wracajmy do meritum. Mój czas jest,

niestety, dość mocno ograniczony. Jestem prezesem i głównym udziałowcem pewnego...

- Konsorcjum - dopowiedziała Di spod mojej pachy. Jej oddech załaskotał mnie. Nadal pięknie pachniała.

- Niech będzie konsorcjum - zgodził się. - Staramy się działać oględnie, ostrożnie i w niejkiej tajemnicy, gdyż mamy potężnych wrogów pragnących wyeliminowania nas z rynku. Dysponujemy siecią przedstawicielstw, kontaktami w sferach biznesowych i rządowych, ale ani się tym nie chwylimy, ani tego nie podkreślamy. Generalnie wyznajemy zasadę, iż pracujemy tylko z osobami, które chcą pracować z nami. To, przyznasz, zdrowe podejście. Nikogo nie zmuszamy do wstąpienia w szeregi naszej firmowej rodziny, jeśli jednak już to nastąpi, wymagamy absolutnej lojalności, posłuszeństwa oraz dyspozycyjności. Powiem krótko, Aleks: od nas się nie odchodzi.

Wypowiedział te słowa w taki sposób, że aż przeszedł mi dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Di prychnęła z niezadowoleniem i pogłaskała mnie po brzuchu.

- Jest pan zawsze taki zasadniczy - odwróciła głowę. - Chce go pan przestraszyć?

- Po prostu tłumaczę zasady działania naszej firmy - rzekł, ton wyraźnie mu złagodniał. - Nie chciałem cię przestraszyć, Aleks - dodał wyjaśniająco.

- Wywiad? - zapytałem. - Dobra, i tak pan nie odpowie. Po co właściwie pytam? Jednak muszę wiedzieć - zgmiotłem papierosa w popielniczkę - jakie będą moje zadania i jakie uzgodnimy wynagrodzenie?

- Tak, tak. O głodzie pracować nie wypada. Wiesz, kto to powiedział? Hipokrates. Bardzo rozsądny człowiek. Jeśli chodzi o warunki... Cóż mogę ci zaproponować? Zastanówmy się... Powiedzmy, duży apartament w dobrej dzielnicy. Na początek jako mieszkanie służbowe, po roku pracy dostaniesz go na własność. Poza tym firma spłaci twoje długi i otrzymasz kartę kredytową z wysokim limitem. Opłacisz z niej wszelkie koszty związane z utrzymaniem. Ubrania, jedzenie, alkohole, imprezy. Dostaniesz służbowy samochód. Nie - zastanowił się. - Dwa samochody. Jeden sportowy, efektowny, z wykopem, a drugi taki na co dzień. Poza tym pensja, dajmy na to, pięć tysięcy dolarów miesięcznie. Czy to dobre warunki?

Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, czy kpi, czy o drogę pyta? Dobre warunki? To były rewelacyjne warunki! Zwłaszcza dla kogoś, kto miał nieszczęście narobić długów i od wielu lat żył z dnia na dzień.

- Zszokował się - wyjaśniła Di i ziewnęła. - Lubi pan ten efekt, co?

Roześmiał się.

• Lubię - odparł szczerze. - I nie mogę się jakoś przyzwyczaić. A to już przecież tyle lat...
- Zamyślił się, potem machnął dłonią. - Rozumiem, że warunki ci odpowiadają?

• Gdybym powiedział, że nie, to bym zgrzeszył. - Zapaliłem następnego papierosa i zobaczyłem, że drżą mi palce. - Zastanawiam się tylko, co ja takiego mam zrobić? Zamordować prezydenta?

• Nieee tam - zachnął się. - Mamy bardzo dobre kontakty z kancelarią, a ty, Aleks, wybac, jesteś ostatnią osobą, która nadawałaby się do przeprowadzenia zamachu terrorystycznego.

• I Bogu dziękować - dodałem.

• Być może cię zaskoczę, naszym celem jest wykorzystanie twoich nadzwyczajnych i, wierz mi na słowo, niezmiernie rzadkich talentów. Dzisiejsza noc z Di była testem...

• Miłym testem - mruknęła Di i pocałowała mnie w ramię.

• I chodzi nam tylko o to, byś przestał bezproduktywnie trwonić talent. Ty jesteś wirtuozem, Aleks, a grasz dla przypadkowej publiczności. Może warto zagrać dla odmiany w jakimś celu? W jakimś konkretnym celu.

• Ja nie wiem, czy my się dobrze rozumiemy? - Zgasilem papierosa w popielniczce i zaraz zapaliłem kolejnego.

Nieznajomy spokojnie popijał whisky i przyglądał mi się z kpiarskim uśmieszkiem.

• Mam sypiać z kobietami, które mi wskażecie?

• Trywializując - westchnął. - Od razu zaznaczę, iż ta praca nie będzie w niezgodzie z twymi wymaganiami estetycznymi. Polecimy twej uwadze kobiety piękne lub co najmniej interesujące i atrakcyjne. Jednak nie chodzi o sam seks, Aleks. Też, ale nie tylko. Czasami będzie chodziło o romans, o uczucie, może nawet o miłość. - Skrzywił się lekko przy ostatnim słowie. - A czasami może tylko o rozmowę i niewinny flirt.

• Choćbym miał wszystką wiarę, iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, stanę się jako miedź brząkająca albo cymbał brząający - skomentowała Di słodkim głosikiem, ale wyczułem w nim pewną złośliwość.

• Święty Paweł - powiedział chłodno. - Piękne i, jak zwykle u niego, idiotyczne.

• Czyli mam być męską dziwką? - powiedziałem w zamyśleniu.

• Aleks, nie traktowałbym tego zadania w ten sposób...

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Czemu nie? - zapytałem i przygarnąłem Di, aż pisnęła.

Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu.

- Podoba mi się jego podejście do świata - rzekł. - Miałaś nosa, Di.
- Ja mam w ogóle wiele talentów - wyznała nieskromnie. - Prawda, Aleks?

Jej dłoń zjechała z mojego brzucha na dół. Naprawdę miała talent. Przynajmniej w palcach.

• Daj mu na razie spokój. - Skrzywił się, a ja zastanawiałem się, jak mógł zobaczyć, co ona robi, gdyż ruch jej dłoni był tak delikatny, że kołdra nawet nie drgnęła.

• Chcę być zapisana w umowie. - Wyciągnęła rękę spod kołdry i zabębniła mi paznokciami po piersi.

• Co takiego? - zdziwił się.

• Chcę, żeby Aleks poświęcał mi co najmniej jeden weekend w miesiącu - wyjaśniła.

• Ależ, Di - zachnąłem się. - To niepotrzebne. Przecież zawsze chętnie się z tobą spotkam. Ta noc była naprawdę niezapomniana i wierz mi, że marzę o tym, aby ją powtórzyć. Zwłaszcza, jeśli nie będziesz już jej ze mną spędzać z powodów zawodowych - dodałem z leciutką ironią.

• Dobra, dobra - odparła. - Ja wiem, jak z tobą jest. Wymówki, najpierw uprzejme, potem coraz chłodniejsze i coraz mniej grzeczne, aż w końcu w ogóle się nie podchodzi do telefonu. - Trąciła mnie w nos końcem palca. - Jesteś niegrzecznym chłopczykiem, Aleks, i w związku z tym chcę być w umowie. Jej szef wzruszył ramionami.

• Jeśli Aleks nie ma nic przeciwko temu - mruknął.

• Jasne, że nie ma - odparła stanowczo i znowu zjechała dłonią pod kołdrę. Ścisnęła mi jądra tak mocno, że mało nie krzyknąłem. - Spróbowałby tylko coś mieć.

• W porządku. - Nieznajomy wstał i teraz dopiero zobaczyłem, że jest bardzo wysoki. Musiał mieć przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a długi płaszcz jeszcze to wrażenie pogłębiał. - Miło się z tobą gawędziło, chłopcze. Di załatwi wszystkie formalności i z nią będziesz się kontaktować w bieżących sprawach. Sądzę, że za jakiś tydzień otrzymasz pierwsze zlecenie. Bądź w dobrej formie. - Spojrzał na mnie uważnie. - I pamiętaj, niech ci woda sodowa nie uderzy do głowy. Jesteś na razie tylko na stażu, a nawet nie wyobrażasz sobie, jak wiele mogą osiągnąć w naszej firmie dobrzy pracownicy. I nie przesadzaj z koksem. Narkotyki prędzej

czy później z każdego zrobią wrak.

• Dziękuję panu - powiedziałem. - Naprawdę jestem wdzięczny, że zechciał mi pan zaproponować pracę. Postaram się nie zawieść pańskiego zaufania.

• Jaki grzecznutki - skomentowała Di złośliwie.

- I bardzo dobrze. - Mężczyzna skinął poważnie głową. - Wiem, że twoja wdzięczność oraz szacunek są szczerze, Aleks. Doceniam to.

Nie żegnając się, wyszedł z pokoju i za chwilę usłyszałem trzask zamykanych frontowych drzwi. Opadłem na łóżko.

- Rany - westchnąłem. - Kim on jest? Dobrą wróżką? Di pochyliła się nade mną, a jej pełny biust zakołysał się tuż przy mojej twarzy.

• Coś w tym rodzaju - szepnęła. - Dobrze, że byłeś dla niego greczny. To ci się opłaci, wierz mi. A teraz, mój mały ogierze, przypomnij: na czym to skończyliśmy?

• Tylko nie mały - mruknąłem i mocnym ruchem zgarnąłem ją pod siebie, ręką unieruchamiając jej nadgarstki. Tym razem dla odmiany miałem ochotę na odrobinę pieprzu z papryką, jeśli rozumiesz o co mi chodzi.

* * *

Apartament był ogromny. Dwa wielkie pokoje z kuchnią i łazienką na parterze oraz łazienka i dwie sypialnie na piętrze. Siedmiometrowa ściana w salonie cała składała się z ciągu szyb (sprawdziłem, że szkło jest pancerne), a z góry roztaczał się widok na centrum miasta. Apartament urządzone były w stylu, który uwielbiam. Szkło, metal i proste konstrukcje. Szafy zatopione w ścianach, wygodne fotele. Żadnych antycznych mebelków, żadnych tapet w szlaczek, żadnych gipsowych koafiur na suficie. Rzygać mi się chce, kiedy widzę tak urządzone mieszkania. Całe wyposażenie było olśniewająco nowe i nowoczesne. Kino domowe warte tyle co luksusowy samochód, w całości skomputeryzowana kuchnia. Po prostu - żyć nie umierać. Trzeba przyznać, iż mój nowy szef miał gust i gest, a ja lubiłem ludzi z gestem, zwłaszcza gdy mieli mi wypłacać pensję.

- Nieźle, co? - zapytała Di.

Dzisiaj wyglądała jak perfekcyjna asystentka prezesa dużej firmy. Nienagannie skrojony popielaty kostium ze spódnicą sięgającą za kolana. Dyskretny makijaż, małe, nierzucające się w

oczy kolczyki w uszach i paznokcie pociągnięte bezbarwnym lakierem. Nowy *image* Di również na mnie działał i powiedziałem jej to. Ze śmiechem wykręciła się z moich rąk.

- Najpierw obowiązki - rzekła. - A potem przyjemności. Czujesz się już oprowadzony po nowym gospodarstwie?

- Spoko, poradzę sobie.

Stałem obok niej i głaskałem przegub jej dłoni. Uśmiechnęła się. Przez tydzień, który spędziliśmy ze sobą, naprawdę ją polubiłem. Była wesoła, inteligentna i nieprawdopodobnie sexy, zarówno w łóżku, jak i poza nim. Poza tym byłem szczęśliwy i rozluźniony. Dobra praca, rewelacyjna pensja. Czegoż chcieć więcej? I nie zamierzałem zapominać, że to Di poleciła mnie szefowi. Miło byłoby, gdyby kiedyś ona z kolei potrzebowała mnie. Może mam słaby charakter, ale lubię się odwdzięczać. Szkoda tylko, że do tej pory w moim życiu jakoś nie zdarzały się ku temu okazje.

- Mam dla ciebie pierwsze zlecenie, mój miły. - Uśmiechnęła się figlarnie.

- Nie mów! - Poczulem dreszczyk podniecenia. - O kurczę...

- Siadaj, Aleks - dodała rzeczowo. - Nie, nie obok mnie, bo nie będziesz mógł się skupić.

- Znowu zaczęła się śmiać, a ja po raz kolejny zauważyłem, jak piękne ma zęby. - Tu, naprzeciwno.

Usiedliśmy po dwóch stronach niskiego stołu ze szklanym blatem, a ja przyniosłem jeszcze z baru dzbanek soku i dwie szklanki.

- Może coś mocniejszego? - zapytałem.

- Nie. I ty też nie.

- Skoro tak, to tak. - Wlałem sok do szklanek i wróciłem do kuchni po lód.

Di wyciągnęła z aktówki plastikową, przezroczystą teczkę. W środku była jedna kartka papieru zapisana dużym, wyraźnym drukiem.

- Na początek wyjaśnienie, Aleks - zaczęła bardzo poważnym tonem. - Pamiętaj, że nikt od ciebie nie oczekuje stuprocentowych sukcesów. Życie jest nieprzewidywalne i wszystko może się w nim zdarzyć. Oczywiście, jeśli będziesz miał na koncie zbyt wiele porażek, to rozwiążemy kontrakt, ale przede wszystkim masz pamiętać o jednym: nie stresuj się. Wiesz chyba, że w twoim fachu stres może być zgubny? - Parsknęła śmiechem.

- Ha, ha, ha. Jakież to głębokie i jednocześnie zabawne.

- Ale prawdziwe. Dobra, przejdźmy do rzeczy. Jutro o jedenastej trzydzieści rano masz

czekać na tym parkingu. - Stuknęła paznokciem w mapę, pokazując dokładnie docelowy punkt. - Kiedy zadzwonimy do ciebie, pojedziesz powolutku drogą. Najwyżej pięćdziesiąt na godzinę. Poza wszystkim nie chcę żadnych gliniarzy i żadnych mandatów, bo będzie się liczyć koordynacja czasowa. Na poboczu zobaczysz dziewczynę w sukni ślubnej i zabierzesz ją.

- W sukni ślubnej? Uciekająca panna młoda? - zakpiłem.

- Dokładnie tak. - Nie odpowiedziała uśmiechem.

- I co dalej?

• Dalej zależy od ciebie. My chcemy efektu. Dziewczyna ma zrozumieć, że decyzja o małżeństwie była idiotyzmem. Wybij jej z głowy wszelkie skrupuły i myśli o narzeczonym, a uznamy, iż operacja zakończyła się sukcesem.

• Tylko tyle? - Zastukałem palcami w blat. - Skąd wiecie, że ona da nogę ze ślubu?

• Ciekawość, pierwszy stopień do piekła - odpowiedziała przysłowiem, jakby to miało być wyjaśnienie. - Zajmuj się swoimi sprawami, a my zajmiemy się naszymi.

• Okej, okej, nie ma się co urażać...

- Nie urażam się. Tłumaczę - odparła chłodno. Rzeczywiście teraz wyglądała jak asystentka prezesa spławiająca namolnego klienta. Przestało mi się podobać to nowe wcielenie, nie zamierzałem jednak dzielić się z nią podobnymi przemyśleniami. Skoro chciała zawodowego dystansu, będzie go miała.

- Przeczytaj dossier. - Podała mi kartkę.

W prawym górnym rogu było kolorowe zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny o pełnej buzi i wesołych, piwnych oczach. Miała lekką wadę zgryzu i zadarty nos.

• Ale się zaczyna - mruknąłem. - Podobno miały być atrakcyjne.

• Nie marudź. Czytaj. Gdybyś wiedział, jakie ja miałam pierwsze zlecenie... - urwała nagle.

Spojrzałem na nią, odwróciła wzrok.

• Zresztą to było już tak dawno temu, że nawet nie pamiętam. I nie dostałam takich obietnic, jak ty.

Czyżbym wyczuł zazdrość w jej głosie?

• Musiałaś się w życiu nieźle napracować tyłkiem, co? - Uznałem, że należy jej się drobny prztyczek.

• Przeczytaj dossier, a popracuję nim pod tobą - mruknęła.

- Zbytek łaski.

Zacząłem czytać. Dziewczyna miała na imię Luiza. Dwadzieścia pięć lat. Sto sześćdziesiąt cztery centymetry wzrostu. Włosy kasztanowe, oczy piwne, wymiary 95 na 65 na 95. Pięćdziesiąt osiem kilo. Cóż, biust w porządku, ale mogłaby trochę schudnąć. Skończyła wydział ekonomii, nie pracowała. Uwielbiała Cohena i Cave'a, więc jak widać miała pociąg do zniszczonych facetów o chropawych głosach. Ciekawe, czy podobną estymą darzyła Micka Jaggera, który u mnie powodował raczej odruchy wymiotne. Gusta kobiet są jak kosmos. Niezbadane, niezmierzone i niebezpieczne. No, dobrze. Co dalej o Luizie? Swojego faceta poznała pięć lat temu i tworzyli ponoć nierozłączną parę. Rozdziewiczył ją, kiedy miała dwadzieścia jeden lat, więc trzeba przyznać, że chroniła ten swój skarb z pieczołowitością godną lepszej sprawy. Potem nie sypiała już z nikim innym.

- A skąd wy to, do cholery, wiecie? - zapytałem. - Siedzicie w jej łóżku?

Nie spodziewałem się odpowiedzi i nie uzyskałem jej. Luiza lubiła włoską kuchnię, zwłaszcza spaghetti i owoce morza. No cóż, jeśli chodzi o spaghetti, mogła sobie darować. Jeszcze trochę kalorii i będzie się toczyć, a nie chodzić. Jej ukochanym aktorem był Jack Nicholson, a „Czarownice z Eastwick” widziała co najmniej kilkanaście razy. No i nie mówiłem, że pociągali ją zniszczeni faceci?

• W porządku - powiedziałem i odłożyłem kartkę na stół. - Mam jakieś pojęcie. Teraz, droga Di, zadanie dla ciebie. Ruszysz swój zgrabny tyłeczek i pójdziesz kupić mi „Murder Ballads” Cave'a i jakąś składankę hitów Cohena. Taką, na której jest „Dance me to the end of love”.

• Co takiego?! - Widziałem, że policzki jej czerwienieją. - A ty niby co zamierzasz robić?

• Ja? Ja zrobię sobie drinka i popoglądam telewizję.

• Odbiło ci? Od kiedy jestem twoją służącą?

• Podobno masz zajmować się wszystkimi formalnościami, prawda? - Rozparłem się wygodnie w fotelu. - Czy też będziemy nasze wzajemne stosunki konsultować z szefem?

Patrzyła na mnie, a w jej oczach zabłyśły niebezpieczne ogniki. Zapaliłem papierosa.

- Iiідź już - powiedziałem. - A jak wrócisz, będziesz mi mogła zrobić loda.

Ogniki w jej oczach zgasły i roześmiała się.

- Przygotuj wannę - rozkazała. - Chcę wypróbować twoje jacuzzi. A potem szampan, żeby uczcić pierwsze zlecenie.

Wstała i podeszła do drzwi. Od progu odwróciła się jeszcze i wystudiowanym ruchem przejechała językiem po ustach.

- A jeśli chodzi o lodę - mruknęła zmysłowo – to czemu nie? Jeśli tylko sobie zasłużysz... A ty, Aleks, wiesz, co lubię, więc przygotuj język na trudne wyzwania.

* * *

Punktualnie o jedenastej trzydzieści zadzwonił telefon.

- Ruszaj, Aleks - odezwał się męski głos, którego nigdy wcześniej nie słyszałem.

Silnik zapalił z cichutkim pomrukiem. Do czego można porównać jazdę luksusowym samochodem? Do delikatnego seksu na wodnym materacu? W każdym razie do czegokolwiek by porównywać, było to po prostu boskie uczucie. Fakt, samochód nie należał do mnie, lecz do firmy, ale miałem nadzieję, że popracuję w niej na tyle długo, by przeszedł na moją własność. Włączyłem odtwarzacz i po minucie „Dance me to the end of love” wcisnąłem pauzę. Zupełnie nie przemawiały do mnie te nostalgiczno-tragiczno-dramatyczne klimaty. Jestem prostym, wesołym chłopcem. Dobrze się napić, dobrze się naćpać i dobrze podymać - czyż świat może zaoferować coś więcej niż tylko zajebistą scenografię do tych trzech rzeczy? Bo jasne, że lepiej dymać na hawajskiej plaży niż w obskurnym hotelu na godziny. Niemniej, tak jak mówię: to już jest tylko sprawa scenografii, a nie scenariusza.

Sunałem spokojnie prawym pasem, nie przekraczając, tak jak mi kazano, pięćdziesiątki. Ktoś śmignął obok mnie z donośnym rykiem klaksonu i zobaczyłem faceta za kierownicą pokazującego mi środkowy palec. Dupek! Gdybym tylko chciał przycisnąć, jego toyota zniknęłaby w moim tylnym lusterku, niczym fantom.

Zastanawiałem się, czy Luiza, uciekająca panna młoda, jak nazywałem ją w myślach, rzeczywiście będzie stała na poboczu. I skąd moi mocodawcy mogli o tym wiedzieć kilka dni wcześniej? Zwierzyła się druhnie, że zamierza wyciąć taki numer? A może miała podobne doświadczenia, co Julia Roberts? W każdym razie czułem dreszczyk niepokoju i emocji. Zarówno z uwagi na spotkanie oraz pierwszy kontakt (a od pierwszego kontaktu zależy wszystko!), jak i na to, w którą stronę gra potoczy się później. Dwudziestopięcioletnia laska, której do tej pory wsadzał tylko jeden facet, musiała mieć choćby podświadomą chęć wypróbowania swych talentów na kimś innym. Nie wierzę w dziewczyny nie do poderwania.

Wierzę tylko w to, że istnieją kiepscy podrywacze. Wiedziałem, co prawda, że nie potrafię aż tak czarować, jak niektórzy, ale za to miałem w ręku (he, he, w ręku!) jeden poważny atut. Dla dziewięćdziesięciu procent kobiet, które spędziły ze mną noc, naczelnym życiowym zadaniem stawało się zadzwończenie mnie telefonami z prośbą o następne spotkanie. I czasem ulegałem sile ich perswazji, choć nie ukrywam, że moim zdaniem świeży towar jest lepszy od już skonsumowanego.

- *Dance mi to the end of love* - zanuciłem, bo piosenka starszego pana jednak zostawała w głowie.

I wtedy ją zobaczyłem. Stała na poboczu, w welonie oraz ślubnej sukni i rozpaczliwie machała ręką. Kilometr dalej, za jej plecami, widziałem białą wieżyczkę niewielkiego kościoła, a mniej więcej w połowie drogi kilka biegnących sylwetek. Cóż, można powiedzieć, że pogoń szła jej tropem... Nadszedł więc czas, w którym rozlega się dźwięk trąbek i przybywa amerykańska kawa fena. Wcisnąłem „play”, a potem delikatnie zahamowałem tuż przy niej i otworzyłem drzwi.

- Wsiadaj - powiedziałem.

Wtargnęła do środka i zawinęła długą, białą suknię. Zauważyłem, że cały jej dół miała już w błocie.

- Jedź! Jedź, proszę!
- Do usług - odparłem i nacisnąłem pedał gazu.

Odrzuciła głowę do tyłu i ciężko oddychała. Spojrzałem na nią kątem oka. Miała przekrzywiony welon i rozmazany makijaż. Wyglądała, hm, dziwnie. No cóż, zresztą wyglądała właśnie tak, jak wyglądać powinna uciekająca panna młoda.

- Dziękuję ci. Dziękuję, że się zatrzymałeś.

• Amerykańska kawaleria - uśmiechnąłem się - zawsze zjawia się w tym najwłaściwszym z właściwych momentów.

• Och, Cohen. - Musiała dopiero teraz usłyszeć cichą muzykę. - Uciekam z własnego ślubu i spotykam faceta, który słucha „Dance me to the end of love” Jeeezu!

• Lubisz go? - Zjechałem na lewy pas i wyminąłem wlokącego się nissana z łódką na dachu.

- Lubię? Ja go uwielbiam!
- I słusznie. Gdzie mam cię podrzucić?

To pytanie musiało jej sprawić kłopot, bo długo milczała.

- Nie wiem - przyznała w końcu bezradnym tonem - Może na razie pojedziemy po prostu przed siebie? Jeśli ci to nie przeszkadza, oczywiście.

- Mnie? Oczywiście, że nie. Nie co dzień człowiek ma okazję podwozić uciekającą pannę młodą. A może to program telewizyjny? Filmują mnie ze śmigłowca?

Uśmiechnęła się blado, ale chyba tylko dlatego, że uznała, iż uśmiechnąć się wypada.

- Nie, nie filmują. Rozczarowałam cię?
- Może o tyle rozczarowałam, że gdyby to był program, nie przeżywałabyś dramatu, tylko dobrze się bawiła. A rozstanie zawsze jest dramatem. - Obróciłem na nią wzrok. - Nawet wtedy, kiedy rozstajemy się z kimś, z kim z całą pewnością być nie chcemy.

- Dlaczego tak jest? - zapytała po chwili.

- Bo jesteśmy dobrymi ludźmi - odparłem. - I nie chcemy sprawiać nikomu bólu. Tyle, że nie wolno poświęcać swojego życia, by kogoś nie zranić. Mamy tylko jedno życie, więc warto je dobrze wykorzystać.

Pokiwała głową.

- Co ja robię? Co ja najlepszego robię? - Szarpnęła i zdarła z głowy welon, a jej włosy spłynęły na ramiona. Srebrna szpilka zsunęła się pod siedzenie.

- Widocznie tak miało być. - Zdałem sobie sprawę, że w dossier nie było nic o tym, czy pali papierosy, i zastanawiałem się, czy powinienem przy niej zapalić. A jeśli czuła obrzydzenie do tego nałogu? Cóż, nie warto ryzykować pierwszego kontraktu dla jednego dymka.

- I to jest wytłumaczenie? Że tak miało być?! - prawie krzyknęła.

- A co by się stało, gdybym się nie zatrzymał? Gdyby ci ludzie biegnący za tobą dogonili cię? Ile im brakowało? Dwóch minut? Trzech? Wszystko jest grą przypadku, a my możemy wykorzystać tę grę mniej lub bardziej umiejętnie.

- Puść jeszcze raz - zażądała, bo piosenka się skończyła. - Czy wiesz, że mój narzeczony nie znosił Cohena? Mówił, że to seksoholik i narkoman w najgorszym stylu.

- A co to ma za znaczenie? - zapytałem. - Uwielbiam też Nicka Cave'a, a nie sądzę, żeby o jego życiu prywatnym można powiedzieć coś dobrego.

- Słuchasz Cave'a? Rany, że ja musiałam uciec ze ślubu, by spotkać faceta, który słucha Cave'a i Cohena. - Tym razem zaśmiała się już szczerze. - Dobra, mały test: ulubiony aktor?

- Pacino - powiedziałem bez zastanowienia i zobaczyłem leciuteńkie rozczarowanie na jej

twarży. - Stary Pacino, ten z „Adwokata diabła”. I Nicholson. Ten z „Wilkołaka” i z „Czarownic z Eastwick”. Mogę powiedzieć Pacino i Nicholson, ale mogę też powiedzieć Nicholson i Pacino. Fifty-fifty. A ty?

- Bingo - odparła. - A co lubisz robić?

- Zbyt intymne pytanie - odparłem i przez moment zastanawiałem się, czy nie przeholowałem. Jednak nie. Znowu się uśmiechnęła.

- Miejsce na wakacje?

Cholera! Co to było? Gra w sto pytań? Dlaczego nie przygotowali solidniejszego dossier? A może padłoby pytanie: czy chciałbyś zapalić? Yesss, my lady! Bardzo bym chciał!

- Czy ja wiem? Miejsce nie jest takie ważne - odpowiedziałem powoli. - Ważne jest, by mieć je z kim dzielić.

Nie odzywała się długą chwilę.

- Racja - powiedziała. - Ja chyba nie chciałam z nim niczego dzielić. Chyba.

- Związek między dwojgiem ludzi ma być olśnieniem. - Strasznie mi się chciało palić, ale starałem się skupić na tym, co mówię. - Fajerwerkiem, chęcią bycia coraz bliżej. Dzielenia się tym, co dobre i złe. Jeśli zastanawiasz się na początku drogi, to znaczy, że nie masz się nad czym zastanawiać.

Obróciłem się w jej stronę. Droga była pusta i prosta, więc nie musiałem nawet patrzeć przed siebie.

- W każdej sekundzie, kiedy widzisz tę drugą osobę, masz wiedzieć ze stuprocentową pewnością, że to jest ten jedyny i wybrany. Miłość ma upajać, jak dobre wino, a nie powodować kaca.

- Spotkałeś kogoś takiego? - spytała cicho.

- Pesymiści wierzą, że żyjemy na najlepszym ze światów. Optymiści mają nadzieję, że tak nie jest.

- Trzeba jakoś żyć. - Wzruszyła nerwowo ramionami. - Bo przecież można stracić życie na szukaniu.

- Jakoś? - zapytałem z ironią, która przysłała mi bez trudu. - Masz jedno życie i chcesz je przeżyć JAKOŚ?

Patrzyła na mnie, jakby coś do niej zaczęło docierać. I milczała.

- Jesteś piękną, mądrą kobietą - rzekłem i spojrzałem znowu na drogę. - Dlaczego nie

masz żądać od życia wszystkiego, co tylko może ci dać?

- Nie jestem piękna - zaprotestowała.

One zawsze protestują. No, prawie zawsze. A potem zaczynają znajdować w sobie różnorakie wady i ty masz je przekuć w zalety.

- Przecież jestem za stara - mówią.

• Nie, kochanie, jesteś tylko dojrzałą kobietą. Czy młode, kwaśne wino może się równać z tym, które latami dojrzewało w słońcu i wypilo jego blask?

- Ach, mam za duży nos - skarżą się.

• O czym ty mówisz? Spójrz na wizerunki najpiękniejszych kobiet rzymskiego cesarstwa! Czy zobaczysz tam perkate, świńskie noski?

Jednak musisz uważać, by nie przeholować. We wszystkim dobry jest umiar i nawet one, przy całej swojej próżności, mogą się zorientować, że coś jest nie tak. Chociaż powiem ci w sekrecie: to się bardzo rzadko zdarza.

Specjalnie przyjrzałem się jej tak, by widziała, że się przyglądam. Policzki jej się zaróżowiły i odgarnęła włosy z czoła.

- Jak wypadła lustracja? - spytała.

• Miss Świata byś nie mogła zostać, ale czy każdy facet chce poznać lalkę Barbie, która jedyne, co umie powiedzieć, to że jej marzeniem jest pomagać dzieciom na całym świecie?

Roześmiała się, widać oglądała te same programy.

- Poza tym mam brzydkie nogi - dodała.

• Pokaż.

• Słucham?

• A co mam odpowiedzieć, skoro twoja niewątpliwie urocza ślubna suknia zasłania cię do kostek? Pokaż, to szczerze powiem, co myślę.

- Mam się rozebrać?

• Nie, na Boga. - Tym razem ja się roześmiałem. - Po prostu pokaż nogi.

Patrzyła na mnie jakoś dziwnie.

- Wiesz, trudno powiedzieć, żebyś był nieśmiały albo mało bezpośredni.

• W lecie chodzisz w krótkich sukienkach, na plaży w kostiumie kąpielowym. Znając dzisiejsze kostiumy można powiedzieć: prawie naga. A wstydzisz się pokazać nogi? - Uznałem, że jak za chwilę nie zapalę, to szlag mnie trafi. Rozmowa rozwijała się w zabawnym kierunku.

Nie powiem: zaplanowanym, ale na pewno korzystnym.

• To nie do końca to samo. - Znowu odgarnęła włosy z czoła. - No dobra - zdecydowała się w końcu. - A co mi tam! Patrz sobie.

Zawinęła sukienkę, nawet przy takim gościu uważała jednak, by nie posunąć się za daleko. Faktycznie miała za grube kostki i za grube łydki. Na granicy tolerancji. W porównaniu z cudownie wytoczoną Di była jak pociągowy koń przy wyścigowej klaczy.

• Zadowolony?

• Ty powinnaś być zadowolona.

• A to czemu?

• Masz śliczne, kobiece nogi. Czy myślisz, że faceci przepadają za suchymi kijkami Callisty Flockhart? Że tak fajnie głaskać kogoś po szczudłach? Nie szukaj problemów, gdzie ich nie ma. Twoje nogi są nie tylko atrakcyjne, ale powiem, jeśli wybaczysz mi śmiałość, że nasuwają erotyczne skojarzenia.

Rozłożyłem ręce, w gościu, który miał oznaczać, że taka dosłowność przyszła mi z trudem, bo naprawdę nie mogłem się pohamować.

- No nie, nie gniewam się - powiedziała i była trochę zakłopotana. - Ale nie wiem. To tylko komplementy.

- Nigdy nie prawię komplementów - odparłem, celowo używając nieco archaicznego wyrażenia. – Bo samo znaczenie tego słowa mówi, iż nie jest ono prawdziwe. A nie przepadam za kłamstwami.

Boże, pomyślałem, Ty słyszysz i nie grzmisz! Kobiety nigdy nie chcą słyszeć prawdy. Chcą przejrzeć się w twych oczach jak w magicznym zwierciadle, a na pytanie: „Mirror, mirror on the wall, who is prettiest of them all?” lustro ma bez wahania odpowiadać: „You, my Queen”. I tak właśnie świat się toczy.

Na początku była nieśmiała, skrępowana i przerażona. A ja nie nalegałem. Trochę to wszystko trwało, ale mieliśmy przecież dużo czasu. Całowałem ją i głaskałem tak długo, aż poczułem, że mięknie jak wosk, jej usta wysuwają się do pocałunków, a dłonie spazmatycznie błądzą po moim ciele. I potem już było zupełnie inaczej. Coś w niej się obudziło. Wskazówka przekręciła się na godzinę dwunastą i nagle nie była to już ta sama kobieta, co przed sekundą. Całą tę noc pamiętam, jakby była wyrwanymi kadrami z pornograficznego filmu. Nie jestem w stanie złożyć tych kadrów w całość. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie niczego poza

obrazami i zdaniem wyrwanymi gdzieś z próżni.

- Tak, tak mi rób! Właśnie tak!

- Zerznij mnie, Aleks, błagam, zerznij mnie!, - Tak, proszę cię, właśnie tu, na cycki!
- Daj mi go do buzi! Muszę cię ssać, Aleks!
- Teraz chcę jechać, jechać...

Jej piersi, nogi, pośladki, jej usta, palce, włosy. Kadry. Tylko to mi zostało po nocy z Luizą. Szkoda, że tylko to, bo przecież nie jesteśmy niczym więcej, jak pamięcią. Kiedy rano obudziłem się, zobaczyłem, że ona już nie śpi. Podparta na łokciu, przyglądała mi się uważnie.

- Osiem razy - powiedziała i nawet głos miała inny, niż wtedy, gdy ją poznałem. Jakby twardszy. - Osiem cholernych, pieprzonych razy. A jak z tym dupkiem miałam raz na miesiąc, to wydawało mi się, że powinnam chodzić w skowronkach.

Usiadła na mnie, a jej piersi zakołysały się tuż nad moją twarzą. Niewątpliwie powinna schudnąć, ale miałem nadzieję, że to chudnięcie nie rozpocznie się od biustu.

- Pięć lat do dupy - dodała. - Aleks, czy ty wiesz, co to znaczy stracić pieprzone pięć lat?
- Nadrabiaj, skarbie. - Uśmiechnąłem się, dotknąłem jej pośladków i wsunąłem ją na siebie. - Nadrabiaj, jak się tylko da.

• Mówisz? Naprawdę ci się podobam? - Jej oczy robiły się coraz większe. - Taaak, Aleks. Idziemy do dziesiątki? Idziemy do równego rachunku?

• Słyszę i jestem posłuszny - odpowiedziałem jej cytatem z „Księgi tysiąca i jednej nocy”, a potem wszystko zaczęło się od nowa.

* * *

Nie wszystkie zlecenia były tak wdzięczne, jak zlecenie dotyczące Luizy. I, niestety, nie wszystkie kończyły się tak miło. Pamiętam pewną zimną businesswoman o typie urody rasowej Aryjki, która po kilku, przyznam, miłych nocach zupełnie straciła głowę. Czyhała na mnie pod bramą, na podziemnym parkingu, nagrywała się w nieskończoność na sekretarkę, opowiadała, że zostawiła męża i dwoje dzieci. Di ze śmiechem nazywała to „ubocznymi skutkami naszej działalności”, ale w końcu załatwiła adwokata, który zajął się sprawą.

I całe szczęście, bo w innym wypadku musiałbym się wyprowadzić z apartamentu, który naprawdę polubiłem, zwłaszcza ten niewiarygodny widok z okien salonu. Przez wszystkie

miesiące pracy dla Di i jej szefa poniosłem tylko jedną spektakularną porażkę (drobnych potknięć było więcej, zawsze jednak dawało się jakoś sytuację wykręcić na naszą korzyść). Może nawet więcej niż porażkę - klęskę. Dopiero po kilku dniach Di wyjaśniła, co się stało.

- Kiedy miała piętnaście lat, zgwałcił ją znajomy ojca. Facet był tak podobny do ciebie, że mógłby być twoim starszym bratem...

- Cholera! - Patrzyłem na nią jednocześnie wściekły i zawiedziony, bo to byłoby prawdziwe wyzwanie. - Dlaczego nie dowiedziałem się o tym wcześniej?

Wzruszyła ramionami, a ja nie wiedziałem, czy wpuszczenie mnie w ten kontrakt było faktycznie pomyłką, czy też kolejną próbą moich uzdolnień. Miałem jednak nadzieję, że pomyłką, bo czegoż mogli się spodziewać, nie dostarczając kompletu informacji? I to tak ważnych informacji?!

Pewnego dnia, a był to dzień letni, słoneczny i upalny, Di odwiedziła mnie bez wcześniejszej zapowiedzi, czego zwykle starała się nie robić. Wpuściłem ją do środka, a ona obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym obrzydzenia.

- Jak ty wyglądasz? - syknęła.

Nie miałem nawet siły odpowiedzieć i powlokłem się z powrotem do łóżka. Za dużo wódki i za dużo koksu. Moje ciało tego poranka było jednym wielkim bólem. Wydawało mi się, że każdy mięsień, każde ścięgno i każda kość żyją własnym życiem, a życie to polega tylko na tym, by minuta po minucie i sekunda po sekundzie mnie dręczyć. Poszedłem do łazienki i wyrzygałem resztki alkoholu. Z gardła płynęła mi krew, bo w nocy zdarłem śluzówki. Spojrzałem w lustro tylko po to, by zobaczyć własną bladą twarz, podbite oczy i mętne źrenice. Dłonie drżały mi tak, że nie mogłem utrzymać szklanki z wodą.

- O to ci właśnie chodziło w życiu, Aleks? - spytałem w przestrzeń. - Jeśli tak, to gratulacje. Właśnie osiągnąłeś cel.

Przeplukałem usta płynem do zębów i powlokłem się z powrotem do pokoju. Di siedziała w fotelu wściekła jak osa. Piękna i elegancka. Na blacie zobaczyłem wysoką szklankę z drinkiem i dwie kreski, równiuteńko ułożone na szkle.

- Chcesz mnie zabić? - spytałem słabym głosem.
- Chcę z tobą porozmawiać - warknęła i podała mi słomkę.
- Nie, do cholery! - Odrąciłem jej dłoń. - Przeżarło mi śluzówki.

Wziąłem biały proszek na opuszek palca i wtarłem w dziąsła. Raz, a potem drugi i trzeci.

Charakterystyczny gorzki smak i jakieś bezsensowne poczucie ulgi. Wiedziałem, że już za chwilę, za kilkanaście minut, wszystko będzie dobrze. Ból ustąpi, a świat stanie się piękniejszy. Cóż, wszystko, co nas nie zabija, to nas umacnia. Później sięgnąłem po szklanę. Bogu dziękować zrobiła mi przyzwoitego drinka, bez Red Bulla, bo czułem, że na sam jego zapach bym się porzygał i nie zdążył nawet dobiec do łazienki. Di odczekała kilkanaście minut, wściekle wertując kolorowe pismo o modzie. Nawet szelest kartek pod jej palcami sprawiał mi ból.

- Okej - powiedziałem w końcu i upiłem kilka następnych łyków. Czułem się już zdecydowanie silniejszy, a mózg zaczynał funkcjonować na normalnych obrotach. Problemy powoli stawały się coraz odleglejsze. - Mów, czego chcesz.

- Następne zlecenie - rzekła, wyjmując z aktówki plastikową, przezroczystą kopertę. - Tym razem nieco nietypowe.

- Człowiek do zadań specjalnych. To ja. Mogę prosić jeszcze kreskę?

- Nie.

- Okej. Nie, to nie. Sam sobie zadzwonię.

Wyrwała mi z dłoni słuchawkę telefonu i huknęła nią w aparat aż jęknęło.

- Posłuchaj uważnie. Zlecenie jest na jutro. - Podała mi kartkę.

- Ładna. - Przyjrzałem się uważnie zdjęciu.

- Jutro o osiemnastej będzie siedziała w tajskiej knajpie. Tu masz adres. - Stuknęła paznokciem we fragment tekstu. - Zainteresuj ją. Bądź miły, romantyczny i słodki. Jeśli jeszcze potrafisz - dodała złośliwie.

- Do usług...

- Nie musisz jej podrywać, nie musisz z nią spać. Nawiąż tylko kontakt, zaproś, umów się na następny raz. Jak najszybciej. To porządna dziewczyna, więc nie bądź za bardzo wyluzowany. Traktuj ją z szacunkiem.

- Wszystkie wy jesteście dobre suki - mruknąłem. - Co ty mi pieprzysz, Di? To jest mój kawałek roboty.

- No to spróbuj ją schrzanić. - Usłyszałem pogroźkę w głosie.

- Ho, ho, ho... Przestraszyłem się. Jesteś taka wściekła, bo cię nie chcę zerznąć. Prawda, słodka Di?

Patrzyła na mnie, a w jej oczach płonęły niebezpieczne ogniki. Wytrzymałem ten wzrok, bo znowu nie dość, że byłem słodko naćpany, to jeszcze dzisiejsze promile obudziły uśpionych

braci z dnia wczorajszego i poszli razem na imprezkę.

- Dzisiaj nie chciałabym, żebyś dotknął mnie nawet palcem - syknęła. - Wracajmy do tematu - dodała już opanowanym tonem. - Najzabawniejszy jest ostatni fragment roboty. Kiedy już się w tobie zakocha, kiedy zdecyduje się pójść z tobą do łóżka, zaprosisz ją do takiego ładnego, miłego domku w górach.

- Bardzo sympatyczne - zapaliłem papierosa. Smakował wyśmienicie.

- Potem ją pobijesz i zgwałcisz - dokończyła z uśmiechem i zabębniła paznokciami po szklanym blacie. - Bardzo brutalnie zgwałcisz i bardzo brutalnie pobijesz. Może kreseczkę?

Popatrzyłem na nią, a potem wzruszyłem ramionami.

- Jaja sobie robisz.

- Polecenie od szefa, skarbeczku. - Pokręciła głową. - A jak polecenie, to polecenie, i my biedne żuczki nie mamy wiele do gadania.

- Może ty nie masz, ale ja mam. Nigdy nie zrobię czegoś takiego. - Wzruszyłem znowu ramionami i mnie samego zdenerwował ten gest.

Co ona sobie, do cholery, wyobrażała? Że jestem najemnym zbirzem? Opryszkem z ulicy? Gangsterem? Silnorękim mafii?

- Aleksik ma wyziuty siumienia - powiedziała, spieszczając głos, jakby zwracała się do dziecka. - Rychło w ciась.

- Jestem poszukiwaczem przyjemności - odparłem i sformułowanie mi się spodobało, więc powtórzyłem je jeszcze raz: - Poszukiwaczem przyjemności, nie przemocy. Nigdy nie chciałem nikomu zrobić krzywdy i nie zamierzam tego zmieniać na stare lata.

- Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane. - Wstała, podeszła do barku i zrobiła sobie drinka. Z tego, co widziałem, whisky na dwa palce z wodą i bez lodu.

- Słuchaj, Di. Zabierz teraz stąd tyłek, bo muszę się wykąpać, coś zjeść i zadzwonić. Choć nawiasem mówiąc, na samą myśl o zarciu chce mi się rzygać. Ale niezależnie od tego, jak długo będziesz tu siedziała, odpowiedź zawsze brzmi: nie.

- Zadzwonić? - zapytała z ironią. - Nigdzie nie dzwoń, zostawię ci swój towar. Ciekawe tylko, co na to powiedzą twoje służówki.

Podeszła do mnie i położyła mi dłonie na ramionach.

- Aleks, pospotykasz się z nią, a potem jakoś samo pójdzie. - Jej głos wyraźnie złagodniał. - Przez takie rzeczy trzeba przejść. Po prostu. Przejść i zapomnieć.

• Przecież ja jej zrobię krzywdę na całe życie! Nie rozumiesz? Jak mógłbym o tym zapomnieć?

• Nic jej nie będzie. Wierz mi. Ja zajmę się doprowadzeniem jej do ładu. Prawdziwa przyjaciółka... a potem coś więcej.

• Taaakie buty. - Znowu zapaliłem papierosa i dopiłem drinka do końca. - Nic mnie to nie obchodzi. Pieprzę taki biznes.

Usłyszałem świergot dzwonka, a Di zdjęła dłonie z moich ramion.

- Otworzę - powiedziała.

Kiedy wróciła, nie była już sama.

- Ktoś chciał się z tobą spotkać, Aleks - oznajmiła.

Był tak samo wysoki, jak zapamiętałem to z pierwszego spotkania. Tym razem jednak w piaskowym garniturze, białej koszuli i spokojnym krawacie w popielate paski. Miał eleganckie, choć nieco staroświeckie zamszowe buty z zaokrąglonymi noskami. Na dworze musiało być co najmniej trzydzieści stopni ciepła, ale na jego twarzy nie widziałem nawet kropelki potu.

• Dzień dobry - powiedziałem, wstając. - Nie wiedziałem, że pan dzisiaj przyjdzie.

• Witaj, chłopcze. Usłyszałem o kłopotach, a że właśnie byłem w pobliżu...

Di odsunęła przed nim fotel, a potem podała szklaneczkę whisky wprost do jego dłoni. Znowu miał zbyt długie paznokcie, widać jednak było, że z całą pewnością dbał o manicure. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

• Masz mi coś do powiedzenia? - zapytał.

• Tak. - Przełknąłem ślinę, a przyszło mi to z trudem, bo miałem wyschnięte gardło. - Uważam, że to nie jest dobre zlecenie dla mnie. Ja się nie nadaję. Tym się powinien zająć ktoś inny...

Wymienili z Di rozbawione spojrzenia.

• Nie doceniasz się, Aleks - rzekł z nieco teatralnym westchnieniem. - Ale firma cię docenia. Tak delikatne zlecenie jest oznaką najwyższego zaufania.

• Delikatne - powtórzyłem. - Jakoś nie przyszło mi wcześniej to słowo do głowy. Delikatne... Ha!

• Pamiętasz naszą rozmowę o dobrym zarządzaniu ludźmi? - Nie czekał na potwierdzenie i ciągnął dalej: - Błyskotliwy menedżer umie dostrzec w pracowniku takie zalety, z których on nawet nie zdaje sobie jeszcze sprawy.

• Ja nie jestem opryskiem. - Nie miałem pojęcia, jak ich mam przekonać. - Nigdy nikogo nie pobiłem. W każdym razie żadnej kobiety. Nie chcę robić krzywdy...

• Dobrze chęci - parsknął. - Wiesz, Aleks, co się mówi o dobrych chęciach, prawda? A propos nierobienia krzywdy: pamiętasz pierwsze zlecenie. Małą Luiżę?

• Oczywiście.

• Zastanawiałeś się, jak jej odejście odebrał narzeczony? Oczywiście rozmawiamy w kontekście krzywdy - dodał ironicznie.

• Takie rzeczy się zdarzają. - Wzruszyłem ramionami. - Ciągłe ktoś kogoś zdradza.

• Tylko on był w niej bardzo zakochany - wtrąciła Di. - Bardzo, bardzo, bardzo. I płyta, którą dostał, musiała mu nie do końca przypaść do gustu.

• Płyta? Jaka płyta?

• Płyta DVD z filmem z waszej nocy. - Roześmiała się. - Mnie zwłaszcza podobał się fragment, jak ta mała zlizuje sobie spernę z cycków. Jak myślisz: jemu też się podobał?

Wstałem, poszedłem do barku i nalałem sobie pół szklanki whisky. Wypiłem.

• Nie zrobiliście tego - powiedziałem, stojąc do nich odwrócony plecami. Dłonie znowu zaczęły mi drżeć. Wiedziałem, że oni nie muszą nawet odpowiadać.

• Pił przez trzy dni i palnął sobie w łeb. Zdumiewające, prawda? - spytała słodziutko Di. - Te skomplikowane uczucia, rozedrgane emocje, burze nastrojów. Ludzie są tacy słabi.

• I o to chodziło, prawda? - Nadal się nie odwracałem. - O niego, nie o nią?

• Jasne, że o niego. - W głosie szefa było jakieś znużenie. - Tak więc nie pieprz mi o winie, chłopcze. Ci faceci z NASA też tylko robią rakiety. I nie interesuje ich potem, w co rakiety uderzają.

• Nic mnie to nie obchodzi.

• W Oświęcimiu byli ludzie, którzy tylko ważyli złote zęby wyrwane Żydom. Oni nie robili nic złego, Aleks. Ważyli, spisywali, prowadzili statystyki, wysyłali do Niemiec transporty z przetopionych sztabek. Czy byli czemuś winni? Przecież żaden z nich nawet nie dotknął nikogo palcem!

- Pieprzę Oświęcim! - W końcu się odwróciłem. Znowu miałem pełną szklankę. - I ciebie też pieprzę! - Machnąłem dłonią w jego stronę, a whisky polała mi się na palce. - I ciebie, Di, też pieprzę.

- Nie dzisiaj. - Roześmiała się znowu. - Ale jak będziesz grzeczny...

Mężczyzna też się uśmiechnął.

- Wyśpij się, Aleks, przestań pić i ćpać, a świat od razu nabierze kolorów. Zamówić ci jakieś miłe towarzystwo? Odprężysz się trochę.

- Ja was naprawdę pieprzę - wymawiałem wyraźnie każde słowo. Nawet nie chciałem wiedzieć, jakie były skutki wykonania moich innych kontraktów. - Wypisuję się z interesu. Zostawiam wam mieszkanie, samochody, kartę, telefon, jak chcecie, to weźcie sobie moje ubrania, czy co tam...

- On myśli, że to takie proste. - Wzruszyła ramionami Di i przysiadła na poręczu fotela.

- Firma nie przyjmuje wymowień - rzekł szef poważnie. - Ostrzegałem cię, chłopcze, na samym początku naszej znajomości.

- Zróbcie więc wyjątek.

- Nie robimy wyjątków, bo zbyt chętnie stawałyby się regułami. Twoja dupa jest nasza.

Na zawsze.

Spojrzałem mu prosto w oczy. Były jak studnie pełne mroku.

- Nie - powiedziałem dobitnie. - Może jestem ćpunem, pijakiem i jebaką, ale mam resztki przyzwoitości. Może bardzo, bardzo małe resztki. Ale mam. I odpowiedź dalej brzmi: nie.

- Aleks, ja nie znam tego słowa. Dam ci szansę, chłopcze, i zapomnę, naprawdę zapomnę o dzisiejszej niemiłej rozmowie. Potrzebujemy cię, wierz mi. A ty potrzebujesz nas.

- Mówcie sobie co chcecie. - Usiadłem na łóżku.

- I co z nim zrobić, Di? - spytał ze smutkiem w głosie. - Dlaczego nasi najlepsi pracownicy mają wyrzuty sumienia, co?

- Ja nie mam - odparła.

- Ty nie, ale to też trochę trwało, jeśli sobie przypominasz.

- Aleks, przecież wiesz, dla kogo pracujesz, prawda? - Mówił teraz spokojnym, ojcowskim tonem. - Zawsze wiedziałeś. Tak jak wiedziałeś, od czego skrótem jest imię Di.

- Nie.

- Faza zaprzeczania - skomentowała Di. - Powrót do dzieciństwa. Zaraz schowa głowę pod koc, a jak ją wysunie, nas już nie będzie.

- Wiedziałeś, wiedziałeś - powiedział pobłaźliwie. - A ja dam ci jeden temat do przemyślenia. Pamiętasz historię Hioba?

- Tego, co leżał na gnoju i miał wrzody?

• Trywializując. - Skrzywił się. - Naturalistyczne opisy trzeba w tym wypadku traktować jako alegorię. Pamiętasz, dlaczego tak cierpiał?

• Bo Bóg go chciał doświadczyć? - przypomniałem sobie.

• Dokładnie. A teraz wyobraź sobie, że skoro miłosierny Pan - słowo „miłosierny” wymówił z wyraźnym szyderstwem - w taki sposób doświadczył swego wiernego sługę, to co MY możemy zrobić z kimś, kto chce nas zdradzić? Uwierz mi, że Hiob przy tobie będzie uchodzić za szczęściarza.

Mimo całego naćpania i nachlania zadrzałem. Byłem święcie przekonany, że mówi serio. Śmiertelnie serio.

• Zawsze też mogę sobie strzelić w łeb...

• I to, myślisz, uwolni cię od naszego towarzystwa? - spytał, a Di roześmiała się dźwięcznie.

• Skończ ten kontrakt, a dostaniesz urlop - rzekł po chwili, znowu wracając do ojcowskiego tonu. - Długi, przyjemny urlop na pacyficznych wyspach. Pełen chętnych laseczek w wieńcach z kwiatów i pięknych widoków. Jak chcesz, załatwimy ci dobry odwyk...

• Hu, hu, *so exciting* - przerwałem mu ironicznie.

• A jak nie, to góry najlepszego towaru. Powiedziałbym nawet: towaru nieziemskiej jakości. Tylko bądź z nami, Aleks. Zostań w rodzinie. Rzadko kogoś o coś proszę, a ciebie proszę, chłopcze.

• Czy nie mówią o tobie, że jesteś ojcem kłamstwa? - zapytałem i było mi wszystko jedno. - Powiedziałem już, że was pieprzę?

• Jutro o osiemnastej - rzekł, wstając z fotela. -. Bądź grzeczny, Aleks, a zapomnimy o głupich sporach. Chcesz, żeby Di została na wieczór?

Pokazałem mu środkowy palec i włożyłem pod kołdrę.

• Muchy - powiedziałem. - Powinny koło ciebie latać muchy.

• Chyba mnie pomyliłeś z Candymanem - odrzekł spokojnie, a potem patrzył na mnie jeszcze przez chwilę.

Wreszcie skinął dłonią na Di i oboje wyszli. Zostałem sam ze swoimi myślami. I z telefonem, z którego nie omieszkałem skorzystać, pomimo przeżartych słuzówek.

A potem jeszcze przyszło mi do głowy, że się pomylił. Candyman był władcą pszczół, a nie much.

* * *

Kiedy się obudziłem, nie byłem już ani tak zdecydowany, ani tak odważny. Byłem skacowany, roztrzęsiony i przerażony. Dotarł do mnie z całą brutalnością fakt, kim jestem i dla kogo pracuję. Czy mój szef miał rację, mówiąc, że wiedziałem od początku, co robię i z kim się zadaję? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Sądzę, że przez cały czas pracy dla firmy nie chciałem go zadawać. Wołałem nie zastanawiać się, dlaczego oni dysponują wiadomościami, których uzyskanie i potwierdzenie było co najmniej zastanawiające. Wołałem nie wiedzieć, czemu służą moje kontrakty i co tak naprawdę pomagają im osiągnąć.

Wiesz, jakie to jest uczucie dowiedzieć się, że pracowałeś dla diabła? Skąd możesz wiedzieć? Sam nie byłem pewien, czy po prostu kokaina i wódka nie wyżarły mi mózgu, a oni tylko zręcznie nie podsycali obaw i nie bawili się moim kosztem. A może raczej próbowałem się tylko pocieszyć myślą, iż są bezwzględni przestępcami, a nie istotami ponadnaturalnymi. Bo z dwojga złego wołałem już bezwzględnych przestępców.

Zdawałem sobie sprawę, że nie ucieknę przed nimi. To nie mafia ani policja. Tu nie pomoże samolotowy bilet w najodleglejszy zakątek świata i nieużywanie własnego nazwiska oraz kart kredytowych. Jeśli tylko będą chcieli, dopadną mnie. A wiedziałem, że będą chcieli. Choćby po to, by dać odstraszący przykład. Lub by zemścić się, że zawiodłem ich nadzieje. Albo dla czystej rozrywki. Dla któregośkolwiek z tych powodów, albo z żadnego z nich. W każdym razie nie mogłem się czuć bezpiecznie. Nigdzie.

Czy popadałem w paranoję, czy po prostu trzeźwo oceniałem sytuację? Co zrobiłbyś, gdyby twój przyjaciel przyszedł i powiedział, że pracuje dla piekła? Szkoda, że nie mogłem nawet wypróbować tego sposobu, bo nie miałem przyjaciół, którym mógłbym się wyzalić. Miałem tylko laski na jedną noc lub na kilka nocy, i miałem firmę. Słodką rodzinę. Co mogli mi zaoferować? Wieczną młodość? Być może. A czego mogli zażądać? Jakie będzie któreś z kolei zlecenie? Zabij kogoś, Aleks. Podłóż bombę, Aleks. Porwij samolot, Aleks. Oszeć twarz tej dziewczynie, Aleks. Oberżnij jej cycki, chłopcze. Mogli zażądać wszystkiego. Jasno, jak nigdy w życiu, zdałem sobie sprawę, że jeśli ustąpię raz, będę ustępował już przez całe życie. A może uznają za milutki żarcik i dowcipne zakończenie historii, jeśli trafię do pułda i przez resztę życia będę naczyniem rozkoszy dla zgrai czarnych kulturystów? Wzdrygnąłem się. Dlaczego mieliby mnie oszczędzać? Dlaczego miałem wierzyć w cokolwiek, co mówią? Czyż sam nie nazwałem

go ojcem kłamstwa?

Wstałem z łóżka i otuliłem się kocem, bo miałem dreszcze. Podeszedłem do barku i nalałem sobie szklaneczkę whisky. A potem z tą szklanką i z butelką powlokłem się do kuchni i wszystko wylałem do zlewu. Bursztynowa struga. Upajający zapach. Tak łatwo byłoby wychylić jednego, drugiego i trzeciego drinka. I zapomnieć. Ułożyć na szklanym blacie dwie równiutkie kreseczki, a potem już zgodzić się na wszystko. Może zachowają się uczciwie? Może dostanę naprawdę urlop na pacyficznych wyspach i stado dziewczyn w wieńcach z kwiatów?

Włożyłem głowę do zlewu i puściłem strugę lodowatej wody. Przez pierwsze sekundy myślałem, że umrę. Chłód popęzł do mózgu i serca, więc zawiązałem mocniej koc na ramionach. Potem wytarłem włosy ręcznikiem i, drżąc, wszedłem z powrotem do łóżka. Skuliłem się w nim jak embrion. Co miałem robić? Przecież nie chciałem w życiu nic innego, prócz przyjemności. Może nie byłem mądry i dobry, ale na pewno nie byłem zły. Rozpłakałem się z żalu nad samym sobą, a łzy płynęły mi po policzkach, kapały na pierś i szyję. Wyłem, jęczałem i beznadziejnie szlochałem. Rozpaczałem nad samym sobą. I tak, zwinięty w embrionalnej pozycji, z twarzą mokrą od łez, zasnąłem po raz drugi.

Kiedy się obudziłem, minęło już południe. Kac, Bogu dziękować, zelżał i czułem, że jestem w stanie trzeźwiej spojrzeć na świat. Przypomniałem sobie swój płacz z zeszłej nocy i wzdrygnąłem się. Nie znoszę okazywać słabości! Spojrzałem na zegarek na nocnym stoliku. Trzynasta piętnaście. Cztery godziny i czterdzieści pięć minut do podjęcia zlecenia. Cztery godziny na zastanowienie się, czyje podejmę. A może zagrać na czas? Przecież spotkania z tą pragnącą romantycznej miłości dziewczyną muszą potrwać. Ile? Tydzień? Dwa tygodnie? Miesiąc? Cóż to zmieni? Czy przez miesiąc znajdę drogę ucieczki przed firmą?

Wstałem i zacząłem się ubierać. Mechanicznie. Jasne lniane spodnie i piaskowa koszula z krótkim rękawem. Przyczesalem włosy i gdy w lustrze zobaczyłem własną twarz, uznałem, że będzie lepiej, jeśli założę ciemne okulary. Coś gnało mnie na zewnątrz, do ludzi. Chciałem przez chwilę stanąć w ich tłumie, przyjrzeć się codziennemu pośpiechowi, pozazdrościć życia, gdzie kłopotem jest niezapłacony rachunek, zdradzający mąż, brak kasy na kupno nowego samochodu, czy upierdliwy przełożony. Mój Boże, co ja bym oddał za takie problemy! Starając się uniknąć małych kłopotów, wpakowałem się w bagno. I choć nie chciałem się do tego przyznać, wiedziałem, że jedyne, co mi pozostaje, to brnąć głębiej i głębiej, i głębiej. A co się stanie potem? Czy dla mnie jeszcze będzie jakieś „potem”?

Wysiadłem z windy, skinąłem głową strażnikowi, który zrobił zdziwioną minę, bo chyba nigdy nie widział mnie wychodzącego o tej porze, i pchnąłem przeszkłone drzwi. Wyszedłem na rozświetloną ulicę pełną gwaru i ludzi. Mój Boże, zdałem sobie sprawę, jak dawno już nie wychodziłem w pełni dnia. Byłem niczym Morlokowie, niczym stworzenia mroku. Szkoda, bo świat był naprawdę piękny. Ktoś mnie potrącił i poczułem irracjonalną wdzięczność za to potrącenie. Poszedłem przed siebie ulicą, w sklepiku obok kupiłem puszkę coli i piłem ją, nie zważając, że pochłapałem sobie koszulę.

- Ostatnie cztery godziny niewinności - powiedziałem do siebie. - O osiemnastej będziesz już innym chłopcem, Aleksiku.

Byłem zmęczony, wycieńczony i rozpaczliwie pragnąłem koksu. Biała Dama czekała na krawędzi wzroku, gotowa przyjść i przytulić mnie, gdy tylko ją zawołam. Gotowa zatańczyć ze mną i pocieszyć mnie. Dać mi siłę. Tyle, że ja wiedziałem, jaka twarz kryje się pod białym welonem. Wszyscy na początku wierzą, że tam, pod muślinem, jest twarz pięknej, radosnej dziewczyny. To nieprawda. Im dłużej tańczysz z Białą Damą, tym wyraźniej widzisz, że welon zakrywa trupa czaszkę. Martwą, pozbawioną skóry, mięśni i oczu. Tylko kiedy to zobaczysz, najczęściej jest ci już wszystko jedno. A poza tym do samego końca wierzysz, że przemieni się w piękną dziewczynę.

Czułem, że pocę się i koszula oblepia już plecy. Po czole, policzkach i nosie spływał mi gęsty pot. Kropla kapnęła z czubka nosa, a ja sięgnąłem do kieszeni spodni i zorientowałem się, że zapomniałem chusteczki. Otarłem czoło dłonią, a potem mokry wierzch dłoni wytarłem w spodnie. Na jasnym materiale została szara smuga. Odszedłem z ulicy w cień drzew i przysiadłem na ławce. Dopiłem do końca colę i wrzuciłem pustą puszkę do kosza na śmieci. Spojrzałem na zegarek. Trzynasta pięćdziesiąt pięć. Mój czas się kurczył.

Obejrzałem się przez ramię i dostrzegłem, że siedzę przed niewielkim otynkowanym na biało kościółkiem. Na małym placu przed wejściem stał w cementowany krzyż z rozpiętym Chrystusem.

- No i widzisz? - powiedziałem. - Nawet Ty nie możesz mi pomóc. Wisisz tam sobie i masz w dupie moje problemy. A może byś, dla odmiany, coś zrobił? Coś pożytecznego? Coś poza umieraniem i jęczeniem, że czujesz się opuszczony?

Wyłuskałem papierosa z kieszonki koszuli i zapaliłem. Skoro zaczynam rozmawiać z figurką Chrystusa, to naprawdę nie jest już dobrze. Fala pożądania koksu przyszła jak atlantycki

przyływ. Zrobiło mi się słabo.

- Przepraszam. - Usłyszałem kobiecy głos. – Czy mogę tu usiąść, obok ciebie?

Otworzyłem oczy i nie byłem już w stanie odwrócić wzroku. Przedemną stała najpiękniejsza kobieta, jaką widziałem w życiu. Cofnij. Słowo „najpiękniejsza” brzmi w tym wypadku jak zniewaga. Jak zniewaga brzmi porównywanie jej z kimkolwiek innym. Była uosobieniem wdzięku. Cudem natury. Czarem. Jej oczy były jak pola fiołków, a włosy skrzyły się w słońcu, niczym posypane złotem. Usta zdawały się stworzone do pocałunków i uśmiechów. Wysoka, wysmukła i uśmiechnięta, w jasnej sukience na cienkich ramiączkach, stała przede mną, a ja podniosłem się z ławki.

- Proszę - powiedziałem. - I tak już miałem iść.

Wiedziałem, że muszę odejść, bo nie byłem w stanie znieść piękna, które w niej było.

- Zostań, Aleks - szepnęła. - Przecież czekałam właśnie na ciebie.

Usiadłem. A raczej klapnąłem na ławkę.

- Prosiłeś o pomoc, Aleks, a sam mówiłeś, że kawaleria nadciąga zawsze we właściwej chwili.

Przyglądała mi się z czułym i ciepłym uśmiechem. Usiadła obok mnie i wzięła mnie za rękę. Miała chłodne dłonie. Takie dłonie chcesz przytulić do czoła, gdy jesteś chory.

- Kim jesteś? - zapytałem.

Roześmiała się i nagle otoczył ją blask. Tylko przez moment. Jasna, gorąca aureola będąca skondensowanym światłem.

• Przecież wiesz - odparła. - Jestem awersem, tam gdzie on jest rewersem. Jestem lampką w jego mroku. Jestem ostatnim posiłkiem, którym dzieli się biedak. Jestem wszystkim tym, czym on nigdy nie będzie.

• Jestem chory - wyszeptalem, patrząc pod nogi. - Jestem bardzo, bardzo chory. Naćpany. To wszystko się nie dzieje naprawdę. Chciałbym się już obudzić, jeśli można.

• Obudziłeś się już, Aleks. - Dotyk jej palców przywracał spokój. - Obudziłeś się, odmawiając mu. Przychodząc tu. Nic się nie dzieje samo z siebie.

Podniosłem wzrok. Patrzyła na mnie z troską.

• A więc to On cię przysłał? - zapytałem. - Czy tak właśnie wyglądasz? Tak wyglądasz naprawdę?

• Naprawdę? A co to znaczy? Czy to jest naprawdę? - Nagle wstała, a jej postać

wystrzeliła pod niebo. Tylko przez ułamek sekundy widziałem straszną sylwetkę, otoczoną morderczo lśniącym blaskiem. W dłoniach dźrzyła miecz, a potężne białe skrzydła sięgały z jednego krańca nieba po drugi. I po tym ułamku sekundy znowu siedziała koło mnie prześliczna, delikatna dziewczyna o chłodnych palcach i fiołkowych oczach.

• Które naprawdę jest naprawdę? - spytała z przekornym uśmiechem. - A co do drugiego pytania... - powiedziała po chwili. - To nie On mnie wysłał. - Nagle przez jej twarz przemknął jakby cień bólu. - On jest... za daleko.

Nie wiedziałem, czy rozumiem, co mi chce powiedzieć, i nie wiedziałem, czy chcę rozumieć.

• Co mam robić? - spytałem. - Co mam ze sobą zrobić?

• A czego byś chciał, Aleks?

• Normalnie żyć. Po prostu normalnie żyć.

• To nie takie proste, mój miły. - Czułem w jej głosie autentyczny żal. - Masz na koncie za dużo krzywd, za dużo bólu, za dużo cierpienia. Warunkiem odkupienia są skrucha i pokuta. Skrucha już jest. Choć nie wiem, czy nie nazbyt wymieszana ze strachem. Ale gdzie pokuta?

• Pokuta - powtórzyłem. - Czyli...?

• Wypij kielich do końca, Aleks. Trzymaj się tego, co postanowiłeś. Bądź wierny nowemu sobie.

Pocałowałem końce jej palców i wstałem.

• Może tak zrobię - powiedziałem. - Czy... czy to będzie trudne?

• Nie zamierzam cię oszukiwać - odparła spokojnie. - Będzie naprawdę dużo bólu.

Przymknąłem oczy, bo choć nie tego się spodziewałem, wiedziałem, że ona ma rację. Nie da się wymazać całego życia jednym pociągnięciem gumki. Tylko czy fakt, że będę cierpiał, pomoże w czymś tym, których kiedyś skrzywdziłem? Czy tak ma wyglądać sprawiedliwość? Ból za ból?

Przyglądała mi się uważnie, jakby znała moje myśli. Zresztą może naprawdę je znała. W końcu była aniołem. Chyba aniołem.

- No to do widzenia - powiedziałem.

• Do widzenia, Aleks. - Pocałowała mnie w policzek.

• A potem? - krzyknąłem, gdy już odchodziła. - Co będzie potem?

• Potem będę już tylko ja - odrzekła, a w jej oczach było światło.

Obserwowałem, jak idzie wśród drzew, i patrzyłem za nią dopóty nie zniknęła z pola widzenia. Potem spojrzałem na zegarek. Musiałem wracać do domu, bo wiedziałem, że pięć minut po osiemnastej usłyszę dzwonek i będę musiał otworzyć drzwi nieproszonym gościom.

Opowiadanie napisane wraz z Damianem Kucharskim

3. Piękna i bestia

Fotel stał przy samym oknie, odwrócony tyłem do drzwi. Siedziałem w nim w zasadzie niezauważony, a przynajmniej nic nie wskazywało na to, by komukolwiek robiła różnicę moja obecność lub nieobecność. Wiedziałem, że siedzący przy stole mogą dostrzec zza solidnego oparcia fotela tylko moją dłoń z kieliszkiem koniaku. Nie interesowali się mną, a ja pozwoliłem, by ich głosy spokojnie przepływały i przyjmowałem je podobnie, jak sącząca się z sąsiedniego pokoju muzykę. Obojętnie. Jak rekwizyt rzeczywistości, którego istnienie jest tak niezależne od mojej woli, iż nie ma sensu się nad nim zastanawiać. Oczywiście tęskniłem. Alkohol, przyćmione światła, łagodny szmer muzyki i nienatretne głosy tworzyły ten nostalgiczny nastrój, którego nienawidziłem i który kochałem. Nienawidziłem, bo był bólem, a kochałem, gdyż wiedziałem, że jest nadzieją. Wierzyłem, że marzenia się spełniają i to pozwalało mi żyć, choć do tej pory moje życie składało się z rozczarowań. Bolesnych rozczarowań, aby użyć tej wyświechtanej metafory.

Sięgnąłem po koniak właściwie niechętnie, miałem już dość alkoholu na dzisiejszy wieczór, i wtedy usłyszałem jej głos. Nie powiedziała nic szczególnego, nawet nie pamiętam słów. Chyba poprosiła kogoś o papierosa lub zapalniczkę. W tej samej sekundzie niezapowiedzianie uderzył ból. Powinienem przyzwyczaić się już do tego, ale nie potrafię. To sama esencja bólu. Mózg, serce, żołądek i jądra napełniają się lawą, ale trwa to zwykle tak krótko, iż nie wiem po chwili, czy zdarzyło się naprawdę. A potem tylko zapach melonów. Słodki, obrzydliwy zapach melonów. Od dziecka nie znoszę melonów ani ich zapachu. Odwróciłem się z całym fotelem i nasze spojrzenia się spotkały.

- Och, a pan? Czy pan ma papierosa? - spytała i chyba była trochę zażenowana.

Może proszeniem obcego mężczyzny, a może hołdowaniem coraz mniej modnemu nałogowi.

- Tak - odparłem i kiedy zbliżyła się, podałem jej papierosa, a potem ogień.

Przez tę krótką chwilę mogłem się jej przyjrzeć. Miała bardzo czarne, krótko obcięte włosy i szczupłą twarz o klasycznym profilu. Odważnie wyciętą suknię i małe piersi. Nie nosiła

żadnej biżuterii i pachniała kadzidłami. Ciężki wieczorowy zapach, ale nawet on nie potrafił zabić odoru melonów.

- Tu nikt nie pali - poskarżyła się i zaciągnęła głęboko - cóż to za moda, żeby żyć zdrowo i ekologicznie?

Jej głos był niczym złote, aksamitne zasłony. Albo jak dusza koniaku. Rzadko spotyka się kobiety o tak pięknym głosie. Leciutko pachniała alkoholem, ale nie była pijana. To dobrze. Nie lubię pijanych. Poprosiłem ją, żeby usiadła, a sam przysunąłem drugi fotel. Mężczyźni przy stole nie interesowali się nami. Nadal rozmawiali o polityce i moralności oraz moralności w polityce. Słuchaliśmy ich przez chwilę, chyba tylko po to, aby się zastanowić, czy będziemy ze sobą rozmawiać, a jeśli tak, to o czym.

- Nigdy pana tu nie widziałam - powiedziała w końcu, a ja uśmiechnąłem się.

- I nigdy by pani nie zobaczyła, gdyby nie poszukiwanie papierosów. Ale mogę się tylko cieszyć, że się pani skończyły.

Potem chwilę milczeliśmy, a ona bawiła się papierosem, obracając go tak szybko w palcach, że obawiałem się, że w końcu poparzy sobie dłoń. Wreszcie zgasiła go w popielniczce i zawahała się przez moment.

- Cóż... dziękuję - powiedziała wstając.

- Może zatańczymy? - zaproponowałem, a ona wzruszyła nerwowo ramionami.

- Czemu nie?

W największym pokoju, w półmroku, kołysało się kilka par i dla wszystkich taniec był jedynie pretekstem do mniej czy bardziej zaawansowanych pieszczot. Simon i Garfunkel śpiewali „The Sound of Silence”. Zabawne, ale zdałem sobie sprawę, że nie spotkałem nigdy miejsca, w którym nie istniałaby ich muzyka. Zawsze przenika mnie dreszcz, kiedy słyszę: „Hello, darkness my old friend. I’ve come to talk to you again”. Tak. Przyszedłem. I znów będziemy rozmawiać.

Przecież czuję zapach melonów. Dziewczyna w moich ramionach nagle wydała mi się smutna i krucha. Było mi jej żal. Zawsze jest mi żal, ale istnieją pewne sprawy, na które nic nie potrafimy poradzić. Światło. Ciemność. Przeznaczenie. A jej i moje zostały powiązane bez naszej wiedzy i zgody. Przytuliłem ją mocniej, a ona odwzajemniła uścisk. Była tak bezbronna, a ja musiałem ją skrzywdzić. Jeśli mówienie o krzywdzie ma tu jakikolwiek sens. Ale chyba ma, skoro myślę o niej cały czas. O swojej krzywdzie i swoim bólu oraz o bólu, jaki daję innym.

Ciemność, Światło, Przeznaczenie... A być może Bóg, Diabeł lub Ewolucja.

Opuszkami palców lewej dłoni musnąłem skórę na jej karku. Nie cofnęła się.

- Może wyjdziemy stąd? - zapytałem, kiedy muzyka ucichła - lubisz szampana?

Kiedy wypowiedziałem już te słowa, przestraszyłem się, że padły zbyt szybko. Czy nie należało odczekać parę minut? Potańczyć? Porozmawiać? Inne pary kołysały się jeszcze, nie zwracając uwagi na to, że Simon i Garfunkel przestali śpiewać. Zastanawiała się przez chwilę, aż wreszcie skinęła głową.

- Zaczekaj na mnie przed domem - powiedziała - będę za parę minut.

Zabrało to jej więcej niż parę minut. Może pół godziny, ale czekałem spokojnie, bo byłem pewien, że dotrzyma obietnicy. Padał śnieg. Mokry i topniał, nim doleciał do ziemi. Jednak nie schowałem się do bramy. Wystawiałem twarz na te wilgotne pacnięcia i żegnałem się. Spędziłem tu cztery lata i były to bardzo dobre lata. Ale tęskniłem. Kiedy nastanie nowy dzień, będę już daleko. Tak się zamyśliłem, że dostrzegłem ją dopiero, kiedy stanęła tuż obok.

- Przepraszam - powiedziała i pocałowała mnie w policzek.

A potem ujęła pod ramię i ruszyliśmy szybkim krokiem w stronę postoju taksówek. Kiedy szedłem obok niej, młodej, pięknej i pełnej energii, znów ogarnęły mnie wątpliwości. Co by się stało, gdybym wsadził ją do samochodu, a sam odszedł? Czy dostałbym następną szansę? Ale wiedziałem, że nie zaryzykuję. Nie potrafiłbym zaryzykować.

W lodówce miałem szampana. Zimnego, czerwonego i słodkiego. Może niezbyt wykwintnego, ale wypiliśmy prawie całą butelkę. Anna (bo znaleźliśmy nawet czas, żeby się sobie przedstawić), to właśnie ona, wykonała pierwszy krok. Usiadła mi na kolanach, odurzając ciężkim kadzidlany zapachem perfum i wtuliła usta w moją szyję. Zaniósłem ją do łóżka i tam powoli rozebrałem. Miała nieskazitelne, doskonałe ciało, choć była tak szczupła i drobna. Kochaliśmy się dwa razy, długo, namiętnie i radośnie, a potem ona zasnęła wtulona jakby szukała we mnie ochrony. Właśnie we mnie! Nie mogłem pozwolić sobie na sen. Wstałem i zacząłem się ubierać, a potem pakować. Nagle zobaczyłem, że Anna mi się przygląda.

- Co robisz? - spytała.

- Wyjeżdżam - odparłem.

- Dzisiaj?

- Zaraz.

Podszedłem do łóżka i pocałowałem ją w usta.

- Przykro mi, ale muszę wyjechać - szepnąłem - szkoda, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach.

Całowałem ją długo, a lewą dłonią pieściłem jej szyję. Nie chciałem, żeby się bała i potrafiłem zrobić to szybko. Umarła, zanim zdążyła pojąć co się dzieje.

Wstałem i chwyciłem stojący obok łóżka neseser. Rozejrzałem się i natychmiast, prawie natychmiast, zobaczyłem Bramę. Otworzyła się w lustrze. Poznałem to po charakterystycznym, sinym blasku i lekkim drzeniu powierzchni. Wszedłem i rzuciłem ostatnie pożegnalne spojrzenie. Anna wyglądała jak pogrążona w głębokim śnie.

- Do widzenia - powiedziałem i zagłębiłem się w lustro.

Tafla zassała mnie, przedrażyła, przenicowała i wywróciła na drugą stronę. I w tej samej chwili stałem już na chodniku oparty o latarnię, a obok mnie zahuczał przejeżdżający samochód. Byłem tak słaby, że musiałem chwycić się betonowego słupa, by nie upaść. Mdliło mnie i całą siłą woli powstrzymywałem się, aby nie zwymiotować. Kiedy doszedłem do siebie, rozejrzałem się wokół. Było chłodno i szaro. Listopadowy poranek albo marcowy wieczór. Listopadowy wieczór albo marcowy poranek. Warszawa. Ulica Marszałkowska.

Ale być może tutaj nazywała się inaczej. Czerwone autobusy, czerwone tramwaje, złote pudełko hotelu Forum i masywne, szare gmaszysko Pałacu Kultury i Nauki. Podeszedłem do kiosku Ruchu i przyjrzałem się gazetom. A więc jednak był marzec. Starałem się podejrzeć, jakimi banknotami płacą klienci i szybko się zorientowałem, że wyglądają one nieco inaczej niż te, które mam w portfelu.

Cóż, tego należało się spodziewać i byłem na to przygotowany.

- Kupuje, czy stoi? - zapytał ktoś napastliwie i cofnąłem się gwałtownie.

Znowu zakręciło mi się w głowie i o mało nie upadłem. Upadłbym, gdybym nie przytrzymał się lady.

- Kurwa, ósma rano, a ten pijany! - usłyszałem jeszcze, zanim odszedłem z powrotem pod słup latarni.

Wiedziałem, że muszę wziąć się w garść. I wtedy podeszła ta dziewczyna.

- Czy dobrze się pan czuje? - spytała z troską w głosie, a ja ucieszyłem się, bo zrozumiałem, że to miejsce nie może być złe.

- Tak - powiedziałem - to tylko przelotny zawrót głowy. Czasami, bardzo rzadko, zdarza mi się zemdleć bez powodu. Ale to już mija...

- Obok jest pogotowie. Może pana odprowadzić? - zaproponowała i odgarnęła włosy, które wymknęły się z pod czapki.

- Dziękuję - odparłem - proszę sobie nie robić kłopotu.

Przez chwilę stała niezdecydowana, a potem skinęła mi głową i odeszła. Zauważyłem, że obróciła się jeszcze, jakby sprawdzając, czy wszystko ze mną w porządku, ale ja już pytałem kogoś o najbliższy bank. Miałem ze sobą złoto. A złoto jest zawsze złotem i nigdy nie znalazłem się jeszcze w miejscu, gdzie nie miałoby ono wartości. W banku wymieniłem część mojej żelaznej rezerwy na banknoty i przyjrzałem się im uważnie. Największym nominałem był milion z portretem króla Kazimierza Wielkiego, a dolary sprzedawano po siedem i pół tysiąca złotych. To oczywiście nic nie znaczyło. Oprócz zmian świata zmienia się przecież i czas. Nadal był rok 1994, a więc ten, który pamiętałem. Jedynie po historii mogę poznać, czy trafiłem we właściwe miejsce. Po pewnych szczegółach, drobiazgach i niuansach. Dlatego pierwszym miejscem, jakie odwiedzałem po urządzeniu się była zawsze biblioteka.

Wynająłem pokój w hotelu Victoria i jak zwykle pokazałem paszport stwierdzający, że jestem obywatelem wyspy Mauritius. Niezależnie od świata i czasu nikt nigdy nie wie jak powinien wyglądać paszport tak odległego i egzotycznego państewka. Może celnicy lub straż graniczna? Ale przecież nie zamierzałem wyjeżdżać z Polski.

Potem parę dni spędziłem w bibliotece, choć już pierwsze spojrzenie na karty historycznych książek przekonało mnie, że trafiłem do niewłaściwego miejsca. Dom nadal był daleko. Chciałem jednak poznać historię tego świata, bo Bóg raczy wiedzieć, ile czasu w nim spędzę. Wydawało się, że to dobry świat, a przynajmniej nie gorszy niż inne. Przeżył okres faszystowskiej i komunistycznej dyktatury, ale teraz wydawał się spokojny i bezpieczny. Warszawa prezentowała się nieźle. Ludzie byli zabiegani, lecz sympatyczni (choć zważywszy na powitanie, jakiego tu doznałem, można byłoby o tym powątpiewać). Nie musiałem się martwić ani o pieniądze, ani o pracę, gdyż miałem wystarczająco dużo złota, by przeżyć tu bezproblemowo kilka lat. Ale, rzecz jasna, gdy tylko stwierdziłem, że jestem w niewłaściwym miejscu, już marzyłem, aby się stąd wyrwać. Tylko że akurat to nie zależało ode mnie.

Czy nie próbowałem wyjaśnić tego, co się dzieje? Mój Boże, oczywiście że próbowałem, ale kto byłby w stanie udzielić odpowiedzi na moje pytania? Kto, zważywszy całokształt sprawy, uwierzyłby, że nie jestem wariatem? Miałem psychoterapeutkę i opowiedziałem jej wszystko o sobie.

- Sprawdziłam cię - usłyszałam od niej kiedyś - nigdy nie było morderstw, o których opowiadasz. To „drugie życie” istnieje jedynie w twojej wyobraźni.

- To o czym mówię, nie jest do sprawdzenia - odparłem zrezygowany – przecież wszystko działo się gdzie indziej.

- A więc chcesz, abym uwierzyła, że podróżujesz pomiędzy światami i zabijasz w nich dziewczyny? Wybacz, ale wytłumaczenie jest o wiele prostsze...

Tak, rzecz jasna, miała teorię na mój temat i chciała, abyśmy oboje w nią uwierzyli. W końcu była psychoterapeutką i nie mogła nic mieć żadnej teorii. Ale wiedziałem doskonale, że w jej koncepcji nie ma ziarna prawdy. Nie pamiętałem swego dzieciństwa i cóż z tego? Ta amnezja nie była postawieniem psychologicznej blokady. Nie była obroną przed wspomnieniem o wydarzeniach, o których nie chciałem pamiętać. Które - jak powiedziała - były może zbyt straszne, aby o nich pamiętać. Straszne było nie to, co było. Straszne było to, co się działo. To, że musiałem zabijać, choć zabijać nie chciałem. To, że byłem kimś innym, kimś obcym, a zabójstwo stanowiło jedynie środek umożliwiający poszukiwanie Domu, za którym tęskniłem. Ale lekarka nie potrafiła tego zrozumieć ani nie potrafiła mi pomóc. A ja nie mogłem zrezygnować z poszukiwania mojego świata. Dom jest najważniejszy.

Każdy człowiek musi znać swoje miejsce w czasie i przestrzeni, a ja ani go nie znałem, ani nie potrafiłem do niego dotrzeć. W miejscu, do którego trafiłem, spędzałem czas w zasadzie spokojnie. Dużo czytałem, czasem wieczorami chodziłem do nocnych klubów lub do pubów. Poznałem parę osób i kilkanaście razy wylądowałem w łóżku z miłymi kobietami. Kupiłem bardzo przyzwoicie wyglądające polskie dokumenty, zdążyłem zrobić kurs doradztwa finansowego, co nie było niczym trudnym, kiedy poznałem realia gospodarcze. W końcu jestem specjalistą od tych spraw. W każdej chwili mogłem zacząć pracować, a propozycji było aż nadto. Pewnego dnia, kiedy jadłem w kawiarni śniadanie, zobaczyłem, że przy stoliku obok siedzi ta dziewczyna. Wstałem.

- Dzień dobry - powiedziałem - chciałbym pani podziękować.

Nie poznała mnie i spojrzała na mnie, nie rozumiejąc, a jej partner zeszywniał, jakby uważał, że za chwilę nadejdzie czas, by dać mi w mordę.

- To było w marcu. Na Marszałkowskiej. Rano - wyjaśniłem - poczułem się wtedy słabo, a pani spytała, czy nie potrzebuję pomocy.

- Ach tak - przypomniała sobie i uśmiechnęła się.

Odgarnęła znajomym już gestem kosmyk włosów z czoła.

- Cieszę się, że nic się panu nie stało.

- Chciałbym się jakoś zrewanżować - powiedziałem właściwie na złość temu facetowi, który przyglądał mi się wściekłym wzrokiem - proszę, to moja wizytówka na wypadek, gdyby potrzebowała pani pomocy specjalisty.

Podałem jej kartonik i uśmiechnąłem się na pożegnanie. Zapłaciłem rachunek i wyszedłem.

Zadzwoiła wieczorem następnego dnia. Telefon od niej nie zdziwił mnie. Czas i doświadczenie pozwoliły mi się przyzwyczaić do powodzenia u kobiet. Zaskoczony byłem raczej tym, że ani pierwsza, ani druga, ani nawet dziesiąta randka nie skończyły się w łóżku. Ale nie nalegałem. Pozwoliłem wydarzeniom toczyć się łagodnie i wedle ich własnej woli. Alicja, bo tak miała na imię, przyzwyczajała mnie do spotkań, do własnej obecności i spowodowała, że czasem zapominałem o Domu. Na krótką chwilę, ale była to chwila pełna ulgi, choć potem zmagąłem się z wyrzutami sumienia.

Pewnego wieczoru siedzieliśmy z kieliszkami białego wina, już po dobrej kolacji, i słuchaliśmy muzyki. Grał modny tu i teraz zespół, a piosenka nosiła tytuł „Biały pies”.

Mały, biały pies bez łap wciąż przychodzi do mnie w snach

Mały, biały psie nie dręcz mnie!

Lecz ten pies wcale nie jest taki mały!

Ma dwa metry wzrostu, sześć długości

Przyszedł do mnie tutaj znów,

gdyż się boi samotności!

- Czy miewasz senne koszmary? - spytała.

- O, tak - odparłem - kiedy śnię, że nigdy nie zdecydujesz się zaznać ze mną rozkoszy seksu...

- Ale nie, pytam serio - uśmiechnęła się, a ja tak lubiłem ten uśmiech.

- Czasami - wzruszyłem ramionami, ale to była nieprawda.

Mam zawsze koszmary i nigdy rano ich nie pamiętam. Ale budzę się czując strach i żal za czymś utraconym. Są chwile, w których chciałbym nie żyć. Coraz częściej są takie chwile. Może to byłoby lepiej? Potwór umarł...

- O czym one są?

- Jak każde koszmary. O strachu.

- A ja śnię o śmierci - powiedziała - śni mi się zawsze to samo. Leżę w łóżku, w pokoju o cytrynowożółtych ścianach. Łóżko jest okrągłe i bardzo wygodne. I wtedy ktoś podchodzi i kładzie dłoń na mojej szyi.

Słuchałem jej i mało nie zakrztusiłem się winem.

- Przytulam się do tej dłoni, bo to jest ktoś, kogo kocham, a wtedy on mnie zabija. Tak szybko, że nie czuję ani bólu, ani strachu. I sen się kończy. Głupie, prawda? - spojrzała na mnie z zakłopotaniem.

Ścisnąłem mocno oparcie fotela, bo nie mogłem powstrzymać drżenia ręki. - Chryste Panie - pomyślałem - przecież to niemożliwe, aby śniła o mnie.

I to było niemożliwe! Kobieta, którą wybiera mi ten przeklęty los, zawsze widzę po raz pierwszy w życiu i natychmiast czuję ból, i cholerny zapach melonów. Alicja była przy mnie zupełnie bezpieczna.

- Zbladłeś - powiedziała.

- Ja... - przełknąłem ślinę - ja miałem też podobny sen. Ale tylko raz. Muszę już iść.

Wstałem i zacząłem się poważnie zastanawiać, czy nie wyjechać z Polski. Teraz, kiedy miałem paszport, było to już możliwe. A sen Alicji za bardzo mnie zaniepokoił.

- Do widzenia, Alicjo - powiedziałem - zadzwonię jutro, dobrze?

Jednak wiedziałem, że nie zadzwonię i nie zobaczę się z nią już nigdy. Póki mogłem, chciałem odsunąć od niej niebezpieczeństwo. Nawet, jeśli jedyną przesłanką miał być ten głupi sen.

- Zostań ze mną dzisiaj - poprosiła, kiedy byłem już w progu.

I zostałem, Boże wybac mi. Następnego dnia przeprowadziłem się do Alicji, co nie było trudne zważywszy na fakt, że cały mój majątek składał się z paru kompletów ubrań. Walizka ze złotem spoczywała bezpiecznie w bankowym sejfie, choć właściwie powinienem mieć ją stale przy sobie.

Dlatego kupiłem mieszkanie, w którym kazałem wmurować w ścianę sejf i tym razem Alicja zamieszkała u mnie. Byliśmy ze sobą dwa lata i powiedzieć, że kochałem ją szaleńczo, byłoby żartem. Kochałem w niej wszystko. Jej uśmiech i głos, i włosy, i to, jak się malowała, i to jak chodziła. Czasem, kiedy nie było jej dłużej w domu, otwierałem szafę i wtulałem twarz w

ubranie, aby poczuć chociaż jej zapach. Uwielbiałem dotykać jej dłoni. Miała takie wąskie i szczupłe palce. I przeczesywać jej włosy, i całować usta, które zawsze były chłodne. Zapomniałem o Domu, bo mój dom był tam, gdzie Alicja. Ale Dom nie zapomniał o mnie.

Wydarzyło się to o świcie. Lipcowy upał jeszcze nie zdążył zapukać w okna, a my spaliliśmy w jakimś obcym hotelu, gdzie wylądowaliśmy po nocnym szaleństwie. Alicja była w ciąży. Powiedziała mi o tym wieczorem i postanowiliśmy po raz ostatni zaszaleć.

W końcu przez następne dziewięć miesięcy nie za bardzo będziemy mieli okazję na imprezy. Wróciliśmy tak zmęczeni i tak wstawieni, że rzuciliśmy tylko ubrania na podłogę i zasnęliśmy jak zziębnięte psy. A teraz obudziłem się z ciężką od kaca głową. Wyzwolilem się spod ramienia Alicji i przyjrzałem jej nagiemu brzuchowi. Tam rosła i kielkowała niewidoczna jeszcze cząstka mnie. Pogłaskałem jej rozsypane na poduszce włosy i usiadłem. Leżeliśmy w okrągłym wielkim łóżu, a ściany były pokryte cytrynowożółtą tapetą. I w tej samej sekundzie, kiedy zdałem sobie sprawę, że jest to kadr ze snu Alicji, ból uderzył mnie z niespotykaną siłą. I zaraz potem zniknął.

Pozostał tylko obrzydliwy, mdlący zapach melonów.

- Nie - powiedziałem - Boże mój, tylko nie ona!

Otworzyłem stojącą na nocnym stoliku butelkę wody mineralnej i wypilem duszkiem. Potarłem powieki palcami.

- To przecież nie zmienia sytuacji - powiedziałem sam do siebie - i tak miałem tu zostać. Nie ma więc znaczenia, na kogo pokazał los, skoro nic zamierzam mu się poddać.

Ale jednocześnie wiedziałem, czułem całym sobą, że Brama, która się otworzy, zaprowadzi mnie prosto do Domu. Teraz był czas ostatniej podróży. Przesunąłem dłonią po nagim ramieniu Alicji, drugą położyłem na jej szyi i poczułem jak pulsuje tętnica.

- Nie mogę - szepnąłem - nie mogę tego zrobić.

A sekundy i minuty płynęły. Nie miałem czasu, aby myśleć o Moralności, Prawie i Obowiązku. Mogłem myśleć tylko o jednym. O tym, że miłość do ludzkiej istoty jest krucha i nietrwała, a Dom jest na zawsze. Nikt nie odbierze ci Domu, jeśli sam z niego nie zrezygnujesz. Dom jest wieczny.

Alicja zamruczała coś przez sen i przekręciła się na drugi bok, podkładając sobie pod policzek moją dłoń. Miała suche i ciepłe usta. Zagryzłem mocno wargi, tak mocno, by ból orzeźwił mnie. Orzeźwił, otrzeźwił i pozwolił spokojnie pomyśleć. Jak na podglądzie

magnetowidu przemknęły mi przed oczyma chwile spędzone z Alicją. A były to szczęśliwe chwile. Najszczęśliwsze w moim życiu. Czy wolno składać je w ofierze mrzonce i marzeniu? Ale szczęśliwe chwile mijają bezpowrotnie - pomyślałem - co będzie, kiedy skończą się miłość i fascynacja, Alicjo? Co będzie, kiedy staniemy się sobie obcy, ba, może nawet nienawistni? Wszystko przemija, niszczeje, obumiera, kończy się. Po lecie następuje jesień, po jesieni zima. Tylko Dom kąpie się w wiecznym słońcu wiecznego lata. Powiodłem palcami po jej włosach. Jedwabistych, puszystych i miękkich.

- Będę cię pamiętał właśnie taką - szepnąłem - tak bardzo, bardzo kocham cię, Alicjo. **II.**

Bóg i historia

1. Arachnofobia

Panie prezesie, telefon! Kobięcy głos zatrzymał Cyferta w pół ruchu. Wkładał właśnie płaszcz i teraz zamarł, zastanawiając się, czy wrócić do gabinetu, czy też udać przed sekretarką i przed samym sobą, że nic nie słyszał. W końcu zwyciężyło, jak zwykle zresztą, poczucie obowiązku.

• Prezydent Weiss, panie prezesie - wyjaśniła sekretarka ściszym głosem, a dłonią zakrywała słuchawkę. - Czy włączyć telekonferencję?

• O mój Boże - westchnął Cyfert, bo wiedział, czego będzie chciał Weiss, i wiedział również, że będzie musiał odmówić. A Weiss nie był przyzwyczajony do odmów.

Pokręcił głową na znak, że nie życzy sobie telekonferencji, i wziął słuchawkę z rąk sekretarki. Chwilę potrzymał ją w powietrzu.

- Cyfert - powiedział. - *Guten Morgen, Herr President.*

Długo słuchał Weissa, a sekretarka widziała, jak coraz bardziej tężeje mu twarz.

- To niemożliwe - wtrącił w końcu, kiedy Weiss zmęczony perorą umilkł na nieco dłużej.

- Pan wie, jaki jutro jest dzień. To niemożliwe, żebym ruszył się z Warszawy.

Potem znów długo słuchał, ściskając tak mocno słuchawkę, że zbieleły mu końce palców.

- Nie podoba mi się pański ton - rzekł, nie starając się ukryć rozdrażnienia, a sekretarka ledwo zauważalnie uśmiechnęła się pod nosem, gdyż nikt nigdy nie mówił tak do osławionego prezydenta „Hermann Göring GmbH”. Nikt oprócz Cyferta, który nie bał się nikogo. I zabawne było wyobrazić sobie, jaką w tej chwili minę ma prezydent Weiss.

Później Cyfert słuchał uważnie, a jego twarz stopniowo się rozpogodziła.

- Dobrze, panie prezydencie. *Auf wiedersehen* - powiedział i oddał słuchawkę sekretarce.

Uśmiechnął się.

• Proszę zawiadomić Lewickiego i Grolscha. Pojutrze o dziesiątej będzie czekał na nas samolot.

- Dokąd, panie prezesie?

• Do Kijowa. - Wzruszył ramionami, jakby kierunek tej podróży był oczywisty. - Narobili tam niezłego bigosu. Nie słuchała pani wiadomości?

- Ci Niemcy są tacy zasadniczy - westchnęła. - Czy oni nie znają słowa „kompromis”?

Spojrzał na nią zdziwiony, potem znów się uśmiechnął. Miał już prawie siedemdziesiąt lat, a wyglądał najwyżej na pięćdziesiąt. Gdy się uśmiechał, nawet spokojne kobiety o ustabilizowanym życiu rodzinnym ogarniała fala zupełnie nieprzyzwoitych fantazji. Tyle że Cyfert miał bardzo młodą i bardzo piękną żonę, której nie zdradzał. Ku cichemu ubolewaniu sekretarki.

- Pewnie nie - powiedział. - Zawsze musimy naprawiać to, co spieprzą.

Zdziwiła się, gdyż Cyfert był zawsze opanowany i umiejętnie dobierał słowa. Widocznie prezydent Weiss musiał go rozdrażnić bardziej niż mogłoby się to wydawać.

- Do widzenia - powiedział.
- Powodzenia jutro, panie prezesie. - Wstała.
- Nie znoszę publicznych wystąpień. - Skrzywił się Cyfert.

Wyszedł szybkim krokiem. Przed biurem czekał już jak zwykle olbrzymi, ciężki mercedes z czarnymi szybami. Absolutny szczyt techniki, dysponujący ekologicznym słonecznym napędem. Zresztą niegdyś wyszydzane i surowo tępione słowo „ekologia” od kilku lat robiło prawdziwą furorę, zwłaszcza od czasu serii awarii we włoskich elektrowniach jądrowych. Czysta woda, czysta ziemia, czyste powietrze - nawet niemiecka Hitlerpartei przyjęła te hasła za swoje. Och, świat naprawdę się zmieniał!

Rosiński otworzył tylne drzwi. To był codzienny rytuał, bo Cyfert zawsze odmawiał i siadał na miejscu obok kierowcy. Chyba że jechał z którymś ze swoich ważnych gości lub był gdzieś z oficjalną wizytą.

- Dobry wieczór, panie poruczniku – powiedział Rosiński.

I to był również rytuał, bo Cyfert był przecież generałem. Oczywiście, generałem

rezerwy, za to o wiele słynniejszym od wszystkich generałów czynnej służby. Lecz Rosiński zawsze pamiętał go jako porucznika, młodego porucznika prosto po szkole, którego dano pod opiekę doświadczonemu sierżantowi. Od tamtej chwili minęło już pięćdziesiąt lat, a sierżant, a raczej major rezerwy Rosiński dobiegał osiemdziesiątki. Co na pierwszy rzut oka wydawało się niemożliwe, gdyż sfinansowana przez Cyferta wizyta w najlepszej tokijskiej klinice uczyniła z Rosińskiego doskonały wyrób firmy Siemens-Akai. Partia niby potępiała cyborgizujące operacje, jednak nie było dla nikogo tajemnicą, że większość jej przywódców korzystała z podobnych zabiegów równie chętnie co często.

Cyfert rozparł się wygodnie w fotelu (tym razem była to prawdziwa skóra, precz z ekologicznym terrorem!) i wyciągnął z kieszeni grube hawańskie cygareto. Odgryzł koniuszek. Zaciągnął się głęboko; zawsze zaciągał się, paląc cygara. Leniwie obserwował mijane ulice.

- Wszystko się zmienia, prawda? - zauważył Rosiński, podążając za tym spojrzeniem i nieświadomie przytakując poprzednim przemyśleniom swego szefa.

- Jest bardziej kolorowo - zgodził się Cyfert.

Chociaż przecież nie chodziło tylko o to, że ludzie z miesiąca na miesiąc byli coraz lepiej ubrani. Nie chodziło nawet o to, że wydawali się rozświetleni nadzieją, którą dawały ostatnie decyzje polityczne. Jakoś rzadziej widziało się agresywne, pijacko rozśpiewane grupy wyrostków z Orlego Sztandaru, a nie było już niczym dziwnym spotkanie pejsatego Żyda w chałacie i jarmułce, spieszącego na bazar czy do synagogi. Tak, tak, bo i synagogę odbudowano oraz uroczystie otworzono. Transmitowała to nawet państwowa telewizja. Nie do wyobrażenia jeszcze niedawno. Partia, co prawda, wydawała od czasu do czasu groźne pomruki, ale jej notable szukali już ciepłych miejsc w spółkach, bankach, firmach i przedstawicielstwach. Dla nikogo z zainteresowanych nie było tajemnicą, iż Partia zgodziła się oddać władzę w zamian za obietnice, iż opozycja nie rozliczy jej za przestępstwa z przeszłości. Oraz za to, że nie zacznie wnikać w finansowe machinacje partyjnych bonzów. Ludzie Partii i tak będą trzymali na wszystkim rękę, cichutko, zakulisowo kierowali politycznie niedoświadczonymi marionetkami z opozycji, a za pięć lub sześć lat właśnie oni, jawnie już i z demokratycznego mandatu, obejmą władzę. Pod innym szyldem, rzecz jasna. Cyfert nie lubił Partii, jednak podziwiał jej konsekwencję i dalekowzroczność. A chociaż odczuwał niejaką sympatię dla ludzi opozycji, to jednocześnie ich głupota budziła w nim głębokie zdumienie. Głupota, naiwność, krótkowzroczność, w niektórych wypadkach skorumpowanie. Zresztą któż mógł wiedzieć, ilu z

tych ludzi było tajnymi agentami polskiej policji politycznej, a nawet Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy? A ci uczciwi? W końcu gdzie mieli się nauczyć politycznej mądrości oraz wyrachowania? W więzieniach lub *kon-centr-lagrach*⁷. Na afrykańskich zsyłkach?

- Dostanie pan jutro awans? - Rosiński przerwał jego rozmyślenia.
- Jak co dziesięć lat. Szkoda tylko, że za następne dziesięć nic z tego nie wyjdzie.

Rosiński się roześmiał. Rzeczywiście, trudno awansować ze stopnia generała armii. A do kiedy trwać będzie pamięć o wielkim Smigłym-Rydzu, nikt nie ośmieli się wskrzesić stopnia marszałka.

- Pięćdziesiąt lat - powiedział w zadumie Rosiński i zrećźnie wyminął pijanego przechodnia, który lawirował po pasach, nie mogąc się zdecydować, w którą pójść stronę. - Powoli zapominam. Jaka była wtedy pogoda?

Cyfert przymknął oczy i przez chwilę zazdrościł Rosińskiemu. On sam nie zapomniał niemal nigdy i niemal niczego. Między innymi dlatego osiągnął to, co osiągnął. Ale niezdolność do amnezji częściej łączyła się z bólem. A tamte lata, cokolwiek by o nich dzisiaj mówić, były samą esencją bólu. I strachu. I chwały.

- Świeciło słońce - odpowiedział. - I jak na początek marca było bardzo ciepło.
- Tak właśnie myślałem. - Uśmiechnął się Rosiński. - Prawda, miałem wtedy wziąć urlop i jechać w góry. Na Kasprowym leżał prawie metr śniegu, ale wszyscy mówili, że to nie potrwa za długo. Zbliżał się halny...

- A o czym ja wtedy myślałem? - zastanowił się Cyfert. - Czy już wiedziałem? Czy w nawale próbnych alarmów i mobilizacji odgadłem, iż nadchodzi właściwy czas? Nie, chyba jednak łudziliśmy się, jak zwykle, do końca. A potem pojawił się strach. O czwartej pięćdziesiąt. Przed świtem. Było szaro. Pora duchów, widm i upiorów. Pora śmierci. I dużo było tej śmierci, od kiedy Stukasy oraz bombowe dywizjony Heinkli i Łosi nadleciały nad sowieckie granice. Dużo, aż do przyzwyczajenia.

Cyfert zaciągnął się głęboko cygarem i zakaszłał. Lekarz od dawna radził mu, aby przestał palić albo sprawił sobie syntetyczne płuca. Lekarz był człowiekiem młodym, wychowanym w nowych warunkach. Nie bardzo rozumiał przywiązanie starych ludzi do własnego ciała. Traktował wszystko instrumentalnie, a przecież nowe płuca to nie to samo, co nowy silnik w samochodzie. A poza tym coś za dużo ostatnio mówiło się o doktorze Mengele - najwybitniejszym specjalście od przeszczepów. No, w zasadzie mówiło się o jego nieżyjącym

ojcu, ale niesiona stugębną plotką opinia rzutowała na całą firmę. Jeśli choć część z tych doniesień miałyby się potwierdzić, to prawda była rzeczywiście przerażająca. W każdym razie Cyfert pozbył się szybko drobnych udziałów w zespole klinik Mengelego, zarówno z uwagi na fakt, że bał się strat finansowych, jak i z powodu złej sławy, z którą nie chciał być kojarzony. W końcu od polskiego bohatera narodowego wymagano więcej niż od innych.

- Potem musiałem czekać niemal dwa lata. Dopiero w czterdziestym czwartym pojechałem. W Alpy...

A więc o tym myśleliśmy. Wyjechać na narty, do dziewczyny, do żony. Nie chcieliśmy wojny. Naprawdę jej nie chcieliśmy, mimo tego wszystkiego, co mówili i mówią do dzisiaj nasi wrogowie.

- Przecież nie chcieliśmy wojny - powiedział głośno. - Chcieliśmy tylko spokoju.
- Ale opłaciło się... - westchnął Rosiński, biorąc zakręt.
- Chyba tak - mruknął Cyfert, kiedy zatrzymali się pod jego domem. - Wejdiesz na herbatę?

- Nie, nie. Niech się pan cieszy domowym zaciszem. Pojutrze, tak?

- Pojutrze - przytaknął Cyfert. - Chociaż w naszym wieku umawiać się na pojutrze to istne wyzywa nie losu.

Rosiński roześmiał się ponownie.

- Powodzenia - rzucił. - Nie idę jutro na Plac, będę oglądał pana w telewizji. Trzymam kciuki.

Cyfert poklepał go po ramieniu i wysiadł. Otworzył bramę i pogłaskał psa, który wybiegł mu na spotkanie. Anna musiała wcześniej zobaczyć samochód, gdyż stała już w otwartych drzwiach.

- Obiad prawie gotowy - powiedziała.

Cyfert, patrząc na nią, po raz kolejny pomyślał, że nie zrobił błędu, decydując się na małżeństwo z tą piękną, młodą dziewczyną. Miała dziewiętnaście lat, o przeszło pięćdziesiąt mniej niż on. Mój Boże, różnica pokolenia to mało powiedziane. Cały czas był zdumiony jej zaangażowaniem, zwłaszcza że nie chodziło o pieniądze. Cyfert był bardzo bogatym człowiekiem, ale podejrzewał, że ojciec Anny mógłby go bez trudu wykupić. A Anna była ukochaną jedynaczką. Zresztą niełatwo przyszło przekonać obecnego teścia, by zgodził się na ten ślub. Cyfert w chwili rozpaczy zastanawiał się nawet, czy nie poprosić o pomoc Partii, na

szczęście obeszło się bez tego. I dobrze, bo Partia zawsze potrafiła zgłosić się po odbiór nagrody za wyświadczone przysługi.

- Dzwonił Kauffman z Breslau, a zaraz potem Seidemann z Kijowa - oznajmiła Anna, całując go w policzek. - O co tam chodzi, kochanie?

- W Kijowie? Strajki. - Cyfert wzruszył ramionami. Słowo „strajk” stawało się coraz popularniejsze.

Dawna dyscyplina odchodziła w niepamięć. Skoro nawet już Kijów strajkował! Tak to już jest, kiedy administracja państwowa przewraca się do góry nogami. Nawet na Madagaskar trzeba było wysłać pułk strzelców podhalańskich, by spacyfikował zamieszki francuskich *gastarbeiterów*! Ale Cyfert nie miał nic przeciw tej przewrotce. Partia rządziła wystarczająco długo i, niestety, stawała się coraz mniej efektywna. A Cyfert, jak każdy *geszeftman*, cenił przede wszystkim efektywność. Dlatego jeszcze pod koniec gorących lat pięćdziesiątych, wraz z grupą polskich i niemieckich przyjaciół, przyczynili się do upadku Speera. Gdyż Speer wtedy stał się niewydolny i zupełnie nieprzystosowany do czasów pokoju. Nie umiał konkurować z coraz szybciej rozwijającą się amerykańską gospodarką (za to namawiał ówczesnego kanclerza Goebbelsa do atomowego ataku na Nowy Jork!), nie rozumiał i nie chciał zrozumieć Japończyków. Przynajmniej był niezłym architektem. Zaprojektował potem warszawski Pałac Kultury i Techniki. Niektórzy wytykali mu, co prawda, nadmierny monumentalizm i bizantyjskie rozbuchanie zastosowanych rozwiązań, jednak Cyfert z biegiem lat przyzwyczał się do tej budowli, która powstała na miejscu dawnej żydowskiej dzielnicy.

- Dlaczego strajkują? - zapytała Anna. - Za mało zarabiają?

- To też - odpowiedział Cyfert. - Głównie idzie o spory na tle językowym. Chcą, aby zmieniono języki wykładowe w szkołach i na uczelniach.

- To dlaczego nie pozwala im się uczyć w ich własnym języku? - oburzyła się Anna.

Cyfert roześmiał się, trochę zdumiony, a trochę rozczulony jej niewiedzą.

- Odwrotnie - rzekł. - Oni domagają się, by znieść przymus nauki ukraińskiego i rosyjskiego, a wprowadzić niemiecki lub polski. Twierdzą, że nie mają potem szans na dobrą pracę. Z grubsza właśnie o to chodzi.

- Polityka mnie zdumiewa - stwierdziła Anna.

- Jeśli ktoś nie czyta gazet ani nie *fersehen*... - roześmiał się Cyfert. - A co jest na obiad? - Zmienił temat. - Zaraz potem muszę usiąść nad tym cholernym przemówieniem. Chcesz być

moim pierwszym słuchaczem?

- Jasne - odparła. - Ale obiad i przemówienie mogą poczekać.

W jej oczach zamigotały iskiereki, które tak lubił.

- Jasne, mogą poczekać - zgodził się.

* * *

- Banalne, prawda? - spytał, nieco zażenowany jej przedłużającym się milczeniem.

• Sztampowe - przytaknęła. - Przemówienie jak setki innych. Czy nie powinienes powiedzieć czegoś wyjątkowego? Czegoś uderzającego albo wzruszającego? Jesteś wyjątkowym człowiekiem, więc nie zachowuj się jak reszta stada.

- Wzruszającego - powtórzył Cyfert. - Zabawne...

• Nie, nie - zapaliła się. - Opowiedz o tym, jak pamiętasz tamte dni, powiedz, co się zdarzyło. Prawdziwymi słowami, a nie zbitką wyświechtanych frazesów.

Cyfert otworzył barek i wlał do głębokiego kieliszka na dwa palce koniaku. Przez moment ogrzewał alkohol w dłoni.

• Jesteś surowym sędzią - mruknął, sam dobrze wiedząc, że jego przemówienie jest banalne, sztampowe i takie, jakich setki. - Ale co zrobić? Tam obowiązują pewne formy i pewne formuły. Próbując od nich odejść, wywołam konsternację. To tylko jeszcze jedna głupia uroczystość, Anno.

- Pięćdziesięciolecie.

• Taak, pięćdziesięciolecie - odparł. - Mój Boże, jaki jestem stary!

• Nie uciekaj od tematu. - Pogroziła mu palcem. - Zastanów się nad tym, dobrze? Możesz mi też nalać tranka?

• Dobrze - zgodził się bez wahania, wiedząc, że mimo jej obiekcji nie zmieni nic w wystąpieniu.

• Mógłbyś na przykład opowiedzieć jak go... pojmałeś - zasugerowała po dłuższej chwili, przyjmując z jego rąk szklanekę soku pomarańczowego z lodem i kilkoma kroplami wódki.

Przez twarz Cyferta przebiegł skurcz.

• O tym nie muszę opowiadać - odparł ostrym tonem. - Napisano już wystarczająco dużo książek i nakręcono wystarczająco dużo filmów. Nie mam nic do powiedzenia na ten temat.

- Mógłbyś wyjawić, jak było naprawdę...

- A jak było naprawdę? - niemal krzyknął. - Ja już nie pamiętam, Anno. Tego jednego nie pamiętam! Widzę wszystko jak przez mgłę. Nie wiem, ile w moich wspomnieniach jest prawdy, a ile fantazji. Te setki wywiadów, dziennikarze, artykuły, potem książki i filmy... Gdzie skończyła się prawda, a zaczęła fikcja?

Kiedy zacząłem powtarzać bzdury, którymi faszerowano mnie niemal od samego początku?

- A jednak *führer* nazywał cię przyjacielem... - powiedziała po chwili.

- Kanclerz Hitler nie żyje od trzydziestu sześciu lat. - Cyfert wzruszył ramionami. - Był wielkim człowiekiem, geniuszem i wizjonerem, co to jednak ma wspólnego ze mną? Gdyby nie ja, byłby ktoś inny. Pewnie, że woleliby młodego oficera SS albo Wehrmachtu, ale to byłem właśnie ja. Los, łut szczęścia, jakkolwiek by to nazwać. Trafiło się ślepej kurze ziarno. - Roześmiał się, ale w tym śmiechu nie było radości.

- Nic się nie dzieje tylko przypadkiem - odparła.

Cyfert zmarszczył brwi. Oczywiście znał plotki mówiące o tym, że Abwehra celowo podała mylne informacje. Admirał Canaris, łagodnie mówiąc, nie przepadał za chłopakami z SS i niektórzy twierdzili, iż z pewnością z dwójga złego wolał, aby na podejrzany teren weszły polskie oddziały, a nie Trupie Główki. Choć gdyby podobne knowania miały miejsce w rzeczywistości, to kanclerz Hitler z całą pewnością nie poprzestałby na dymisji zuchwałego admirała. No, ale Canaris w ogóle był dziwnym człowiekiem, a jego losy tak się splątały, że do dziś historycy spierali się, czy nie był przypadkiem brytyjskim, amerykańskim lub nawet japońskim agentem. Oczywiście, nie niemieccy historycy, ponieważ tym wolno było prezentować tylko jedyny słuszny światopogląd. Choć teraz i to się zmieniało, jak pokazywał przykład szokujących prac młodych naukowców z Oppeln.

- Myślisz o Canarisie? Skoro tak, powiem ci, że...

- O kim? - Otworzyła szeroko oczy i Cyfert zrozumiał, że to nazwisko nic jej nie mówiło. Bo przecież, mój Boże, dla niej Wojna Wschodnia była tylko zamierzchną historią i tematem zadań w nudnych podręcznikach!

- Mówię o Bogu - dodała chłodniejszym tonem. - I o tym, że być może w ten sposób spełniła się Jego wola.

Cyfert machinalnym ruchem splótł palce obu dłoni. Rozważania religijne i mistyka

zawsze go peszyły. Jakoś tam po swojemu wierzył w Boga, ale nie sądził, by ten specjalnie przejmował się losem ludzi. Gdyby było inaczej, to czy zgotowałby taki a nie inny los narodowi, który był ponoć Jego wybranym?

- Kochanie - rzekł pojednawczo - pomyślę nad wszystkim i postaram się przeredagować tekst, tak aby ci się spodobał.

* * *

- Czy możesz zejść do salonu, *lieblich*? - Nawet nie zauważył, kiedy Anna stanęła w drzwiach gabinetu.

Oderwał wzrok od ekranu cyfermaszyny. Nie pracował, sprawdzał tylko ostatnie wiadomości ze świata. Jednocześnie zastanawiał się nad tym, czy - a jeśli tak - to w jaki sposób przeredagować przemówienie.

- Oczywiście, kochanie. Co się stało?
- Masz gościa - oznajmiła Anna. - Ten śmieszny profesor Bednarski.

Cyfert zdziwił się, gdyż profesor Bednarski nie był znajomym na tyle bliskim, by odwiedzać go w domu.

- Profesorze - powiedział uprzejmie, robiąc dobrą minę do złej gry, gdy znalazł się już w salonie. - Zapraszam na górę.

Miał tylko nadzieję, że wizyta nie potrwa długo, cokolwiek miałyby być jej tematem. Zaprowadził gościa do biblioteki i wskazał mu krzesło. Sam sięgnął do przeszklonej sekretery i wyciągnął butelkę koniaku oraz dwa kieliszki. Zauważył, że Bednarski jest wyraźnie zakłopotany. Przyjął kieliszek z niemal przepaszającym uśmiechem. Nie przestawał gładzić spiczastej, szpakowatej bródki, która nadawała mu wygląd koziołka sfrustrowanego przecuciem nadchodzącej starości.

• Jeśli wolno spytać - zagał Cyfert, kiedy już usiadł naprzeciwko gościa. - Co pana do mnie sprowadza? I od razu proszę wybaczyć, że nie będę mógł panu poświęcić wiele czasu, ale jutro... - Rozłożył dłonie. - Sam pan wie.

• Tak, tak, tak. - Bednarski ostrożnie odstawił kieliszek, nawet nie próbując alkoholu. - I ja właśnie w tej sprawie. - Zakręcił młynka palcami, a spojrzeniem uciekł gdzieś w bok.

Dostrzegł „Mein Kampf” w złotych oprawach i wyraźnie się skrzywił. Zapewne

skrzywiłby się jeszcze bardziej, gdyby zobaczył długą i serdeczną dedykację, napisaną własnoręcznie przez kanclerza Hitlera, pomyślał Cyfert.

- Pan będzie jutro przemawiał, generale, prawda?

Cyfert skinął głową. Obaj przecież doskonale wiedzieli, że uroczystość bez jego mowy byłaby nie do pomyślenia.

- Właśnie, właśnie. - Bednarski potarł brodę knykciami. - Pan wie przecież, jakie są plany, prawda? Niemców i tych tam - skrzywił się - naszych, pozał się Boże, przywódców?

- Plany?

• Że niby Rosjanie złamali zasady porozumień, że zbudowali fabryki ciężkiego sprzętu, cała ta kampania w mediach... Nie słuchał pan przemówienia kanclerza naszych drogich sojuszników? - Słowo „sojuszników” profesor wymówił z niedającym się ukryć szyderstwem.

• Nie interesuję się polityką - odparł Cyfert tym razem chłodnym tonem i nie do końca zgodnie z prawdą.

• No tak, a to niedobrze, gdyż polityka interesuje się nami - stwierdził sentencjonalnie Bednarski. - Mógłbym zapytać, co pan myśli o tym medialnym ataku Niemców? Czy teraz, w pięćdziesiąt lat po wojnie, chcieliby jeszcze rozprawić się z nieszczęśnikami, którzy mieli pecha ocaleć?

• Zniszczyliśmy najstraszliwszy reżim, jaki kiedykolwiek istniał na naszej planecie - powiedział Cyfert twardo. - Nigdy przedtem nie było i nigdy już nie będzie państwa, które tak jak Sowiety, bezsensowne i masowe mordowanie swych obywateli uznałoby za podstawę istnienia. Czy zdaje pan sobie sprawę, co by się stało, gdybyśmy nie poszli razem z Niemcami? Oni i tak wygraliby wojnę, tyle że my w tej wojnie nie byłibyśmy ich najpotężniejszym aliantem, a pierwszym wrogiem. Zdeptaliby nas. Rozgnietli.

• Nie wygraliby tej wojny bez nas. - Bednarski wzruszył niecierpliwie ramionami. - Nie bez trzech milionów polskich żołnierzy. Żołnierzy, którzy przełamali front pod Moskwą, którzy przedarli się na Kaukaz, którzy zdobyli Leningrad.

• Może by wygrali, może nie - przerwał mu Cyfert. - Teraz to tylko przypuszczenia. Ale, gdyby ją przegrali? Gdyby spełniła się ta czarna dla cywilizacji wersja wydarzeń, to kto, jak pan myśli, rządziłby światem? Anglicy? Flota nie za bardzo radzi sobie przy okupacji miast - zadrwił. - Francuzi? Zgraja zabojadów, rzucająca broń i uciekająca w popłochu na dźwięk pierwszego wystrzału? Rządziliby Sowietci, drogi profesorze, a oni zafundowaliby światu los, przy którym

rojenia Himmlera byłyby jak bajka dla grzecznych dzieci.

- Demonizuje pan, generale - burknął Bednarski. - Sowieci może mieli i swoje...

- Nie! - Cyfert był już wściekły. - Widział pan zdjęcia z ich lagrów? Ludzie jak szkielety, latami głodzeni, torturowani, pracujący od świtu po noc przy wyrębie lasów. Ludzie z odmrożonymi rękami i nogami. Ludzie z kopalń złota, którzy całymi miesiącami nie oglądali słońca. Widziałem baraki ocieplane murem ze zmarzniętych ludzkich trupów, widziałem zwłoki kładzione pod podkłady kolejowe, widziałem groby z tysiącami ofiar, widziałem ładownie statków, w których zalewano więźniów lodowatą wodą, a ciała wyrzucano do morza. Niech pan mi nie mówi o Sowietach. - Pokręcił głową. - Zasłużyli na wszystko, co ich spotkało.

- Ale czy pięćdziesiąt lat po wojnie dalej są winni? - zapytał cicho Bednarski. - Czy nie dość już przemocy i zemsty?

- Może i nie są winni. - Cyfert wzruszył ramionami. - Jednak w Rosjanach zawsze tkwić będzie niezwykła buta i niezwykła nienawiść. Zawsze byli niewolnikami, którzy jedyną radość upatrywali w dręczeniu niewolników jeszcze słabszych od siebie. Pan przecież wie, że w czasie Wielkiego Głodu wybili dziesięć milionów Ukraińców...

- Niesprawdzone pogłoski. Niemiecka propaganda... - Bednarski pokręcił głową. - Wystarczy tylko spojrzeć logicznie, by z całą stanowczością się przekonać, że te liczby są wielokrotnie przesadzone. Poza tym to była inna epoka, generale. A teraz my ich dręczymy - dodał.

- Wypraszam sobie - parsknął Cyfert. - Sowieckie niedobitki to rzecz Niemców i Japończyków. Co ma do tego nasz rząd? Ale to wszystko nieważne. Proszę mi lepiej powiedzieć, co ja mam z tym wszystkim wspólnego? W jakim celu pan mnie odwiedził i do czego ma doprowadzić nasza dyskusja?

- Chcielibyśmy... - zaczął Bednarski.

- Chcielibyśmy? - powtórzył Cyfert pytającym tonem, mocno akcentując to słowo.

- Ja i grono, nazwijmy to, przyjaciół - wyjaśnił profesor. - Chcielibyśmy, aby rozważył pan opinię, którą przed chwilą ośmieliłem się zaprezentować. Czy nie czas już, by polski bohater narodowy jasno i twardo powiedział: „Wybaczamy i prosimy o wybaczenie”? By powiedział: „Macie prawo do własnego państwa, macie prawo do życia bez strachu, macie prawo do własnego zdania i własnych koncepcji, do szukania własnej drogi”?

Cyfert roześmiał się, choć wiedział, że w odpowiedzi na patetyczny ton głosu Bednarskiego jego śmiech jest co najmniej niestosowny i niegrzeczny.

- Dlaczego miałbym coś takiego mówić? To sprawa Niemców, nie nasza. My jakoś z Ukraińcami i Litwinami się dogadujemy. Ciężko, bo ciężko, ale mając do wyboru nas lub Niemców, wiadomo, że wolą nas. Z jakiego powodu miałbym na oficjalnej uroczystości krytykować sojuszników? Pan przecież wie, jak Berlin alergicznie reaguje na najdrobniejsze przytyki? Trzeba dać im czas, a sami rozumieją, że system kolonialny już się przeżył.

• Tylko, czy na wschodzie ktokolwiek dożyje ewolucji w ich sposobie myślenia oraz działania? - zapytał gorzko Bednarski.

• Profesorze. - Cyfert wstał z fotela, gdyż uznał, że czas już zakończyć rozmowę. - Nie możemy mierzyć się z całym złem tego świata. Amerykańscy Indianie, australijscy aborygeni, afrykańscy Pigmeje też nie zasłużyli na swój los. A tu przynajmniej mamy jedno wytłumaczenie: zniszczyliśmy państwo, które za cel postawiło sobie zagładę, zniszczyliśmy naród, który zawsze pragnął ze swych sąsiadów uczynić niewolników. Najbardziej drapieżne i nieludzkie imperium w dziejach świata. I, proszę mi wierzyć, historia zapamięta, że to alierterzy ocalili światową cywilizację.

Cyfert nie dodał jeszcze, iż jego zdaniem Alliierte, sojusz polsko-niemiecki ocalił życie i majątki wielomilionowej społeczności polskich Żydów. Wiadomo, że Niemcy przez długi czas cierpieli na paranoiczną antysemicką obsesję. Jednak prezydent Mościcki powiedział im wyraźnie: możemy nie lubić naszych Żydów, ale to NASI Żydzi i wam nic do nich. Zajmijcie się własnymi sprawami. Rzecz jasna w języku dyplomacji brzmiało to o wiele oględniej, taki jednak właśnie był sens tej wypowiedzi. Oczywiście, trzeba było uporządkować Warszawę i część innych miast. Żydzi znaleźli dla siebie nowe szanse i nowe wyzwania nie tylko w Palestynie, ale też na Madagaskarze czy na Ukrainie. Teraz zresztą przepisy rasowe znacznie złagodniały i Żydom zezwalano już osiedlać się w wielkich miastach, otwierano również synagogi. Nawiasem mówiąc, dla większości z nich polskie przepisy nigdy nie były przeszkodą. Wystarczyło tylko zasymilować się, spolonizować, przyjąć chrześcijańską wiarę i można było cieszyć się pełnią praw obywatelskich. Znakomita większość Żydów tak właśnie postąpiła.

- Nie wiedziałem, że jest pan aż tak proniemiecki. - Bednarski również wstał. Z poczerwieniałymi policzkami.

Cyfert nawet się nie obraził.

• Dla dobra Rzeczypospolitej, choćby z diabłem - stwierdził. - A my pięćdziesiąt lat temu wybraliśmy diabła mniejszego. Takiego, którego dało się chwycić za rogi i który w pewnym

momencie zobaczył, że bez naszej pomocy jest skazany na zagładę. Wykorzystaliśmy to. Najlepiej jak tylko potrafiliśmy.

- Czego chciał? - zapytała Anna, kiedy Bednarski, niekryjący niezadowolenia z przebiegu rozmowy, opuścił już ich dom.

- Polityka. - Cyfert wzruszył ramionami. - Chcą mnie wciągnąć w swoje głupie gierki i przepychanki. Co za ludzie... - Pokręcił głową z niechęcią. - Nawet święta nie uszanują.

Pocisk z przeraźliwym hukiem rozbił się niedaleko okopów i obsypał ich fontanną ziemi oraz żwiru. Cyfert skulił się machinalnie, chowając głowę w ramionach. Zaciśnął palce na kolbie karabinu i ze zdumieniem zorientował się, że trzyma w rękach przestarzałego Mosina. Mój Boże, od lat nie widział tej broni, chyba że na filmach historycznych. Mosiny wycofano przecież z użycia jeszcze w 1937 roku! Rozejrzał się wokół i dostrzegł, że obok niego leży dwóch żołnierzy. Jeden miał przestrzelony hełm, spod którego sączył się po brudnej twarzy strumyczek krwi. Drugi z żołnierzy twarzy w ogóle nie miał, a zamiast niej tylko czerwono-szary ochłap mięsa. Cyfert podczołgał się do podoficera, siłującego się z zamkiem karabinu.

- Zaciął się, kurwa, zaciął się... - powtarzał tamten z rozpaczą w głosie.

Cyfert wyrwał broń z garści zmasakrowanego żołnierza i wcisnął w dłoń sierżanta.

- Weź - rozkazał i wychylił głowę zza okopu.

Po zrytej przez pociski równinie sunęło siedem Panzerów II. Cyfert rozpoznał ten model, mimo że alierterzy nie używali go już w czasie Wojny Wschodniej. Sierżant, wrzeszcząc „cholerne Szkopy”, zaczął strzelać z karabinu, choć musiał wiedzieć, że kula kalibru 7.62 nie jest w stanie przebić ani nawet naruszyć dwudziestomilimetrowego pancerza. Cyfert chciał go szarpnąć, wytrącić mu broń z ręki, krzyknąć: „człowieku, co robisz, to nasi!”, ale powstrzymał się. Zrozumiał, że wszystko nie dzieje się naprawdę, że przeżywa tylko niewiarygodny koszmar, w którym Rzeczpospolita została zmuszona, by stanąć do walki z najnowocześniejszą armią świata i jednocześnie swoim naturalnym sojusznikiem.

Kilkanaście metrów od nich zaterkotał stary Maxim, zaraz potem zamilkł i Cyfert słyszał tylko krzyk strzelca: „Amunicja, cholera, gdzie jest amunicja?!”. I wtedy z nieba usłyszeli głucho buczenie, a zaraz potem zza chmur, ledwo widoczny w promieniach oślepiającego letniego słońca, nadleciał klucz samolotów.

- Anglicy! - wrzasnął uradowany sierżant i chwycił Cyferta za ramiona. - Anglicy, panie poruczniku! Jak Boga kocham, Anglicy!

Cyfert nie podzielał jego radości. Po pierwsze, zbyt zdumiał go fakt strzelania do Niemców, których pamiętał jako trudnych, ale jednak sojuszników. A po drugie, poznał, że to nie lecą angielskie maszyny. Zbliżające się sylwetki należały do Heinkli 111 B - nie najnowocześniejszych bombowców, jednak wystarczająco groźnych, jeśli przeciwnik nie dysponuje obroną przeciwlotniczą.

- Matko Boża - szepnął do siebie i spojrzał na nielicznych żołnierzy, którzy pozostali w linii okopów. Te nadlatujące Heinkle nie były nawet potrzebne, aby rozprawić się z obroną. Wystarczyłoby kilka czołgów i piechota, która zapewne niedługo również się pojawi. I będzie po wszystkim.

- Dlaczego z nimi walczymy? - krzyknął prosto w twarz sierżanta. - Dlaczego, na Boga, z nimi walczymy!?

Sierżant nie usłyszał tego krzyku, gdyż niemal w tej samej chwili tuż obok nich eksplodował kolejny pocisk. Cyfert poczuł grudy ziemi tłukące go w twarz i upadł, chowając się w okopie. Coś jednak zobaczył. Zza wzgórza wyjeżdżał szereg wyciągniętych w galopie kawalerzystów. Na lancach powiewały biało-czerwone barwy, słońce lśniło w stali wypolerowanych szabel. Wierzchowce przesadziły okopy i gnały wprost na niemieckie Panzery. A potem Cyfert widział już tylko padające ciała, koziołkujące konie, wzniesione chmury piachu, słyszał przeraźliwe jęki zmieszane z rozpaczliwym, pełnym bólu, rżeniem. A później już nie było nic, tylko spokojnie sunące czołgi oraz skrzydła samolotów ogromniejące w promieniach słońca.

* * *

Cyfert ocknął się i chyba krzyknął albo przynajmniej zdawało mu się, że usłyszał własny krzyk. Rozejrzał się spanikowany, pełen obaw, że zobaczy trupy oraz linię okopów, czołgi i nadlatujące bombowce. Zamiast tego zobaczył tylko zwinięte w kłęb poduszki oraz delikatną twarz śpiącej Anny. Wszystko to w łagodnym poblasku świtu, który starał się już przedrzeć przez stopy zawieszony w oknach. W smudze światła unosiły się i wirowały jasne pyłki. Odetchnął z ulgą, ale nadal czuł, że serce trzepece mu drażniącym, niecierpliwym i niemal bolesnym rytmem. Sięgnął po stojącą na nocnym stoliku szklankę z wodą mineralną i opróżnił ją jednym haustem. Serce powoli się uspokajało.

Tego tylko brakowało, żeby padł na zawał pod wpływem durnego snu, pomyślał,

starając się w myślach roześmiać, jednak nadal był zbyt przestraszony. Ten sen był tak przekonujący, tak realistyczny. Wydawało mu się, że za paznokciami ma jeszcze cały czas brudny piach i zaschniętą krew, że na twarzy czuje ból po uderzeniu grud ziemi, a w uszach wibrują krzyki mordowanych żołnierzy i konających lub poranionych koni. I ten huk nadlatujących Heinkli. Tak niezwykły w swej grozie, gdyż przecież w czasie Wojny Wschodniej przyzwyczailiśmy się witać go z radością.

Czy tak mogło być? Czy możliwa była wersja historii, w której Polska stanęła do bezsensownej walki z Trzecią Rzeszą? Cyfert wstał i zbliżył się do okna. Rozchylił lekko zasłony, na tyle delikatnie, by promienie świtu nie obudziły śpiącej Anny. Nie, pomyślał, to zbyt głupie przypuszczenie. Owszem, byli krzykacze, których mierzył Hitler - prosty żołnierz i trybun ludowy; owszem, były wszelkiego rodzaju socjalistyczne i komunistyczne szumowiny, które życzyły sobie sojuszu ze zbrodniczym sowieckim reżimem; owszem, byli prości ludzie ogłupiani przez media i tresowani w zoologicznym antygermanizmie. Ale wszystko było do przewyciężenia, jeżeli tylko szczerze kochało się Polskę i pragnęło jej dobra. Wszystko było też do przewyciężenia, jeśli myślało się logicznie. Polska miała dwóch silnych i niechętnych jej sąsiadów. By przeżyć, musiała jednego przekabacić na swoją stronę. I z całą pewnością nie mógł to być sowiecki reżim, bo wtedy z Rzeczypospolitej nie pozostałoby już nic.

Zalałaby nas czerwona hołota, te brudne, zawszone świnię, mordercy-analfabeci. A potem Polaków ukształtowałiby na swój obraz i podobieństwo. Pozbawiliby nas historii, godności oraz korzeni. Nadaliby nam ledwo dukających po polsku przywódców, czerwonoarmijnych generałów, poprzebieranych w polskie mundury, lub agentów NKWD, których jedynym celem byłoby uzależnić nas jak najsilniej od moskiewskich władz.

Opluliby naszą kulturę, ukradli naszą gospodarkę, postawiliby pomniki zdrajcom, a patriotów zaszlachtowali w lagrach. Przenicowaliby nam mózgi tak, byśmy uwierzyli we wszystkie nonsensowne brednie, którymi poił świat od czasu październikowych zbrodni. Pewnie w środku Warszawy stanąłby pomnik *oberkata* Dzierżyńskiego, a któreś z głównych miast nazwano by od imienia Stalina... Pewnie jeszcze w kilkadziesiąt lat po sojuszu z Sowietami pyski nowych przywódców przypominałyby mordy rosyjskich muzyków.

Cyfert przypomniał sobie twarz Stalina, a w zasadzie Josifa Wissarionowicza Dżugaszwilego, gruzińskiego bękarta, który zrobił tak wielką karierę. I którego karierę w porę przerwało zdecydowane działanie alierterów. Cyfert pamiętał twarz sowieckiego przywódcy tak

dobrze, jakby widział ją dzień lub dwa dni temu. Brzydka, wąsata, zryta dziobami po ospie. Tego dnia w dodatku zakrwawiona i wykrzywiona grymasem przerażenia. Stalin miał rzadkie, zbrązowiałe od tytoniu zęby i szczyrzył je niczym wściekły pies. Jakże różniła się ta twarz od portretów z sowieckich gazet. Jakże różnił się też ten człowiek - będący niemal karłem - od wizerunku przedstawianego na licznych grupowych zdjęciach, gdzie zawsze musiał górować nad partyjnymi towarzyszami.

Cyfert otarł twarz wierzchem prawej dłoni i poczuł kropelki potu. Wspomnienia roku czterdziestego drugiego, tego pamiętnego, wielkiego roku, zawsze budziły w nim, prócz dumy, również strach i obrzydzenie. Ale cóż, czterdziesty drugi był tak dawno temu. Niewielu już pozostało weteranów tamtych lat, a dzieci czy nastolatki byli znużeni ciągłymi martyrologicznymi wspominkami. Nawet polska kinematografia nie cieszyła się już taką popularnością jak dawniej i po raz pierwszy od lat w kinach było więcej wesołych, amerykańskich filmów, traktujących jak zwykle, głównie o romansach i kopulacji. Cyfert westchnął. Cóż, takie czasy. Młodzi ludzie nie życzyli już sobie żyć wspomnieniami wojennych przewag dziadków i pradziadków. Chcieli podróżować, bawić się, robić karierę. Wyjeżdżali do Niemiec, Ameryki, Japonii, rękami i nogami bronili się przed pracą w kolonijnych administracjach, chociażby na Madagaskarze czy na Seszelach. Chodzili na *tanzstahlowe* koncerty, uciekali przed służbą wojskową, opalali się nago na plażach. Nie chcieli nie tylko pamiętać, ale nawet wiedzieć o daninie krwi oraz bólu, jaką złożyli ich przodkowie. A przecież są tym, kim są, tylko dzięki nam. Cyfert spojrzął na anielską, słodką buzię swej nastoletniej żony. Kim by była, gdyby nie zwycięstwo alierterów? Szarą, bezbarwną dziewczyniną w burej chuście, która zamiast piękną polszczyzną, mówiłaby językiem pełnym ruskich naleciałości. A jej marzeniem życiowym byłyby wakacje na Krymie i pospieszna przygoda ze złotozębym towarzyszem partyjnym.

Cyfert poczuł, że nie będzie mógł już zasnąć. Zdumiewający sen oraz późniejsze przemyślenia wytrąciły go z równowagi. Cicho otworzył drzwi i zszedł po schodach do kuchni. Przygotował sobie mleczny koktajl z mango i pomarańczami, a potem zaprogramował lodówkę tak, by jeszcze dzisiaj złożyła na Netz zamówienie na świeże owoce.

Włączył *Ferseh wand* i przeciwległa ściana rozjarzyła się kolorami. Państwowa telewizja pokazywała przygotowania do Święta Zwycięstwa, krótkie reportaże z Warszawy, Krakowa, Lwowa, Wilna i Kijowa, a nawet z egzotycznego Piłsudskiego, pełnego mimo wczesnej pory

różnobarwnych i radośnie rozkrzyczanych czarnoskórych tubylców. Cyfert westchnął (co roku program tego dnia wyglądał niemal identycznie) i przełączył się na BBC. Kilku komentatorów ubolewało nad faktem, że Anglia pozostała neutralna w czasie Wojny Wschodniej i w związku z tym nie partycypowała w korzyściach, jakie stały się udziałem sojuszników. „Możemy się tylko wstydzić, że kiedy cywilizowany świat świętuje triumf nad siłami zła, nam pozostaje jedynie pozostać w domach i wspominać tchórzostwo naszych przywódców” - powiedział jeden z historyków, a Cyfert pokiwał głową, zgadzając się z tym zdaniem w całej rozciągłości. Usłyszał szelest kroków i zaraz potem zobaczył, jak żona schodzi ze schodów. Mimo że dopiero co obudzona ze snu, wyglądała pięknie ze spływającą na ramiona jasną aureolą włosów i w prześwitującej koszuli nocnej.

- Denerwujesz się? - spytała zaspanym głosem. Cyfert uśmiechnął się, podszedł i pocałował ją w ciepły policzek.

• Ach, durne koszmary - zbagatelizował. - Tak czasami zastanawiam się, czy nie rzucić tego wszystkiego - dodał. - Może wyjedziemy w jakieś piękne miejsce i spędzimy długie wakacje nad oceanem? W domku na plaży i z widokiem na rafę koralową?

• Tak, tak - mruknęła. - A ty po tygodniu dostaniesz szału, że nie masz nic do roboty. Jesteś taki sam jak papcio...

Roześmiał się i w myślach przyznał jej rację.

• Zrobić ci coś do picia? Może śniadanie?

• A może byś wrócił do łóżka? - zaproponowała w odpowiedzi.

Machnął ręką, bo wiedział, że nie da rady zasnąć.

- No to zrobię sobie jajecznicę - zdecydował.

Nie mieli kucharki ani gosposi, gdyż Anna twierdziła, że nie zniesie obecności obcych w domu. Z trudem zgodziła się na ogrodnika, który zresztą mieszkał w przybudówce, z trudem również tolerowała nienatrętną, lecz ciągłą kontrolę szucerów, strzegących całego osiedla.

Cyfert sięgnął do lodówki i w momencie kiedy dotknął sensorów, przez jego głowę przemknęła oślepiająca błyskawica. Zachwiał się, cofnął o krok, oparł dłoń o krawędź stołu, po czym upadł z łomotem na podłogę. Jedyne, co zapamiętał, to własny strach i przerażenie w oczach Anny.

* * *

Coś obok gwizdnęło przeraźliwie, a potem ze ściany obok poszły odpryski muru i tynku. Złomek cegły ugodził Cyferta w policzek, rozorał skórę niemal do kości. Cyfert poczuł, jak ciepła krew spływa mu do ust.

- Panie poruczniku, tu! Panie poruczniku!

Ktoś rozpaczliwie wołał do niego z rozwalonego okienka piwnicy i Cyfert, niewiele myśląc, zanurkował w tamtą stronę. Silne dłonie wciągnęły go do środka. Zobaczył umorusaną twarz człowieka w cywilnym ubraniu i niemieckim hełmie. Hełm był jednak przepasany biało-czerwona opaską.

- Niewiele brakowało, panie poruczniku, jak rany Boga - wydyszał w jego ucho dziwny cywil. Cyfert zauważył, że tamten w prawej dłoni trzyma starego Visa. - A skądę się pan tu w ogóle wziął?

Cyfert sam chciałby znać odpowiedź na to pytanie, więc tylko zaklął z cicha i wierzchem dłoni roztarł krew po twarzy.

- Babinicz! - ryknął ktoś z tyłu chrapliwym głosem. - Biegiem, chłopie! Zaraz schodzimy do kanałów!

Dziwny cywil wyprostował się, zasalutował i trzasnął obcasami.

- Podchorąży Babinicz, panie poruczniku! - szczeknął.
- Cyfert - odparł Cyfert, zdziwiony brzmieniem jego nazwiska, i machinalnie odsalutował. - Schodzicie do kanałów?

- Mają tu dwa czołgi i zaraz się zacznie zabawa. - Babinicz powiedział to tak, że zabrzmiało jak „zab-baw-wa”. - Proszę z nami, panie poruczniku. Będziemy się przedzierać kanałami do Śródmieścia. Musimy się utrzymać, póki nie przyjdą Rosjanie. Mówią też, że może - ubrudzoną twarz rozświetlił uśmiech - Anglicy zrzucą naszych, od Maczka. Damy im jeszcze popalić, panie poruczniku, co?

Generał Maczek? O tak, to nazwisko brzmiało dla Cyferta jak czysty dźwięk dzwonu. Dowódca I Armii Pancерnej przełamał front pod Moskwą, a jego oddziały zmiotły ze szczętem sowieckie linie obrony. Już chciał spytać, czy to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk, kiedy coś huknęło z ogromną siłą niedaleko od nich. Tak potężnie, że ściany zadrżały, a z sufitu poszła gęsta chmura rdzawego pyłu. Babinicz zatoczył się w stronę okna i wtedy zajazgotała seria z kaemu. Podchorąży dostał dwie kule. Jedna zrzuciła mu z głowy hełm, druga trafiła w ramię. Okręcił się na lewej nodze, jak w jakimś dziwnym, boleśnie niezdarnym piruecie, i wpadł prosto

w ramiona Cyferta. Obryzgał mu krwią mundur.

- O żesz ty! - zajęczał tylko. - O żesz ty!

Cyfert mocno go pochwycił i widząc, że nie ma już na nic czasu, zaczął wlec w stronę, z której jeszcze niedawno dobiegał ponaglający głos kolegi Babinicza. Zobaczył zbieraninę kilkunastu ludzi. Paru w cywilnych ubraniach, dwóch w niemal kompletnych mundurach Wehrmachtu. Łączyło ich tylko to, że wszyscy mieli na ramionach opaski z biało-czerwonymi flagami. A ich broń? Cyfert dawno nie widział takiej różnorodności w ramach jednego oddziału. Na Boga, jeden z chłopaków trzymał nawet w dłoniach butelki z benzyną, a inny wymachiwał granatem, wyraźnie zrobionym z rur kanalizacyjnych!

To jakieś powstanie, zgadywał Cyfert. Tylko kto walczy przeciwko komu i gdzie my jesteśmy? Dlaczego liczą na pomoc Rosjan? Dlaczego myślą o Anglikach? Przecież Anglia nie brała udziału w wojnie!

Nie miał więcej czasu na myślenie. Dwaj mężczyźni wyrwali Babinicza z jego rąk i ułożyli go na zaimprovizowanych noszach. Potem wszyscy biegiem ruszyli w stronę pełnego gruzu korytarza.

- Poruczniku, za nami! - ryknął jakiś cywil w hełmie z lat trzydziestych i butach Wehrmachtu. - Szybko!

Cyfert zobaczył jego brudną twarz i rozpalone gorączką oczy. Policzki powstańca były tak wychudłe, jakby nie jadł co najmniej od kilku dni. Cyfert nie miał innego wyjścia, musiał biec za nimi. Przedarli się przez gruzowisko, a potem znaleźli się na podwórku studni. Zrujnowane, wypalone kamienice zdawały się wisieć nad tym podwórkiem na podobieństwo ceglanych, zropaczonych olbrzymów.

- Na dół! - wrzasnął mężczyzna w cywilnym ubraniu, a dwaj inni odtaczali właśnie na bok ciężką, żelazną klapę zagradzającą wejście do kanałów.

Kiedy przyszła jego kolej, Cyfert wraz z innymi osunął się w mroczną, wilgotną otchłań cuchnącą fekaliami. Tylko jeden z mężczyzn miał latarkę i teraz Cyfert kierował się dwoma znakami: przygaszonym, żółtym światełkiem mrugającym gdzieś z przodu oraz chlupotem dobiegającym spod butów człowieka, który szedł tuż przed nim.

Cyfert w czasie wojny widział i przeżywał wiele rzeczy, których widzieć i zobaczyć nigdy by nie chciał. W czasie sierpniowej ofensywy stał na polu zasłanym trupami tak gęsto, jakby były to snopy zboża zebrane z wyjątkowo płodnego pola. Taki był skutek kontrataku

sowieckiego generała Żukowa, który wysłał siedem dywizji piechoty na najlepiej chroniony odcinek frontu. I niemal nikt z tych siedmiu dywizji nie wrócił, by opowiadać, jak to jest wpaść pod ogień zaporowy artylerii, zostać zbombardowanym z powietrza i w końcu rozjechanym przez pancerną szarżę.

Cyfert widział ludzi przypominających strzępy mięsa w ubojni, trupy bez rąk, nóg i głów, żołnierzy konających w męczarniach. Do tej pory pamiętał ten widok i współczuł ofiarom, gdyż były tylko marionetkami w rękach potężnych wrogów. Ale pamiętając o tych strasznych wydarzeniach, zastanawiał się, czy nie wolałby jeszcze raz znaleźć się na podmoskiewskich równinach niż teraz przedzierać się w smrodliwej ciemności, brodzić i tonąć w gęstej mazi złożonej z odpadków i fekaliów. Może jednak nie to było jeszcze najgorsze, tylko fakt, iż w tej brei leżeli również martwi ludzie. Raz w błysku latarki zobaczył twarz młodzianki, czarnowłosej dziewczyny. O dziwo, twarz nietkniętą kanałowym brudem, lecz białą, czystą i jakby jaśniejącą w ciemności, niczym oblicze martwego anioła.

Zwłok było więcej. Żołnierze, którzy zatruli się wyziewami, utonęli w fekaliach lub zmarli z ran odniesionych jeszcze na powierzchni. Taki był los najwaleczniejszych z walecznych - śmierć w rzece gówna. I była to symboliczna zapowiedź losu całego kraju, o który walczyli z bezrozumnym męstwem.

A do wszechpanującej w kanałach śmierci, do przekraczającego ludzkie pojęcie smrodu i do poczucia upokorzenia, jakie niosła za sobą ta szczurza przeprawa, dołączył strach przed zabłądzeniem. Bo tak naprawdę nikt nie wiedział, czy idą w dobrą stronę i wyjdą w okolicach Śródmieścia, czy też zabrną w ślepe korytarze i zaułki. Szedł szybciej niż inni i w pewnym momencie z ostatniego miejsca w oddziale przesunął się tuż za plecy mężczyzny z latarką. I nagle poza jej żółtawym, drgającym światełkiem dostrzegli inne światło. A raczej jego odległą zapowiedź.

Wiedział, że jest tu najwyższy stopniem, i wiedział, że do niego należy wzięcie odpowiedzialności za resztę oddziału. Oczywiście - to był tylko sen, ale nawet we śnie należy postępować godnie, tak jak to przystoi polskiemu oficerowi.

- Stać - rozkazał. - Sprawdź wylot.

Minął żołnierza, który zatrzymał się na dźwięk jego głosu, wychodząc ze słusznego założenia, że skoro Cyfert rozkazywał, to widocznie miał do tego prawo.

Cyfert zaś powłókł się w stronę przebijającego z ciemności blasku. To nie była złuda, nie

reakcja fluorescencyjna zachodząca w kanałach. To było prawdziwe światło dnia! Lecz kiedy zbliżał się już do przerdzewiałych szczelbi drabinki, usłyszał z góry, znad otworu, przez który pojawiło się światło dnia, głosy ludzi mówiących po niemiecku. Chciał się cofnąć, nie zdążył. Zdążył tylko zobaczyć, jak na dno szybu zlatuje coś ciemnego i ciężkiego. Coś, co chlupnęło do brei, w której brodził. A potem był już tylko błysk.

Cyfert wiedział, że to tylko sen, wiedział również, że w tym śnie jest martwy. Wybuchu wiązki granatów, która eksplodowała tuż pod jego stopami, nie mogła przetrwać żadna żywa istota. Nie sprawiało mu to zresztą ani specjalnej różnicy, ani specjalnej przykrości. Najpierw unosił się nad swoim zmasakrowanym ciałem, a potem poszybował daleko w górę.

Leciał nad dymiącym pogorzeliem, niegdyś będącym Warszawą. Widział wyraźnie jak na dłoni poszczerbione szkielety budynków, barykady wśród rumowisk, piwnice, z których unosił się czarny dym. Dostrzegał maleńkie sylwetki ludzi, kryjących się przed nisko nurkującymi Stukasami, widział kogoś, kto biegł pośród gruzów, płonąc niczym żywa pochodnia, kilkunastu cywilów rozstrzeliwanych pod murem, który po chwili wyglądał, jakby ktoś chlusnął nań wiadrem truskawkowego kompotu. Widział też liczne oddziały stojące na drugim brzegu, na Pradze, i dowódców z czerwonymi gwiazdami na czapkach, którzy śledzili rzeź przez lornetki, spokojnie czekając, aż na lewym brzegu wygasną jakiegokolwiek ślady życia.

A więc to tak, pomyślał Cyfert ze spokojem, w którym nie było nawet smutku, tylko pełna goryczy obojętność. Tak właśnie skończyła się nasza wojna z Niemcami, sojusz z Anglią i Francją, zgoda z sowiecką Rosją. Czy mogło być gorzej? Jedni nas zniszczyli, drudzy nam nie pomogli. Ci trzeci przybędą na rumowiska, by wylapać żołnierzy zdradzonej armii i by setka po setce, tysiąc po tysiącu wywozić ich na Syberię lub rozstrzeliwać w wilgotnych piwnicach kulami w tył głowy. Nigdy już nie będzie Polski. Będzie zrujnowana sowiecka zona, rządzona przez sowieckich katów i ich pacholców. I nigdy nie będzie polskiej armii. Zamiast niej powstanie banda przebierańców udających polskie wojsko...

* * *

- Janku, Janku! - Natarczywe wołanie kołatało w uszach.

Otworzył oczy i dostrzegł nad sobą zmęczoną, przestraszoną twarz doktora Komołowskiego. Lekarz dojrzał, iż Cyfert zaczyna reagować na bodźce, i odetchnął z

nieskrywaną ulgą.

- O mój Boże, Janku, ale nas nastraszyłeś - powiedział. - Reanimacyjna za moment będzie.

Cyfert nie miał siły, by odpowiedzieć, więc tylko pokręcił głową na znak, że nie potrzebuje karetki, wie7 dział jednak, że i tak nikt go nie posłucha. Najwyraźniej Anna pobiegła po Komołowskiego - sąsiada mieszkającego mur w mur - i jednocześnie zawiadomiła ochronę medyczną.

- Co mi się stało? - zdołał wyszeptać.

- Zmęczenie, zdenerwowanie. - Komołowski wzruszył ramionami. - Nie możesz brać na siebie tylu spraw. Muszą cię jeszcze dokładnie zbadać, ale to nie zawał, dzięki Bogu.

- Miałem koszmar - powiedział cicho Cyfert. - Widziałem Warszawę, całą w ruinach. Widziałem, jak... - urwał, bo nie bardzo wiedział, w jaki sposób krótko wyrazić całą złożoność swego snu - Polska zginęła.

- Sen mara, Bóg wiara. - Lekarz się przeżegnał. - Ty się już nie musisz troszczyć o Polskę, Janku. Lepiej zatroszcz się o siebie samego - dodał nieco bardziej żartobliwym tonem. - Przecież kilka lat temu radziłem ci, żebyś wyjechał na operację do Tokio...

- Nie teraz, proszę. - Cyfert usłyszał głos Anny i spojrzał w jej stronę. Miała twarz przerażonego dziecka.

Chciał ją pocieszyć, ale nie wiedział, jakie dobrać słowa. Na szczęście w tym momencie usłyszeli przeciągły sygnał karetki i zaraz potem pisk hamulców. Anna wybiegła przed dom.

Badania poszły nad wyraz szybko i nad wyraz sprawnie, a lekarze ku swemu zdumieniu stwierdzili, że wszystko jest w porządku. Cyfert był teoretycznie w doskonałej kondycji, więc medycy po krótkiej konsultacji postanowili zabrać go do szpitala, by tam przeprowadzić dodatkowe testy.

- O nie - zaprotestował Cyfert stanowczym głosem. Stanowczym, gdyż poczuł się już na tyle silny, by takie go tonu użyć. - Nie mogę nie pojawić się na defiladzie - rzekł. - Skoro mówicie, że nic mi nie jest, to znaczy, że nic mi nie jest.

Lekarz ochrony medycznej najwyraźniej nie znał swego pacjenta i nie wiedział, że kiedy przemawia on takim tonem, to wszelkie spory można sobie darować. Dlatego próbował przekonywać najpierw samego Cyferta, a potem Annę i Komołowskiego. Ci jednak tylko bezradnie rozłożyli dłonie.

- Dobrze - poddał się w końcu lekarz. - Jeśli chce pan ryzykować, niech pan chociaż poprosi doktora, żeby panu towarzyszył.

- Oczywiście - zgodził się bez wahania Cyfert, mimo iż wiedział, że to niemożliwe.

Wejście na trybunę honorową - najbardziej strzeżone w dzisiejszym dniu miejsce w Polsce - było dostępne tylko dla zaproszonych gości. I nawet dla bohatera narodowego nikt nie zrobiłby w tym wypadku wyjątku.

W końcu ochrona medyczna zapakowała z powrotem całą aparaturę i wyniosła się z domu. Cyfert wyciągnął się wygodnie na fotelu, a Anna przyniosła mu szklanek wody z lodem i cytryną. Gdy podawała mu napój, zobaczył, że drżą jej palce. Uśmiechnął się.

- Jeszcze nie przyszedł mój czas - zapewnił. – Nie martw się. Nie zamierzam umierać.

I faktycznie czuł, że słabość spowodowana wypadkiem wyraźnie ustępuje.

Rosiński miał wolny dzień, a po Cyferta przyjechał rządowy mazurek, sześciometrowa limuzyna z pancerną karoserią i kuloodpornymi szybami. Oprócz kierowcy siedziało w niej dwóch oficerów Brygady Ochronnej - obaj w czarnych garniturach i w przeciwsłonecznych okularach, ocieniających pół twarzy. Zza szkieł nie było widać źrenic i Cyfert przypuszczał, że mają zamontowane noktowizyjne i rentgenowskie wszczepy, niewątpliwie ułatwiające wypełnianie zadań. Przedstawili się krótko, stuknęli obcasami, a Cyfert podał obu rękę.

- Panie generale. - Starszy z oficerów otworzył przed Cyferciem drzwi limuzyny.

Cyfert wsunął się do obszernego wnętrza, usiadł wygodnie i wyciągnął nogi. A jednak nagłe ataki, dziwna niedyspozycja oraz przerażające wizje, jakich doznawał, wytrąciły go z równowagi. Miał tylko nadzieję, że nic mu się nie przydarzy w czasie oficjalnego wystąpienia. Polski bohater narodowy, słaniający się na nogach i dyszący jak wyrzucony na plażę wieloryb na pewno byłby uciesznym widokiem dla przedstawicieli niemieckich mediów.

Włączył *Fersehscheibe* i matowa, szara szyba zamieniła się w ekran. Tym razem państwowa telewizja przypominała sierpniową ofensywę i masowo poddających się sowieckich żołnierzy. Archiwalne filmy zostały cyfrowo przemodelowane i obraz zadziwiał czystością oraz ostrością barw. Cyfert z nostalgicznym rozrzewnieniem patrzył na polskie i niemieckie flagi łopoczące nad nietkniętym wojną, bez trudu zdobytym Stalingradem. Potem spochmurniał. Emitowano fragment japońskich kronik wojennych i pokazywano odkrycie syberyjskich lagrów przez japońskich żołnierzy. Cyfert przygryzł wargi, patrząc na długie szeregi wychudzonych półtrupów odzianych w bure, postrzępione waciaki. Wśród więźniów krzątali się pielęgniarze,

mignęło kilku przedstawicieli Czerwonego Krzyża, kamera bezlitośnie pokazała przedstawiciela rządu Jego Królewskiej Mości, który wymiotował na swe eleganckie, lśniące buty.

Jak świat mógł o tym nie wiedzieć? - westchnął w myślach Cyfert. Jak przez dwadzieścia pięć lat Sowietom udało się ukryć miliony ofiar? W jaki diabelski sposób ocalili przed wzrokiem ludzkości fakt, że ogromną część swego terytorium zamienili w jeden wielki koncern zbrodni, gdzie życie człowieka było mniej warte niż siekiera, którą ten rąbał stuletnie sosny? Jak potrafili wywołać ogólnocywilizacyjną ślepotę? I dopiero Niemcy, Polacy oraz Japończycy zdarli katarakty z oczu świata. I światu temu dobitnie pokazali, czym są Sowietci.

I nagle, gdy obserwował japońskich żołnierzy wykopujących zwłoki zakopane w zmarzniętej ziemi, poczuł potężne ukłucie pod sercem. Jakby w klatkę piersiową wbito mu gruby, rozżarzony do czerwoności pręt. Jęknął i zsunął się na tylną kanapę limuzyny.

* * *

Stał nad płytkim rowem, a ból w skrępowanych na plecach dłoniach promieniował na całe ciało. Za sobą słyszał pokrzykiwania po rosyjsku. Zerknął na oficera stojącego obok i zobaczył posiniaczoną twarz z ogromnym, napuchniętym strupem zamiast oka. Opuścił wzrok i dostrzegł nadgarstki żołnierza skrępowane czerwonym od krwi drutem kolczastym.

Co się dzieje?! - pomyślał spanikowany.

Usłyszał huk wystrzału i oficer zwalił się do rowu z potylicą roztrzaskaną pociskiem. Teraz obok pojawiło się dwóch enkawudzistów w burozielonych szynelach. Jeden z nich trzymał w dłoni dymiący jeszcze nagan. Cyfert poczuł odór samogonu, zapoconego ciała i nie-pranej odzieży.

Mój Boże, nie chcę tak właśnie umierać! - krzyknęło coś w nim rozpaczliwie.

Odwrócił się, aby chociaż spojrzeć śmierci prosto w oczy, ale niemal w tym samym momencie dostał potężny cios kolbą w klatkę piersiową. Zwalił się do rowu na ciała polskich oficerów, których rozstrzelano tuż przed nim. Jeden z nich jeszcze żył, bo Cyfert widział, że szczęki rannego poruszają się, jakby z trudem przeżuwały coś bardzo lepkiego i trudnego do przełknięcia. Cyfert podniósł wzrok i zobaczył dwóch enkawudzistów kierujących lufy w jego stronę.

- Niech żyje... - krzyknął, ale słowo „Polska” utonęło już w salwie, której nawet nie

usłyszał. Śmierć przyszła tak szybko i tak łatwo, jak gdyby czekała specjalnie na niego.

* * *

Kiedy się ocknął, dojeżdżali właśnie do Placu Piłsudskiego. Usiadł prosto, sięgnął do barku, nalał sobie pełną szklankę koniaku i wychylił duszkiem. Pomogło. Wyciągnął przed siebie dłonie. Drżały, nie tyle jednak, by było to widoczne dla postronnego obserwatora.

- Jezu Chryste - szepnął do siebie. - Co się ze mną dzieje? Skąd pochodzą obrazy, które ciągle widzę?

Cyfert może i był trzeźwo stąpającym po ziemi racjonalistą oraz *geszeftmanem* świetnie radzącym sobie w kapitalistycznej dżungli, ale nieobce mu były pewne mistyczne koncepcje mówiące o istnieniu alternatywnych światów. Ostatnio nawet wybitni fizycy próbowali te mistyczne koncepcje uzasadnić w sposób naukowy. Czy było możliwe, aby doświadczał czegoś w rodzaju jasnowidzenia? Aby kontaktował się z innym uniwersum, w którym sprawy Rzeczypospolitej potoczyły się w sposób najgorszy z możliwych? Nie chciał nawet myśleć, iż mógłby się znaleźć w takim właśnie świecie. W uniwersum Polski upokorzonej, zgwałconej i zabitej. Odetchnął głęboko, starając się uspokoić myśli. Sen mara, Bóg wiara - powtórzył słowa Komołowskiego. Bóg przecież by nas nie opuścił, skoro zawsze bez lęku walczyliśmy w Jego imię i pod Jego sztandarami.

Limuzyna zatrzymała się bezgłośnie, a zaraz potem oficer BOch-u otworzył przed Cyferciem drzwi.

• Proszę, panie generale - powiedział uprzejmym tonem. - Mam nadzieję, że podróż nie była uciążliwa.

• Dziękuję - odparł Cyfert z wymuszonym uśmiechem. - Aż zazdroszczę naszym ministrom.

* * *

Jak na połowę października dzień był piękny i słoneczny. Lekki, wczesnojesienny wietrzyk przewiewał stada cumulusów, zza których wyłoniła się eskadra Łosi XVI - latających fortect zdolnych do przenoszenia broni jądrowej. Na Placu Piłsudskiego zebrał się co najmniej

milion ludzi i teraz wszyscy wpatrzyli się w niebo. Powiewały flagi, rozbrzmiewały radosne okrzyki, ludzie z pierwszego sektora wyciągnęli kolorowe plakietki, dzięki którym cały sektor widziany z lotu ptaka zamienił się w przeogromny portret marszałka Piłsudskiego, potem w równie wielki portret marszałka Rydza-Śmigłego i wreszcie pojawiła się twarda, męska twarz generała Maczka. Wzniesiony za trybuną honorową system projektorów wysłał snopy światła i przemienił jedną z części placu w holograficzny obraz wzburzonego morza, na którym kołysał się lotniskowiec „Generał Żeligowski” - duma polskiej marynarki.

- *To nie łajba niemiecka, trzeba wiedzieć od dziecka, że to okręt wojenny eRPe* - buchnęła spontaniczna pieśń, a Cyfert z rozbawieniem zauważył, że niemieccy dyplomaci udają, iż nie rozumieją słów.

Przyłożył dłoń do czapki, salutując „Generałowi Żeligowskiemu”. Rychło jednak wzburzone morze ustąpiło miejsca fantastycznie błękitnemu niebu, na którym pojawiły się eskadry gigantycznych Żubrów 89. I zaraz potem holograficzne niebo zabieliło się i zaczerwieniło od spadochronów, aż wreszcie cały obraz wypełniony był sylwetkami polskich spadochroniarzy. Cyfert z trudem powstrzymał ziewanie. Z roku na rok nowinki techniczne zwiększały atrakcyjność przekazu, ale w swej warstwie merytorycznej pozostawał on taki sam.

Mógł się założyć, że następny film będzie przedstawiał podwodne próby nuklearne i zapewne również, przygotowywany przez Niemców, system „Stern-krieg” - sojusznikowi trzeba było przecież złożyć propagandową daninę. Zresztą polska feta i tak nie mogła się niczym równać z fetą organizowaną następnego dnia przez Niemców w Berlinie lub Hitlerstadt. Ba, podobno nawet ich system satelitarny miał w tym roku przesłać widoczny na całym globie znak rozświetlonej swastyki. Cyfert uważał, co prawda, podobne akcje za przykład beztroskiego marnowania podatków, ale wiedział też, że Niemcy mieli prawdziwą manię na punkcie epatowania swą techniką i nie mogli się pogodzić z faktem, że przegrywają technologiczny wyścig z Japończykami.

Na szczęście rozumiano już, że tym, co przyciąga tłumy na Plac, nie są długaśne oraz nudne przemowy rządzących i ich gości. Starano się więc jak najbardziej uatrakcyjnić uroczystość, a każdy z mówców miał do dyspozycji zaledwie pięć minut. Wyjątkiem byli jedynie prezydent, premier oraz ambasador Rzeszy. Ten trzeci wyjątek budził zresztą coraz większe obiekcje, jednak dla świętego spokoju Niemcom w tym wypadku ustępowano. W końcu nikt nie miał zamiaru wyklócać się z nimi o kilka minut, zwłaszcza że byli bardzo wyczuleni na wszelkie

naruszenia dyplomatycznego protokołu. Cyfert wiedział też, że w tłumie roilo się od tajniaków, którzy mieli za zadanie pacyfikować ewentualne reakcje tłumu. Bo i tak już zaintonowanie pieśni o „Generale Żeligowskim” z całą pewnością spotka się nie tylko ze wściekłym atakiem niemieckich mediów, ale zapewne również z interwencją Kancelarii Rzeszy. Cóż, Polacy lubili niewinnie pograć lwu na wąsach, zwłaszcza że lew ten był coraz spokojniejszy i coraz bardziej wyliniały.

Po zakończeniu pokazów przyszedł czas na obowiązkowe przemówienia, ale liczba zaproszonych osób została ograniczona do ścisłego minimum. Cyfert z roztargnieniem słuchał mów pełnych frazesów oraz patosu. Moja jest taka sama, pomyślał, zgadzając się tym samym z obiekcjami Anny, nie zamierzał jednak improwizować.

- Panie generale, wchodzi pan za pięć minut. - Z zamyślenia wyrwał go głos jednego z asystentów reżysera widowiska. - Za cztery i pół minuty zacznę pana prowadzić w stronę mównicy, na dziesięć sekund przed pana wejściem kamery już pana obejmą. Czy wszystko jest jasne, panie generale? - Asystent miał wygląd zaaferowanego królika i mówił pospiesznie, ale z wyraźnym szacunkiem.

- Według rozkazu - odparł żartobliwie Cyfert.

Na mównicy kończył właśnie przemówienie szef Sztabu Generalnego, kiedy asystent reżysera delikatnym ruchem ujął Cyferta pod łokieć.

- Zapraszam, panie generale.

Zaczęli iść wzdłuż szeregu dostojników, a tymczasem na mównicy prowadzący widowisko zakrzyczał do mikrofonów.

- A teraz przed nami największy bohater Wojny Wschodniej, człowiek, który wytropił i zabił bestię, człowiek będący symbolem patriotyzmu, odwagi i skromności. Generał Jaaaaan Cyyyyyyfeeeeeeeeeert!

Ostatnie słowa wykrzyczał niczym *ansager* przedstawiający zawodników na ringu i Cyfert z trudem powstrzymał się, by nie skrzywić ust. Obchody Dnia Zwycięstwa, jak na jego gust, zbyt przypominały jarmarczne widowisko. Jednak tłum zawył z entuzjazmem, gdyż Cyfert ku swemu zdumieniu cieszył się ogromną popularnością wśród rodaków. Mimo że wcale o nią nie zabiegał. A może właśnie z tego powodu?

Gdy dochodził już do mównicy, nagle nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Nie było bólu w klatce piersiowej czy ukłucia w serce, a tylko lot w ciepłym powietrzu ku błękitnemu niebu. Nie

czuł nic poza wszechogarniającą lekkością...

Był stary. Stary i niedołączny. Wyciągnął przed siebie ręce i przyjrzał się dłoniom zmiętym, jakby przeszły przez wyżymaczkę. Pod powierzchnią pergaminowo białej skóry pulsowały cienkie, bladoniebieskie żyłki. Te dłonie drżały. Opuszkami palców ostrożnie dotknął policzków i poczuł, że są pomarszczone jak skóra spieczonego jabłka. Miał przygarbione ramiona i nie mógł się wyprostować, a gdy spróbował, nagły atak bólu przeszył kręgosłup. Pamiątka z Kołomy, pomyślał, kiedy nadzorca bił mnie stalowym prętem... A zaraz potem aż zakręciło mu się w głowie. Z jakiej Kołomy, na Boga!?! Nigdy nie trafił aż tak daleko na wschód, zresztą nie mógłby nawet, bo cała Kołyma była pilnie strzeżona przez Japończyków, którzy uważali ją za strefę zamkniętą.

Co też mi chodzi po głowie? - zdumiał się Cyfert i na moment ustąpiło przerażenie wywołane tym niespodziewanym przeobrażeniem z dziarskiego i silnego człowieka w niedołącznego starca. Jednak potem zerknął na pagony i zobaczył, że ma na nich dystynkcje kapitana. Był ubrany w mundur model z roku 1936 i nie miał pojęcia, dlaczego. Po pierwsze, był generałem, po drugie, na wszelkie uroczystości kombatanckie zawsze zakładał mundur model z roku 1942, czyli z roku zakończenia wojny. Tak zresztą robili wszyscy weterani.

- No i co, znowu nie dali, sukinkoty - zaskrzybiał przykurczony dziadek, trzymający się rozpaczliwie dwóch inwalidzkich kul.

- Czego nie dali? - Cyferta zdumiał jego własny głos. Skrzekliwy, zachrypnięty, słaby. Nie było w nim nic z władczego głosu prezesa Cyferta.

- Podwyżek - niemal chlipnął starzec. - Przecież mieli dać pięćdziesiąt złotych więcej emerytury, a nie dali. Za to samochodów se znowu nakupowali... Swołocz!

Cyfert nie bardzo rozumiał, o jakie chodzi samochody, kto je nakupował i dlaczego ten człowiek łączy to wszystko z wysokością emerytury.

- Przecież pan - zerknął na pagony sąsiada - majorze, musi mieć sporą emeryturę. Nie wystarcza panu?

Cyfert dobrze wiedział, że emerytura majora wynosiła niemal dwie średnie pensje krajowe, a status kombatanta zapewniał darmową opiekę medyczną, wczasy w kraju lub w afrykańskich koloniach, komunalne mieszkanie zwolnione od czynszu, zniżkowe leki i wiele, wiele innych ulg. Polska szanowała swych bohaterów. Tak przecież nas wychowano. Byliśmy Polakami, a nie swołoczą ze wschodu.

- Wystarcza?! - Major aż prychnął śliną. Kilka kropelek osiadło na policzku Cyferta. - Nawet na świadczenia, panie, nie wystarcza. Bary mleczne zamknęli. Jeść nie ma za co.

To jakiś koszmar, pomyślał Cyfert. Znalazłem się w świecie, gdzie jestem stary, chory i niedołężny i gdzie bohaterów wojennych traktuje się jak śmieci. Cóż to za diabelstwo? Dlaczego znowu śnią mi się takie rzeczy?!

- O, idzie! - burknął major tonem pełnym pogardy i niechęci.

Cyfert wychylił się i dojrzał niziutkiego, tłustawego osobnika w opiętym garniturze, który przechadzał się wzdłuż szeregu kombatantów i każdemu podawał rękę. Osobnik miał wąskie, zatopione w tłuszczu, chytne oczka knura.

- Kto to? - zaszeptał.

- Coś pan, z byka spadł? Kto jak nie prezydent, czerwona swolocz jebana! - warknął sąsiad, a w jego głosie niechęć do prezydenta walczyła o lepsze ze zdumieniem z pytania Cyferta.

- Prezydent? - powtórzył Cyfert machinalnie. - Prezydent czego?

Ale major nie dosłyszał tych słów, bo wychylał się już i balansował z trudem kulami, aby uścisnąć dłoń przywódcy. Kiedy prezydent zwrócił się do Cyferta, ten wyraźnie poczuł odór nieprzetrawionej wódki buchający z jego ust.

- Dziękuję za przybycie, panie kapitanie - powiedział prezydent, lekko się zacinając.

Cyfert mechanicznym ruchem uścisnął dłoń mężczyzny i miał nieodparte wrażenie, jakby ktoś klepnął go we wnętrze dłoni zdechłą rybą.

- Dziękuję za przybycie, panie poruczniku. - Polityk zwracał się już do kolejnego z weteranów. Jeden z ochroniarzy podtrzymywał go pod łokciem.

- Jak pan myśli, może w przyszłym roku dadzą? - Z osłupienia wyrwał go skrzypiący głos majora.

- Co dadzą?

- No, podwyżkę emerytury, a co mają dać - westchnął tamten z rozdrażnieniem. - Żeby chociaż na leki starczało i czasem żeby jakiś obiad zjeść.

Cyfert usłyszał grzmot i spojrzął w zachmurzone, jesienne niebo. Zerwał się wiatr, niosący ze sobą pierwsze krople deszczu.

To musi być listopad, pomyślał, a co było w listopadzie? 11 listopada, jedno z naszych świąt narodowych. Ale... Tknięty nagłą myślą obrócił się w stronę sąsiada:

- Może dadzą w październiku? - poddał myśl. - Z okazji Dnia Zwycięstwa?

Major popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby Cyfert był chory umysłowo.

• Panie kolego, wy coś nie tego tutaj. - Wyraźnie chciał zakręcić palcami przy czole, trzymaną w dłoni kula mu na to nie pozwoliła. Zachwiał się i Cyfert podtrzymał go, chociaż sam o mało nie upadł. - Od kiedy to zdobyliśmy Berlin w październiku?

• Berlin - powtórzył Cyfert w osłupieniu i puścił ramię sąsiada. - Nie Moskwę? - szepnął tak cichutko, że jedynie on sam usłyszał te słowa.

Deszcz rozszalał się na dobre. Prezydent darował sobie witanie następnych weteranów i powędrował w stronę rządowej trybuny, osłonięty parasolami przez ochroniarzy. Trybuna była kryta przed deszczem, a kombatanci, wystawieni na ulewę i podmuchy wichury, zaczęli się rozbiegać na strony i szukać schronienia poza placem.

Cyfert przyglądał się tym niedołącznym postaciom, kuśtykającym, potykającym się i wywracającym, pragnącym jak najszybciej uciec w bezpieczne miejsce. Notable z rządowej trybuny przyglądali się temu z rozbawieniem. Cyfert widział dyskretne, ale wiele znaczące uśmiešky na tłustych mordach, które zdawały się należeć nie do ministrów polskiego państwa, a do szybko wzbogaconych dworskich fernali, sytych i z tej sytości wielce zadowolonych.

- Mój Boże - powiedział do siebie. - Dlaczego tak to wygląda, skoro wygraliśmy wojnę? I to z Niemcami...

I wtedy ktoś wpadł na niego całym ciężarem, a Cyfert nie zdołał utrzymać się na nogach. Upadł, próbując zamortyzować uderzenie prawą dłonią, jednak był zbyt wolny i zbyt niedołączny. Huknął bokiem głowy o asfalt, a przed oczyma pojawił się oślepiająco jasny rozbłysk. Potem myśli zgasty.

* * *

- Co żesz, kurwa? Znowu żeś się, dziadek, zaszlał! - Cyfert usłyszał wściekły głos i zobaczył nad sobą wąsatą twarz. Mężczyzna był ubrany w biały kitel.

- Daj spokój. - Drugi mężczyzna, starszy, o szpakowatych włosach i również w białym kitlu, pochylił się nad Cyferciem. - Niech pan mi pomoże, panie Janku. Na fotelik, proszę.

Cyfert poczuł, że jakieś silne ramiona obejmują go, pomagają się podnieść i sadzają na wózku inwalidzkim. Zobaczył duże, ogumione koła i poczuł pod palcami dotyk chromowanych poręczy.

- Dziadek, ile razy mówiłem: nie ruszaj dupy ze świetlicy, bo pójdziesz do izolatki?
- Zamknij się - rzucił bez gniewu, ale stanowczo starszy z pielęgniarzy. - Pan Janek nie jest dla nikogo groźny.
- Taaak, a jak kitę odwali, to na kogo będzie?
- Ggg-dzie ja jestem? - Cyfert z trudem formułował słowa, bo język i podniebienie wyschły mu na wiór.

Wiedział, że znowu przeżywa którąś ze swoich zdumiewających sennych wizji, tym razem wyraźnie była to wizja niezwiązana z wojną.

- Rok - rzekł nieco wyraźniej. - Który mamy rok? Wąsaty pielęgniarz tylko westchnął, jego szpakowaty kolega uśmiechnął się.

- 1982, panie Janeczku.

• Czterdzieści lat temu, prawda? - zapytał niecierpliwie. - Wojna skończyła się czterdzieści lat temu, prawda?

• Niecałe czterdzieści - wyjaśnił szpakowaty. - W1945 zdobyliśmy Berlin i wszystko dobrze się skończyło.

• Moskwę! - Cyfert chciał wrzasnąć, ale z jego ust wyszło tylko rozpaczliwe, słabo artykułowane rżenie. - Moskwę w czterdziestym drugim!

• Tak, tak, dziadek, a ty złapałeś Stalina i zostałeś generałem - roześmiał się młodszy pielęgniarz. - Chodź, dziadek, lepiej do świetlicy, pogadasz sobie z Napoleonem i Juliuszem Cezarem. - Mrugnął do kolegi, zaśmiewając się z własnego dowcipu.

Cyfert dostrzegł na frontonie budynku ogromny portret wojskowego w ciemnych okularach i z orzełkiem wykastrowanym z korony. Mimo upływu lat poznał tę twarz, bo niegdyś aż nazbyt często pokazywały ją gazety. Porucznik Jaruzelski. Skazany za tchórzostwo, dezercję i szpiegostwo na rzecz Sowieców. Rozstrzelany pod koniec 1942 roku. Jeden z nielicznych wypadków zhańbienia polskiego munduru.

- Przecież go skazano - wyszeptał do siebie, zastanawiając się, w jakim zdumiewającym świecie znalazł się tym razem. Świecie, w którym portretami zdrajców w generalskich mundurach okleja się domy.

Z budynku wybiegła młodziutka, jasnowłosa pielęgniarka o ujmującej buzi i z włosami upiętymi w kok. Cyfert poznał ją natychmiast, pomimo zmienionej fryzury. To była Anna. Nie tak zadbana, nie tak opalona, nie tak ślicznie umalowana, ale niewątpliwie Anna.

Dziewczyna podbiegła do Cyferta z uśmiechem na ustach.

- Ależ mnie pan zdenerwował, panie Janku - zawołała, kładąc szczupłą dłoń na jego poznaczonej żyłkami dłoni. - Szukałam i szukałam. Niech pan tego więcej nie robi.

Cyfert nie mógł oderwać wzroku od jej rozświetlonej urodą i dobrocią buzi. Wiedział, że w jego oczach musiały się pojawić łzy, gdyż nagle cały świat zaczął widzieć jak przez gęstą mgłę.

- Tomek, odwieź pana Janka na salę - rozkazała pielęgniarzowi i opiekuńczo poklepała Cyferta po wierzchu dłoni. - Później do pana wpadnę, dobrze?

Pielęgniarz pchnął wózek z Cyferem w stronę wejścia, a potem w głąb korytarza. W tym samym momencie jarzeniówki zadrgały spazmatycznym światłem i w chwilę potem zgasły.

- Co żesz, kurwa?! - warknął pielęgniarz. Wjechali w ciemność, a na końcu korytarza nie było nie tylko światła, ale nawet nadziei, że kiedykolwiek ono zapłonie.

2. Wśród ludzi

Silnik płakał już tak żałośnie, że Jezus skręcił w drogę prowadzącą w stronę parkingu. Parking był ukryty w lesie, ale olbrzymi, wybetonowany i zastawiony zmęczonymi, zdyszczanymi ciężarówkami potrafił zdominować las. Pod drzewami tłoczyły się sterty śmieci, jakieś kartonowe pudła, puszki i butelki. Nie mówiąc już o zmiętych paczkach po papierosach, zużytych prezerwatywach czy nawet paru porzuconych pod drzewem podpaskach. Nikt tego nie usuwał, a nawet jeśli, to zbyt rzadko. W powietrzu unosił się zaduch spalin, oleju i surowej benzyny, bo na skraju stały wciąż terkoczące dystrybutory. Za nimi, w głębi, wznosił się metalowo-szklany długi barak i zza brudnych szyb widać było kilkanaście gęsto obsadzonych stolików.

Jezus westchnął ciężko, gdyż nie lubił takich miejsc, i wygramolił się z szoferki. Cóż zrobić, milionerzy jadają w knajpach dla milionerów, a kierowcy w knajpach dla kierowców. Nim zdołał zamknąć drzwi, do wozu podbiegła gromadka dzieci i, zręcznie ustawiając drabinki, zaczęła pucować szyby. Bez pytania i bez określenia ceny. Po prostu, stosując niepisane prawo, które mówiło, że po wyjeździe z parkingu ma się czyste szyby, za to żdziebko lżejszy portfel. Należało tylko pochwalić młodzieńczą przedsiębiorczość i płacić bez szemrania.

Dzieci było czworo, trzech chłopców i jedna dziewczynka, wszyscy z plastikowymi butelkami oraz myjkami w rękach. Od najstarszego, tak dużego, że chyba niedługo będzie musiał

zmienić fach, dość mocno zalatywało piwem. Jezus zostawił samochód na łaskę i niełaskę dzieci. Poszedł w stronę baraku, chociaż miał w szoferce torbę kanapek oraz termos z gorącą kawą. Ale miejsca pełne ludzi zarówno odpychały jak i kusily. Raz zdarzyło mu się spotkać w barze Nietzsche, który akurat zaczepił się tam jako kelner. Ucieli sobie długą i ciekawą dyskusję, tak że Jezus musiał potem cisnąć gaz do granic możliwości, a w dodatku zapłacił mandat i mimo wszystko spóźnił się do bazy. Jednak Nietzsche był naprawdę błyskotliwym interlokutorem, w każdym razie ten Nietzsche, bo Jezus spotkał potem innego i nie był on nawet w połowie tak interesujący jak poprzedni.

Pchnął obrotowe drzwi, wszedł do rozgrzanego wnętrza przesyconego zapachem smażonych ryb, mięsa i frytek. Przy ladzie była dość długa kolejka, więc czekał cierpliwie, czytając po kilkanaście razy jadłospis, choć tak po prawdzie nie było tam zbyt wiele do czytania.

Olbrzymie wiatraki przy suficie z leniwym warkotem miesiły powietrze, ich obecność miała oddziaływać chyba tylko na psychikę klientów, gdyż nie dawały nawet jednego świeżego powiewu. Jezus poczuł, że koszula oblepia mu plecy, i z nagłym wstrętem pomyślał, że nie zmieniał jej już od trzech dni. Zdjął bluzę i przewiesił ją przez ramię, niewiele to pomogło. Otarł pot wierzchem dłoni, a wtedy zobaczył, że palce ma pobrudzone smarem. Jednak żał było tracić miejsce w kolejce, żeby pójść do łazienki, a poza tym publiczne łazienki i szalety to miejsca, od których starał się trzymać z dala. Wreszcie przysłała jego kolej.

Zabiegana dziewczyna, o czerwonej od upału twarzy, włosach wymykających się spod białej czapki z daszkiem i w niezbyt czystym fartuszk, spojrziała pytająco. Tylko spojrziała, bo nie miała już ani sił, ani ochoty, by wypowiedzieć choć jedno słowo. Jezus poznał ją natychmiast. Poznał, mimo że miała nie więcej niż dwadzieścia lat i mocno podkreślone kredką oczy. Poznał ją, bo poznałby ją na końcu świata, nawet jako dziecko czy staruszkę. Była zawsze w jego myślach i sercu, zawsze najważniejsza. Odnalazł ją już dwa razy i zawiódł się, a jednak nie tracił nadziei, że kiedyś odnajdzie ją taką, jaką pragnie, by była, jaką chyba pamięta, że była.

Ona też go poznała, chociaż nikt tego teraz nie potrafił. Jezus miał bowiem włosy ostrzyżone przy samej skórze, twarz zmechaconą trzydniowym zarostem i nosił przydymione szkła w srebrnych, metalowych oprawkach. Było oczywiste, że poznałaby go, nawet gdyby wyglądał jak Robert de Niro w „Taksówkarzu”. Zapatrzili się w siebie zdumieni, pełni lęku i oczekiwania, w którym nie było jeszcze miejsca na radość. Musieli tak tkwić dość długo, bo ktoś stojący za Jezusem krzyknął: „Może byś się tak ruszyła, głupia dziwko!”, a wtedy Jezus

spokojnie odwrócił się i silnym, wypracowanym, pewnym sierpem uderzył tego mężczyznę w zdziwioną twarz, i poczuł wyrzuty sumienia dopiero wtedy, gdy bezwładne ciało zatoczyło się pod stół, wywracając plastikowe talerze i kubeczki. Tacka z ketchupem spadła na twarz tego mężczyzny i wyglądało to na tyle przerażająco, że ktoś zadzwonił po policję.

Sędzia zachowywał się tak miło i tak uprzejmie, jak tylko może sobie pozwolić ktoś, kto właśnie wydał wyrok za pobicie. Poza tym był skonsternowany, a zapewne i zrozpaczony, że to właśnie jemu przypadło prowadzenie sprawy. Na pewno nie chciał zostać współczesnym Poncjuszem Piłatem. Ręce mu się trzęsły, kiedy nalewał Jezusowi herbatę z czajniczka.

- Proszę mnie zrozumieć - powtarzał po raz nie wiadomo który. - Takie jest prawo. - I mówiąc to, miał znowu nieodparte wrażenie, że jest sztywnym forma-listą, i że gdyby był wtedy w Galilei, to też umyłby ręce i oddał Jezusa we władzę sanhedrynu.

A Jezus, również po raz nie wiedzieć który, uśmiechał się i zapewniał, że wszystko jest w porządku, a nawet jeszcze lepiej i że to tylko jego wina, że nie powinien się unieść i że chciałby poznać nazwisko tego człowieka, aby osobiście go przeprosić, i jeszcze raz, że naprawdę jest mu przykro. Lecz sędzia ciągle czuł się winny. Aż w końcu zaproponował, że zapłaci z własnej kieszeni grzywnę, którą nałożył przed chwilą na Jezusa, ale Jezus oczywiście nie mógł na to przystać i spierali się długo. Na tyle długo, że sędzia spóźnił się na następną rozprawę, a Jezus wychodził z sądu zadowolony, bo znowu przekonał się, iż ludzie w gruncie rzeczy są dobrzy, i cieszył się z poznania następnego dobrego człowieka.

Maria czekała przed gmachem sądu. Siedziała na murku przy schodach, założywszy nogę na nogę. Z daleka szczupła, niepozorna i niezwracająca uwagi, z bliska natomiast rozświetlona tą niezwykłą pięknnością, którą Jezus widział przedtem tylko w Galilei, a jakiej nie dostrzegł u dwóch poprzednio spotkanych Marii.

Kiedy zobaczyła, że wychodzi, wstała i zaczęła iść w jego stronę. Uśmiechnięta, w biało-czarnej bawełnianej sukience i tanich sandałkach. Spotkali się na środku schodów i objęli. Jezus przyjrzał się jej z bliska i znów zdumiał się, że on miał trzydzieści pięć lat (tak przynajmniej napisano w paszporcie), a ona nie więcej jak dwadzieścia. Pocałował ją w policzek, a Maria zaśmiała się, bo jego trzydniowy zarost kłuł.

• Dokąd idziemy? - spytał, gdyż nie za bardzo wiedział, co ze sobą zrobić, odkąd zwierzchnik zabrał ciężarówkę z parkingu, zostawiając wiadomość, że szef wylał Jezusa z pracy, pensję potrafił akonto kosztów oraz poniesionych strat.

• Do mnie - odparła. - Zatrzymasz się przecież, prawda? - zapytała z niepokojem i nadzieją, bo wiedziała, że może tylko prosić i że on zawsze robi to, co uważa za słuszne. A przynajmniej tak było dawno temu.

• Oczywiście - odpowiedział i uśmiechnął się. Poszli wzdłuż ulicy, trzymając się za ręce, i wyglądali jak para, w której młoda, naiwna panienka z dobrego domu poznała niezbyt pasującego do niej faceta.

Na szczęście obyło się bez dziennikarzy, kamer, fleszy i mikrofonów. Być może dlatego, że informacja, kim jest zatrzymany, nie wyszła poza biuro sędziego, ale może też temat nie był już tak nośny jak dawniej, gdy Jezusowi obiecywano złote góry, aby tylko zechciał wystąpić w telewizji. Skręcili w boczną uliczkę rozzielenioną rozłożystymi lipami i Jezusowi zachciało się kichać od wirujących wszędzie białych pyłków. Weszli w bramę, a tam w podwórzu-studni skręcili w następną obok figury Matki Boskiej. Jezus spojrział na figurę i roześmiał się.

• Czy ktoś wie? - zapytał.

• Ależ skąd - odparła natychmiast Maria. - Raz wiedzieli i to było straszne. Później ci opowiem.

Jezus skinął głową. Wyobrażał sobie, że to było straszne. To musiało być straszne. Dlatego też zapewne wśród nich - Nowourodzonych, jak ich nazywano - było tyle wypadków psychozy, a nawet samobójstw.

Wysokimi stopniami, prowadzącymi przez wilgotną klatkę schodową, weszli aż na piąte piętro. Maria wyjęła z torebki klucz i otworzyła zamknięte na dwa zamki drzwi.

- Proszę - powiedziała, przepuszczając Jezusa.

On wszedł do maleńkiego przedpokoju i zdjął buty, bo całe były pokryte pyłem, a mieszkanie lśniło czystością. Nadmiar fantazji kazał tę przerobioną służbówkę nazywać mieszkaniem. Minął drzwi do ślepej klitki, kuchenki, i stanął w progu pokoju. Rozejrzał się.

• Nie jest to to, co ludzie nazywają luksusem.

• Chyba nie. - Maria roześmiała się tak pięknie jak tylko ona potrafiła się śmiać, i Jezus zamyślił się nad tym, ile trzeba mieć w sobie radości, by żartować z tego, że jest się tu, gdzie się jest, i jest się tym, kim się jest.

Usiadł na krześle z pękniętym oparciem. Na stoliczku obok stał wazon pełen wielkich jak pięść peonii. Maria przyniosła butelkę wody mineralnej i dwie szklanki. Nalała. Jezus z rozkoszą zaczerpnął łyk zimnego do zdrętwienia zębów płynu.

- Czy chcesz coś zjeść? Mogę przygotować obiad.

Jezus potrząsnął głową, wyjął z kieszeni bluzy paczkę papierosów i położył ją na stole. Maria podała mu popielniczkę. Usiadła na zakrytym zielono-rudą kapą łóżku, bo drugiego krzesła nie było.

- Co będziesz teraz robił? - Wyczuł lęk w jej głosie.

- Nie wiem. - Podrapał się po chrzęszczącym zaroście i zmęczonym ruchem zdjął okulary. Jego oczy miały dwa tysiące lat.

- Gdzieś znajdę jakąś pracę, na pewno znajdę.

- Czy, czy... - zająknęła się - nie masz pokusy?

- Jakże mógłbym jej nie mieć? - odpowiedział pytaniem na pytanie i przypomniał sobie tych ludzi i odpowiedzialność za losy świata, o której tak łatwo im się mówiło, oraz innych ludzi i sumy, jakie wymieniali. Natarczywość, fanatyzm, oczy rozbiegane bądź lśniące ogniem wiary. Aż wreszcie musiał uciec, ukryć się pod fałszywym nazwiskiem i zmienić powierzchowność tak, by nikt nie potrafił rozpoznać w nim Jezusa Chrystusa z Galilei.

- Być może jesteś potrzebny ludziom - powiedziała cicho.

- Tak. - Sięgnął po papierosa i zapalił go. - Być może, ale ja, właśnie ja ponoszę całą odpowiedzialność. A jeżeli jestem, jeżeli stałbym się fałszywym prorokiem? Jeżeli to szatan, a nie Bóg pozwolił powrócić mi tutaj? Cóż wtedy? Przecież ja nie do końca jestem Nim, wiesz o tym dobrze, Mario. A może nawet wcale Nim nie jestem?

Usłyszała w jego głosie dręczącą, rozpaczliwą niepewność i wiedziała, że jest milion pytań, które on zadaje sobie od lat, iluz to lat...

- Ale jesteś jedyny - powiedziała. - Czy to nie znak, że nie udało się już niczego powtórzyć? Że tylko ty jeden jesteś Jezusem z Nazaretu?

- Być może to znak. - Uśmiechnął się smutno. - Ale powiedz mi, od kogo pochodzi?

- Więc będziesz całe życie kierowcą ciężarówki? - spytała ze złością, choć wiedziała, że złość nie załatwi tu niczego, wynikała jedynie z bezsilności. - Taką misję masz do spełnienia?

- Wszystko może się zdarzyć - odparł i zgniótł w popielniczkę wypalonego do połowy papierosa. - Teraz przynajmniej nikomu nie zaszkodzę. To musi wystarczyć.

- Polityka strusia - parsknęła. - Jak długo tak można, ach, zresztą przepraszam. Co to wszystko z nas robi...?

Wyjęła papierosa z paczki, skruszył jej się w palcach.

- Może masz ochotę na kąpiel?
- O tak - odparł z wdzięcznością, bo aż nazbyt wyraźnie czuł ostry zapach własnego potu.

Maria wstała, zadowolona, że może coś robić, i zakrzatnęła się, przygotowując czysty ręcznik i mydło. Z szafy wydobyła obszerną, męską koszulę z grubej flaneli, koszulę w niebiesko-czarną kratę. Jezus pytająco uniósł brwi.

• Pamiątka pomyłki - wyjaśniła Maria, wzruszając lekko ramionami. - Ja się do tego chyba po prostu nie nadaję.

- Czy wiedział?
- Żartujesz chyba. Tego już bym nie zniosła. Wyobrażasz sobie faceta, który pieprzyłby Marię Zawsze Dziewicę?

• To nie był dobry żart. - Jezus zacisnął usta w wąską krechę.

• Przepraszam - powiedziała, ale w jej głosie nie było skruchy.

• Co powiesz na butelkę dobrego wina i kolację przy świecach? - zapytał, bo nie chciał się kłócić, a przede wszystkim nie chciał sprawić jej przykrości.

• Jasne. Ja stawiam, prawda?

• Oczywiście. - Roześmiał się, przypominając sobie, że jest bez grosza, i poszedł do łazienki.

Łazienka była zbyt mała, aby zmieściła się tam wanna, więc tylko w kącie przesłoniętym zielonkawą folią znajdował się brodzik, a ze ściany wyrastała rura prysznicowa. Jezus rozebrał się, wyprał w umywalce skarpetki i slipy, a potem powiesił je na plastikowej żyłce biegnącej pod sufitem. Wszedł za zasłonę, odkręcił kran i puścił strumień gorącej, aż parzącej skórę wody. Wystawił twarz pod piekący, bolesny bicz. Musiał długo tak stać, bo w końcu przez szum wody dotarł do niego zaniepokojony głos Marii.

- Wszystko w porządku?
- Tak! - odkrzyknął i zakręcił kurki.

Łazienka była pełna pary, lustro pokryło się mleczną mgłą. Jezus zawinął ręcznik na biodrach i palcem narysował na lustrze oko wpisane w trójkąt.

- Czy nie zostawił ci w spadku też maszyny? - zapytał, ścierając prawą ręką parę, a lewą głaszcząc twarde, kłujący zarost.

- Zbytek luksusu - odparła spod drzwi. - Mogę wejść?

- Jasne.
- Jak w saunie. - Pokręciła głową. - Idź, idź, zetrę podłogę.

Wyszedł z łazienki pełen jakiejś radosnej siły. Stał w pokoju przy oknie i nawet to szare, brudne podwórko-studnia, straszące wyrwami w betonie, podwórko z jednym uschniętym, bezlistnym drzewkiem i złamana huśtawka nie wydało mu się tak straszne.

- Okropny widok, prawda? - Maria stanęła za jego plecami.

- Tak - odparł zdawkowo.

- I ludzie też tu są tacy...

• Zmęczeni - dokończył za nią i to słowo w jakiś cudowny sposób tłumaczyło wszystko. I dochodzące co noc odgłosy pijatyk i bijatyk, i twarze zmięte jak stare prześcieradła, i żyłaki na grubych nogach kobiet, i kacowy, poranny stupor w oczach mężczyzn.

• Ja też jestem zmęczona - powiedziała. - I czasem nie chce mi się żyć. Jak dobrze, że przyszedłeś, jak to dobrze... - urwała i na jej wargach zawisło pytanie, które i tak będzie musiała zadać. Bo on kiedyś odejdzie. Może jutro, a może za rok, ale odejdzie. Teraz jakby bardziej swój i zwyczajny, lecz przecież niepojęty. Odejdzie tak, jak odchodził zawsze.

- I co z tym winem, co z obiecaną kolacją i świecami?

- Już się robi - odparł, zakładając okulary. Podała mu koszulę, a on poszedł do łazienki włożyć spodnie. Potem stanął przy drzwiach.

- Chodźmy. Dawno nie piłem wina.

- W dodatku w takim towarzystwie.

• Zgadza się - powiedział i przypomniał sobie, że ostatni raz pił wino, siedząc w głębokim fotelu, przy olbrzymim jak pokład lotniskowca, lśniącym biurku w gabinecie Piotra. Później nie pił już wina, w ogóle mało pił, czasem tylko kilka piw z kolegami z pracy. Ciągle nie mógł się przyzwyczaić do bąbelków i tego mocno gorzkiego smaku. Ale lubił piwo.

Kiedy wychodzili na ulicę, upał zelżał, a od wschodu napływały smoki ołowianych chmur. Zerwał się wiatr niosący zapowiedź burzy. W sklepie była kolejka, zmęczona sprzedawczyni i półki wypełnione butelkami.

- Wybierz, co chcesz - powiedział. - Tylko się nie rujnuj. Maria wskazała białe, półwytrawne wino, ani za drogie, ani za tanie. Po kryjomu podała Jezusowi portfel, a on uśmiechnął się, a zaraz potem zrobiło mu się przykro, że nie może jej pomóc, choć dobrze wiedział, iż nie pieniądze są najważniejsze. Wiedział też, że to tylko część prawdy, zwłaszcza

teraz, gdy nie był Jezusem z Nazaretu, a raczej gdy był jeszcze kimś oprócz Niego, a może nawet nie był Nim wcale.

Gdy wracali, wolno i w milczeniu, pierwsze krople deszczu padły na ich twarze. Nie przyspieszyli kroku, bo deszcz był chłodny i ożywczy, zmywał ze skóry skwar letniego popołudnia

- Chciałabym zapomnieć - powiedziała Maria, unosząc lekko głowę, wystawiając twarz na deszcz. – Czy życie nie stałoby się wtedy piękniejsze?

- Z pewnością łatwiejsze, ale coś byśmy stracili, nieprawdaż?

• Nie wiem. - Maria wzruszyła ramionami ze zniecierpliwieniem. - I tak pamiętam wszystko jak przez mgłę. Jakby to był obejrzany wiele lat temu film, który mocno utkwiał w pamięci, ale mimo to zatarła się pamięć o szczegółach. Prawdziwe jest to życie, które jest. Tamto... Cóż, tamto było dawno, jeśli w ogóle było. Było? - spytała, obracając głowę w stronę Jezusa.

• Nie uniknę więc pytań o imponderabilia, prawda?

• Jeśli tylko by się dało przed nimi uciec - westchnęła.

• Nigdy nie ma ucieczki od pytań - powiedział i poczuł się przytłoczony, bo była to niestety prawda.

• Kto im na to pozwolił? Jak wielka musi być ich pycha.

• Zabrzmiało to bardzo melodramatycznie - odparł, choć wiedział, że naprawdę ich pycha jest niezmiernie. Tych, którzy uzurpują sobie prawo przemawiania w imię Boga.

• Te hasła, te slogany - ciągnęła. - Pamiętasz, przecież to obrzydliwe.

• Święta Panienska w każdym mieście...

• Właśnie, ten poziom finezji.

• Niektórym to odpowiadało. I odpowiada. - Zatrzymał się przy kiosku z gazetami i wziął pierwszy tytuł z brzegu, poszukał strony z ogłoszeniami. - Teraz już tego dużo mniej, ale patrz. - Zatrzymał palec przy jednym z ogłoszeń i przeczytał na głos: - „Święty Augustyn - certyfikaty prawomyślności”. Telefon i tak dalej. Albo tu: „rozmawiałem z Bogiem, porozmawiam i z tobą”. Kto to taki, jak myślisz? - spytał, zakrywając ogłoszenie.

• Mojżesz - odgadła natychmiast i bez pudła.

- Ano właśnie - westchnął, zmiął gazetę i wyrzucił do kubła.

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, Jezus nagle zgłodniał, może dlatego, że gdzieś z

sąsiedztwa dochodziła smakowita woń pieczonego mięsa. Maria przygotowała naprędce coś, co nazywała spaghetti, a co było przeglądem tygodnia z makaronem wytapianym w ostrym sosie. Było to naprawdę smaczne, a w każdym razie dużo lepsze niż kilkudniowe kanapki czy jedzenie w barach.

- Zapomnieliśmy o świecach.

- A czyżby to już była kolacja? Jeśli tak, muszę najeść się na zapas, bo rozumiem, że dzisiaj nic już podane nie zostanie.

- Oprócz wina.

- Mam nadzieję, że spłucze tę nieziemską ilość papryki.

- Za ostre? - zaniepokoiła się.

- Nie, ale lekarz kazał mi uważać. Podobno mogę spodziewać się w najbliższej przyszłości wrzodów.

- To zabawne. - Roześmiała się.

- Nie widzę nic zabawnego we wrzodach - zaprotestował.

- Wyobrażasz sobie siebie na stole operacyjnym? Dramat przeradza się w farsę.

Jezus odłożył widelec.

- Wydaje mi się, że nie rozumiem twojego poczucia humoru - powiedział, zastanawiając się, czy Maria nie jest jednak następną pomyłką. Bardzo nie chciał, aby tak było.

- Sarkazmu i zgorzknienia - dodała. - Sądysz, że nie mam ku nim powodów?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Nie jestem chyba tym, który rozwiąże twoje problemy - powiedział i nagle zorientował się, że ona może niewłaściwie zrozumieć te słowa. - Chciałbym, aby tak było - dodał. - I nic nie poradzę, że nie potrafię, że nie mam w sobie żadnej mocy, choć Bóg mi świadkiem, iż czasem chciałbym ją mieć.

- Nikt z nas nie ma mocy, może nigdy jej nie było, nie sądzisz?

- Czasem nie wiem, czy w ogóle mnie to obchodzi, ale teraz, gdy o tym mówię, wiem, że mnie obchodzi, a przynajmniej, że powinno, abym mógł nadal wierzyć sobie, a jednocześnie nie wiem, kiedy tylko udaję albo udaję udawanie i powiedz mi, gdzie jestem ja? Gdzie w tym wszystkim...

- O mój Boże - szepnęła i objęła go mocno za szyję. Uwolnił się z jej uścisku i uśmiechnął, choć nie przyszło mu to łatwo.

- Napijmy się tego wina, dobrze? Gdzie jest korkociąg?

Korkociąg był w kuchni, ale butelka okazała się nie wymagać jego użycia, zamiast korka miała plastikowy kapsel. Dopiero wtedy Jezus dostrzegł mały, niewyraźny napis mówiący o tym, że wino rozlewane jest w kraju. Wyciągnął z szafki dwa kielichy, oba imponującej wielkości. Wtedy przypomniał sobie, nad podziw wyraźnie, smak wina pitego w Galilei i przypomniał sobie wzgórze skąpane w słońcu. Otrząsnął się, bo nie wiedział, czy lubi nagłe przebłyski pamięci o tamtych dniach.

- Gotowe - powiedział, stawiając na stole butelkę i kielichy. Nalał najpierw sobie i spróbował. Wino, o dziwo, było smaczniejsze niż przypuszczał.

- Wyśmienite, madame - powiedział. - To najlepszy rocznik, jakim w tej chwili dysponujemy.

- No cóż, skoro firma poleca...

Usiadł obok niej i stuknęli się kieliszkami.

- Toast? - zapytał.

- Powinien być piękny, długi i wzniosły. O odnalezieniu się po latach w strasznym świecie i o tym, że go zmienili, żyli potem długo i szczęśliwie.

Uśmiech powoli zgasł na ustach Jezusa i z niedowierzaniem pomyślał, iż na początku sądził, że ona pełna jest radości i spokoju.

- Przepraszam - powiedziała, i tym razem były to szczere przeprosiny. Stuknęła mocno swoim kieliszkiem w jego kieliszek. Tak mocno, że przez moment obawiał się, iż szkło może pęknąć.

- A więc po prostu na zdrowie - rzekł i upił łyk.

- Na zdrowie - powtórzyła za nim, zastanawiając się, dlaczego musiała zepsuć nastrój, i wiedząc, że on niedługo zacznie się rozczarowywać i zwątpi w to, czy naprawdę ją, właśnie ją, chciał spotkać.

Właściwie to nie był dobry wieczór i każde z nich inaczej wyobrażało sobie to spotkanie. Być może okazało się, że za dużo należałoby powiedzieć, aby mówić cokolwiek. Ile bowiem Maria mogła opowiadać o ludziach, jednych, którzy przychodzili prosić o błogosławieństwo, przyprowadzali dzieci, jak o łaskę błagali o jeden dotyk. I byli w końcu bardziej może męczący od tych, co spluwali na jej widok i nazywali ją pomiotem szatana, a może nawet od tych, którzy za cel postawili sobie zobaczyć, jak to będzie w łóżku z Matką Boską, i może nawet bardziej od tych, którzy zmuszali ją do codziennych spotkań, modlitw i kazań, szukali w niej przykładu dla

społeczeństwa.

Dlatego też pili wino i milczeli, uśmiechali się do siebie i obejrzeni niemądry program w telewizji. Trochę tylko porozmawiali o sprawach błahych i to był chyba zły pomysł, bo oboje czuli, że męczą się, nie mówiąc o tym, o czym mówić powinni, o tym, co naprawdę ich obchodzi. Aż w końcu, gdy była już noc, poszli do łóżka, sami nie za bardzo wiedząc, jak to się stało, oboje zagubieni i spragnieni uczucia, szukający bliskości, myślący, że teraz ją znajdują. Potem Maria zasnęła, zmęczona, z twarzą wtuloną w poduszkę, a Jezus nie spał długo w noc, tylko palił jednego papierosa za drugim, aż wreszcie wstał, gdy za oknem była już szarówka i cicho, powoli, aby jej nie zbudzić, zaczął się ubierać. Kiedy stał już przy drzwiach, Maria uniosła głowę.

- Jaka szkoda, że nie masz pieniędzy - powiedziała, a w smutnym głosie czaiła się kpina. - Parę banknotów zostawionych na nocnym stoliku, to byłby taki miły gest, nie sądzisz?

On nie odpowiedział, tylko stał tam w progu, z twarzą ukrytą w mroku i zwieszoną głową.

- Tak mi przykro, tak mi przykro - rzekł w końcu i nie wiedział, co zrobić, bo kochał ją i nienawidził siebie, a jednocześnie wiedział już z jakąś niezachwianą pewnością, że są tylko dwojgiem obcych sobie, zagubionych ludzi i że w tym co zrobili nie ma naprawdę nic strasznego, ale jednocześnie tak bardzo żałował, że nie jest jednak Nim, bo przecież cały czas miał jednak nadzieję na znak, a teraz było już jasne, że będąc Nim nie zrobiłby tego, co zrobił.

- Pójdę już.
- Odprowadzę cię - zdecydowała i zarzuciła na ramiona szlafrok.
- Właściwie jeżeli ja nie jestem, a przecież nie jestem, to dlaczego my...
- Bo nic by z tego nie wyszło - wyjaśniła łagodnie, a w jej głosie było mnóstwo miłości.
- Tak, chyba tak...

Podwórko jeszcze spało, kiedy wychodzili. W zaledwie dwóch czy trzech oknach paliły się światła, było wyjątkowo cicho i spokojnie. Maria stanęła obok drzewka.

- Do widzenia - powiedział.
- Żegnaj - odparła.
- Nie masz...
- Nie, nie mam - odgadła jego pytanie.
- Czy jeszcze...
- Chyba nie. - A wiedziała, że z pewnością nie.

- A więc... - Odwrócił się z trudem i widziała, jak jego plecy znikają w bramie.

Obróciła się i uśmiechnęła, zobaczywszy świeczki płonące w kapliczce Matki Boskiej w rogu podwórka. Zerwała z gałązki listek i rozgniotła go w zębach. Kiedy wracała do domu, wciąż miała w ustach świeży, cierpki smak.

III. Życie to śmierć, śmierć to życie

Heniutek, lat 1

Nie wierzę, że dziecko jest w stanie zapamiętać cokolwiek ze swego okresu niemowlęcego. Dlatego nie sędzę, bym naprawdę pamiętał człowieka, który stanął przy moim łóżeczku zaraz po chrzcie. A raczej zaraz po tym, kiedy inni goście, zaproszeni na radosną kolację, zdążyli już złożyć prezenty i siedzieli w salonie, śmiejąc się, popijając drinki i w mniej czy bardziej zawołowany sposób przypominając moim rodzicom, że chłopiec powinien mieć nie tylko starszą siostrzyczkę, ale i młodszego braciszka. Myślę, że późniejsze wydarzenia, a także opowieści rodziców ukształtowały we mnie coś w rodzaju złudnej pamięci. Po prostu plastycznie wyobrażałem sobie tę scenę. W dodatku zawsze oglądałem ją z góry, tak jakby ktoś ustawił kamerę filmową, w której były moje oczy, tuż nad twarzą tego mężczyzny.

Przybysz był wysoki, miał bladą twarz i bardzo elegancki garnitur z fantazyjnie zawiązaną szarą muchą w białe groszki. Pachniał dobrym mydłem i dobrymi perfumami. Zbliżył się do łóżeczka i dotknął mojego policzka końcami palców. Miał ładnie utrzymane, wypolerowane paznokcie i srebrny sygnet na środkowym palcu prawej dłoni. Nachylił się nade mną i widziałem wyraźnie twarz o zmęczonych, ptasich rysach i lekko garbaty nos.

- Co mogę ci dać, mały krewniaku? - szepnął. Patrzyłem na niego niebieskimi, wodnistymi oczkami niemowlęcia i włożyłem kciuk do buzi.

- Dam ci śmierć, mój mały. Pamiętaj, że życie to śmierć, a śmierć to życie. Oto mój prezent.

Gość moich rodziców, który postanowił złożyć tak ekscentryczne życzenia, miał wielkiego pecha. Jedna z koleżanek matki szukała właśnie popielniczki w pokoju, w którym leżałem, i nie była aż tak pijana, by nie usłyszeć cicho wypowiedzianych słów. Nie pamiętam, co stało się dalej. Reszta historii ginie w mroku, a wszystko, co wiem, jest już tylko opowieścią rodziców. Koleżanka matki podniosła wielki raban, matka dostała ataku hysterii, a ojciec przypomniał sobie, że w szkole średniej był boksem mistrzem i znokautował gościa celną

serią lewych prostych, wzmocnionych prawym podbródkowym. Dziwny krewniak (nikt nie potrafił powiedzieć, jakie więzy rodzinne nas z nim łączyły, czy był powinowatym matki czy ojca, ani kto go zaprosił na chrzciny) wylądował w szpitalu i nigdy potem żadne z nas już go nie zobaczyło. W zasadzie mógłbym powiedzieć, że tak właśnie skończyła się ta historia. Zapewne zajmująca, dzięki swej niezwykłości, i niesztampowa, jednak wpisująca się w pewien obszar tu i ówdzie spotykanych dziwactw. W końcu tak naprawdę nic się nie stało, nieznajomy zaledwie dotknął palcem mojego policzka i z całą pewnością nie chciał mi wyrządzić krzywdy. Wręcz przeciwnie. Pamiętałem jego głos, jako pozbawiony czułości, ale raczej miły, a nawet zatroskany. Przynajmniej tak właśnie wyobrażam sobie pamięć o tym głosie.

Henryczek, lat 4

Ogromne pudło z moimi zabawkami zawsze stało w samym rogu werandy. Pudło było bardzo solidne, zbite z jasnych, gładko wypolerowanych deszczułek i mieścił się tam cały skarb małego dziecka. Klocki-literki, które niewprawnie acz z dużym zapałem usiłowałem układać w słowa. Dwa sterane w bojach pluszowe misie, które powinny pójść na zasłużoną rentę, gdyż jeden pozbawiony był oczu, a drugi prawej łapki. Plastikowy jumbo jet o złamanym skrzydle. Kilkanaście mniejszych i większych samochodzików, z których najbardziej lubiłem jaskrawoczerwony wóz strażacki z siedzącym za kierownicą Murzynem w żółtym kasku. Lokomotywa na baterie, z dawno popsutym silnikiem. Wyjątkowo paskudny czarny, gumowy nietoperz o czerwonych ślepiach zrobionych z plastikowych szpileczek.

To były dobre, proste zabawki, pochodzące sprzed czasów, w których poznano Spiermana i Supermana, poprzebieranych fikuśnie Action Manów, lorda Vadera i zestawy Duplo oraz Lego. Oczywiście w pudle co jakiś czas pojawiała się mnóstwo przelotnych gości, takich jak dobrze obgryziona przez naszego psa resztką po świńskiej nodze, podarte na strzępy gazety, plastikowe flamastry ze sflaczałymi i rozgniecionymi wkładami, kule plasteliny, które zawsze po pewnym czasie przybierały niepokojący brudnobury odcień, niezależnie od tego, jaki był ich kolor pierwotny. Czy też skorupka po wielkim ślimaku, którego chciałem skłonić do zamieszkania w pudle i który nie przeżył tak drastycznych warunków wegetacji. Moja matka i starsza siostra z uporem godnym lepszej sprawy co jakiś czas czyściły pudło z nieproszonych gości, ale była to praca z góry skazana na porażkę, gdyż miałem ogromne zdolności do znoszenia na werandę wszelkiego rodzaju śmieci.

Słoneczny, kwietniowy poranek, kiedy przybyła ta kobieta, pamiętam bardzo dobrze. I sądzę, że tym razem jest to pamięć jak najbardziej prawdziwa, bowiem kobiety nie zobaczył nikt poza mną, a więc nikt też nie mógłby mi opowiedzieć tej historii. Ojciec wyjechał gdzieś w interesach, a matka z siostrą sprzeczały się w kuchni, słyszałem z werandy ich podniesione głosy. Tylko nasz pies, biały golden retriever o łagodnym spojrzeniu pluszowego misia, ze zjeżoną sierścią cofnął się pod drzewo i przyglądał przybyłej kobiecie, szczerząc kły w niemym proteście.

Była ubrana na czarno. Bardzo wysoka, choć dla czteroletniego dziecka wszyscy dorośli są bardzo wysocy, a ich twarze unoszą się w powietrzu, niczym latające kule spleśniałego sera. Miała powłóczystą szatę (prawdopodobnie obszerną sukienkę), która dokładnie skrywała jej kształty. I mnóstwo srebrnych pierścionków na palcach. I wysokie, czarne buty na koturnach. Jej twarz była jak biała maska, w której jarzyły się tylko oczy, mroczne niczym bezksiężycowa noc. Gęste włosy miała upięte na środku głowy w wysoki kok i dobrze zapamiętałem alabastrowo białe i idealnie gładkie czoło, na którym nie odcisnęło się zmarszczkami piętno upływających lat.

Nie byłem lęklwym dzieckiem, więc przyglądałem się jej raczej z zaciekawieniem niż ze strachem. Podeszła bardzo blisko i kucnęła obok mnie. Nie poczułem żadnego zapachu. Ani perfum, ani potu, ani zwykłego zapachu ludzkiego ciała nagrzanego wiosennym słońcem. Równie dobrze mogła być powietrzem. Chociaż nie, bo powietrze przynajmniej pachniało schnącą po deszczach ziemią i rozkwitającymi pąkami roślin. A ona była jak zapachowa nicość.

• Taki maleńki - powiedziała, dotykając mojego policzka długim, bladym paznokciem. - Jeszcze chyba za wcześnie, prawda?

• Na co za wcześnie, proszę pani? - zapytałem i przysiadłem obok niej, zagryzając wargi.

Nasz pies skowyczał cichutko pod płotem i drżał, jakby do szpiku kości przewiewał go lodowaty wiatr.

- Za wcześnie - powtórzyła i nie sądzę, by usłyszała pytanie.

Wzięła mnie za podbródek, poczułem, jak jej ostre paznokcie wbijają się w skórę. Jednak wiedziałem, że nie chce mi zrobić krzywdy, a tylko nie umie obchodzić się z dziećmi.

- Życie to śmierć, a śmierć to życie - rzekła uroczyście, a potem pocałowała mnie w czoło.

Dotknięcie jej ust było jak przyłożenie lodu do rozgrzanego ciała. Pamiętam, że dopiero wtedy poczułem coś w rodzaju ukłucia strachu, łzy napłynęły mi do oczu, a usta wygięły się w podkówkę.

- Niech pani idzie - chciałem powiedzieć, ale miałem zatkałe gardło, tak jakby prosto z serca wleciał do niego motyl o czarnych skrzydłach i chciał utorować sobie drogę na wolność.

- Do zobaczenia, mały człowieczku - powiedziała i podniosła się. Wydawało mi się, że jej cień zasłania cały dom.

A potem odeszła dróżką, prowadzącą wśród jabłoni, do bramy wjazdowej. Patrzyłem, jak idzie, i wiedziałem już, iż niemożliwe jest, by jej cień zasłonił cały dom, bowiem ona w ogóle nie rzucała cienia. Przy bramie odwróciła się jeszcze na moment i pokiwała mi dłonią, a promienie słońca prześwitywały różem przez jej palce.

Heniek, lat 14

Łąka przy strumieniu stała się ulubionym miejscem moich eskapad. Strumień był szeroki i płytki, a woda toczyła się łagodnie, omywając wielkie, białe, wygładzone przez czas kamienie. Lubiałem siadać albo kłaść się na tych kamieniach i trzymać stopy w chłodnej wodzie. Byłem nastolatkiem pogrążonym w krainie wyobraźni i puszczającym nieskrępowane wodze fantazji. Wyobrażałem sobie, że jestem królem Arturem lub jednym z jego rycerzy (zapewne wybór zależał od tego, jak daleko sięgała danego dnia moja pewność siebie), Robin Hoodem lub Aragornem. Czasami zamieniałem się w podróżnika badającego nieznane krainy, a czasami byłem marsjańskim agentem, mającym za zadanie wyeliminować groźbę ataku Obcych. Często też zdarzało się, że nie wyobrażałem sobie nic, tylko pochłaniałem kolejne lektury, które, nawiasem mówiąc, tworzyły w mojej głowie potworny galimatias.

Dzień, w którym po raz drugi zobaczyłem kobietę w czerni, był jednym z pierwszych dni prawdziwej wiosny. Świat budził się do życia. Trawa zieleniała, na drzewach widziałem wielkie soczyste pąki, a słońce zaczynało nagrzewać chłodne kamienie. Nawet woda w potoku była jakby cieplejsza i stopy nie kostniały już na lód, gdy pozwalałem omywać je nurtowi.

Zobaczyłem ją, jak wychodziła z lasu. Dokładnie pamiętam, że dostrzegłem tę postać w czarnej, obszernej sukni, gdy znajdowała się pomiędzy dwiema młodymi brzoškami. Zapewne było to złudzenie, ale wydawało mi się, że gałęzie drzew odchyliły się tak, by znaleźć się jak najdalej od niej, kiedy będzie przechodzić. Może zresztą był to podmuch wiatru, choć przyznam, że dziwnie musiałby wiać wiatr, by jedną gałąź odchylić na zachód, a drugą na wschód. Tak czy inaczej, kobieta szła w moją stronę spokojnym krokiem, a potem nie zatrzymała się nad brzegiem, tylko skierowała prosto do kamienia, na którym siedziałem. Woda w potoku na wiosnę

miała dość wysoki poziom i kobieta powinna zanurzyć się przynajmniej po łydki. Tymczasem nie usłyszałem plusku, nie zobaczyłem nawet, żeby woda bryznęła pod jej stopami, a gdy dotarła na kamień, jej długa suknia była tak samo sucha, jak wtedy kiedy stała na łące.

- Życie to śmierć, śmierć to życie - powiedziała, patrząc gdzieś nad moją głową. - Czy już czas?

Wstałem i cofnąłem się na skraj głazu. Jej bliskość budziła nieokreślony niepokój, ale zdumiewało, iż wcale jej się nie bałem. Może to złe słowo. Bałem się, lecz wiedziałem, że nie zrobi mi krzywdy. Nie przybyła, by mnie karać, dręczyć lub straszyć. Zjawiła się zadać pytanie i usłyszeć odpowiedź. Choć miałem dziwne wrażenie, że i jedno, i drugie są jej obojętne.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła mojego policzka końcami palców. To było tak, jakby elektryczne wyładowanie przebiegło z jej paznokci i przez skórę, kości, mięśnie oraz krew, trafiło mnie prosto w serce. Zachwiałem się. Wtedy chwyciła moje ramię, bym nie upadł. Zdałem sobie sprawę, że jest tak silna, iż prawdopodobnie mogłaby mnie unieść jedną dłonią. Spojrzałem w jej białą twarz i nagle nasz wzrok się zetknął. Jej oczy były jak podziemne jeziora. Pogładziła mnie wierzchem dłoni po policzku i przyglądała się uważnie. Widziałem ostry zarys jej podbródka i widziałem też, że nie mruży oczu, chociaż stała pod słońce, które jaśniało całą siłą wiosennego blasku.

Potem, nadal trzymając prawą dłoń na moim policzku, lewą sięgnęła w moje slipki i wyciągnęła penisa, który w jej dłoni skurczył się jak liść na żarzących kamieniach. Masowała go powolnymi ruchami, a ja nie mogłem nawet drgnąć. Zrozumcie mnie dobrze - w tej scenie nie było nawet grama erotyzmu. Moje myśli, myśli czternastoletniego chłopca, wypełnione były kobietami o śnieżnych ciałach i karminowych ustach. Marzyłem nie tylko o tym, że zyskuję miłość wybranki bohaterskim czynem, ale też o sprawach bardziej przyjemnych.

Z zapalem, spoconymi palcami przerzucałem kartki „Playboya” i patrząc na uśmiechnięte, nagie, młode kobiety, nie dowierzałem, że na świecie może istnieć tyle piękna. Zwłaszcza że byłem w końcu tylko chłopakiem mieszkającym na obrzeżach małego miasteczka, w którym spotkanie modelki było równie prawdopodobne jak wpadnięcie meteorytu do teczki. Dzięki „Playboyowi”, a także pisemkom uznanym za nieco mniej wyrafinowane (a za to budzącym żywsze bicie serca dosłownością przedstawianych scen) poznałem też uroki masturbacji i oddawałem im się z nieskrępowanym, acz niepozbawionym wyrzutów sumienia zapalem. Ba, odważyłem się nawet napisać niezwykle romantyczny list do redakcji z adnotacją,

by oddano go jednej z modelek. I choć nie sądzę, aby do niej kiedykolwiek dotarł, to ufam, że przynajmniej któryś z redaktorów miał dzięki lekturze chwilę niezłej zabawy.

Tak więc byłem nastolatkiem, w którego ciele buzowały hormony, i chociaż nie dotyczyło mnie trywialne sformułowanie o spermie wylewającej się uszami, to jednak myśl o tym, że jakaś kobieta mogłaby masować mojego penisa, do tej pory budziła mój absolutny zachwyt. Do tej pory. Bo, tak jak powiedziałem, w dotyku bladej kobiety nie było nawet grama erotyzmu. Równie dobrze mogłaby sprawdzać końskie szczęki lub badać poduszeczki psich łap.

- Jeszcze nie teraz - stwierdziła, jakby odpowiadając na własne pytanie. - Jeszcze nie czas.

Takim samym obojętnym ruchem, jak przedtem dotykała mojego penisa, teraz ukryła go z powrotem w slipkach.

- Do widzenia - powiedziała głosem bez wyrazu. - Niedługo znowu się zobaczymy.

Odeszła i zobaczyłem wyraźnie, że jej stopy prześlizgują się po powierzchni wody. A kiedy wracałem do domu, dostrzegłem, iż liście brzoźek, obok których przechodziła, skurczyły się i zwinęły w ruloniki, tak jakby owiał je niespodziewany żar. Na korze obu drzewek widziałem coś w rodzaju odbitych śladów dłoni, choć nie przypominałem sobie, by kobieta dotknęła ich, przechodząc obok.

Henryk, lat 25

Skończyłem studia na prestiżowej uczelni i zdobyłem pracę w firmie, która wielkość zawdzięczała temu, że jej nazwa nie trafiała na pierwsze strony gazet. Zostałem asystentem jednego z dyrektorów, twardego, zimnego i przebiegłego skurwysyna, który zapalał do mnie niespodziewaną, acz gorącą sympatią. Aby wyjaśnić sytuację dodam, że była to sympatia pozbawiona akcentów homoseksualnych, gdyż dyrektor słynął z erotycznych, heteroseksualnych podbojów i firma dwa razy musiała nawet tuszować oskarżenia o molestowanie seksualne. Niemniej był tak dobry w swoim fachu, że wybaczano mu drobne słabostki.

Niestety, sympatia mojego przełożonego objawiała się w maniakalnym wręcz dążeniu do tego, abym był najlepszy, a za cel naszych kontaktów postawił sobie, bym za kilkanaście lat prześcignął we wszystkim jego samego. Dlatego katował mnie dodatkowymi zleceniami, wysyłał na doskonalające kursy, kazał poznać hiszpański (firma miała filie w krajach Ameryki Południowej) oraz uczyć się podstaw japońskiego (firma prowadziła zaawansowane operacje bankowe w Japonii). W efekcie stałem się typowym przykładem zapracowanego *yuppie*, dla

którego szczytem marzeń była rzadka chwila spokoju w czasie lunchu, a życie seksualne sprowadzało się do masturbacji lub odwiedzin *call girls*.

Dyrektor nie ograniczał się do sterowania moim życiem zawodowym, lecz z pełną nonszalancją i traktując to jako rzecz oczywistą, opanował również moje życie prywatne. Jeździłem z nim na ryby (wspólne wędkowanie kończyło się zwykle wykładem z bankowości lub ocenianiem strategii firmy na zagranicznych rynkach), uczestniczyłem w jego alkoholowych eskapadach (na drugi dzień, kiedy ja umierałem na kacu, on wydawał się być świeży i energiczny, niczym po zdrowotnym urlopie) i odwiedzałem wraz z nim ekskluzywne przybytki płatnych uciech. Wypada tu dodać, że nigdy za nic nie musiałem płacić, a wszystkie imprezy oraz zabawy odbywały się na jego koszt.

W czasie wizyty w jednej z tych eleganckich willi po raz trzeci spotkałem kobietę w czerni. Jej wspomnienie i niezwykle przeżycie, jakiego doznałem, widząc ją po raz ostatni, zdążyły się już zatrzeć w mojej pamięci. Ale gdy zobaczyłem, że wchodzi do pokoju, błada, czarno ubrana, nienaruszona przez czas i uczucia, wszystko powróciło, tak jakby scena nad strumieniem miała miejsce wczoraj, a nie jedenaście lat temu. Leżałem właśnie na ogromnym łożu z podwieszonym pod sufitem lustrem i czekałem na szczupłą blondynkę o wielkich, mlecznych piersiach i okrągłych różowych sutkach, którą wybrałem z bogatej oferty domu i która nieraz, w czasie poprzednich wizyt, sprawiła już, że wznosiłem się do nieba. A przynajmniej tak mi się wydawało, gdyż jako człowiek spędzający większość dnia i nocy w pracy lub przy pracy, nie miałem okazji poznać uniesień oferowanych przez miłość i nie zdawałem sobie sprawy, że najlepszy nawet seks jest tylko namiastką tego, co może oferować uczucie.

W każdym razie, kiedy odwróciłem się z uśmiechem na ustach, by powitać moją płatną partnerkę, zobaczyłem, że zamiast niej do pokoju wchodzi kobieta w czerni. Usiadłem na łóżku i podciągnąłem kolana pod brodę. Na szczęście byłem jeszcze w bokserkach, ale i tak przy niej czułem się nagi, mały oraz bezbronny. Kobieta usiadła na skraju łóżka.

- Już czas - powiedziała tym razem bez znaku zapytania w zdaniu. - Życie to śmierć, śmierć to życie. Już czas.

Wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że moje życie było pustką.

Na studiach pracowałem jak wół, by prześcignąć kolegów mających więcej pieniędzy i lepsze koneksje, w pracy zajeżdżał mnie ambitny przełożony. Nie poznałem smaku miłości, nie tęskniłem za żadną dziewczyną i nie wdychałem do niej po nocach. Nie zbudowałem jeszcze

domu, nie zasadziłem drzewa, nie trzymałem w ramionach syna. Nie nurkowałem na Wielkiej Rafie, nie widziałem Himalajów i nie latałem na lotni. Nie kupiłem narzeczonej pierścionka u Cartiera, nie siedziałem na meczu Lakersów obok Jacka Nicholsona i nie zobaczyłem spalonych słońcem białych meczetów Bamako. Nie widziałem kaskad wody rozbryzgujących się u stóp Salto Angel i nie dotknąłem gigantów z Wyspy Wielkanocnej. Nie chciałem umierać bez spróbowania tego wszystkiego.

- Proszę - powiedziałem z żarliwym błaganiem w głosie. - Proszę, jeszcze nie...

Spojrzała na mnie oczyma, które były jak dusza obsydianu. Wyciągnęła w moją stronę gipsowo białą dłoń, a jej paznokcie były tak samo blade i długie, jak zapamiętałem z pierwszego spotkania.

- Naprawdę już czas - powiedziała. - Życie to śmierć, śmierć to życie.

Jej głos był cichy, stłumiony i pozbawiony emocji. Kiedy mówiła, w twarzy poruszały się tylko usta. Reszta pozostawała nieruchoma, zupełnie jakby była nałożoną przed wiekami maską.

- Dlaczego? - zapytałem z rozpaczą. - Proszę, jeszcze nie!

Przez chwilę siedziała obok, a potem powoli skinęła głową, sprawiając wrażenie, że niechętnie godzi się z moją decyzją. Podniosła się.

- Wróć - oznajmiła. - Pamiętaj: życie to śmierć, śmierć to życie.

Minęła w drzwiach półnągą dziewczynę o mlecznych piersiach, ale ta jej nawet nie zauważyła. Za to ja dostrzegłem, przez mgnienie tak krótkie, że nie wystarczyłoby nawet na zmrużenie powiek, jak ta skończona piękność będzie wyglądała za kilkanaście lat. A wtedy ubrałem się i wyszedłem, mamrocząc jakieś nieskładne słowa przeprosin.

Wiceprezes Henryk Frydrych, lat 40

Wizyta w domu publicznym i spotkanie z kobietą w czerni zostały jedynie ulotny ślad w mojej pamięci. Były jak ślad morskiej wody na drewnie, po którym pozostaje tylko smuga soli. Ale moje życie się zmieniło. Znalazłem dość siły, by oprzeć się dyktatowi mentora, a on w tej sile odnalazł zapowiedź przyszłej twardości, zdecydowania i umiejętności przeprowadzenia własnej woli. Był ze mnie dumny, a kiedy umarł na raka, byłem jedynym człowiekiem, który rozplakał się nad jego trumną.

Piąłem się po szczeblach kariery, jednak nie zapomniałem o domu, Jacku Nicholsonie i wodospadzie Salto Angel. Nie wszystkie marzenia udało mi się zrealizować. Kupiłem pewnej

dziewczyźnie pierścionek u Cartiera, ale rozwiedliśmy się kilka lat później. W ramionach trzymałem nie syna, lecz piękną córeczkę o mądrych oczach. Jacka Nicholsona zobaczyłem tylko w telewizji, na oscarowej gali, tak samo jak setki milionów mieszkańców naszej planety. Byłem szczęśliwy. Mówiąc pewnej kobiecie, że ją kocham, i święcie w to wierząc (zginęła później w katastrofie samolotu, a ja czułem się, jakby wyrwano mi serce), stojąc u stóp posągów na Wyspie Wielkanocnej, szybując niczym ptak na wysokości kilkuset metrów, czy jadąc sawanną, otwartym jeepem, pośrodku stada bawołów o tępych pyskach.

Ponieważ nawet najgłębsza żałoba nie trwa wiecznie, więc zakochałem się w kobiecie, która dała mi nie tylko radość i ekscytację, ale też pełen dobroci spokój. Kobietę, która nigdy nie protestowała, kiedy z najdalszego nawet krańca świata, raz do roku, jechałem na grób mojej dawnej miłości, by złożyć przy nim wiązkę storczyków i poświęcić łyżę oraz kilka słów modlitwy. Miałem szczęśliwy dom i dwie małe córki, które napełniały go radosnym gwarem. Byłem zdrowy, bogaty i choć nie wydawało mi się, że bym był królem świata, to jednak nie istniało w moim życiu marzenie, którego nie mógłbym zrealizować. Bo też i nie marzyłem o tym, aby być pierwszym człowiekiem na Marsie czy zamieszkać w domu Hugo Hefnera.

Kobieta w czerni pojawiła się po raz czwarty w tym samym miejscu co dwadzieścia sześć lat temu. Odbywałem właśnie sentymentalną podróż na opustoszałą teraz farmę dzieciństwa. Moja młodsza córeczka znalazła gdzieś pod werandą gumowego nietoperza (tatu-uuusiu, co to jest, to okropne?), a żona śmiała się, gdy pokazałem jej skrytkę w ścianie wyłożoną najbardziej ekscytującymi rozkładówkami z „Playboya”. Jednak nad strumień poszedłem samotnie. Tak jak przed laty toczył się leniwą strugą i tak jak przed laty wielkie, białe głązy powoli nagrzewały się wiosennym słońcem. Drzewka otaczające łąkę stały się już dorosłymi, choć przecież nie sędziwymi drzewami i poważnie kołysały gałęziami w podmuchach wiosennego wiatru. I tylko jedna rzecz wydała mi się dziwna. Dwie młode brzozy pozostały dokładnie takie, jak zapamiętałem je z dzieciństwa. Wszystkie inne rośliny rosły i potężniały, a te dwie trwały w jakiejś przedziwnej, młodzieńczej stasis. Nie miałem jednak czasu, by się zastanawiać nad tą anomalią (może zresztą były to nowo wysiane brzożki, a tamte, które pamiętałem, stały nieco dalej).

Zdjąłem buty oraz skarpetki i zanurzyłem stopy w chłodnej wodzie. Do dzieciństwa nie ma powrotu. Nie istnieje Nibylandia, a Piotruś Pan, Wesoła Kompania i rozsmakowani w życiu hobbici nie czekają na mnie po drugiej stronie tęczy. I ponieważ doskonale zdawałem sobie z

tego sprawę, więc mogłem spokojnie położyć się na białym głazie i wystawić stopy na miłe łaskotki przepływającej wody. Przymknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, kobieta w czerni stała tuż nade mną.

- Już czas - powiedziała i słyszałem w jej pozbawionym emocji głosie jakiś ton ponaglenia. - Życie to śmierć, śmierć to życie. Pozwól, że cię ucałuję.

Nie bałem się. Nie wiedziałem kim jest, ale zdołałem oswoić się z alabastrową bielą jej twarzy i mrokiem spojrzenia. Była częścią mojego życia, niechcianą i niepojętą, ale jednak częścią.

- Nie - powiedziałem, znajdując w mym głosie niespodziewaną twardość. - Jeszcze za wcześnie.

Lewą dłonią ujęła skraj czarnej sukni i przycupnęła obok mnie. Teraz dopiero zauważyłem, jak była szczupła i krucha. Patrzyła prosto w słońce i widziałem, że nie musi mrużyć powiek. Siedzieliśmy tak długą chwilę, aż wreszcie obróciła się w moją stronę.

- Henryku - rzekła, po raz pierwszy wymawiając moje imię. - Nadszedł już czas. Życie to śmierć, śmierć to życie.

Po raz pierwszy w historii naszych spotkań to ja wyciągnąłem rękę i dotknąłem palcami jej dłoni. Tym razem nie było uczucia zimna ani elektrycznego szoku. Jej palce były suche i martwe, jak jesienne patyki.

- Proszę - powiedziałem i ujrzałem twarze żony oraz córeczek. - Jeszcze nie!

Spojrzałem prosto w jej oczy i nie cofnąłem wzroku, mimo że to spojrzenie zabierało mnie w otchłań.

- Nie... mogę - rzekła - znaleźć... słów. Śmierć to życie, Henryku.

Wiedziałem, że stara się coś przekazać, że próbuje, by w jej głosie pojawiła się nuta emocji. Wiedziałem również co innego: nie mogę teraz umierać. Było jeszcze za wcześnie. Dlatego po chwili odeszła i zanim zniknęła za ścianą drzew, odwróciła się w moją stronę.

- Jeszcze wrócę - obiecała. - Kiedyś.

Dziadzio Henio, lat 75

Gdybym miał z powrotem dwadzieścia lat, zakochałbym się w mojej wnuczce. Jest miękka jak aksamit rozgrzany południowym słońcem i twarda niczym kawałek krzemienia. Jej oczy są wypełnione niebem. Jestem starym, niedołącznym człowiekiem i potrzebuję ciągłej

opieki, a moja wnuczka pełni przy mnie rolę matki Teresy. I pełni ją z pozbawioną egoizmu miłością. Czas spędzam głównie na werandzie, gdzie rano, jeśli tylko jest ładna pogoda, moja wnuczka wprowadza wózek. Na półeczce obok stawia mały, przenośny telewizor i włącza program informacyjny CNN, gdyż z biegiem lat nie wygasła we mnie ciekawość świata i nadal interesuję się polityką oraz gospodarką. Choć szczerze przyznam, że teraz coraz częściej zdarza mi się zasypiać w trakcie programu albo chociaż popadać w krótką drzemkę. Niezbyt dokładnie też jestem w stanie przypomnieć sobie, kto z kim właśnie wojuje, kto z kim się spiera, czy kto jest mistrzem świata w piłce nożnej, a wyniki giełdowe układają się w pozbawiony znaczenia galimatias liczb. Jednak mój umysł z całą pewnością jest żywszy niż ciało, w którym się znajduje. Nie potrafię poruszać się o własnych siłach, a moje nogi są jak dwa gumowe walce, niepołączone nerwami z resztą ciała. Rękoma władam na tyle, że jestem w stanie położyć dłonie na oparciach wózka i z niejakim trudem zmienić program, wduszając odpowiedni przycisk telewizyjnego pilota. Zresztą jest to specjalny pilot o klawiszach przystosowanych dla niepełnosprawnych.

Przestałem zadawać sobie już pytania o sens mojej starczej wegetacji ani też, jaki był cel Boga, aby doświadczyć mnie w podobny sposób. Oglądam wiadomości z Azji, Afryki i Ameryki Południowej, a dzięki nim wiem, że nieskończenie większej liczbie ludzi na świecie żyje się gorzej ode mnie. Nauczyłem się więc dziękować Stwórcy za to, co mi dał (na przykład kochającą wnuczkę i możliwość samodzielnego zmieniania kanałów telewizora), a nie przeklinać go w bezrozumnym gniewie. Sądzę, że jeśli On naprawdę istnieje, w co szczerze chciałbym wierzyć, to postępuje zgodnie z planem, którego nikt z nas - ludzi - nie jest w stanie zrozumieć. I ufam też, że nie jest to plan chłopca znajdującego radość w wrywaniu skrzydełek muchom.

Błada kobieta w czerni zatarła się już w mojej pamięci. Zresztą to dziwne, lecz każde jej odwiedziny zawsze wspominałem jako coś w rodzaju niewyraźnego snu. Niby dobrze je pamiętałem, lecz nigdy specjalnie nie zaprzętałem sobie nimi uwagi. I myślę, że właśnie w tym również kryła się część magii ofiarowanej mi przez tajemniczego krewniaka. Lecz kiedy zobaczyłem ją po raz piąty, wiosennego ranka, pamięć poprzednich wizyt powróciła z całą jasnością.

Kobieta szła przez nasz ogród (jabłonie, które pamiętałem z dzieciństwa dawno oddały życie na kominku i teraz w ogrodzie rosły wysmukłe tuje oraz cyprysy, równie piękne, co bezużyteczne) i znowu nie mogłem dostrzec jej cienia. Być może dlatego, że sama była cieniem,

skoncentrowanym mrokiem przesuującym się w rozedrganym w wiosennym słońcu powietrzu. Czas nie odcisnął na niej piętna. Miała nadal bladą twarz o idealnie gładkim czole i włosy upięte na czubku głowy. Podeszła do mnie i stanęła tuż obok wózka. W jej wzroku nie widziałem nic. Ani współczucia, ani zaciekawienia, ani obrzydzenia, ani zakłopotania. Zdawała się spoglądać w otchłanie czasu, gdzie ja sam byłem jedynie pyłem, któremu zdecydowała się na moment poświęcić uwagę. Zresztą tym razem nie mogłem patrzeć w jej źrenice, gdyż równie dobrze mógłbym próbować spojrzeć w słońce jaśniejące bezgraniczną czernią.

- Jestem - rzekła. - Czy już czas?

Przyglądała mi się uważnie, wzrokiem pozbawionym emocji, jednak czujnym i przewiercającym na wylot.

- Za późno - odpowiedziała sama sobie i nie usłyszałem smutku w jej głosie, ale jakby wyczułem, że ten smutek powinien się w nim znaleźć. - Za późno, za późno... Teraz muszę odejść.

Dotknęła końcem palców mojego policzka, a ja poczułem jakby do serca spłynął mi lodowaty, płynny ołów. Nie wiem, jak płynny ołów może być lodowaty, ale wiercie mi, że właśnie tak to wszystko przebiegało.

- Och, nie odchodź, proszę - powiedziałem i chciałem wziąć jej dłoń w swoje ręce, nie mogłem jednak podnieść ich z oparcia fotela. - Już czas... Już nadszedł czas... Błagam...

Dalej wpatrywała się we mnie martwym, mrocznym wzrokiem.

- Życie to śmierć, śmierć to życie - oznajmiła. - Skoro tego pragniesz, teraz cię pocałuję.

Po raz pierwszy od dnia, w którym miałem cztery lata, znowu zobaczyłem z bliska jej twarz. Pochyliła się, by mnie pocałować, lecz tym razem jej usta przylgnęły do moich ust, a nie do czoła. Były zimne i nieruchome, niczym kawałki wygładzonego marmuru. Kiedy mnie dotknęła, poczułem, jak przez usta wlewa mi się lodowaty żar. W tej samej też chwili sięgnęła dłonią po moje serce i ścisnęła je w palcach.

Zabiła mnie, ale widziałem, jak odchodzi. Szczupła, czarna postać, nierzucająca cienia w wiosennym słońcu. Zabiła mnie, a ja czułem, jak krew pulsuje mi w żyłach, czułem, jak bije moje serce, czułem jak zwykle tępy, artretyczny ból w kościach palców.

„Życie to śmierć, śmierć to życie” - waga i znaczenie tych słów dotarły do mnie po raz pierwszy. To nie była tylko powtarzana bezsensownie formułka. To nie było nawet zaklęcie, a proste, jasne i szczere opisanie świata. Opisanie prezentu, który otrzymałem od dziwnego

krewniaka. Przypomniałem sobie dwie brzozy, które pod wpływem jej dotyku zastygły w młodzięcym stasis, nie zmieniały się, nie rosły i nie karły. Darem było trwanie. Pozostanie na wieczność w takiej formie i takiej postaci, jaka była w chwili pozornej śmierci. Gdybym zdecydował się na to mając dwadzieścia pięć lat! Albo mając czterdzieści! Wieczny młodzieniec lub mężczyzna w średnim wieku, pozostający na zawsze w rozkwicie sił! Ale ja miałem siedemdziesiąt pięć lat, pogięte artretyzmem palce, bezwładne nogi i mogłem być bohaterem gry Wheelchair Pro Challenge. Zrozumiałem, dlaczego chciała odejść, dlaczego rozumiała, że błogosławieństwo stanie się klątwą. Tak jakby się nią stało dla czterolatka i czternastolatka, kiedy sama stwierdziła, że przybyła za wcześnie. Nie wykorzystałem szansy, a ona nie potrafiła mi wytłumaczyć, na czym ta szansa polega. Chociaż, Boże mój!, nie mogę powiedzieć, iż nie próbowała.

Patrzyłem, jak znika za smukłymi włóczniami cyprysów, i mrugałem powiekami, bo oczy łączyły mi żalem i słońcem. Wiedziałem tylko jedno: jeszcze dzisiaj poproszę wnuczkę, by wynajęła robotników, którzy zetną dwie młode brzozy rosnące przy strumieniu. Bo jeśli te, zranione siekierami, drzewa upadną, umrą i uschną, to będzie oznaczać, że i dla mnie istnieje jeszcze jakaś szansa. Której trzeba będzie pomóc w miarę sił...

IV. Dom na Krawędzi Ciemności

Koniec Drogi ginie na linii horyzontu, gdzieś pod czarnym jak dno studni niebem. Przez dygoczące żarem powietrze suną ludzie przypominający upiory o rozpalonych szaleństwem oczach. Skowyt z tysięcy gardeł niknie pośród żółtoburych siarkowych oparów, rozbija się o smoczozębne, bazaltowe ściany, drga wśród pumeksowych okruchów. Mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci obijają się o siebie, tłoczą, przepychają, padają sobie nawzajem pod nogi, lecz każdy jest tu doskonale i absolutnie sam. Nie dano im łaski dzielenia cierpień z bliźnimi. W ogóle nie dano im żadnej łaski. To słowo jak setki, a może tysiące innych, jest jedynie pustym, pozbawionym znaczenia dźwiękiem. Dźwiękiem określającym nieistniejące pojęcie. Nawet nie zapomniane czy zagubione. Po prostu nieistniejące. Oczywiście nie istnieje ono tylko tutaj: na Drodze w Jedną Stronę, na nieskończonej Autostradzie Styksu. Gdyż gdzieś pośród bazaltowych iglic jaśnieje, pulsuje i przyzywa zielone światło. Brama dla potępionych nie do końca. Nadzieja nawet nie na wyzwolenie, a na przetrwanie. Zaledwie na przetrwanie i aż na przetrwanie. Lekarstwo pomagające osłabić ból rozpaczy. Oaza chwilowego, a może wiecznego ukojenia.

Chwilowego, wiecznego - te słowa nic tutaj nie znaczą, a raczej znaczą to samo. Tu czas nie płynie dla wszystkich jednakowo, lecz sączy się leniwymi strugami cierpienia, innymi dla każdego. Tu nie ma znaczenia, czy błądzi się minutę, czy wieczność. Tu zawsze jest zawsze.

Przechodzę przez Zieloną Bramę, a moje światło otwiera mi ją na oścież. Idę pośród ostrych jak brzytwy okruchów pumeksu, omijam wrzące, brudnożółte kałuże. Przede mną wznoszą się mury Domu na Krawędzi Światła. Widzę pęd oliwnego drzewka przeciskający się przez kamienne złomy ku czarnemu niebu, widzę wziernik w kształcie krzyża wycięty w grubych, dębowych drzwiach i człowieka w szarym płaszczu, który przygląda mi się uważnie ze szczytu wieży, nazywanej przez niego samego Czatownią. Moje światło otwarłoby mi drzwi, nie zamierzam jednak wchodzić bez wyraźnej zgody gospodarza. Sam musi mnie zaprosić do swego domu - takie są reguły. Wyzaczyłem je dawno temu, ale nie znaczy to wcale, iż wolno byłoby mi je złamać. Stukam mocno w chropowate, poznaczone sękami belki i czekam. W końcu wrota się uchylają. Stoi przede mną skupiony i poważny, a w jego aurze żółto płoną ogniki niepokoju. Wiem, że go przerażam, niemal oślepiam mym blaskiem. Widzę to przerażenie: różowe smugi wokół głowy.

- Witaj - mówię spokojnym tonem.

- Witaj - odpowiada po długiej chwili wahania i ustępuje o krok. Oszczędnym gestem zaprasza mnie do środka.

Wchodzę i idę długą sienią w stronę sali, którą on nazywa Salą Spokoju. Wokół czarnego stołu o ośmiokątnym blacie stoi sześć ciężkich, rzeźbionych zydli. Na środku stołu trójramienny świecznik obejmuje grube na dwa palce woskowe świece. Będą tu płonać przez Wieczność, zawsze tak samo długie, płaczące grubymi łzami wosku, nigdy się nie zmniejszą i nigdy się nie wypalą. Siadam na zydli i spoglądam w martwą tarczę zegara. Wskazówki o strzałkach w kształcie serc zatrzymały się, pokazując cyfry, które nic nie znaczą. Które nic nie znaczyły i nic nie będą znaczyć.

Gospodarz podaje mi chleb i ser. Czarny, gruboziarnisty chleb i twarde ser o ostrym zapachu spoconych stóp. Jem, popijając wodą, która, jak wszystko tutaj, nie ma smaku, lecz przynajmniej gasi pragnienie. Mężczyzna przygląda mi się. Jego aura nadal pulsuje niepokojem.

- Kim jesteś? - pyta.

Podnoszę głowę i uśmiecham się. Szczerym, serdecznym uśmiechem.

• To przecież nieważne - odpowiadam łagodnie. - Czy chcesz wiedzieć, kim byłem? Czy

chcesz wiedzieć, dlaczego tu się znalazłem? Moje życie, tam na górze, było tak krótkim epizodem, że dawno o nim zapomniałem. Odkąd tylko sięgam pamięcią jestem tu: na Drodze w Jedną Stronę.

- Nie próbujesz sobie przypomnieć? - Iskierki niebieskiego zdumienia krążą wokół jego głowy.

- Po co? - Wzruszam ramionami. - Komuż potrzebna wiedza o tym, czy byłem mordercą, a może kazirodcą, a może cudzołożnikiem? Może podpalałem domy, może sprzedawałem ludzi w niewolę, może wymuszałem zeznania torturami? A może jestem tu tylko na skutek pomyłki w rejestrach? Przez sygnaturę zapisaną nie tak, jak trzeba, lub nie tam, gdzie trzeba. Przez jedną literkę zmienioną w imieniu? Nie sądzisz, że wiedza o tym mogłaby nieść tylko dodatkowe cierpienie?

- Nie sądzę - mówi i widzę, że jest rozdrażniony. Przez aurę przemykają fioletowe błyski zniecierpliwienia.

Wtem słyszę stukot obcasów na drewnianych schodach, odwracam się i wstaję. Z piętra schodzi ona. Jego towarzyszka na zawsze i od zawsze. W błyszczącej czarnej sukni bez rękawów, z brylantowym diademem we włosach i złotym grubym łańcuchem opadającym na piersi. Ten ubiór, który mąż stworzył dla niej, widać na specjalną okazję, nie dodaje jej urody. Bowiem kobieta ma zbyt grube rysy, za duże usta, mięsisty nos. Pod połyskliwą materią rysują się wałeczki tłuszczu. Ale on patrzy na nią z czułością i miłością. Jego blask wtedy rośnie. Ona podaje mu dłoń, zbyt szeroką, o nierówno przyciętych paznokciach i zbyt grubych, jakby napuchniętych, stawach.

- Jak dobrze, że trafiłeś do nas - mówi, a jej głos zdumiewa. Ciepły, miękki, pełen spokoju i ufny. Tak jakby witał dawno niewidzianego, upragnionego przyjaciela.

Całuję jej dłoń, a absurdalność tego gestu trochę mnie śmieszy. Choć zapewne nie tak bardzo jak powinna. W końcu tu - pośrodku Mrocznego Królestwa - dbałość o konwenanse pozwala utrzymać resztki człowieczeństwa. Kobieta siada przy stole, a my dopiero po niej.

- Jesteś bardzo spokojny - stwierdza. - Ludzie, którzy do nas trafiają, zwykle są przerażeni i zdumieni. Dlaczego jesteś inny?

- Byłem kiedyś tutaj, a może gdzie indziej, czy to ważne...? W każdym razie po drugiej stronie Zielonej Bramy.

- I co się stało? - Oboje patrzą na mnie z napięciem.

• Któż to może wiedzieć? - Rozkładałam ręce. - Nagle znowu była już tylko Droga bez Końca.

W ich oczach i aurze czytam obawę. Nie chcieliby znów trafić na pustkowie pełne ludzi o wypalonych oczach. Na Autostradę Rozpaczy. Na Szlak Samotności.

• Ale jesteś tu. - Ona przerywa ciężkie milczenie. - I tylko to się liczy. Czy możemy ci pomóc? Czy chcesz z nami zamieszkać?

• Nie. - Kręcę głową. - Moja droga nie kończy się tutaj. Niedługo pójdę dalej...

• Twój blask. - Tym razem odzywa się mężczyzna. - Wiesz, że niezwykle mocno jaśniejesz? Nigdy nie widziałem kogoś z podobnie potężnym blaskiem.

• Wiem. Ale to tylko światło odbite od Jego światła - mówię, tak akcentując przedostatnie słowo, aby nie było wątpliwości o kogo chodzi.

• A więc wiesz, że On tu był? - Aura zdziwienia.

• Któż inny mógł wyrzeźbić w drzwiach znak krzyża i posadzić oliwne drzewko wśród martwych skał? - odpowiadam pytaniem na pytanie. - Ja idę Jego śladem i kiedyś, kiedyś... - Prawie czuję, jak mój blask wybucha eksplozją zieleni. - Kiedyś Go spotkam!

• I co wtedy? - pyta ona łagodnie.

• Wtedy skończy się moja droga - odpowiadam. - I wreszcie odnajdę spokój.

• Możemy ci tylko tego życzyć. - Mężczyzna rozpogadza się, gdyż widać przypomniał sobie niedawne spotkanie z Nim. - Możemy tylko próbować się modlić.

• Być może kiedyś odnajdziesz w pamięci właściwe słowa - mówię łagodnie, wiedząc, że nigdy tak się nie stanie, gdyż na tych pustkowiach nikt prócz Niego nie potrafi złożyć ust do modlitwy.

* * *

Jestem w Domu na Krawędzi Światła. Nie wiem, jak długo, bo czas tu ginie, rozmywa się, wciąż zwęża i rozszerza. Ale najwyższa pora, by odejść. Zaprzyjaźniłem się z nimi. Spędzamy razem długie wieczory, rozmawiamy, ba - nawet śmiejemy się i żartujemy. Traktują mnie, jakbym był tu od zawsze. Stworzyłem ze swojego blasku olbrzymi czarnoskrzydły fortepian i ona czasami gra na nim, a wtedy zielone błyskawice muzyki pędzą ku mrocznemu, posepnemu niebu. On pokazał mi starannie poliniowany pergamin, z naszkicowanymi

pierwszymi inicjałami. Litery są zdobione celtyckim motywem oplotowym i ornamentem roślinnym. Cztery. Każda wyrysowana z niezwykłą precyzją i starannością. „N” jak zamek z dwiema basztami, „I” przypominająca hartowany miecz o prostej klindze, „E” niczym stalowa brona, oraz „B” jak pełne piersi rosnącej kobiety. Zostało mu jeszcze wiele liter. Wiele słów, nim stworzą zdania. Wiele zdań, zanim złożą się w modlitwę. Wydaje mu się, że ma przed sobą całą Wieczność, a skończoną pracę można przecież wykonać w nieskończonym czasie.

Czasami patrzę, jak uciera atrament, jak ostrzy pióro, obserwuję precyzyjne ruchy palców, podziwiam spokój i bezruch przygarbionych pleców. Bo on jest pełen spokoju. Kiedyś, z Czatowni, gdy gorący wichur owiewał nam twarze, pokazał mi stojącego przed bramą Koziogłowego. Patrzyli sobie prosto w oczy. Rycerz Ciemności, dosiadający ognistego rumaka o bazaltowych kopytach, oraz on, człowiek o pochyłych plecach i wątych ramionach. Milczeli. Długo, bardzo długo, podczas kiedy sfera niewolników Koziogłowego obrzucała nas stekiem wywisk i drwin. Ale nie próbowali nawet zgasić jego blasku. Rycerz Ciemności widział mnie i widział moją jasność. Mógł tylko stać, milczeć, a potem odwrócić się i odjechać, zabierając ze sobą jazgoczącą sferę. Nigdy już tu nie wróci.

Tego wieczora (używam słowa wieczór, choć ani dzień, ani noc, ani pory dnia i nocy tu nie istnieją) piliśmy wino z cynowych kubków. Wino z krwistoczerwonych winogron, które niczym purpurowa szata otulały grzejące się w słońcu wzgórza Szampanii. Tak przynajmniej je sobie wyobrażałem, gdyż powstało przecież z mojego blasku. Rozmawialiśmy długo, a wino z cynowego pucharu płynęło niekończącą się strugą. Aż wreszcie on zsunął się z zydła i upadł na podłogę, a ona się śmiała. Potem zanieśliśmy go do łóżka i rozebrali. Pocałowałem ją w policzek i poszedłem do swojego pokoju, cicho zamykając drzwi. Od tego czasu wino towarzyszyło nam codziennie. Tylko on gubił po nim pamięć, śmiał się i płakał bez powodu, krzyczał, złorzeczył i bełkotał. Tymczasem jego żona trwała w nastroju szczęśliwej euforii i wydawało jej się, że żyje nie w Domu na Krawędzi Światła, na poboczu Autostrady Rozpaczy, lecz w samym Świetle. Prosiliśmy, by nie pił, ale zazdrościł nam i nie mógł się powstrzymać. A gdy kiedyś nie zobaczył na stole cynowego pucharu i kubków, obrzucił nas stekiem wywisk i zagroził, że mnie wyrzuci.

Atrament zaschnął w kałamarnicy, brudne, nieostrzone pióro zasnęło na blacie, a piąta litera „O” dorobiła się jedynie pierwszego półokręgu. Wiedziałem, że nigdy nie zostanie dokończona. Świece na czarnym stole nie jaśniały już tak mocno. Blask mężczyzny również powoli przygasał, lecz on sam nic o tym nie wiedział. Być może zobaczyłby to w lustrze, gdyby nie fakt, że lustro

nie odbijają tu postaci, lecz pełne są jedynie ciemności. Jego żona zapewne dostrzegła, co się dzieje, lecz ufała zarówno mnie, jak i mojemu światłu. Kiedyś, gdy zasnął w poprzek łóżka, chrapliwie oddychając i zionąc winem, przyszła do mnie i z radością oddała mi swe ciało. Sprawilem, że krzyczała z rozkoszy, czułem jej paznokcie przeorujące me plecy, słyszałem oszalały łomot serca. Błagała, obiecywała i przysięgała. Zdradziła go myślą, mową i uczynkiem. Podarowałem jej chwilę wszechogarniającego szczęścia, obudziłem w niej miłość. Będzie miała o czym myśleć podczas nieskończonego marszu Drogą w Jedną Stronę.

Kiedy mężczyzna schodzi na parter, czuje, że stało się coś złego. Siedzę w Sali Spokoju przy umarłym świeczniku i patrzę na różowe gwiazdy przerażenia kołujące wokół jego głowy. Wiem, że przez półprzezroczyste, mgliste mury Domu widzi już tłum ludzi na Drodze bez Końca. Może nawet dostrzega tam własną żonę?

- Co się stało?! - krzyczy, a jego oczy robią się coraz bardziej szalone w miarę, jak w aurze giną zielone plamki nadziei.

- Zawsze pytacie, co się stało... - mówię obojętnie.

Kiedyś, w chwilach takich jak ta, odczuwałem euforię zwycięstwa i rozkosz. Pozwalałem sobie na drwiny, szyderstwa, żywiłem się ich rozpaczą oraz słabością, drażniłem, zwodziłem, syciłem się błaganiami lub złorzeczeniami. Teraz po prostu chcę jak najszybciej skończyć.

- Kim ty jesteś? - wrzeszczy, pulsując strachem, a oczy prawie wychodzą mu z orbit.

- Jeszcze nie wiesz? - Wzruszam ramionami. - Współczuję ci więc...

Pokazuję na drzwi. Lite, dębowe drewno. Ani śladu wziernika w kształcie krzyża.

- Kończmy już - mówię spokojnie i wyciągam dłoń. - Chodź.

- Nie, nie, nie! - Kręci głową. - Nie dostaniesz mnie! Mam jeszcze blask!

To prawda. Ma jeszcze blask.

- Jak chcesz. - Siadam z powrotem. - Mam nieskończoną ilość czasu. Mogę czekać. Muszę ci tylko powiedzieć, że twoja żona nie była aż tak uparta. Właściwie ona powiodła mnie na pokuszenie. - Pozwalam sobie na lekki uśmiech.

A potem opowiadam mu z detalami, zważywszy na skalę jej żądy, bardzo gorszącymi detalami o wszystkim, co zaszło. O jej jękach i przysięgach, o wykrzywionej spazmami rozkoszy twarzy, o nogach zarzuconych na moje ramiona, o jej dłoniach, ustach i piersiach. To wreszcie skutkuje. Skacze w moją stronę z zaciśniętymi zębami, z twarzą wykrzywioną złością i czerwoną aureolą nienawiści żarzącą się wokół głowy. Chwyta ciężki świecznik ze stołu i uderza mnie nim

w głowę, która pęka jak orzech kokosowy. Tyle że obryzguje go nie mlekiem, lecz krwią i mózgiem.

I nagle już stoimy na Autostradzie Styksu, na otoczonej zębiskami skał, pogrążonej w siarkowych oparach Drodze Rozpaczy. On czepia się żałośnie rękawów mojego płaszcza, tak jakbym ja (właśnie ja, co za ironia losu!) mógł przyjść mu z pomocą.

- Nieeeee! - Jego krzyk brunatną chmurą rozpaczy wzbija się pod czarne niebo.
- Przykro mi, stary - mówię, puszczając jego dłoń.

Już jest tylko jednym z tych koszmarne krzyczących, przerażonych upiórów błądzących przez pustkowie. Dojdzie do krańca Autostrady Styksu, gdzie spędzi Wieczność tak straszną, że Droga w Jedną Stronę wyda mu się rozkosznym odpoczynkiem.

Oczywiście nie jest mi przykro. Zbyt długo szukam Zielonych Bram i zbyt wiele zniszczyłem Domów na Krawędzi Światła, by odczuwać satysfakcję, ale nie mam żadnych powodów, by czegokolwiek żałować.

W końcu to moja praca. Zajęcie na długo. Być może na Wieczność. Wciąż muszę iść za Nim i jego ożywiającym Światłem, za śladem rozbudzonej nadziei. Bo On potrafi wskrzesić ją nawet tutaj, na Szlaku Samotności. Idzie uparty i niestrudzony, pełniąc służbę, zdawałoby się, bezcelową, gdyż gaszę wszystkie światła, które rozpała. Ale samo to, że z własnej woli zszedł do nich, że podał dłoń mordercom, gwałcicielom i bandytom, że wybaczył podłość oraz słabość - napędza mnie strachem.

Może kiedyś Go spotkam i zgaszę wreszcie ten przekłety blask. Na razie wrywam oliwne drzewko i rzucam je na pastwę mrocznego nieba. Dosiadam czarnego rumaka o bazaltowych kopytach i galopuję przez tłum. Obok mnie pojawia się Koziogłowy.

- Czy mogę ci w czymś usłużyć, mój książę? - pyta.

Odpędzam go jednym ruchem dłoni. Na razie chcę zostać sam. Gdzieś znowu odnajdę plamę zieleni i znowu ją zgaszę. Tak bez końca. Tylko On i ja. Kiedyś, a mamy przecież do dyspozycji całą Wieczność, kiedyś wreszcie Go dogonię i staniemy naprzeciw siebie. Jeżeli pokona mnie, wiem, iż okaże łaskę (w końcu, gdyby tego nie uczynił, różnica pomiędzy nami byłaby czysto umowna). Może nawet w niezmiernym Świetle, które stworzy, ofiaruje mi miejsce, gdzie wreszcie mógłbym odpocząć. Taki Dom na Krawędzi Ciemności. Musi wygrać, gdyż jeśli to ja go pokonam, nigdy mu nie przebaczę. Nie przebaczę, że skazał mnie na wieczne podążanie Jego śladem Drogą bez Końca. Nie umiem i nie chcę przebaczać. Spinam ostrogą

rumaka, a ten rzy ogniście i huczy bazaltowymi kopytami.

- Szybciej! - krzyczę, czując, jak łzy na moich policzkach schną w palącym wietrze. - Szybciej, szybciej! Drę ostrogami boki wierzchowca, niecierpliwie poganiam batem, choć wiem, że gnamy przez Wieczność, gdzie słowa „szybciej”, czy „wolniej” nie znaczą nic.

III. Obce światy

1. Zawsze pan Dawn

Czujniki cichutko zabrzęczały. Pan Dawn przywołał Korbacz i okręcił go wokół palców prawej dłoni. Ktoś zbliżał się do Wyspy, a pan Dawn nie lubił niezapowiedzianych wizyt. Dwaj starzy Eldarowie, siedzący na werandzie, wstali na jego widok i ukłonili się nisko.

- Później, później. - Machnął ręką pan Dawn. Szybkim krokiem poszedł w stronę molo.

Eldarowie odprowadzali go wzrokiem i pan Dawn bardzo wyraźnie czuł ich spojrzenia na swoich plecach. Miał niezachwianą wręcz pewność, że Eldarowie dobrze wiedzą, czyja to łódź płynie w stronę Wyspy. Ale nie umiałby powiedzieć, z czego ta pewność wynikała. Morze było jak zwykle intensywnie zielone i pana Dawna po raz tysięczny już zachwycała oraz zdumiała ta zieloność. Na rafach rozbijały się fale, a wśród raf lawirował niewielki stateczek.

Pan Dawn oparł się o poręcz molo i wystawił twarz do słońca. Spokojnie czekał z przymkniętymi oczami, aż silnik łodzi umilknie tuż przy nim. Wtedy dopiero spojrzał, by zobaczyć, kto ośmielił się zakłócić spokój jego i jego Wyspy.

Na pokładzie stał porucznik Schwerst wraz ze swymi ludźmi oraz czarno ubrany mnich z olbrzymim, srebrnym krucyfiksem kołyszającym się na piersi. Porucznik Schwerst miał bardzo nieszczęśliwy wyraz twarzy, a jego ludzie starali się trzymać dłonie daleko od karabinów. I starali się nie wykonywać gwałtownych gestów. Pan Dawn potrafił to docenić.

- Jestem ojciec James Caan - rzekł mnich. - Przedstawiciel Świętego Officjum, wyłączny pełnomocnik Ojca Świętego na terenie Gurravy.

Ojciec James zszedł z pokładu na molo. Porucznik Schwerst zeszywniał. Wiedział, że pan Dawn może go w każdej chwili zabić. Bowiem niepisane prawo pana Dawna mówiło: na mojej Wyspie możesz być albo zaproszony, albo martwy.

- No co? - rzucił mnich przez ramię. - Ruszcie się!

Porucznik Schwerst błagalnie popatrzył na pana

Dawna, a ten uśmiechnął się i skinął głową.

- Proszę, poruczniku. Proszę, panowie – powiedział uprzejmym tonem.

Żołnierze odetchnęli z ulgą i zeszli na molo. Nadal poruszali się bardzo ostrożnie. Doskonale wiedzieli, że ich życie zależy od tej ostrożności.

- Oto oficjalny dokument upoważniający mnie do podjęcia wszelkich działań - rzekł ojciec James i wręczył panu Dawnowi teczkę w skórzanej oprawie.

Pan Dawn wziął teczkę do rąk, jednak nawet nie zajrzał do środka.

- Wyspa jest prywatną własnością - oznajmił spokojnie - a Officjum nie ma tu nic do roboty. I nigdy nie będzie miało. Pan wybaczy.

Niedbałym ruchem wyrzucił teczkę przez barierę i patrzył, jak kołysząc się wśród słabych fal, wolno pogrąża się w wodzie.

• Zapłaci pan za to. - Ojciec James poczerwieniał. - Ale ja zrobię, co do mnie należy. Raporty donoszą, że przechowuje pan tu tysiące niezarejestrowanych Eldarów. Zrobimy selekcję z pana zgodą lub bez niej. A teraz niech się pan wynosi, zanim każę pana aresztować. Idziemy! - rzucił w stronę żołnierzy.

• Co ja mam robić? - spytał cicho porucznik Schwerst, pan Dawn odczytał słowa z ruchu jego warg.

Obaj doskonale pamiętali noc, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Pan Dawn dopiero co przybył na wyspę i żołnierze postanowili zabawić się w wiosce Eldarów. Wylądowali w ośmiu na tym właśnie molo i ruszyli w stronę osady.

- Nie zapraszałem was, panowie - usłyszeli nagle cichy głos i zobaczyli pana Dawna z czerwono połyskującym Korbaczem w prawej dłoni.

Wtedy porucznik Schwerst, który nawiasem mówiąc nie był jeszcze porucznikiem, nie wiedział, czym jest Korbacz. Tak samo jak nie wiedział o tym czarnoskóry kapitan Ruanga, który powiedział:

- Spieprzaj, dupku.

A Valdirez sięgnął w tym samym momencie po karabin.

Porucznik Schwerst wiedział, że Valdirez by nie strzelił. Chciał tylko postraszyć, może uderzyć kolbą, z pewnością by nie strzelał. Ale nim zdołał zdjąć broń z ramienia, już nie żył. Wszyscy już nie żyli. Porucznik Schwerst nie pamiętał właściwie nic poza czerwoną błyskawicą Korbacza i swadem palonego mięsa. Nie wiedział też, dlaczego ocalał, dlaczego ten straszny człowiek nie zabił go tak samo jak innych. Potem stał i wymiotował, a pan Dawn przyglądał mu

się bez słowa.

- Co tu się wydarzyło? - spytał w końcu pan Dawn, a Schwerst zobaczył, jak zimne są jego oczy.

Korbacz łagodnie pulsował wokół palców pana Dawna i Schwerst wiedział, że jego życie zależy od trafnej odpowiedzi.

- Rozbiliśmy się o molo - powiedział cicho. - I tylko ja ocalałem.

Przymknął oczy, czekając na wyrok, a kiedy je otworzył, pana Dawna nie było już w zasięgu wzroku. Wtedy wrzucił ciała do wody i dwukrotnie jeszcze wymiotował, nosząc te spalone strzępy, które przed zaledwie chwilą były jego przyjaciółmi. A potem wypłynął w morze, zablokował ster i wyskoczył za burtę. Łódź rozbiła się o molo i wybuchła. Taka to była noc, kiedy porucznik Schwerst poznał pana Dawna. I nikomu na świecie za nic nie opowiedziałby o tym, co się stało.

- No! - przynaglił ich ojciec James i nagle zobaczył, co robią żołnierze.

Jeden z nich, przykucnięty, sznurował buty, drugi rozcierał płwocinę podeszwą, a wzrok miał wbity w deski molo, trzech pozostałych odwróciło się plecami i patrzyło gdzieś w morze. Wtedy ojciec James doznał gwałtownego olśnienia i zrozumiał, że za moment może zginąć. Dopiero w tym momencie dojrzał Korbacz, który jarzył się na różowo w dłoni pana Dawna i mruczał cichutko jak złakniony pieszczot kot. Ojciec James poczuł, że chwytają go mdłości, gdyż był człowiekiem mądrym i wiedział, czym jest Korbacz oraz co może zrobić w dłoniach doświadczonego człowieka. Zaczął modlić się w myślach.

Pan Dawn obserwował twarz mnicha i zdawał sobie doskonale sprawę z tego, jakim torem biegły jego myśli. I jednak był zadowolony, że nie będzie musiał zabijać. Bo tak naprawdę, to pan Dawn nigdy nie lubił zabijania. Choć zważywszy na to, kim był i gdzie został wychowany, ta niechęć mogła się wydać dość dziwaczna. Ale życie uczyło, że ci, którzy lubią zabijać, bardzo szybko stają się nieefektywni. A pan Dawn chlubił się swą efektywnością i wiedział, że by przeżyć, musi być skuteczny. Zwłaszcza teraz, kiedy został sam i nie istniał już jako część Trójcy.

- Ja chcę tylko Wyspy, ojcze - wyjaśnił powoli, łagodnym tonem. - Nie interesuje mnie, co robicie z resztą świata. A wy nie interesujcie się moją Wyspą.

Ojciec James gorliwie pokiwał głową.

- Oczywiście - rzekł. - Tak jest. Ma pan absolutną rację. Nie pozwolę sobie więcej na

podobną nieuprzejmość.

Mówiąc, nie mógł się powstrzymać, by nie patrzeć na Korbacz, który wił się powoli pomiędzy palcami pana Dawna jak leniwy, różowy wąż.

- Doskonale. Tylko widzisz, ojcze, jedną z najgorszych ludzkich wad jest krótka pamięć. Jeśli kiedyś zobaczę przy mojej Wyspie oddziały Jałmużników, będę wiedział, komu zawdzięczam taką wizytę.

Pan Dawn przystanął i zbliżył swoją twarz do twarzy mnicha. Bardzo wyraźnie czuł zapach jego potu.

- Żegnam, ojcze - powiedział.

Chwilę jeszcze przypatrywał się blademu mężczyźnie, a następnie odszedł wolnym krokiem w stronę domu. Potem usłyszał tylko huk silników odpływającej łodzi, ale nie oglądał się już za siebie.

Pan Dawn nie spał. Zdążył się już do tego przyzwyczaić, bo odkąd został sam, nie sypiał prawie w ogóle. Jego organizm doskonale funkcjonował bez snu, a raczej z jego dwiema czy trzema, przerywanymi koszmarami, godzinami. Wiedział, że nic mu nie pomoże. Ani alkohol, ani narkotyki, ani kobiety. Po prostu nic. Wtedy, tego pamiętnego dnia, podjął decyzję, od której nie było powrotu. Tylko nigdy nie podejrzewał, że będzie mu tak ciężko żyć. Bez radości i bez smutku. Istniał jedynie obowiązek, któremu się poświęcił. I nie było godziny, w której nie zastanawiał się nad tym, czy poświęcenie było słuszne.

Wstał z łóżka i, owinąwszy wokół dłoni nić Korbacza, wyszedł na korytarz.

W chwilach takich jak ta lubił posiedzieć w bibliotece. Nawet nie po to, by czytać, lecz tylko, aby odpoczywać w bezruchu, w obitym skórą, głębokim fotelu i przyglądać się złoconym i posrebrzanym grzbietom książek. Bo pan Dawn kochał stare książki. Nie cierpiał bezdusznych wszczepów, mikrofilmów czy płyt. Prawdziwą przyjemność sprawiało mu przerzucanie pożółkłych ze starości stronic, oglądanie rycin i rysunków, dotykane okładek z miękkiej skóry.

Pan Dawn nie przychodził do biblioteki, aby czytać. Znał na pamięć każdy ze zgromadzonych tutaj tomów i wiedział, że nic nie będzie w stanie wymazać z jego pamięci ani jednego słowa, które przeczytał. Przychodził do biblioteki, aby odpoczywać, pogрузić się w bezmyślenie, zapomnieć o tym, co było wczoraj, co jest dzisiaj i co będzie jutro. Zwłaszcza o tym, co będzie jutro. Wiedział doskonale, że następny dzień może przynieść tylko nowe cierpienia i kłopoty. A kiedyś przyjdzie dzień, który przyniesie śmierć. Pan Dawn nie bał się

śmierci. W czasie szkolenia skutecznie zabito w nim lęk przed śmiercią. Nie bał się też bólu, gdyż potrafił perfekcyjnie kontrolować własne ciało i jego reakcje nerwowe. Bał się tylko tego, że śmierć przyniesie kres misji.

Siedział w fotelu i popijał różowe wino, pochodzące z zeszłorocznych zbiorów. Porównywał je z trunkami znanymi z Francji czy Kalifornii i wiedział, że nigdy nie pił wina delikatniejszego i bardziej aromatycznego od tego, które pochodzi z Gurravy. A to miało zaledwie rok. Na Ziemi roczne wino nazywano by cienkuszem lub sikaczem. Tu było samą esencją smaku oraz aromatu, ale na Gurravie wszystko było samą esencją życia. Prawdziwym wizerunkiem, a nie odbiciem cienia na skale jaskini. Wiatr był prawdziwym wiatrem, morze prawdziwym morzem, a deszcz prawdziwym deszczem. I w żadnym z ludzkich języków nie istniały pojęcia mogące oddać istotę Gurravy. Takie pojęcia istniały tylko w języku Eldarów, jednak mało kto je znał, bo i mało kto chciał poznać język tych, których uważano za zwierzęta. Być może, zastanawiał się pan Dawn, Bóg na początku stworzył Gurravę, a potem dopiero, zmęczony i wyczerpany, kontynuował dzieło kreacji, lecz nic już nie mogło się zbliżyć do tego pierwszego dzieła boskiego natchnienia.

A kobiety Eldarów? Czyż istniała piękniejsza istota niż kobieta z Gurravy? W panu Dawn dawno wygasły wszelkie męskie żądze, ale kobiety Eldarów były dziełem sztuki, które można było obserwować zawsze bez znużenia i rozczarowania. Ich kolor skóry i oczu, ich gęste i puszyste włosy, ich gesty i lekki chód, ich głos i kształty jak rzeźbione dłutem Michała Anioła. Bo gdyby Michał Anioł zobaczył kobiety z Gurravy, to nie fascynowałyby już go ciała młodych chłopców.

Ale los kobiet Gurravy był jeszcze gorszy niż mężczyzn. Tych mordowano, wysyłano do kopalń, robiono obicia z ich skór, cybuchy do fajek z kości palców. Torturowano w filmach żywej śmierci, palono na stosach, rozpinano na krzyżach i wysyłano na arenę.

Kobiety Eldarów sprzedawano do burdeli i haremów w całym znanym świecie. Kościół patrzył na to niechętnym wzrokiem (w końcu Pismo potępiało stosunki ze zwierzętami), jednak warto zapłacić wysoką cenę za spokój wśród górników na Io, kolonistów na Siódmej Rigela czy w bazach wojskowych Wolfa 351. Kobiety Eldarów sztucznie zapładniano i powodowano poronienia. Wszak każdy kuchmistrz w znanym świecie wiedział, że nie ma wykwinniejszego przysmaku niż mięso kilkumiesięcznego płodu Eldara. Na Gurravie istniało przynajmniej kilkanaście olbrzymich hodowli, w pełni nowoczesnych i w pełni zautomatyzowanych, gdzie

codziennie dokonywano tysięcznych ubojów, gdzie zamrażano mięso, wytwarzano konserwy i marynaty. Hodowli, z których słano statek za statkiem do wielu miejsc na całym świecie.

A Eldarowie znosili to bez sprzeciwu. Pan Dawn zawsze zastanawiał się, czy wynikało to z braku instynktu samozachowawczego, czy też wywodziło się z osobliwej filozofii, mówiącej, że nie należy sprzeciwiać się temu, co niesie los. Jeden człowiek mógł wejść do osady Eldarów, gwałcić, mordować, kraść i torturować, a Eldarowie nigdy nie chcieli czy też nie potrafili się bronić. Po prostu spokojnie czekali, aż wypełni się ich przeznaczenie. I ten spokój, ta absolutna akceptacja własnego losu przerażały pana Dawna. Bo pan Dawn wiedział, że kiedyś przyjdzie chwila jego odejścia. I wiedział, że on też nie będzie się wtedy bronił. Ale brak obrony wyniknie z czysto matematycznego rachunku. Bowiem pan Dawn wiedział, że nie istnieje skuteczna obrona przed tymi, którzy prędzej lub później pojawią się, by zażądać zapłaty. Próba oporu byłaby równie nierozumna jak mierzenie się z trzęsieniem ziemi lub pożarem lasu. Pan Dawn wiedział też, że ci, którzy zjawią się po niego będą pełni współczucia. I przepojeni współczuciem oraz litością zaofiarują mu śmierć. Wiedząc, że śmierć będzie oswobodzeniem i końcem cierpienia. Cierpienia, które rozpoczęło się wtedy, kiedy przestało być ich Trzech, a został tylko Jeden.

Pan Dawn zastanawiał się, czy jego Wyspa ma jakiekolwiek szanse na ocalenie. Wierzył w Boga, nie znał jednak słów, które mogłyby Go przekonać. Gdyby znał takie słowa, pewnie modliłby się co noc. Tylko jak przekonać do swych racji szalonego starca o umysłowości okrutnego pięcioletka, który znajduje upodobanie w torturowaniu muszek i motylek? Bóg, który stworzył Gurravę i Eldarów albo już dawno temu umarł, albo pogrążył się w sadystycznym szaleństwie i znajdował obsesyjną radość w przyglądaniu się, jak umiera jego dzieło. Ostatnią rzeczą, w którą wierzył pan Dawn, była boska ingerencja. Wolał raczej myśleć, że Bóg zdaje się nie interesować Wyspą i zostawia wszystko na jego barkach. I panu Dawnowi nie pozostawało nic poza nocnym czuwaniem w bibliotece przy kielichu różowego wina.

Wiadomo było, że ich przybycia nie poprzedzą fanfary. Wiadomo było nawet, że ich przybycia nie poprzedzi żaden szmer, hałas ani szelest. Pan Dawn wiedział to, bo jak i oni potrafił zjawiać się bezszelestnie. I zjawiał się tak wielokrotnie za plecami tych, którzy czuli się bezpieczni wśród alarmów, goryli i zmyślnych pułapek.

Pierwszego z nich zobaczył przy krzaku figowca. Wysoki mężczyzna stał oświetlony nikłym blaskiem wschodzącego słońca. Pan Dawn nie musiał się oglądać, aby wiedzieć, że za

jego plecami stoi dwóch pozostałych. Jeden, zapewne sześć, siedem kroków na lewo, drugi nieco dalej na prawo. Mógł się założyć, że pomiędzy ich palcami wirują wstęgi Korbaczy. Tak jak wirowały w dłoni człowieka stojącego przy krzaku figowca.

- Witaj A - powiedział mężczyzna. - Czy mógłbyś oddać mi Korbacz?

Pan Dawn przypomniał sobie, że rzeczywiście kiedyś nazywano go A. Wtedy, dawno temu, gdy byli jeszcze B i C.

- Oczywiście - odpowiedział i zsunął Korbacz z palców.

Delikatnym ruchem pchnął go w stronę mężczyzny, a Korbacz popłynął przez powietrze wprost do dłoni tamtego. Potem posłusznie zawinął się wokół palców. Pan Dawn poczuł się bez Korbacza nagi i bezbronny. Ale fakt posiadania czy nieposiadania Korbacza nie był istotny, kiedy stało się przed obliczem Trójcy. Dwaj pozostali mężczyźni stanęli obok swego towarzysza. Wszyscy byli wysocy, rośli, o opalonych twarzach i zimnych oczach.

• Oni chcą wiedzieć, dlaczego tak się stało, A - powiedział pierwszy. - Czy opowiesz nam o tym?

• Oczywiście - odparł pan Dawn, gdyż ich przybycie sprawiło mu ulgę. - Choć nie sądzę, abyście zrozumieli.

• Postaramy się, A - odparł przybysz łagodnym tonem. - Postaramy się, gdyż zrozumienie twoich motywów pozwoli nam uniknąć podobnych kłopotów w przyszłości.

Więc pan Dawn opowiedział im o Eldarach i Gurravie. Opowiedział im o wschodach słońca i fabrykach konserw, o pięknie kobiet i masakrach o świcie, o nieporównywalnym z niczym zapachu łąk i o Inkwizytorach. Opowiedział im o filozofii Eldarów i o tym, że jedyną ich winą było to, że nie wierzyli w Pana Boga Naszego, Stwórcę i Odkupiciela i Syna Jego Jedynego, co zrównywało ich w oczach Inkwizytorów ze zwierzętami. Kiedy skończył mówić, słońce stało już wysoko nad krzakiem figowca, a z pola widać było morskie wybrzeże i spienione szczyty fal rozbijających się na mieliźnie.

- To wszystko - rzekł pan Dawn i przymknął oczy, aby nie widzieć błysku Korbacza, który śmignie w powietrzu i zaciśnie się wokół jego szyi.

I rzeczywiście nie poczuł ani nie zobaczył niczego. Tego, że stanęli nad jego martwym ciałem, a pierwszy z nich spopielił je wystrzałem anihilatora, aby żaden ślad nie pozostał po kimś takim jak pan Dawn.

• Czas wracać - powiedział jeden z mężczyzn, ten, który na początku stał po lewej

stronie, za plecami pana Dawna.

- Tak. Już czas - odparł pierwszy i Korbacze wyprysnęły z jego dłoni jak rozwścieczone, różowe węże.

Nie minęła nawet sekunda, kiedy było po wszystkim. Pierwszy patrzył na ciała swych martwych towarzyszy i czuł, jak jego serce ogarnia niepodobna do niczego pustka i jak już teraz, w pierwszej sekundzie samotności, zaczyna palić go tęsknota, której nie ugasi niczym i nigdy. Wiedział, że zawsze będzie już sam, będzie nie jednym z Trójcy, a samotną jednostką pozbawioną dotychczasowego sensu życia. Spędzi to życie tu na Gurravie, broniąc Wyspy przez ludźmi, którzy mogliby wyrządzić krzywdę jej mieszkańcom. I czekając z niepokojem, ale i nadzieją, aż przybędzie Trzech, by ukoić jego ból oraz samotność.

Wolnym krokiem poszedł przez pole w stronę domu. Na ganku siedziało dwóch Eldarów, spokojnych i nieruchomych, przypominających wyrzeźbione z malachitu figurki.

- Dzień dobry, panie Dawn - powiedzieli i nisko się uklonili.

Pierwszy spojrzął na nich i zrozumiał.

- Dzień dobry - odpowiedział. - Zapowiada się piękny ranek.

Wszedł do domu, by usiąść w bibliotece, przy kielichu różowego wina, a Korbacz zamruczał i sennie ułożył się pomiędzy jego palcami.

2. Taniec na falach

Daleko, gdzieś za linią wzgórz zobaczyli błysk, który rozświetlił wieczorne niebo. Major Hall spojrzął przez lornetę, nie zobaczył jednak nic poza różową luną. Potem wolno schował lornetę do plecaka i usiadł pod wydumą. Przy ognisku, tuż obok niego, siedziało czterech mężczyzn. Ci, którzy mieli tyle szczęścia, aby dotrzeć do ładownika w chwili, kiedy głos Matki odliczał sekundy dzielące ich od awarii. Jak zginęła reszta? Hall miał nadzieję, że poszło to szybko. Że zginęli, wessani przez próżnię, która wtargnęła poprzez rozerwane pancerze kadłuba. Nieprzyjemna śmierć, ale gwałtowna. Bez strachu oczekiwania, bez powolnego duszenia się i marzeń o zaczerpnięciu choć jednego haustu powietrza. Oni mogli umierać dłużej.

Ładownik rozbił się na morskim wybrzeżu, tuż przy samej plaży. Strzelec McPherson i strzelec Coolidge zginęli w czasie lądowania. McPhersonowi pękły pasy, które teoretycznie miały wytrzymać obciążenie kilkunastu ton, i wyrznął głową w skrzynię rozrzędu. Hall własnoręcznie wycierał potem plamy krwi i zbierał strzępy mózgu z metalowej oraz szklanej

powierzchni. Coolidge zmarł z niewyjaśnionych przyczyn. Na jego ciele nie znaleźli żadnych obrażeń, nawet jednego zadrapania. Kości były całe, przynajmniej na ile mogli to stwierdzić, a jednak strzelec nie żył. Tak więc zostało ich pięciu. Z zapasem wody na kilka dni i żelazną porcją witaminowych koncentratów. Od automatycznej bazy dzieliło ich około sześciuset kilometrów, jeśli zdecydowaliby się iść wzdłuż wybrzeża, i mniej więcej czterysta kilometrów, gdyby zechcieli przeciąć trasę i pójść na skróty. Baza była ich jedyną szansą przetrwania. Tam znajdowały się zapasy żywności i odsalacz wody, tam przede wszystkim znajdował się podprzestrzenny nadajnik radiowy, dzięki któremu mieli szansę wezwać na pomoc najbliższy krążownik. Jeśli jakiś w ogóle przebywał w okolicach Układu 720.

Hall podniósł się na nogi i stanął nad ogniskiem.

- Do świtu zostały cztery godziny. Warty co dwie godziny - rozkazał. - Bones i Roberts, wy zaczynacie, potem MacLachlan i ja. Pan, poruczniku, ma na razie wolne.

- Warty? - spytał apatycznie kapral Bones. - Panie majorze, przecież na tej planecie nie ma podobno niczego większego od żółwia! A, no i ptaki, ale nawet nie widziałem żadnego...

- Podobno - rzekł Hall. - Podobno, Bones. A teraz zbierz dupę w troki i poszukaj drewna. Ogień ma się palić całą noc.

Żołnierz wstał po ledwie zauważalnej chwili wahania i odszedł w mrok. Niedaleko, na wydmach, rosły rozłożyste, karłowate krzewy o giętkich, cienkich gałązkach, które nadzwyczajnie dobrze się paliły. Hall spodziewał się, że utrzymanie dyscypliny może okazać się problemem. W końcu tych chłopców nie przygotowano na katastrofy i wędrówki po obcej planecie. To nie byli wspaniałe wyszkoleni marines ani żołnierze z oddziałów eksploracji. Ot, zwykła standardowa załoga bazy, mająca czuwać nad bezpieczeństwem naukowców. Chłopcy, którzy, skuszeni wysokim żołdem, zdecydowali się na pięć lat zostawić Ziemię, przyjaciół, rodzinę i dziewczyny. Tylko porucznik Stevens i on sam byli w tym towarzystwie zawodowcami. Stevens właściwie półzawodowcem w randze oficera aprowizacyjnego. A teraz nie było się już kim opiekować. Wszyscy naukowcy - botanicy, zoologowie, geologowie - zginęli w czasie katastrofy. Jedyna planeta Układu 720, ba, jedyna w obrębie kilku lat świetlnych, na której stwierdzono życie, miała zachować swoje tajemnice na jeszcze długi czas. Zanim dotrze ekipa ratunkowa, minie co najmniej kilka miesięcy, a pewnie kilka lat, nim Centrum zechce posłać następnych badaczy.

Bones wrócił, dźwigając ogromne naręcze chrustu, i rzucił je koło ogniska. Potem usiadł

bez słowa na swoim miejscu.

- Poruczniku, proszę przedstawić sytuację - rozkazał Hall.

Stevens włączył komputer i wyświetlił holograficzny obraz linii wybrzeża.

• Jesteśmy w tym miejscu - wyjaśnił i na obrazie wyrosła czerwona, pulsująca kropka. - A tu jest baza. - Zielona kropka pojawiła się zatrważająco daleko. - Dokładnie dzieli nas od niej sześćset dwadzieścia kilometrów. Sądzę, że jesteśmy w stanie przebyć ten odcinek w dziesięć dni, jeżeli utrzymamy odpowiednie tempo.

• Jak wygląda stan zapasów?

• Mamy pięćdziesięciolitrowy żelazny zapas wody z ładownika - odparł porucznik. - Co daje litr dziennie na głowę.

• Zapomnijcie o myciu, chłopcy - rzucił wesołym tonem Roberts.

Hall przyjrzał się temu drobnemu, jasnowłosemu żołnierzowi. Roberts zauważył spojrzenie majora i uśmiech wolno zgasł na jego twarzy.

- Średnia temperatura dnia na obszarze, na którym jesteśmy, wynosi trzydzieści pięć stopni Celsjusza - rzekł. - W cieniu.

Począł, aż przetrawią tę informację.

• Mamy morze - bąknął nieśmiało MacLachlan.

• To prawda - przytaknął Hall. - Więc wydaje się, że można się będzie ochłodzić, co? Zasolenie jest niewielkie, ale wykluczające możliwość zastosowania tej wody jako pitnej. Tyle, że fauna w morzu jest całkowicie śmiertelna. Stevens?

- Tak jest - potwierdził porucznik. - Całkowicie śmiertelna. Parzące meduzy, trujące algi, jadowite ślimaki. Bardzo drapieżne małe rybki, które można porównać do mikroskopijnych piranii. Pod żadnym pozorem nikomu nie wolno wchodzić do tej wody. Nawet jeśli będziecie chcieli opłukać twarz czy ręce, musicie piekielnie uważać.

• Proszę dalej - ponaglił go Hall.

• Tak jak mówiłem, średnia temperatura dnia to trzydzieści pięć stopni, w nocy na szczęście opada do około osiemnastu. Przez cały czas powinna wiać bryza od morza. Opady deszczu podobno się tu nie zdarzają, a morze nie ma przyływów ani odpływów. To tyle. Aha, żywność. Przy minimalnych racjach wystarczy nam na tydzień. Ostatnie trzy dni musimy poradzić sobie bez jedzenia.

• Jakież żarciki, Roberts? - zapytał major. - Nie? No, dobrze. To wiecie już wszystko. Są

pytania?

MacLachlan uniósł głowę.

- Dlaczego nie pójdziemy lądem, panie majorze? Jeśli dobrze widzę, to idąc plażą, nadkładamy co najmniej trzy dni drogi.

- Nie mamy satelitarnego obrazu tej części lądu - odparł Stevens. - Poza tym im dalej od morza, tym temperatura staje się wyższa. Szlibyśmy w zasadzie pustynią, na której temperatura może dochodzić nawet do pięćdziesięciu stopni. Zdaniem pana majora i moim lepiej nadłożyć trzy dni, ale iść w bardziej sprzyjających warunkach.

Hall nie mówił tego, jednak decyzję o wybraniu nadmorskiej trasy podjął również kierowany względami psychologicznymi. Żołnierze znacznie łatwiej wytrzymają trudny marsz, kiedy obok będą mieli morze, niż gdyby szli po rozpalonej jak patelnia pustyni, na której nie widać nawet, jak daleko się zaszło danego dnia, bo każdy metr drogi jest taki sam jak poprzedni. Tu przynajmniej mogli śledzić postępy i wiedzieć, że z każdym krokiem są naprawdę coraz bliżej i bliżej bazy, w której znajdą ratunek.

- O świcie wyruszamy - rzekł. - Maszerujemy do południa. Potem odpoczynek i o zachodzie słońca znowu w drogę. - Rozejrzał się dookoła. - To tylko dziesięć dni - powiedział, rezygnując z oficjalnego tonu. - A gdy będzie wam źle, pomyślcie o litrach lodowatego piwa w bazie. A gdy będzie wam gorzej niż źle, pomyślcie o odszkodowaniu, jakie wszyscy dostaniemy od Centrum.

- Odszkodowaniu? - Roberts spojrział czujnie.

- Tak - powiedział Hall. - Dobrze słyszeliście, Roberts. Możecie mi wierzyć, że do końca życia żaden z was nie będzie już musiał martwić się o stan konta. No dobra, chłopaki, koniec rozmowy. Czas spać.

MacLachlan wyciągnął z plecaka namiot i użył naboju gazowego. Potem starannie wbił utwierdzające kołki głęboko w zielony piasek, mimo że od morza wiała tylko leciutka bryza i nic nie wskazywało na to, by wiatr mógł zagrozić konstrukcji.

- Pan ich oszukał, majorze - rzekł cichutko Stevens w momencie, kiedy na chwilę zostali sami. - Przecież nie będzie żadnego odszkodowania.

Hall spojrzął mu prosto w oczy.

- Trzymaj głowę na kłódkę, chłopcze - rozkazał. - Tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

Sam doskonale wiedział, że kontrakty były przygotowane w taki sposób, aby zapewnić

Centrum maksimum praw, a jego pracowników zmusić do jak największej liczby obowiązków. Oczywiście odszkodowania dostaną rodziny ofiar, ale nie ci, którzy przetrwali katastrofę. Im odpali się tylko jakieś premie, tak żeby zamknęli twarze. Zresztą konieczność utrzymania ścisłej tajemnicy służbowej również była wpisana w kontrakt i złamanie tego punktu groziło potężnymi karami finansowymi.

- Tak nie można. - Stevens nie chciał odejść, więc major pchnął go lekko.
- Wszystko można - rzekł twardo - aby tylko doprowadzić ich żywych do bazy.

* * *

Słońce wyskoczyło znad morza. Nie unosiło się powolutku nad linią widnokregu, lecz po prostu nagle pojawiło się na niebie. Tu nie było tej delikatnej przemiany porannej szarówki w różowawy świt. Od razu stało się jasno i ciepło, a zielony piach lśnił w promieniach słońca i błyszczał, jakby obsypano go mikroskopijnymi brylancikami. Żołnierze spakowali ekwipunek do plecaków, a Hall spojrzał tylko raz w stronę wbitego w wydmy wraku ładownika.

- Naprzód - rozkazał.

Zdecydował się prowadzić grupę, a na końcu kazał iść roslemu MacLachlanowi. Zastanawiał się, kto pierwszy nie wytrzyma tempa. Szczupły Roberts o wątych ramionach i ptasiej głowie? Okrągłutki, niski Bones, który wyglądał tak, jakby wepchnął sobie w policzki piłeczki pingpongowe? Zwalisty MacLachlan o potężnych ramionach drwała i twarzy pobrużdżonej śladami po rozdrapanym trądziku? A może przemądrzały porucznik Stevens? Tak czy inaczej, major nie zamierzał narażać dla nikogo życia całej grupy. Kto nie wytrzyma tempa, ten zostanie. I tu, na tej pięknej, zielonej plaży, umrze, wpatrzony w szmaragdowe fale. Mówi się trudno.

Szli tuż przy brzegu, tam, gdzie fale lizały piach i gdzie był on twardszy niż w głębi plaży. Tutaj buty nie zapadały się aż po kostki i dużo łatwiej było iść. Słońce zaczynało prażyć coraz mocniej. Bryza wiejąca znad morza cichła, aż wreszcie zupełnie zamarła, pozostawiając ich w parnym, gęstniejącym z minuty na minutę powietrzu. Major czuł, że każdy głęboki oddech sprawia mu już ból, a kolejny krok jest okupiony potwornym wysiłkiem. Obejrzał się za siebie i dostrzegł, że MacLachlan oraz Bones zostali prawie pięćdziesiąt metrów z tyłu, a porucznik Stevens idzie jak automat, ze wzrokiem martwo wbitym we własne stopy. Hall spojrzał na

zegarek. Szli już sześć godzin i według komputera przebyli dwadzieścia osiem kilometrów.

- Postój - zarządził. - Odpoczynek do wieczora. Usiadł na piasku, a Stevens i Roberts padli obok niego, nawet nie zdejmując plecaków. Za chwilę usłyszeli sapanie i na plażę ciężko zwalił się MacLachlan. Miał usta otwarte jak dusząca się ryba i wybałuszone oczy. Natomiast pulchniutki Bones minął ich i szedł dalej. Zataczając się i potykając. Miał zamknięte powieki i coś podśpiewywał. Jakaś melodię z jednym tylko powtarzającym się i akcentowanym na wiele sposobów nieprzyzwoitym słowem.

- Bones! - krzyknął major. - Postój!

Strzelec go nie słyszał. Major zaklął i zerwał się na równe nogi. Zmusił mięśnie do wysiłku i pobiegł za żołnierzem. Dopadł go i chwycił za ramię. Bones obejrzał się, zachwiał, przytrzymał majora, po czym przewrócił Halla na ziemię i runął na niego całym ciężarem obciążonego plecakiem ciała.

- Jasna cholera! - ryknął Hall. - Co z tobą, Bones?

Żołnierz jakby budził się z głębokiego snu. Otworzył oczy, spojrzał na dowódcę i przewalił się na piach.

• Przepraszam, panie majorze, przepraszam. - Zaczął łkać, a łzy płynęły po jego pulchnych policzkach.

• Wstawaj, człowieku. - Hall wyciągnął dłoń i z trudem dźwignął Bonesa.

Potem zdjął plecak z jego ramion i sam go sobie zarzucił.

• Chodź, chłopcze - nakazał łagodnym tonem, a żołnierz powłókł się za nim.

• O Boże, dziękuję, panie majorze - wychlipał, a Hall z trudem tylko powstrzymał się, by nie strzelić w tę wykrzywioną płaczem twarz.

Czy to możliwe, by w atmosferze planety znajdował się składnik oddziałujący na psychikę człowieka? Lub taki, który wzmagal uczucie zmęczenia? Hall nie miał większego pojęcia o chemii ani fizjologii, wiedział jednak doskonale, że człowiek jest tylko i wyłącznie biologiczną maszyną i działa w zależności od podanych mu preparatów. Za pomocą chemii można z tą ludzką maszyną zrobić wszystko. Na przykład zmusić do wysiłku nad zwykłą miarę i czynów niezwyklej odwagi lub zlikwidować ból. Ale można również wywołać strach i halucynacje lub spowodować depresję. Przynajmniej na pewien czas. A przecież szli tylko jeden dzień. Pierwszy dzień. Majorowi nie chciało się wierzyć, by Bones mógł w ciągu tych godzin wędrówki stracić siły, zapał i humor. Stał się wrakiem człowieka. Siedział w milczeniu,

wpatrzoney we własne stopy, a jego policzki zapadły się i wcale nie wyglądały teraz, jakby wypchano je piłeczkami pingpongowymi. Od czasu do czasu po tych policzkach spływały mu łzy, których nawet nie starał się ukrywać ani ocierać. Olbrzymi MacLachlan reagował inaczej. W posepnym milczeniu zjadł i wypił to, co mu podano, a potem z zawziętością zajął się rozciąganiem, zgniataniem i miażdżeniem tubki po koncentracie. Hall z trudem oderwał wzrok od palców MacLachlana. Sam zabrał się za rozbicie namiotu i ustawił go w niewielkiej niecce pomiędzy wydmami. Na razie nie było szansy na cień, gdyż słońce prażyło prosto znad morza, ale major wyliczył, że niedługo jedna z wydm powinna dać im chociaż częściowe wytchnienie od potwornej spiekoty.

- Tu jest jakaś cholerna Sahara - rzekł apatycznie Roberts. - A my co? A my pieprzymy się w pieprzonych mundurach, ten tam nawet z pieprzonym karabinem - wskazał na MacLachlana - i pieprzonymi plecakami! - Uniósł głos, który nabrał teraz piskliwego tonu. - Ja mam tego, kurwa, dosyć! - Wstał i zaczął rozpinać guziki munduru. - Ja chcę się wykapać...

Hall bez namysłu strzelił go wierzchem dłoni w twarz i Roberts umilkł. Spojrzał na majora, po czym powoli wytarł krew z nosa i obejrzał czerwone smużki na kostkach własnych palców.

- Tak nie można, panie majorze - poskarżył się. - Przecież tak nie można...

- Wszyscy do namiotu - rozkazał Hall. - Obejmuję pierwszą wartę.

Spojrzał na porucznika Stevensa, a ten powstał bez zapału.

- Tak jest - rzekł.

W namiocie było gorąco i duszno, jednak nie tak gorąco i nie tak duszno jak na zewnątrz. Namiot został uszyty z materiału najnowszej generacji, mającego dawać zarówno schronienie przed skwarem, jak i chłodem. No, ale to była tylko piękna teoria, zwłaszcza że przewidziano go dla dwóch osób, a nie dla czterech. Bones, Roberts i MacLachlan (MacLachlan odłożył wcześniej karabin i oparł go o ścianę wydmy) weszli do środka, porucznika Stevensa major zatrzymał jeszcze na chwilę.

- Słucham, panie majorze.

- Nie sądzi pan, że tu dzieje się coś dziwnego?

Hall czuł, jak bardzo sam jest zmęczony. Najchętniej zwałiby się w namiocie i spróbował zasnąć. Albo jeszcze chętniej: zanurzył w szmaragdowym, orzeźwiający morzu. Odegnął od siebie te myśli.

- Są wykończeni - apatycznie odparł Stevens.
- Siedmioma godzinami marszu? - Hall spojrzął na zegarek. - To chyba przesada, prawda?
 - W życiu nie siedłem siedmiu godzin pod rząd - powiedział bezbarwnym tonem Stevens.
- Jestem oficerem aprowizacyjnym. Mam dbać o zakwaterowanie, wyżywienie i rozrywki załogi.
 - W morrrrdę - zaklął Hall. - Niech pan chociaż weźmie się w garść! Tu coś musi być w powietrzu. Jakiś składnik... - Rozłożył ręce bezradnie. - Nie znam się na tym...

Porucznik spojrzął w górę, jakby dziwny składnik miał spływać właśnie z bezchmurnego nieba.

- Nie wiem, panie majorze. Ja jestem oficerem aprowizacyjnym...
- Słyszałem to już - przerwał mu Hall. - Niech pan pomyśli: tylko dziesięć dni. Proszę to potraktować jak obóz przetrwania.

- W życiu nie byłem na obozie przetrwania. - Stevens gmerał patykiem w zielonym piachu. - Nigdy nie chciałem być. Ja jestem tylko oficerem aprowizacyjnym, panie majorze.

Jezus Maria, szepnął do siebie Hall. Co ja mam z nimi wszystkimi zrobić?

I w pewnym momencie, kiedy tak patrzył na zgaszonego, bezradnego Stevensa, przyszło mu na myśl, że o wiele lepiej byłoby, gdyby próbował uratować się sam. Albo z MacLachlanem. We dwóch mieliby pod dostatkiem wody oraz żywności i dotarliby do bazy znacznie szybciej niż ciągnąc ze sobą resztę słabeuszy. Przecież nikt by o tym się nie dowiedział, kusiło go. Po prostu spakowalibyśmy manatki i po kilku godzinach: szukaj wiatru w polu. Zresztą bez wody nie uszliby za nami daleko, nawet gdyby chcieli. A więc?

Spojrzał raz jeszcze na Stevensa, który teraz popychał patykiem jakiś kamyczek, przesuwając go z miejsca na miejsce, tam i z powrotem.

To są jednak moi ludzie, major pokręcił głową. Słabi, niewyszkoleni, ale moi. Muszę ich doprowadzić na miejsce.

- Niech pan idzie do namiotu - rozkazał. - Ja zostanę.
- Po co nam warty? - Stevens podniósł się ciężko. - Niech pan też spróbuje odpocząć.
- Obudzę pana za trzy godziny. - Hall nie zamierzał nawet odpowiadać.

Usiadł pod wydmą w miejscu, gdzie namiot dawał trochę cienia i oparł karabin na kolanach. Z minuty na minutę robiło się coraz goręcej i coraz bardziej duszno. Morze uspokoiło się i teraz aż po horyzont widać było tylko szmaragdową toń zlewającą się gdzieś w oddali z niebem. Major oblizwał wysuszone usta i spojrzął na zegarek. Temperatura przekroczyła już

czterdzieści stopni. Morze, spokojne jak jezioro w bezwietrzny dzień, kusilo i przyciągało. Hall wiedział, że ta cudownie przejrzysta szmaragdowa woda oznacza śmierć. Ostrzegano ich przed meduzami i algami, których dotyk powodował zatrucie lub paraliż. To morze, mimo swego pięknego wyglądu, nie było niczym innym, jak kotłem z trucizną. Cóż, w końcu trzeba będzie spróbować tej wody. Nie do picia, na to była zbyt słona, ale może, jeśli zachowają maksimum ostrożności, da się wykorzystać ją chociaż do umycia i dla ochłody?

Równy po trzech godzinach zajrzał do namiotu. Żołnierze leżeli w nim ściśnięci jak ryby w puszcze. Roberts drzemał oparty na piersi MacLachlana, Bones zwinął się w kłębek, jedynie porucznik Stevens leżał z szeroko otwartymi oczami.

- Nie śpi pan już? - szepnął major. - Pana kolej.
- W ogóle nie spałem. - Porucznik wygrzebał się z namiotu, potrącając Bonesa, który zajęczał tylko i skulił się jeszcze ciaśniej.
- Pańskie trzy godziny - rzekł Hall. - A potem idziemy dalej.
- Jasne. - Stevens zatoczył się na wydme, w cień rzucany przez namiot.

Major wpełznął do środka i ułożył się pomiędzy ścianą a MacLachlanem. Potwornie chciało mu się pić i nie mógł myśleć o niczym innym, jak o strudze lodowatej coca-coli płynącej z oszronionej, wysokiej szklanki. Gdy zaczął myśleć o tym, że wychleptałbym błoto z kałuży, wtedy naprawdę będzie źle, pomyślał, by pocieszyć sam siebie. Zamknął oczy i, nie wiedząc kiedy, zasnął.

Stevens obudził ich wszystkich po trzech godzinach i piętnastu minutach od objęcia warty. Słońce chyliło się już ku zachodowi, od morza powiewał wiaterek, a na powierzchni wody rysowały się niewielkie fale z białymi grzywkami piany. Hall otworzył natychmiast oczy, a potem wyszedł z namiotu, nie czekając, aż wygrzebią się z niego inni. Czuł, jak jego mundur śmierdzi potem, i zastanawiał się, czy Roberts mimo wszystko nie miał racji.

- Dobra, chłopcy - powiedział. - Pozbywamy się łachów.

Aby dać przykład, rozpiął pas, a potem bluzę munduru. Został w samych bokserkach koloru khaki, długich skarpetach, butach i podkoszulku w kształcie litery T. Hełm odłożył na piasek.

- Nareszcie - jęknął z ulgą Bones.
- A karabin? - spytał Roberts.
- Karabin będziemy nieść na zmianę ja, MacLachlan i porucznik.

Zobaczył grymas na twarzy Stevensa i pomyślał sobie: „O nie, łajzo, będziesz niósł ten cholerny karabin. W końcu za coś dostajesz oficcerski żołd”.

- Pilnujcie tylko jak oka w głowie swoich butów. Bez nich każdy z was jest martwy. - Potoczył wzrokiem, patrząc, czy uważnie go słuchają. - Nie zdejmujcie również skarpet. Hełmy możecie zostawić razem z mundurami, zróbcie sobie chusty na głowę, dobrze dopasowane i zakrywające kark.

Nastrój wyraźnie się poprawił. Hall z obrzydzeniem patrzył na tych ludzi, którzy przypominali teraz nie wojskowy oddział, a wycieczkę cudacznym plażowiczów. Spojrzał na zegarek.

- Będziemy maszerować osiem godzin, do północy. Potem dwie godziny przerwy i znowu osiem godzin do dziesiątej rano.

- Szesnastogodzinny spacer - mruknął MacLachlan, jednak nie wydawał się przerażony.

- Tylko w takim tempie mamy szansę dojść na czas do bazy. Policzcie to sobie. Chyba że ktoś chce zostać - zawiesił głos. - Chętnie przejmemy jego rację wody. Co? Bones, może ty?

- Jezuniu kochany, nie, panie majorze! Będę szedł, chociażbym miał umrzeć! - Hall zobaczył autentyczne przerażenie w oczach Bonesa.

- Dobra. Idziemy moim tempem, MacLachlan zamyka kolumnę. Kto zostanie... - urwał - ten zostanie. Rozumiemy się?

- Panie majorze, przecież... - To był głos porucznika Stevensa.

- Nie ma żadnego „przecież” - powiedział Hall. - Tu nie ma bohaterów, chłopaki. Tu nie ma niesienia przyjaciół i zwalniania do ich tempa. Jeśli nie dojdziemy w dziesięć dni do bazy, wszyscy umrzemy.

Począł, aż przetrawił sobie te słowa.

- Trenowałem kiedyś przełaje - znowu burknął MacLachlan. - Ja dam radę, panie majorze.

- Jezuniu - znowu powtórzył Bones. - Słodki Jezuniu.

Stevens wydzielił każdemu porcję wody i ruszyli. Bryza od morza była coraz silniejsza. Słońce grzało jeszcze dość mocno, ale wyraźnie skłaniało się ku zachodowi. Powinno zniknąć z nieboskłonu za trzy do czterech godzin, a wtedy będzie im się szło dużo lepiej. Hall spojrzął na zegarek. Temperatura już spadła do trzydziestu dwóch stopni i spadek ten dało się odczuć.

Wreszcie można było swobodnie oddychać, a każdy wdech nie przypominał napychania płuc mokrą watą. Major przerzucił karabin przez ramię i ruszył wzdłuż plaży. Nie oglądał się za siebie. Tym razem szybko wdrożył się w odpowiedni rytm kroków i oddechów. Za sobą słyszał ciężkie posapywanie Bonesa, a kilka razy ostry, mocny głos MacLachlana: „szybciej, łajzo”, który zapewne poganiał w ten sposób Roberta. Bo jednak major nie przypuszczał, aby strzelec mógł nawet w takiej sytuacji zwracać się w podobny sposób do porucznika. Jeśli wszystko tak dalej pójdzie, przedstawię MacLachlana do odznaczenia, pomyślał. I do awansu. Sam był pewien i jednego, i drugiego. A zapewne również prawa do wcześniejszej emerytury. Jeśli tylko wydobędzie żołnierzy z tego piekła.

Po czterech godzinach musieli jednak zrobić przerwę. O dziwo, wysiadł nie płaczący Bones, a Roberts. Jego ptasia twarz była skrzywiona w rozpaczliwym grymasie. Kilka razy zwałił się w piasek. Dwa razy pomógł mu wstać MacLachlan, ale za trzecim razem potężny żołnierz przeszedł po prostu obok kolegi, skracając tylko lekko, by nie trącić go nogą. Porucznik Stevens zatrzymał się, potem cofnął.

- Wstawaj, Roberts, wstawaj. - Nachylił się i usiłował podnieść Roberta za ramiona. Koszulka strzelca pękła z cichym trzaskiem.

- Panie majorze! Nie możemy go tak zostawić! Hall już od dłuższej chwili przyglądał się temu wszystkiemu, oparty o karabin wbity kolbą w piach.

- Pół godziny postaju - zarządził, a Roberts, słysząc te słowa, zwałił się ze szlochem na piasek.

Major odszedł w stronę wydm i usiadł, opierając się plecami o jedną z nich. Po minucie obok niego przysiadł MacLachlan.

• Roberts nie da rady - powiedział bez emocji w głosie. - I tak nie dojdzie, panie majorze, a zabiera nam tylko wodę.

• Słyszałem! Wszystko słyszałem! - wrzasnął piskliwie Roberts. - Nie dam się wykończyć! Nie dam!

Porucznik Stevens coś zaszepotał do niego i strzelec umilkł. Bones przez chwilę stał pomiędzy Hallem i MacLachlanem a Robertsem i Stevenssem, po czym zbliżył się do wydmy, przy której siedział major. Klapnął ciężko na ziemię.

- Ja dam radę - powiedział twardo. - Dam.

Hall skinął głową.

- Wszyscy dacie radę - rzekł głośno.

Rozsznurował buty, zdjął skarpety i z ulgą wystawił zmęczone stopy na powiew bryzy. Poruszył palcami, a potem zaczął ostrożnie rozmasowywać mięśnie.

• O rany, żeby tak wejść do wody... - rozmarzył się MacLachlan, który też masował sobie stopy.

• Spróbujemy coś zrobić - rzekł Hall. - Problem w tym, że te świństwa są podobno maleńkie i przezroczyste albo koloru wody. Dostrzegasz je wtedy, kiedy jest już za późno.

MacLachlan pokiwał głową.

- Ciekawe, gdzie są ptaki? Pan pamięta, majorze, prawda?

Hall pamiętał. Rzeczywiście, mówiono o nadmorskich ptakach żerujących w okolicach wybrzeża. Jak na razie nie widzieli ani jednego. Zobaczyli je dopiero następnego ranka. Ale za to w nadmiarze. Słońce ledwo zdążyło wzejść nad wydrami, a pojawiły się całe stada białopiórych ptaków wielkości mew. Kołowały nad brzegiem i płycznami, nurkowały dziobami w wodzie i przeraźliwie krzyczały. Ich krzyk był równie nieprzyjemny, jak krzyk ziemskich mew, jednak bardziej chrypliwy i rozdzierający. Część z ptaków, może zainteresowana ludźmi, krążyła tuż nad ich głowami, wrzeszcząc i nawołując się. Jakby ktoś piłował metalem po szkłe, pomyślał Hall. Dzioby tych stworzeń były brudnoczerwone, tak jakby przed momentem unurzały je najpierw we krwi, a potem w ziemi.

MacLachlan zdjął karabin z ramienia, spokojnie przymierzył i strzelił prosto w kołujące stadko. Pióra, krew i strzępy mięsa eksplodowały w powietrzu. Reszta ptaków rozsypała się po okolicy. MacLachlan przymierzył po raz drugi, porucznik Stevens wybił mu broń z ręki.

• Przestań! - krzyknął.

• Co wam odbiło, MacLachlan? - mruknął Hall. - I tak nie wystrzelamy wszystkich.

• Przyjeżdżamy na nową planetę i musimy od razu zabijać, tak? - Stevens wrzeszczał nad MacLachlanem, który spokojnie podniósł karabin i czyścił go teraz z piasku. - Bo co, nie potrafimy nic innego, tak?

• Zwariował pan? - Hall stanął między nimi. - Na ekologię się panu zebrało? Kto tu będzie żałował jakiegoś ptaszora?

Spojrzał na zegarek.

- Jeszcze pięć godzin i robimy postój, chłopcy. Długi, długi sen aż do zachodu słońca. To nam się przyda.

Ptaki znowu podleciały bliżej i krzyczały przeraźliwie. MacLachlan stanął przed Stevensem.

- Kiedyś tu zostaniemy - powiedział cicho, ale dobitnie. - My, ludzie. Na zawsze. A wtedy to wszystko - powiódł ręką wokół - zniknie. Te obrzydliwe ptaki i to zatrute morze. Postawimy hotele, zbudujemy farmy i miasta. I to będzie nasza planeta. - Dźgnął Stevensa w pierś wskazującym palcem tak mocno, że porucznik aż się zatoczył.

- Strzelec MacLachlan! - krzyknął Hall. - Opamiętaj się, człowieku! Teraz udam, że nic nie widziałem, ale niech to będzie ostatni raz. Dupa w troki! Idziemy!

Major tym razem wysłał MacLachlana do przodu, a sam zajął miejsce z tyłu kolumny. Wolał, aby nie doszło do kolejnego konfliktu pomiędzy Stevensem a strzelcem, który najwyraźniej pogardzał albo też zaczął pogardzać mięczakowatym porucznikiem. Pieprzony obrońca ptaków, Hall pokręcił głową. Jednemu odbiło na strzelanie, a drugiemu odbiło na obronę zwierząt. I nie wiadomo, który gorszy. MacLachlan przynajmniej przejawiał jakąś energię. Być może źle ukierunkowaną, lecz jednak energię. A Stevens? Przecież jeszcze trochę, a zacząłby tupać nóżkami, że źli ludzie męczą mu ptaszki. Co za ofiara! Swoją drogą, Hall nie spodziewał się takiej tyrady po milkliwym Mac La-chlanie. Proszę, proszę, czego mu się zachciewa. Farm, miast i hoteli. Miną dziesiątki lat zanim marzenie stanie się rzeczywistością. Jeśli w ogóle komukolwiek opłaci się zakładać tu kolejną Nową Ziemię.

Tuż przed dziesiątą rano rozbili obóz i odpoczywali aż do zachodu słońca. Tym razem Hall nie zrywał ich o czwartej, lecz dał sygnał do wymarszu dopiero, gdy zaczęło zmierzchać. Widział, że z żołnierzami jest coraz gorzej. Bones już się nawet nie odzywał i zachowywał jak sterowany poleceniami automat. Gdyby major nie kazał mu pić i jeść, to chyba siedziałby obojętnie wpatrzony w manierkę i tubkę koncentratu. Roberts coraz bardziej słabł, a Hall zobaczył na postoju jego zdarte do żywego mięsa stopy.

- Zafasowałem nowe buty przed wylotem - wytłumaczył Roberts, wpatrzony z przerażeniem w ranę na prawej stopie, usiłując oderwać sklejoną krwią lewą skarpetę.

Porucznik Stevens po kłótni z MacLachlanem niemal się nie odzywał. Robił, co do niego należało, ale z taką obojętnością, że Hall chwycił się czasami na myśli, że chętnie przygrzałby mu w tą inteligentką buzię. Oficer aprowizacyjny - śmiechu warte. Dobra synekura dla pieprzonych studencików, którzy chcieli wydoić trochę pieniędzy z armii. No i mieli dobre układy w komisjach przydziałowych. Jedynie MacLachlan wydawał się być zrobiony z naprawdę

solidnego materiału. Na razie jednak problemem były stopy Roberta. Major patrzył na nie z obrzydzeniem i z lękiem. To nie były już otarcia. To były rany, ze zdartą skórą i żywym mięsem, w które powłaził brud oraz kryształki piasku. Hall sięgnął do apteczki. Znalazł tam bandaż oraz płyn antyseptyczny.

- Będzie bolało, chłopcze - obwieścił bez współczucia w głosie.

MacLachlan i Bones przytrzymali na wszelki wypadek Roberta, który siedział pod wydmą blady i z wybałuszonymi strachem oczami. Major najpierw dokładnie przemył płynem rany, a potem owiązał stopy strzelca bandażem. W czasie zabiegów Roberts jęczał, płakał i wył. Hall od czasu do czasu podnosił na niego wzrok, ale żołnierz nie był w stanie już się powstrzymać. Na początku jeszcze przygryzał zęby i zaciskał dłonie w pięści, starał się tamować krzyk, potem zupełnie się rozkleił.

- Co to, kurwa, tak boli?! - nie wytrzymał wreszcie major. - Zamknij mordę, szmaciarzu!

Roberts zatchnął się wtedy i do końca zabiegu starał się nie odzywać. Pojękiwał tylko od czasu do czasu, bo Hall wcale nie starał się być łagodny. Major służył niegdyś z żołnierzem, któremu mina urwała rękę do łokcia, i ten facet trzymający w lewej dłoni własną prawą rękę zachowywał się godniej niż mięczak z obtartymi stopkami!

- Jak ja będę szedł, jak ja będę szedł... - powtarzał Roberts, wpatrzony w obwiązane białym bandażem stopy.

- Jeśli trzeba, będziesz szedł na kutasie - warknął Hall i wstał.

Ale Roberts niedługo wytrzymał. Pod koniec piątego dnia, kiedy mieli już ruszyć po krótkim postoju zaraz po zachodzie słońca, żołnierz spokojnie podszedł do porucznika Stevensa, uściskał mu rękę, skinął głową strzelcowi Bonesowi i wszedł w szmaragdową wodę.

- Roooberts! - wrzasnął Hall, który zorientował się, co się dzieje, dopiero wtedy, gdy Roberts był już po uda w wodzie. - Wracaj, idioto!

Na początku major przypuszczał, że żołnierz chce się tylko ochłodzić i że być może, przy sprzyjającym zbiegu okoliczności, uda mu się z tej kabały wyjść z życiem.

- Natychmiast wracaj!

Ale strzelec nawet się nie odwrócił. Wolno szedł prosto w morze, a porucznik Stevens obrócił się do majora.

- On nie wróci - powiedział spokojnie. - Może będzie mu najlepiej z nas wszystkich.

- Co za gnida! - Major patrzył na plecy wciąż oddalającego się Roberta ze wściekłą

rozpaczą. - Przeszliśmy już połowę drogi, a ta menda się rozkleiła.

• Jak pan tak może! - Krzyk porucznika przeszedł w eunuchowaty pisk. - On właśnie umiera!

- I dobrze! - Hall odwrócił się na pięcie.

Nie miał zamiaru przyglądać się żalosnemu widowisku pod tytułem: zdesperowany żołnierz odchodzi ze służby na własną prośbę.

- Tylko nas opóźniał - dodał. - Teraz dotrzemy do bazy szybciej i wystarczy nam wody.

Porucznik Stevens szarpnął go za ramię i major zachwiał się. O mało nie upadł.

• Już po pierś - szepnął Bones.

• Jak pan tak może?! - Twarz Stevensa była wychudła, ściągnięta i szara, ale oczy pały szalonym blaskiem. - Potrafi pan myśleć tylko o wodzie! - Teraz szarpnął majora za koszulkę. - Tak?

• Po brodę - Bones wpatrzony w Roberta nie reagował na ich kłótnię.

Hall strącił dłoń porucznika jednym szybkim ruchem. Stevens zatoczył się i upadł na piach. Próbował się zerwać, ale major podciął mu rękę kopniakiem i uklęknął nad nim.

- Jeszcze raz mnie dotkniesz, gnido – powiedział spokojnie, acz dobitnie - a połamię ci łapska. Rozumiesz?

Stevens patrzył na niego, jakby nie do końca pojmował, co się stało i dlaczego właściwie znalazł się na ziemi z majorem wbijającym mu kolana w żebra.

• Tttak - zająknął się.

• Nie ma już go - szepnął Bones.

Hall podniósł się i spojrzał na morze. Faktycznie. Tylko szmaragdowe fale załamywały się na mieliźnie, żołnierza nie było nigdzie widać.

- Bóg z nim - rzekł Hall. - Idziemy!

Ale tak naprawdę w tym momencie nie myślał o śmierci Roberta, lecz o dwóch innych sprawach. Po pierwsze, zyskali pięć litrów wody, a to być może oznaczało życie dla jednego z nich. Po drugie, Hall zastanawiał się, jak to możliwe, iż żołnierz spokojnie doszedł aż do głębi, w której się zanurzył. I nic go po drodze ani nie ugryzło, ani nie poparzyło, ani nie sparaliżowało. A przecież jeszcze zeszłego dnia przyglądali się ostrożnie tej wodzie. Nabrali ją do plastikowej, przezroczystej butelki i w promieniach słońca wyraźnie widzieli przejrzyste, galaretowate stworzenia z długimi, niemal niewidzialnymi wiciami. Porucznik Stevens sprawdził dane w

komputerze i okazało się, że jest to rodzaj mikroskopijnych, boleśnie parzących meduz. Być może przytknięte do dłoni czy łydki wywołałyby tylko ból i alergiczną reakcję, ale major wolał nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby przedostały się do ust lub gardła.

A szmaragdowe morze kusiło. I jak widać, niektórych kusiło skutecznie. Jednak Hall, trzeźwo myśląc, zdawał sobie sprawę z faktu, iż śmierć Roberta może być błogosławieństwem dla nich wszystkich. Przecież dużo trudniej byłoby go zostawić na plaży, w promieniach tego piekielnego słońca. A tak przynajmniej zdjął z ich ramion ciężar podjęcia decyzji. Wycofał się sam. Słusznie. Zgodnie z zasadami ewolucji, gdzie tylko najsilniejsze i najlepiej przystosowujące się jednostki mają prawo do przetrwania.

Siódmego dnia o poranku rozbili obozowisko u stóp pasa wydm porośniętych szczególnie bujną roślinnością. Stada mew unosiły się zarówno nad wydmami, jak i krążyły w poszukiwaniu łupu nad samą powierzchnią wody. Od czasu do czasu żołnierze widzieli, jak ptaki błyskawicznie porywają ofiarę i wydzierają ją sobie nawzajem w powietrzu. Przerażliwie krzyczały. Jednak przez te wszystkie dni zdołali się jakoś do tego wrzasku przyzwyczaić. Major Hall łapał się na tym, iż w zasadzie słyszy go tylko wtedy, kiedy skoncentruje uwagę. W innym wypadku hałas był tylko kolejnym elementem rzeczywistości. Jak szum morza. Jak potworny upał. Jak oślepiające słońce. Jak ból poranionych stóp. I jak pragnienie, które towarzyszyło im wszystkim od świtu aż po następny świt.

Usta, język i gardło domagały się wody. Krzyczały o wodę. Błagały. Ale racje były ściśle ograniczone. Litr wody. Nie więcej. Hall nawet po śmierci Roberta nie zdecydował się na ich zwiększenie. Chciał mieć rezerwę. Być może przyjdzie czas, kiedy te pięć litrów zadecyduje o ich życiu. Być może tuż przed ostatnim wymarszem urządzą sobie ucztę. Wypiją wszystko, do dna. Przecież głupio byłoby zdechnąć dzień drogi od miejsca wybawienia. W bazie znajdowało się wszystko, co potrzebne jest do życia i pracy ekipie wyspecjalizowanych naukowców. W bazie były ogromne chłodnie wypchane po brzegi jedzeniem i napojami. Wygodne łóżka. Odsalacze i filtry wodne. Nie mówiąc już o projektorach z bogatym zestawem rozrywkowych dysków, sieci komputerowej, a nawet seksualnych symulatorach.

Major Hall czasami, gdy przymykał oczy i pozwalał się nieść stopom wzdłuż wybrzeża, wyobrażał sobie siebie samego leżącego na łóżku i ze szklanką, co tam szklanką! dzbanem zimnej wody. Obiecywał sobie, że przez cały czas pobytu w bazie, przez cały czas kiedy czekać będą na ekipę ratunkową, ten dzban, wypełniony po brzegi, będzie stał obok jego łóżka. Tak aby

w każdej minucie mógł sięgnąć po niego i pić, pić, pić do woli.

- Panie Stevens, warta - rozkazał. - Za dwie godziny zmieni pana Bones, potem MacLachlan i ja.

Hall doskonale zdawał sobie sprawę, że wszyscy wyznaczeni na wartę w rzeczywistości szukają tylko cienia i śpią. Nastawiali alarm zegarka i budzili następnego żołnierza, który włókł się na ich miejsce i momentalnie sam usypiał. Major nie pochwałiał takiego zachowania, ale je tolerował. Większym problemem stało się utrzymanie dyscypliny wydzielania wody. Widział szybkie, pożądliwe spojrzenia, jakimi każdemu z jego żołnierzy zdarzało się wpatrywać w pięćdziesięciolitrowy, teraz więcej niż w połowie pusty, kontener. Hall zdawał sobie sprawę, że kiedyś jeden z nich może nie wytrzymać i naruszy zapas. I wiedział też, że żołnierz będzie chciał tylko zamoczyć usta. Będzie miał szczerą chęć wypicia jedynie łyżeczki. Przepłukania ust. I jasne było też dla niego, że nikt nie będzie w stanie poprzestać na jednym łyku. Kiedy odpoczywali, kontener zawsze znajdował się w namiocie, tak by nigdy nie zdarzyła się sytuacja, iż ktokolwiek jest sam na sam z żelaznym zapasem wody. Teraz, siódmego dnia, było podobnie. Kontener leżał przy ścianie namiotu, a Mac Lachlan, zasypiając, niby bezwiednie oparł na nim stopy. Porucznik został na zewnątrz, a wszyscy pozostali usnęli prawie momentalnie. Byli tak zmęczeni, że nawet odwodnienie organizmów nie przeszkadzało im w natychmiastowym zapadnięciu w płytki, gorączkowy i pełen koszmarów sen.

Hallowi zwykle śniła się woda. Górską rzeką spływającą wodospadem do niewielkiego leśnego oczka. Major stał po kolana w lodowatym nurcie, a kaskady wody spływały na jego głowę i twarz. Był nagi i szczęśliwy. Ten sen powtarzał się prawie codziennie i major budził się potem w przeraźliwej depresji, gdy, wyrwany z sennego oszołomienia, wracał do makabrycznej rzeczywistości. Sen siódmego dnia był inny. Majorowi śniło się, że jest nadal w namiocie i usiłuje zasnąć, a na plaży słyszy czyjeś kroki na piasku. Nie porucznika Stevensa, gdyż ten spał oparty o ścianę wydmy i cicho posapywał. Kroki kogoś, kto delikatnie stawiał na plaży bosc stopy.

- Poruczniku, proszę się obudzić. - We śnie majora ten głos był głosem zmarłego Roberta.

Potem sen, jak to sny mają w zwyczaju, nagle się urwał, a później Hall zaczął śnić od nowa. Tym razem słyszał prowadzoną cichym głosem rozmowę Stevensa i Roberta. A właściwie nie rozmowę, lecz cichy, monotony głos żołnierza.

- Tam jest tak pięknie, poruczniku - mówił Roberts. - Pływa się w szmaragdowych głębinach, wśród cudownych, kolorowych raf. Słodka woda bije z podziemnych źródeł w jaskiniach, ale jeśli pan chce, można pić i morską wodę. Ona wcale nie jest trująca, jak mówi major. Wcale nie. Gdy znudzimy się już pływaniem, wchodzimy do podwodnych grot lub szukamy wysp. Pieczemy na ognisku ryby o szerokich pyskach, których mięso smakuje jak najdelikatniejsza jagnięcina. Pamiętam, bo moja mama takie przyrządzała. Jemy owoce i pijemy wino, a potem tańczymy na falach z paniami tego morza...

• Tańczycie na falach? - Hall, mimo iż to był tylko sen, słyszał jakiś nieprawdopodobny zachwyty w głosie porucznika. Zachwyty połączony z przejmującą tęsknotą.

• Tak - odparł Roberts z rozmarzeniem. - Tańczymy na falach, chłodna bryza owiewa nasze ciała, a krople piany pryskają na twarze. Jest tak pięknie.

• A one? Jakie one są?

• Nigdy nie widział pan takich kobiet, poruczniku. Mają seledynowe ciała o kształtach, których nie wyrzeźbiłoby dłuto nawet najznakomitszego rzeźbiarza...

Major niemal żałował, że to tylko sen. To musiał być tylko sen, gdyż Roberts nigdy nie byłby w stanie używać tak wyrafinowanych sformułowań.

• Są czułe i piękne. Wesole i dobre. Chcą z nami żyć w zgodzie i radości. W pokoju. Jesteśmy dla nich ciekawi. Interesujący. Pragną nas bliżej poznać i zaprzyjaźnić się z nami.

• Jak? W jaki sposób możemy je poznać? - Gorączkowy szept porucznika.

Hall jęknął i przewrócił się na bok. Zawadził kolanem o brzuch Bonesa, a ten wymruczał coś głośno i z wyraźnym rozdrażnieniem. Major otworzył oczy i spojrzał na zegarek. Bones powinien strażować od przeszło trzydziestu minut. Dowódca wypełznął z namiotu. Porucznik Stevens, o dziwo, wcale nie zasnął. Siedział w pełnym słońcu i patrzył na morze nieobecny wzrokiem. Wydawało się, że nie usłyszał nawet kroków majora. Ten szarpnął go za ramię.

- Chce pan dostać udaru? - warknął ze złością. - Niech pan natychmiast idzie do namiotu i przyśle tu Bonesa.

Stevens obrócił wzrok na swego dowódcę. Jego wychudła, brudna twarz była teraz pełna dziwnej łagodności. Oszalał, przemknęło przez myśl majorowi. Oszalał od tego upału.

• Mogę jeszcze zostać na warcie. - Kiedy Stevens przemówił, jego głos był zadziwiająco rzeczowy. - Nic mi nie będzie.

• Natychmiast wykonać! - Hall nie miał zamiaru wdawać się w sprzeczki. Był za bardzo

zmęczony i za bardzo wściekły, że wszystkiego, nawet najmniejszego detalu, musi sam dopilnować

Począł, aż Stevens zniknie w namiocie, a na plażę przywlecze się ledwo przytomny Bones.

- Kiedy będziemy pić? - wybełkotał.
- Za sześć godzin. - Hall spojrzął na zegarek. - Niecałe.

Bones zatoczył się i usiadł pod ścianką namiotu.

- Nie wytrzymam tyle - poskarżył się płaczliwie. - Ja już nie wytrzymam. Panie majorze - spojrzął na Halla z jakąś żarłoczną nadzieją - chociaż łyżka, proszę. Malutkiego łyżka...

Te warty już nie mają sensu, pomyślał major. Dobrze, od dzisiaj koniec. Można im poluzować. Zostały tylko trzy dni. A w zasadzie dwa, bo ostatniego będą mknęli, jakby urosły im skrzydła. Tego ostatniego dnia można wręcz nie liczyć, gdyż z każdą upływającą godziną będą coraz bliżej i bliżej bazy, którą osiągną przed snem. I spać będą już w wygodnych łóżkach. Nie, pomyślał Hall. Nie będę spał w łóżku. Wejdę pod prysznic i odkręcę wodę. Zasnę w kabinie, a woda będzie ciągle splukiwać mi głowę i ciało. Otworzę usta i pozwolę, aby płukała mi je i płynęła do gardła. A kiedy będę opity jak bąk, opity wodą jak nigdy w życiu, to będę pił dalej. Hall wręcz nie mógł sobie już wyobrazić, jak to jest mieć pod dostatkiem wody. Myć się w wodzie. Kąpać. Moczyć w niej całe ciało.

- Znasz zasady - powiedział do Bonesa ze zmęczeniem. - Woda jest przed samą drogą.

Strzelec pokiwał głową, a potem wtulił ją w ramiona i zapłakał bez łez. Hall patrzył na niego chwilę, a potem nie mógł już słuchać szlochania, więc wszedł z powrotem do namiotu, ale i tam dopadło go to suche, pozbawione nadziei, rozpaczliwe łkanie.

Ósmego dnia, tuż przed zachodem słońca, Bones spróbował zabrać im wodę. Karabin leżał na piasku, a strzelec nagle chwycił go, odbezpieczył i wycelował w majora.

- Muszę się napić - powiedział, a lufa drżała w jego osłabłych dłoniach. - Tylko jeden łyżek, przysięgam.

Hall wpatrywał się we wskazujący palec Bonesa na spuście i w lufę, która to podnosiła się, to opadała. Trafi mnie w brzuch albo w pierś, pomyślał beznamiętnie.

- Przecież możemy, prawda? - Bones przeniósł psie spojrzenie na porucznika. - Mamy zapas Roberta. Wypijmy go...

Porucznik nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć:

„Nie ode mnie to wszystko zależy”. MacLachlan stał cztery kroki dalej. Za daleko, by wytrącić broń Bonesowi, pomyślał major. Zresztą wiedział, że to jest sprawa między nimi dwoma. Jeśli wprowadza się dyscyplinę, trzeba umieć ją utrzymać. Prawo bez siły jest martwe.

- Odłóżcie broń, Bones - rozkazał. - Chcecie spędzić czas do przyjazdu ekipy w areszcie?

Strzelec roześmiał się, a potem zakaszał. Hall nie wiedział, czy tylko mu się to zdaje, ale palec Bonesa opierający się na spuście jakby zbiegał.

- Chcę pić. Nie dojdę bez picia. Dzisiaj miałem... miałem mniej niż inni...

- Dobrze, chłopcze. Odłóż broń i zastanowimy się. Co pan o tym sądzi, poruczniku? -

Hall cały czas patrzył na palec Bonesa naciskający języczek spustu.

Czy zdąży coś poczuć? - pomyślał. Boże, spraw żeby chociaż od razu mnie zabił.

- Poruczniku! - Ciągłe patrzył tylko na ten cholerny wskazujący palec. Nie był w stanie przenieść wzroku na Stevensa, który jednak wreszcie się odezwał.

- Tak, panie majorze?

- Pan jest oficerem aprowizacyjnym. Co pan sądzi o wydaniu dodatkowej racji wody?

- Myślę, że możemy sobie na to pozwolić - rzekł ostrożnie porucznik, a Bones odetchnął z ulgą. Jego palec uniósł się ze spustu.

- Dziękuję, panie poruczniku, dziękuję, że pan tak powiedział.

- A teraz odłóż broń, synu - rozkazał major.

Broń w rękach Bonesa chwiała się niepewnie. Lufa opadła w stronę brzucha majora, potem w kierunku jego nóg. Jeśli teraz wystrzeli, strzaska mi kolano, Hall myślał tak spokojnie, jak gdyby chodziło o kogoś innego. Wreszcie lufa wycelowwała w piasek i wtedy major podszedł do Bonesa spokojnym krokiem. Wyjął mu karabin z rąk.

- Według artykułu 34 Kodeksu Karnego Armii Federacji w sytuacji zagrożenia życia dowódca oddziału przejmuje pełne uprawnienia sądu wojskowego z prerogatywą natychmiastowej wykonalności. - Hall wiedział, co musi zrobić i wcale mu się to nie podobało. - Bunt zagrożony jest karą śmierci, Bones...

Strzelec cofnął się o krok.

- Miałem dostać wodę - powiedział, jakby chciał się poskarżyć majorowi.

- Ja wykluczam was tylko z Armii Federacji. Od tej pory jesteście cywilem, Bones.

Pucułowaty żołnierz, który dawno przestał już być pucułowaty, jeszcze nie wiedział, o co chodzi. Stał i patrzył na majora, a na jego twarzy zastygło zdumienie oraz rozżalenie.

- Miałem dostać wodę... - powtórzył.

- Poruczniku, MacLachlan, proszę iść. Ja was dogonię.

- Panie majorze... - Stevens chciał coś powiedzieć, ale Hall obrócił się w jego stronę. W ręku majora karabin trzymał się prosto, a lufa celowała w pierś porucznika.

- Natychmiast - rzekł.

Stevens i MacLachlan powlekli się naprzód. Porucznik oglądał się przez ramię kilka razy, ale nie zatrzymywał się. Hall czekał, aż odejdą dalej. Kilometr. Dwa. Byli już tylko niewielkimi sylwetkami maszerującymi wzdłuż linii morza. Bones usiadł na piachu po turecku.

- Przecież mnie pan nie zabije - wymamrotał.

- Nie - odparł major.

Wyciągnął magazynek i cisnął go daleko w morze. Ciężki kawałek metalu plusnął w fale i zniknął pod wodą. Wyprowadził ostatni nabój z komory i schował go do kieszeni munduru. Potem rzucił karabin na piach.

- Ty już nie jesteś moim żołnierzem, Bones - powiedział. - Powodzenia.

Odwrócił się i zaczął szybkim krokiem maszerować w stronę coraz bardziej oddalających się postaci. Teraz dopiero Bones zrozumiał, co naprawdę się stało. Nie był żołnierzem, nie był członkiem oddziału, a więc nie miał prawa ani do pomocy, ani do racji wody i żywności. Hall wiedział, że strzelec ich nie dogoni. Był najslabszy i dostosowywali tempo do jego tempa. A teraz cóż... Może stanie się cud i wytrzyma trzy dni bez wody? Dotrze na teren bazy, gdzie trafi do aresztu i poczeka na ratowników. Najprawdopodobniej umrze i zostanie na zielonym piasku, a jego ciało rozszarpią twarde, brudnoczerwone dzioby mew.

Hall szedł szybkim krokiem, a za plecami słyszał wycie Bonesa. Dobiegające z coraz większej odległości. Major dogonił MacLachlana i porucznika Stevensa dopiero przed północą, bo MacLachlan narzucił naprawdę ostre tempo. Dołączył do nich, a oni nie odezwali się nawet słowem. Tylko porucznik spojrział najpierw na majora, a potem sięgnął wzrokiem do tyłu, jakby liczył, że zobaczy snującą się za nimi sylwetkę Bonesa. Ale po pierwsze, było ciemno, a po drugie, strzelec stracił do nich, przez tych kilka godzin szybkiego marszu, co najmniej kilka, jeśli nie kilkanaście kilometrów. Maszerowali w milczeniu, wreszcie Stevens nie wytrzymał.

- Zamelduję o tym wszystkim, majorze - powiedział, dysząc ze zmęczenia. - Bóg mi świadkiem, zamelduję.

Hallowi nawet nie chciało się odpowiadać. Znał armię i wiedział, że każdy sąd wojskowy

go uniewinni. Działał w sytuacji wyższej konieczności i faktycznie miał prawo zabić buntownika. Gdyby wypalił prosto w pierś Bonesa, nikt nie miałby prawa oskarżać go o zaniedbanie obowiązków lub przekroczenie uprawnień. W armii nie ma gorszej rzeczy niż nieposłuszeństwo. A kiedy jest się o krok, o jeden maleńki kroczek od śmierci, dyscyplina staje się najważniejszym sposobem na przeżycie.

Obozowisko rozbili cztery godziny po świcie. Znowu było już duszno, gorąco i znowu wiatr całkowicie zamarł.

- Tym razem możemy się napić, chłopcy - powiedział Hall. - Możemy napić się przed snem. Jedna pełna porcja dla każdego.

Zmęczona, z grubą ciosaną twarzą MacLachlana rozpromieniła się. Ale Stevens patrzył gdzieś w dal i znowu miał nieobecne spojrzenie.

- Poruczniku? - Hall miał spokojny głos, wewnątrz jednak gotował się ze złości.

Wiedział, że Stevens go oskarża. Tym wzrokiem wlepionym w stronę, z której przyszli. Tym wyczekiwaniem na to, iż w dali pojawi się krępa sylwetka Bonesa. Tyle że Hall wiedział, iż strzelec nie ma prawa się pojawić. Zapewne leżał teraz gdzieś pod wydmami i umierał albo nie wytrzymał i wszedł prosto w orzeźwiająca, szmaragdową wodę. A oni mogli się napić. Po litrze wody na osobę. Po dodatkowym litrze! Obrzydliwej, ciepłej, ale jakże cudownej i życiodajnej wody. Tym razem major postanowił zrezygnować z wart. Jeśli nawet Bones dałby radę dowieść się do nich (choć wydawało się niemożliwe, by przedarł się przez południowe upały), to z całą pewnością nie będzie miał siły ani możliwości, by fizycznie im zagrozić.

Od bazy dzieliły ich dwa dni drogi i należało solidnie wypocząć. Aby podnieść na duchu i siebie, i współtowarzyszy, Hall wyświetlił holograficzny obraz mapy wybrzeża. Czerwona kropka oznaczająca miejsce ich postoju oraz zielona kropka symbolizująca bazę były już naprawdę bliźniutko jedna drugiej.

Weszli do namiotu, a MacLachlan znowu jakby bezwiednie oparł stopy o kontener z resztką wody. Hall widział, jak strzelec zasypia ze szczęśliwym uśmiechem na twarzy. Nawet porucznik Stevens był bardziej rozluźniony, a z jego twarzy, po wypiciu dodatkowej porcji, zniknęła ta cierpiętnicza nieobecność. Hall chciał marzyć o swoim pięknym, lodowatym wodospadzie, ale jak na złość znowu przyśnił mu się porucznik Stevens. Tym razem majorowi śniło się, że porucznik wszedł z namiotu i siedział na piasku. We śnie widział jedynie niewyraźny zarys jego postaci na tle ściany namiotu. A potem usłyszał kroki. Odgłos bosych stóp

szurających po piasku. Dwóch par bosych stóp. I zdumiony, stłumiony głos porucznika.

- Bones. Jak się cieszę, że was widzę, Bones.

Potem majaki znowu się urwały. Zniknęły w cichym gwarze trzech głosów, i zaraz się pojawiły. I wtedy Hall zdał sobie sprawę, że to nie sen. Nie był do końca przytomny, balansował gdzieś na granicy pomiędzy jawą a snem, ale wyraźnie słyszał mamroczący głos Stevensa i jakiś inny głos, który mu cichutko odpowiadał, kiedy porucznik milkł.

Major poderwał się i chciał wyskoczyć z namiotu. Nie zauważył jednak stopy MacLachlana, potknął się o nią, przewrócił, upadł na lewą dłoń i poczuł, że coś mu chrupnęło w nadgarstku. Zaklął szpetnie, poderwał się na nogi. MacLachlan tylko zajęczał, obracając się na drugi bok. Major wypadł z namiotu. Na plaży siedział porucznik Stevens i gmerał patykiem w zielonych ziarenkach piasku.

- Gdzie on jest? - wydyszał Hall. - Gdzie on jest?!
- Kto, panie majorze? - Stevens nawet nie podniósł wzroku.
- Gdzie jest Bones? Słyszałem, jak z nim rozmawiałeś!

Porucznik parsknął drwiącym, nieprzyjemnym śmiechem.

- Koszmary, panie majorze? Wyrzuty sumienia?
- Co tu jest grane, Stevens? - Hall postanowił nie zareagować na zaczepkę. - Co tu jest, do cholery, grane?

• Chce pan wiedzieć, czy chłopcy wrócili, co? - Porucznik nagle spojrzał w stronę dowódcy i ten zobaczył, że Stevens ma puste oczy i nienaturalnie rozszerzone źrenice. - Może tak, majorze, może tak...

- Kto wrócił? - MacLachlan wytoczył się z namiotu.
- Roberts - powiedział dobitnie porucznik i zabrzmiało to jak roberdz z mocnym akcentem na „dz” - i Bones...

- Co on pierdoli, panie majorze?
- Nie wiem. - Hall usiadł obok Stevensa. - Widziałeś ich? Rozmawiałeś z nimi?
- W dzień pluskają się w szmaragdowych falach lub śpią na łożach z miękkich wodorostów - mówił porucznik tonem takim, jakby opowiadał dziecku jakąś piękną bajkę. - Nocą tańczą na falach w srebrnych promieniach księżyca. Bawią się, piją i jedzą. Kochają się z paniami morskich głębin i suną przez głębie na grzbietach... - urwał, jakby szukał słowa, które mogliby zrozumieć - delfinów. Nie znają bólu ani strachu, ani pragnienia. Mają wszystko, co

tylko może im dać ta planeta. - Spojrzał w stronę srebrnego księżyca. - Wszystko, co może im dać to morze.

- Odjechało mu. - MacLachlan patrzył na porucznika, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

- Dla was też nie jest za późno. Dla was, dla mnie. Wystarczy tylko wejść do morza. Zanurzyć się. I wciągnąć wodę do płuc. Połączyć się w jedno z tą planetą, z tym morzem. Zawrzeć wieczny pokój.

- Ja chromolę... - MacLachlan obrócił na majora zagubiony wzrok. - Co z nim?

Hall już od pewnego czasu rozglądał się po plaży. Uważnie słuchał, ale też bacznie wodził wzrokiem po piasku, jakby szukał konkretnego przedmiotu. I znalazł. Na pół zagrzebany pod zielonymi ziarenkami leżał niedopałek papierosa bez filtra. Hall pochylił się, wygrzebał niedopałek i przyłożył go do nozdrzy.

- Trawa - stwierdził zdumiony. - Pieprzona trawa.

MacLachlan wziął z jego dłoni resztkę papierosa i również go powąchał.

- Jak pragnę Boga - potwierdził. - Ten gnojek przemycił gandzię na pokład.

Hall uznał, że nie usłyszał słowa „gnojek”. W zupełności zgadzał się z MacLachlanem. Stevens siedział spokojnie i nie zwracał uwagi na to, co oni obaj robią. Istniał już tylko w swoim świecie.

- Siedział tu i gadał sam do siebie – powiedział Hall.

Najpierw chciał odrzucić niedopałek daleko w wydmy, po namyśle jednak schował do kieszeni. Przyda się w charakterze dowodu. Porucznik Stevens po powrocie do domu z całą pewnością nie będzie już porucznikiem. I nagle Stevens wstał. Właściwie zerwał się na równe nogi.

- Do widzenia, majorze. Powodzenia, MacLachlan.

Zamurowało ich, gdy zobaczyli, jak szybkim krokiem zmierza w stronę linii wody. Właściwie biegnie, jakby uskrzydłony nadzieją. I zanim Hall zorientował się, co jest grane, wiedział, że dla Stevensa jest za późno. Więc tylko krzyknął. Jeden i drugi rozkaz, którego nikt nie słyszał i nie chciał słyszeć. Porucznik wpadł do morza, rozchlapując wokół siebie wodę. Biegł i radośnie krzyczał, a potem, kiedy było już zbyt głęboko, aby biec, to po prostu brnął przed siebie z przerażającą konsekwencją. Nie odwrócił się już w ich stronę. Najpierw pod wodą zniknęły jego ramiona, a potem głowa. I za chwilę nie było nic prócz łagodnie opadających i

wznoszących się grzbietów fal.

- Ja pieprzę, co za czubek. - MacLachlan usiadł na piasku. - Rany Boga!

Teraz mieli pod dostatkiem wody. Mogli nawet zwolnić tempo marszu, bo wiedzieli doskonale, że dojdą na miejsce. Oni dwaj. Tylko oni dwaj z całej świetnie wyposażonej i przygotowanej ekipy, która miała tę planetę opisać, skatalogować i przygotować do ewentualnej kolonizacji. Mieli niezmiernie szczęście i doskonale o tym wiedzieli. Jednak Hall cały czas słyszał w myślach głos Stevensa. Ten szczęśliwy, podekscytowany głos, który opowiadał o radościach podmorskiego życia. O pięknych paniach morza, o radościach i zabawie. O życiu bez trosk. Nieraz łapał się na myśli, jak to jest wejść w tę szmaragdową toń i pozostać w niej na zawsze.

• Tam nic nie ma, prawda, panie majorze? - spytał cicho MacLachlan, jakby chciał się upewnić.

• Oczywiście, że nie ma. - Zaśmiał się major. - Cóż by mogło być?

• A co będzie z nami?

• Z nami? A co ma być? Poczekamy na ratowników, dostaniemy odszkodowanie i awans.

Ty pewnie odejdziesz ze służby i będziesz żył jak pączek w maśle, a ja znowu dam się zwerbować na kolejną misję. Następna planeta, następne wyzwania...

• Tak - powiedział jeszcze ciszej żołnierz. - Pewnie ma pan rację, majorze.

Nagle zatrzymał się jak wryty, tak że Hall wpadł na jego plecy i o mało się nie przewrócił.

- Czy pan to widzi? Czy pan to widzi? - W głosie MacLachlana słyszał przerażenie i niezwykłą fascynację.

Major spojrział na morze i zobaczył... Zobaczył? Tak, niewyraźnie, bo daleko, ale jednak zobaczył nagle sylwetki tańczące na falach. Opromienione srebrnym blaskiem księżyca.

- Widzi pan? Widzi pan? - dopytywał się gorączkowo MacLachlan.

Postaci tańczyły radośnie, jakby w rytm spokojnej, kojącej melodii. Czy tam było sześć osób? Trzy nagie kobiety i trzech nagich mężczyzn? Srebro księżyca załamywało się na grzbietach fal.

- Nic nie widzę - rzekł twardo Hall. - Nic nie widzę, MacLachlan.

Strzelec odwrócił wzrok od morza i spojrział na majora. Zagubiony i niepewny siebie.

- To zmęczenie - wyjaśnił.

Powlókł się z głową opuszczoną na piersi i wzrokiem wbitym w piasek.

Hall szedł za nim, ale nie mógł oprzeć się, by nie spoglądać na postaci, które jeszcze przez pewien czas tańczyły na falach, a potem oddaliły się i zniknęły w mroku. Teraz aż do samego widnokregu byli tylko oni dwaj. Dwie ciemne sylwetki, wlokące się noga za nogą, zataczające i upadające. Z każdym krokiem bliżej bazy i ratunku. Hall podniósł wzrok. Spojrzał przed siebie i dostrzegł różowe światelko sygnalizatora pobłyskujące z dachu bazy. O dziwo, ten widok nie wzbudził w nim euforii. A przecież tyle dni czekał właśnie na tę chwilę. Spojrzał raz jeszcze na różową poświatę w oddali, a potem w ciemne, puste morze. Westchnął i powlókł się dalej.

Opowiadanie pierwotnie opublikowane pod pseudonimem Przemysław Zawadzki

3. Mądrość głupców

Kiedy przeszedł już przez cały kariat kontrolni celnych i medycznych, gdy wypełnił dziesiątki formularzy oraz wyczerpująco odpowiedział na wszystkie pytania (za każdym razem obserwując zdumione twarze urzędników), wreszcie dostał odpowiednią pieczęć. Od tej chwili mógł zupełnie legalnie przebywać na Ziemi jako turysta. Ale nie miał czasu na rozrywki, których nie szczędzono zasobnym gościom, ani na zwiedzanie. Statek lecący w stronę Thaemis startował już jutro i do tej pory zadanie, jakiego się podjął, musiało być wykonane. Jediną atrakcją, na jaką mógł sobie pozwolić, było obserwowanie zachodu słońca. Stał właśnie na betonowej płycie małego lotniska dla śmigaczy i, przysłaniając oczy dłońmi, zauroczony i zachwycony wpatrywał się w czerwoną kulę zsuwającą się błyskawicznie za horyzont. Było to niepowtarzalne wrażenie, jedyne w swoim rodzaju i wyjątkowe. Długo tak jeszcze obserwowałby różowe pasma chmur i szarość wieczoru nadciągającą z piorunującą szybkością, gdyby nie wyrwał go z zamyślenia męski głos:

- Pan Maardahar? Odwrócił się.
- Tak - odparł.
- Jestem pańskim pilotem. Robert McClusky, do usług.
- Dzień dobry. - Uścisnął suchą, mocną dłoń. - Możemy lecieć?
- Jasne. Nie zmienił pan planów?
- Nie. - Uśmiechnął się.

Podeszli do małego, dwuosobowego śmigacza i Maardahar usiadł obok pilota. Fotel był

komfortowy. Miękki, głęboki, z wygodnym podgłówkiem, miejsca wystarczało, by wyprostować nogi.

- Pierwszy raz kogoś tam wiozę, wie pan? - W głosie pilota słychać było i trochę lęku, i trochę fascynacji.

Ścigacz wzbił się pod chmury.

- A pan nigdy o tym nie myślał? - zapytał Maardahar, nie interesując się nawet odpowiedzią, ale ot, tak, aby nie wydać się towarzyszowi podróży niegrzecznym.

Pilot roześmiał się.

- Jezu, nigdy - odparł. - Za przeproszeniem, jeszcze mam wszystkie klepki w porządku.

- Więc pana zdaniem nic nie jest tego warte?

- Nic. - Pokręcił głową McClusky. - Choćbym miał zostać władcą świata.

- Tego podobno nie wolno. - Uśmiechnął się Maardahar.

- Ano nie wolno. W granicach zdrowego rozsądku, tak mówią.

Milczeli chwilę.

- Pewnie nie powie mi pan, o co chodzi? - zagadnął niby obojętnym tonem pilot.

- Dlaczego nie? - Wzruszył ramionami Maardahar. - Żadna tajemnica. Zakochałem się.

- O, cholera. - McClusky spojrział na niego jak na kogoś niespełna rozumu. - Jeśli mam być szczery, to pana szczęście, jeśli się nie uda.

- Ja uważam inaczej.

- Wie pan co? - Pilot podrapał się lewą ręką po głowie, prawą wciąż trzymając na sterze.

- Czasem zastanawiam się, czy dobry Bóg dał ludziom taki dar jak życie po to, żeby go bezmyślnie tracili?

- Pan tu jest od pilotażu, a nie od filozofii - odparł ostrym tonem Maardahar.

- Jasne, przepraszam.

Do samego końca lecieli już w milczeniu. McClusky gwizdał cicho jakąś melodię. Maardahar przymknął oczy, wracając myślą do Shirain. I do miłości. Na razie do jego miłości, która być może niedługo stanie się ich wspólna. Uniósł powieki, gdy ścigacz bezgłośnie wylądował na polanie obok niedużego, oświetlonego budynku.

- Do widzenia - rzekł, wysiadając.

- Cześć, przyjacielu - odparł pilot. - I dziękuj Bogu, jeśli ci się nie uda.

Wyszedł na trawę, zaczerpnął głęboko w płuca czyste leśne powietrze o zapachu igliwia.

- Pan Maardahar, jak sądzę?

Odwrócił się i ujrzał koło siebie mężczyznę w mundurze.

- Kapitan Bellamy. Mam pana przeprowadzić do Strefy, proszę za mną.

Minęli dom i zagłębili się w las. Szli szeroką, betonową drogą. Maardahara raził ten kontrast. Beton pośród lasu. No cóż, na Ziemi nie było już normalnych jezior, normalnych lasów i normalnych gór. Wszystko przystosowano do wygod użytkowników.

Wkrótce stanęli przed metalową bramą, wyglądającą groteskowo, bo nie odchodził od niej żaden płot czy mur i stała po prostu samotnie pośrodku drogi. Bellamy dostrzegł zdziwione spojrzenie Maardahara.

- Pole siłowe - wyjaśnił. - Co prawda sądzę, że oni wystarczająco dobrze strzegą się sami, ale nie chcemy tu żadnych szaleńców. Bóg jeden wie, co ludziom przychodzi do głowy.

Włożył magnetyczną kartę do otworu i przytknął wskazujący palec do tabliczki kontrolnej bramy.

- Proszę, droga wolna - powiedział. - Do widzenia.
- Zaraz, zaraz, gdzie to jest?
- Prosto jak w pysk strzelił - odparł kapitan, nie odwracając się.

Maardahar ruszył przed siebie i za chwilę ze zdziwieniem dostrzegł stojącego na środku drogi kolejnego mężczyznę. Zatrzymał się.

• Dobry wieczór - powiedział nieznajomy. - Nazywam się Pelham. Jestem księdzem. Ostatnim człowiekiem, z którym możesz porozmawiać nim tam wejdiesz.

- Ksiądz sądzi, że ta rozmowa jest potrzebna?
- Chyba tak.

Zbliżył się i Maardahar zobaczył jego szczupłą, po-brużdżoną twarz, oczy przesłonięte mgłą smutku.

- Nie wiedziałem, że ktoś może przebywać w Strefie.
- Ja mogę. Wywalczyłem sobie to prawo. Prawo zawrócenia błądzących.
- Ksiądz uważa, że błądzą?
- Oczywiście. Tylko człowiek śmiertelnie chory, nieszczęśliwy bądź szalony może zdecydować się na ten krok.
- Ja nie jestem żadnym z nich - odparł Maardahar. - Bardzo czegoś chcę i to wszystko.
- Czy powiesz mi czego?

- Miłości.

- Miłości... - Pelham pokręcił głową. - Czy aby zyskać miłość, trzeba dojść aż tutaj?

- Niech ksiądz posłucha. - Maardahar przeciągnął dłonią po czole. - Możemy porozmawiać, ale proszę nie nakłaniać mnie do zmiany decyzji. Niech ksiądz lepiej powie, czy wielu takich jak ja zjawia się tutaj?

Zeszli na bok drogi i usiedli w trawie pod drzewem.

- Nie tak znów wielu - rzekł Pelham. - A i nie wszyscy dostają, czego pragną.

- Czy są jakieś obiektywne kryteria decyzji?

- Może dla nich - rzucił ksiądz z goryczą w głosie - bo ja tego nie pojmuję. Czasem dają wiele, a czasem odmawiają, zdawałoby się, drobiazgu.

- Ile to trwa później?

- Różnie - westchnął ksiądz i obrócił twarz w stronę Maardahara. - Musisz być gotów, że będą to tylko dwa tygodnie. Takie jest minimum.

- Zdarza się jednak dłużej?

- O tak. I też tylko oni wiedzą, dlaczego dają jednym więcej, a innym mniej czasu. Jeżeli ludzisz się, że twoja prośba jest tak mało znacząca, że spełnienie jej nie spowoduje żadnych następstw, ostrzegam cię, że możesz się bardzo zawieść.

- Moja prośba nie jest wcale mało znacząca - zaprzeczył Maardahar. - Pochodzę z planety odległej od Ziemi o setki lat świetlnych. Mój dziad i mój ojciec przez całe życie zbierali pieniądze na bilet. Dostałem je jako najstarszy z rodu. Życzenie wypowiem w ich i moim imieniu. Gdybym cofnął się z tej drogi, nie miałbym ani po co wracać, ani po co żyć.

- Wydaje mi się, że żyjesz w dziwnym świecie - rzekł po chwili milczenia Pelham.

- O tak - odparł Maardahar. - Nawet nie wyobraża sobie ksiądz, w jak bardzo dziwnym.

No cóż - dodał. - Chyba już pójdę.

Wstali i Maardahar uściskał szczupłą dłoń Pelhama.

- To dobrze, że są jeszcze na świecie tacy ludzie jak ksiądz - powiedział poważnie. - Proszę mi powiedzieć, czy wielu się cofnęło?

Pelham spojrzał mu w oczy, po czym zwiesił głowę.

- Nikt - szepnął i, odwróciwszy się, zaczął iść w stronę bramy.

Maardahar patrzył za nim przez czas jakiś, wydawało mu się, że ksiądz przystanął jeszcze na moment i nakreślił w powietrzu znak krzyża. Westchnął i poszedł przed siebie. Niedługo

potem zobaczył owalny budynek i znalazł się w dużej oświetlonej sali, pośrodku której stał fotel. Poza tym sala była pusta. Usiadł w fotelu, czekając, co wydarzy się dalej.

- Witaj - zabrzmiał spod sufitu ciepły, matowy głos. - Czy wiesz, gdzie się znajdujesz?
- Wiem - odparł cicho, bo zaschło mu w gardle. - Wiem - powtórzył głośniejszym głosem.
- Czy chcesz wyrazić jedno życzenie?
- Chcę.
- Czy znane ci są konsekwencje, które możesz ponieść, jeżeli zdecydujemy się je spełnić?
- Tak.

• Pozwól jednak, że powiem ci o nich raz jeszcze. W zamian za zrealizowanie marzenia, my skrócimy czas twojego życia. Minimalną granicę stanowi czternaście dni, górnej nie określamy. Prawo decyzji o tym, ile będziesz żył, pozostawiamy sobie i nie informujemy cię o tym. Czy rozumiesz?

- Tak.

• Możemy też nie zgodzić się na spełnienie twojej prośby. Wtedy nie uzyskujesz niczego, ale i niczego nie tracisz. Czy wyrażam się jasno?

- Tak.

- Dobrze. Czy podtrzymujesz swoją decyzję?

• Tak. Chcę jednak wiedzieć jedno...

• Mów, proszę...

• Będę miał co najmniej czternaście dni, tak? Ani godziny mniej?

• Tak. Przez dwa tygodnie będziesz cieszył się życiem i zdrowiem. To gwarantujemy.

• A więc dobrze. Zaczynamy.

• Pamiętaj, że z chwilą wypowiedzenia prośby nasza umowa wchodzi w stadium realizacji. Od tego momentu nie możesz się już cofnąć.

• Jestem gotów. - Zaczerpnął głęboko tchu.

O Boże, czy się uda, myślał. No, niech się dzieje, co chce.

• Mówię: chcę w szczęściu i zdrowiu żyć z moją ukochaną Shirain do końca naszych dni.

• To są dwa życzenia - zauważył łagodnie głos. - Jednak z uwagi na niewielką, naszym zdaniem, ich wagę, obiecujemy je spełnić. Stanie się, jak chciałeś.

• To... to już wszystko? - zająknął się Maardahar.

• Tak, to już wszystko - potwierdził głos. - I ostrzegam cię przed jednym. Nie próbuj do nas wracać i nie staraj się cofnąć umowy. Wielu ludzi płacze tu trzynastego dnia.

- Nie, nie zrobię tego. Żegnajcie i dziękuję.

Wyszedł z sali i na zewnątrz odetchnął głęboko.

Udało się. Teraz czas wracać do domu. Do Shirain.

Wszystko było ściśle obliczone i na szczęście żadne nieprzewidziane wypadki nie pokrzyżowały planów. Rankiem wystartował statek lecący na Thaemis. Maardahar był na jego pokładzie, co zdumiało urzędników kosmoportu. Dziwny wydawał im się ten gość, który zmarnował fortunę na bilet, po to tylko, aby spędzić na Ziemi jeden wieczór. Ale Maardahar był zadowolony. Korzystał też bez ograniczeń z bogato wyposażonego bufetu i dlatego, kiedy ogłoszono wyjście z nadprzestrzeni, był już solidnie pod gazem. Zdążył jednak otrzeźwieć, gdy statek znalazł się na orbicie i gdy musiał przesiąść się do łodzi transportowej mającej wylądować na powierzchni.

Thaemis nie była bowiem planetą na tyle cywilizowaną, by ogromny ziemski krążownik mógł ją odwiedzić. Na Thaemis nie zbudowano ani kosmoportu, ani choćby przyzwoitego lądowiska. Ot, tylko pas betonu pośrodku pustyni, jeden hangar dla gości, kilkadziesiąt magazynów, gdzie przechowywano importowane towary. Rodzinna planeta Maardahara nie była gęsto zaludniona. Cóż, nie każdemu może odpowiadać tak dziwaczny klimat. Dlatego też przy hangarze nie kłębił się, jak to zwykle na innych planetach, tłum pasażerów, ciekawskich i witających. Jedyne kilkunastu znużonych robotników siedziało pod okapem, czekając na rozładunek łodzi, a nieopodal przechadzała się dziewczyna w kwiecistej sukience. Maardaharowi drgnęło serce, kiedy ją zobaczył.

Shirain. Piękna, nieosiągalna Shirain, która teraz będzie jego, aż do końca życia. I gdy tuliła się do niego, jeszcze na betonowym pasie lądowiska, wiedział, że wszystko, co zrobił, było tego warte. Spojrzał w stronę tkwiącej nieruchomo na linii horyzontu, poczerwieniałej tarczy słońca, której krawędź sięgała dokładnie dachu hangaru. Tak samo było, kiedy wyjeżdżał, i tak samo będzie jeszcze przez długi czas. Przypomniał sobie rozmowę z księdzem Pelhamem i roześmiał się do własnych myśli. Rzeczywiście żyjemy na dziwnej planecie, pomyślał. Bo jak inaczej nazwać Thaemis, która prawie w ogóle nie obraca się wokół własnej osi, i na której jeden dzień trwa tyle, co niemal dziesięć ziemskich lat.

Maardahar urodził się o zmierzchu, czyli w porze gdy Thaemis dostawała się pod wpływ

pobliskiego czerwonego karła, i zdołał przeżyć dopiero jedną noc i jeden niepełny dzień, który długo jeszcze miał się kończyć, bo słońce przecież zaledwie zachodziło. Przytulił Shirain i zanurzył twarz w jej włosach.

- Kochanie - szepnął.

Poszli przed siebie, mocno objęci i roześmiani. Wolno, całując się co chwila. Nie musieli się przecież nigdzie spieszyć. Czekał ich długi wieczór, długa noc poślubna, a potem co najmniej dwa tygodnie życia w ciągłym miłosnym upojeniu. Mogli być stuprocentowo pewni, że dochowają się prawnuczków.

IV. Planeta masek

1. Ponury Milczek

„- Jakie zbrodnie popełnił? - zaśpiewał Leśny Gnom.

- Mordował, zdradzał, umyślnie niszczył statki, torturował, szantażował, rabował, sprzedawał dzieci w niewolę, on...

- Nie obchodzą mnie wasze spory religijne - przerwał Leśny Gnom.”

Jack Vance „Księżycowa ćma”

O'Reilly z niecierpliwością czekał na samolot. Panował wyjątkowy upał, a w pozbawionym klimatyzacji przeszklonym wnętrzu hali przylotów atmosfera była iście szklarniowa. Samolot miał już blisko dwugodzinne opóźnienie, więc O'Reilly opróżnił chyba dziewiąty czy dziesiąty kubek soku. Napój pomagał tylko na chwilę, uwalniając język i usta od spiekoty, ale potem powodował tylko coraz większe pocenie. Koszula przylegała do pleców tak szczelnie, że zaprzestał jej ciągłego odlepiania. Starał się jednak stać nieruchomo i cierpieć w spokoju, wiedząc, że każdy nieopanowany ruch może go narazić na lekceważenie obsługi lotniska, która upał zносиła z możliwą jedynie na Taurydzie całkowitą obojętnością. O'Reilly zazdrościł im lekkich i przewiewnych strojów służbowych; sam musiał niestety założyć na zwykłe ubranie szeroki, ciepły płaszcz powitalny, którego zdjęcie teraz było już absolutnie niemożliwe. Grzał się więc pokornie w dusznej sali, z nienawiścią myśląc o procedurach celnych i medycznych, które zapewne spowodowały opóźnienie samolotu. Zastanawiał się też, kim ma być ta szyszka, której przybycie zapowiadała specjalna depesza z Centrum Federacji. Centrum zwykle nie zawracało sobie głowy byle kim, a i nie fatygowałoby w mało ważnym celu

O'Reillego - głównego agenta handlowego na Taurydzie, który miał dość własnych obowiązków i kłopotów, aby jeszcze brać sobie na głowę następny. Depesza była krótka oraz lakoniczna, jak to zwykle wiadomości słynnego ze skąpstwa Centrum. Oznajmiała niedwuznacznie, że „O'Reilly czekać, dwunasta, lotnisko Ganen...or Jansen”. Najbardziej zagadkowy był ów wyraz „...or”, który mógł oznaczać, że na Taurydę przybędzie senator Jansen, komandor Jansen, wizytator Jansen, albo Bóg wie co jeszcze, kończące się na „or”. O'Reilly przypuszczał jednak, że gościem może być po prostu nowy ambasador, który miał zająć miejsce biednego Henricksa. Centrum zwykle nie zwlekało z obsadzaniem wakujących stanowisk. Ale znowu Tauryda nie była miejscem, do którego dyplomaci dobijaliby się drzwiami i oknami. O'Reilly miał tylko nadzieję, że przyślą kogoś choć trochę znającego miejscowe obyczaje, a nie jakiegoś bubka prosto ze szkoły dyplomatycznej. Czuł, że wtedy jego obowiązki agenta handlowego musiałyby odejść na dalszy plan i ustąpić miejsca obowiązkowi nauczyciela. Spojrzał na zegar i zobaczył, że dochodzi wpół do trzeciej. Obiecał sobie, że poczeka jeszcze tylko pół godziny, ale w tej samej chwili kobiecy głos oznajmił z głośników:

- Lot trzysta dwadzieścia dwa. Samolot z kosmodromu Nagadir wylądował za trzy minuty.

Prawie w tej samej chwili do O'Reillego podszedł barczysty mężczyzna w stroju strażnika, z karabinem przewieszonym przez plecy. W momencie kiedy stanął przed agentem, błyskawicznym ruchem zmienił maskę Obojętnego Przechodnia na Przyjaznego Nieznajomego.

- Proszę za mną - powiedział.

O'Reilly docenił w pełni ten gest, który z pewnością był formą przeprosin za tak długi czas oczekiwania. Sam więc też szybko zmienił maski zakładając na twarz Przyjaznego Nieznajomego. Była to czysta kurtuazja, gdyż w stosunku jego do strażnika i strażnika do niego, stosunku całkowicie wynikającym z powinności służbowych, zmiana ta nie była konieczna. Świadczyła jednak o docenieniu przez O'Reillego przyjaznego zachowania funkcjonariusza lotniska. O'Reilly wiedział, że czasami na tych zdawałoby się pozbawionych znaczenia gestach można było zyskać bardzo wiele. Zresztą na Taurydzie, tak naprawdę, istniało mało spraw pozbawionych znaczenia.

Wyszli na rozpaloną płytę lotniska. Mały, zabierający kilkunastu pasażerów samolot lądował właśnie na sąsiednim pasie. Kiedy podeszli do niego bliżej otworzyły się drzwi, wysunęły schody i z wnętrza wyszedł wysoki, czarnowłosy mężczyzna w jasnym, płóciennym garniturze, z małą walizką w rękę. Zszedł na płytę lotniska i stanął przed O'Reillym.

- Pan O'Reilly, jeśli się nie mylę? - spytał.

Głos miał miły i matowy. Mówił po angielsku z lekkim, chyba skandynawskim akcentem.

- Jestem inspektor Jansen - przedstawił się, wyciągając rękę.

Agent po chwili wahania ujął jego dłoń i z pewnym zakłopotaniem natychmiast wypuścił. „Inspektor”, pomyślał. No tak, tego właśnie można było się spodziewać. Ale, Boże, to przecież gorsze, niż nieudaczny ambasador. Inspektor to wręcz klęska. W O'Reillym powoli dojrzewała myśl o złożeniu natychmiastowej rezygnacji. No, co tu się będzie działo! Jezu, lepiej nawet o tym nie myśleć. Po Jansenie od razu było widać, że Taurydę zna, nie, nawet cholera nie z książek. Jego znajomość tej planety ogranicza się chyba tylko do samej nazwy. Ale przecież mógł mu ktoś powiedzieć, żeby założył na twarz maskę. I nie chodzi tu wcale o obsługę lotniska, bo oni są przyzwyczajeni do cudzoziemców, ale o to, że wiadomość się rozniesie i Jansen będzie z miejsca stał na straconej pozycji. A pozycja społeczna O'Reillego też może na tym ucierpieć.

- Chciałbym, aby pan przed wejściem do hali założył maskę - poprosił grzecznie agent.

Jansen wzruszył ramionami.

- Czy to konieczne? - spytał.- Jest taki upał, nie wiem dlaczego nie zdejmie pan tego gówna z twarzy.

O'Reilly zmartwił. Dopiero po chwili dotarło do niego, że te słowa wypowiedział człowiek obcy, nie znający zwyczajów, zwykły glina z Ziemi. Jezu, a pomyśleć, że lewa ręka na sam dźwięk tych słów skoczyła po maskę Szalonego Wojownika, a prawa dłoń schowała się w fałdy płaszcza w poszukiwaniu rękojeści miecza. No, będzie cyrk z tym Ziemianinem. Trzeba przyznać, że już start mu się udał. Gdyby na miejscu O'Reillego był jakikolwiek Taurydańczyk, Jansen leżałby na betonie z rozwalonym łbem - a stałoby się to tak szybko, że nie zdążyłby nawet pomyśleć, a co dopiero obronić się.

- Niech pan posłucha - rzekł już ostro.- Ma pan założyć maskę!

Lewa dłoń instynktownie, sama, bez udziału myśli, ustawia się prostopadle do ciała na wysokości brzucha. Gest ten oznaczał „rozkazuję!” i stosowało się go w stosunku do osób o bardzo niskiej pozycji społecznej. Użyty w innym wypadku był powodem do natychmiastowego pojedynku. O'Reilly wiedział, że przyzwyczajony do beznamiętnego i monotonnego tonu głosu mógł nie. oddać słowami wagi tego polecenia, ale Jansen usłuchał.

- No, dobra - mruknął.- Da mi pan jedną ze swoich?

Agent zastanowił się. Najlepszy będzie Ponury Milczek, choć szczerze mówiąc, jej

noszenie w większości przypadków nie jest powodem do chwały. No, ale za to nikt nie zaczepił Jansena, a to już ważne. Zabicie Ponurego Milczka było dyshonorem dla mordercy. Maskę tę bowiem zakładał człowiek, który przeżył wielki szok psychiczny i w ten sposób prosił o przebaczenie mu jego ewentualnych uchybień, które wynikają ze złego stanu zdrowia. Faktem jednak jest, że długotrwałe używanie maski było nieco poniżające. No, ale lepsze to niż nic.

Jansen założył posłusznie maskę i, nic już nie mówiąc, skierowali się w stronę drzwi do hali przylotów. Kiedy inspektor chciał pierwszy przejść przez próg, O'Reilly zdążył złapać go za rękę.

- Po mnie - powiedział i wszedł do środka, a zdziwiony, dotknięty Jansen za nim. Samochód czekał na ulicy. Agent usiadł za kierownicą, wpuszczając inspektora na miejsce obok siebie.

- Ładnie witacie tu gości - powiedział Jansen ze złością.

„No, i jak mu to wytłumaczyć w kilku słowach?” - pomyślał bezradnie O'Reilly. - „Boże, dzisiaj wysyłam rezygnację.”

- Po co pana przysłali? - spytał, decydując się nie wyjaśniać na razie niczego.

- Jak to po co? - zdziwił się inspektor: Kazano mi zbadać sprawę śmierci naszego ambasadora. Szczerze mówiąc, pana raport nie zachwylił Centrum.

No i nic dziwnego. Jaki można napisać raport z Taurydy, przeznaczony dla bezdusznych urzędników Centrum? Znając ich mentalność, gdyby napisał prawdę, przysłaliby tu nie inspektora a krążownik bojowy.

- Pan orientuje się w sprawach Taurydy? - zapytał, właściwie niepotrzebnie, bo pewien był przeczącej odpowiedzi.

- No cóż - mruknął Jansen z zakłopotaniem. - Dostałem materiały, ale szczerze mówiąc nie zdążyłem ich przeczytać. Ale znam taurydański. A poza tym, Centrum liczy, że okaże mi pan wszechstronną pomoc. - Położył nacisk na ostatnie zdanie.

O'Reilly jęknął w duchu. To, że Jansen zna język Taurydy, tylko komplikowało sytuację. Możliwość popełnienia przez niego błędu zwiększała się kilkakrotnie. Zresztą, cóż to mogła być za znajomość? Aby poznać wszelkie jego niuanse i szczegóły znaczeniowe oraz zyskać możliwość wyrażania myśli trzeba było studiować ten język co najmniej kilka lat, a potem długie lata zapoznawać się z nim na miejscu, gdyż tylko obcowanie na żywo z tą ciągle zmieniającą się mową mogło przynieść jakieś korzyści. Jeżeli Jansen znał tylko język literacki (a nic nie

wskazywało na to, aby było inaczej), to możliwość popełnienia przez niego znaczącego błędu na samym początku równała się stu procentom.

A na Taurydzie za błędy się płaciło. Czasem nawet najwyższą cenę. Biedny Henricks.

Jechali przez wyludnione miasto. Między godziną dwunastą a czwartą rzadko kto spaceruje po rozpalonych ulicach. Przez te cztery godziny Taurydańscy odpoczywają na tyłach swoich białych, schludnych domków, gdzie zwykle mieszczą się małe ogrody i baseny. W cieniu ogrodowych drzew oddają się zajęciu; które oprócz poezji, muzyki i walki lubią najbardziej: błogiemu leniuchowaniu. Potem ulice się ożywiają. Gdy słońce zacznie chylić się ku zachodowi otworzą się sklepy, lokale, przekupnie wystawią swoje kramy, rozpocznie się czas towarzyskich wizyt. Ale to dopiero za godzinę.

- Daleko jeszcze? - zapytał Jansen, rozpinając guziki koszuli. - Skonać można w tym gorącu.

- Zaraz będziemy na miejscu - odpowiedział O'Reilly.

- Chcę usłyszeć od pana prawdziwą wersję wydarzeń - oznajmił inspektor. - Bez tych wszystkich dwuznacznych bzdur z raportu.

Agent zacisnął mocniej dłonie na kierownicy. Ten idiota znieważył go po raz trzeci i, słodki Boże, nie miał o tym zielonego pojęcia.

- Oczywiście - odparł. - Ale nie sądzę aby łatwo było panu zrozumieć to, co tu zaszło.

- Dobra. Zacznijmy od początku. Kto go zabił?

- Tyfrathon Kanderu Gardemuus.

- Co to znaczy?

- Tyfrathon to tytuł - odparł O'Reilly - Kander, to prowincja skąd pochodzi jego ród, a Gardemuus to imię.

- W porządku. Co takiego zrobił Henricks, że został zmordowany?

O'Reilly zatrzymał wóz przed jednym z białych domków i wysiadł. Jansen wyszedł za nim. Drzwi otworzył im niewolnik O'Reillego.

- Kąpiel przygotowana, panie - oznajmił, pochylając głęboko głowę na znak szacunku.

Inspektor sięgnął dłonią by zdjąć maskę, ale agent zauważył to w porę i powstrzymał jego rękę w pół ruchu.

- Jak zostaniemy sami - rzekł. - Przy niewolnikach nie wolno panu zdejmować maski.

- Coś takiego? - zdumiał się Jansen. - Pan ma niewolników? Widzę, że dojdzie mi parę

smaczków do raportu.

O'Reilly westchnął ciężko w duchu. Jak wytłumaczyć Jansenowi, że człowiek o jego pozycji społecznej musi mieć co najmniej kilku niewolników? Już i tak patrzono na niego ze zdziwieniem, że zawsze sam prowadzi wóz, ale on nie miał zaufania do szoferskich umiejętności Taurydańczyków.

Weszli do obszernego białego pokoju. Podłoga wyścielona była grubym futrzakiem o długim włosiu, w kącie stało łóże zrobione z kilku olbrzymich poduch nakrytych dywanem, a obok niego leżały cztery wygodne pufy z brązowej skóry i przeszklona szafka - chłodnia z napojami. Jansen z westchnieniem ulgi opadł na pierwszy z brzegu puf.

- Wstać - rozkazał po taurydańsku O'Reilly, błyskawicznie zmieniając maskę Przyjaznego Nieznajomego na maskę Urazonego Dobroczyńcy. Lewą ręką wykonał ruch jakby otwierał wachlarz - gest rozczarowania.

- Poproś o przebaczenie - powiedział szybko po angielsku do wstającego powoli Jansena.

- Prze-przepraszam - zająknął się inspektor.

Taurydańskiego używał poprawnie, aczkolwiek miał ten niepokojący akcent Południowych Wysp, a przybysze stamtąd nie byli specjalnie mile widziani w stolicy. O'Reilly zmienił maskę Urazonego Dobroczyńcy na Wybaczającego Władcę, usiadł wygodnie na łóżku, przetrzymał chwilę w miejscu stojącego Jansena, po czym dał mu znak, aby usiadł. Potem gestem odprawił niewolnika.

- Co ma znaczyć ta cała szopka? - wybuchnął inspektor.

O'Reilly z ulgą zdjął z ramion płaszcz i włożył go do szafy. Potem nalał sobie i Jansenowi po szklaneczce soku prosto z chłodni.

- Nie wolno panu siadać wcześniej niż usiądzie gospodarz - wyjaśnił. - Może to być uznane za celową zniewagę. W ten sposób daje mi pan poznać, że jest pan lepszy ode mnie. Gospodarz nie może na to pozwolić, bo utraci honor.

- Cholera - zaklął Jansen. - Dużo oni jeszcze mają podobnych idiotyzmów?

- Sporo - odparł z namysłem O'Reilly. - Jeżeli chce pan czegokolwiek tu dokonać musi się pan ich nauczyć i dostosować do nich. muszą stać się pana drugą naturą.

- Nie zamierzam tu długo siedzieć - burknął inspektor. - Wysmażę raport i wio do domu. Dobra, ale niech mi pan powie, co znaczyło to zmienianie masek i tak dalej. Cała ta szopa zrobiona po to, żeby niewolnik przypadkiem sobie nie pomyślał, że pana obraziłem.

Agent zdjął z twarzy maskę i otarł dłonią pot z twarzy. Jansen poszedł w jego ślady z nieukrywanym zadowoleniem.

- Ta maska - powiedział, pokazując ją inspektorowi - to Wybaczący Władca. Stosuje się ją darowując komuś przewinę. Używana w stosunkach pomiędzy przełożonym a podwładnym bądź w stosunku do ludzi o niższej pozycji społecznej. Założona w obecności kogoś o wysokim prestiżu może stać się powodem pojedynku.

- Barbarzyństwo - rzekł z przekonaniem Jansen. - A poprzednia?

- To był Urażony Dobroczyńca. Stosuje się ją do osób, które zawiodły zaufanie i które odpłaciły lekceważeniem za wyświadczoną przysługę. Ja zaszczyliłem pana, mającego na twarzy Ponurego Milczka, a więc maskę człowieka o nikłej pozycji, zaproszeniem do swego domu, a pan chciał mnie obrazić. Jeżeli nie usłyszałbym przeprosin mógłbym wyrzucić pana z domu, co pozbawiło by pana honoru, bądź wyzwąć na pojedynek. Ale zabicie Ponurego Milczka jest odbierane jako dyshonor, zrobiłbym więc to pierwsze.

- Pan by mnie na prawdę wyrzucił? - inspektor otworzył szeroko oczy.

- Nie pozostawałoby mi nic innego - wyjaśnił obojętnie O'Reilly. - A wtedy jedynym sposobem by nie zostać tu poturbowanym byłby dla pana szybki wyjazd.

- Cholera - Jansen stuknął pięścią w otwartą dłoń. - Ale przecież przyjeżdżają tu cudzoziemcy. No, turyści, naukowcy i tak dalej.

O'Reilly aż zamarł na moment, ale zaraz się opanował. Cały czas zapominał, że ma do czynienia z cudzoziemcem nie znającym symboliki gestów.

- To prawda - odparł po chwili - Ale oni chodzą bez masek. Traktowani są grzecznie, lecz ich pozycja jest równa zeru. Obraza z ich ust nie jest obrażą, a splamienie sobie rąk ich krwią byłoby hańbą. To miasto, jak żadne inne, panie Jansen. Człowieka z odsłoniętą twarzą nie spotka tu żadna krzywda, nawet gdyby udał się w najbardziej zakazane miejsce z walizką pełną pieniędzy.

- To wspaniałe wyjście dla tajnej policji - zauważył bystro.

O'Reilly spojrzął na niego. „Nic nie rozumie”, pomyślał bezradnie. No, ale to wymaga czasu. Tauryda jest rzeczywiście skomplikowanym organizmem społecznym.

- Niestety nie - odparł. - Jakiż szanujący się człowiek przyjąłby raport od podwładnego wiedząc, że pełnił on służbę bez maski? Potworna hańba.

- No nie - roześmiał się Jansen. - Dać tu kilku naszych, a w trymiga zrobiliby porządek z

przestępczością.

Tak. Z pewnością. Był taki jeden co próbował podobnie. Oficer policji Nykkanuus, szlachetnie urodzony, bardzo zdolny. Zbyt sprytny. Aż dziwne, że wychowany na Taurydzie mógł wpaść na podobny pomysł. Źle skończył.

- Ale dobra - inspektor potarł brodę knykciami. - Niech pan mówi o Henricksie.

O'Reilly cały czas zastanawiał się, czy wyjawić prawdę. W gruncie rzeczy wynik inspekcji Jansena był mu całkowicie obojętny. Dawno już uniezależnił się od pensji płaconej mu przez Centrum i jak na taurydzkie warunki był człowiekiem w miarę majątnym. Tak więc ze strony Centrum nic mu nie groziło, ale taurydańskie obyczaje nauczyły go dbałości o własny honor i dlatego udowodnienie kłamstwa i wyrzucenie z posady (co by niewątpliwie nastąpiło) byłoby wielce nieprzyjemne i obniżyłoby rangę O'Reillego w jego własnych oczach. Postanowił więc mówić prawdę, choć wiedział, że nie będzie to zadanie łatwe.

- Wracamy do pańskiego pytania - podjął agent. - Co zrobił Henricks? Otóż Henricks popełnił błąd i śmiertelnie obraził tyfrathona Gardemuusa.

- Czy może usiadł przed nim? - spytał złośliwie Jansen.

- Henricks był człowiekiem o wysokiej pozycji społecznej - ciągnął O'Reilly nie zwracając uwagi na zaczepkę. - Jego dom odwiedzał kwiat miejscowej arystokracji.

- W szczególnie zażyłych stosunkach był właśnie z Gardemuusem, od którego otrzymał prawo odwiedzania w czasie odpoczynku...

- Co to znaczy? - przerwał inspektor.

- Między dwunastą a czwartą - wyjaśnił agent. - Zauważył pan, jak wyludnione były ulice w czasie naszego przejazdu z lotniska? Właśnie był czas odpoczynku. Zezwolenie na odwiedziny w tym czasie jest najwyższym wyrazem zaufania. Na dobrą sprawę uznaniem za członka rodziny.

- No to fajnie. Ale dlaczego go zabił?

- Henricks zakochał się w córce tyfrathona. Małżeństwo to było możliwe, chociaż pozycja Gardemuusa nieco by ucierpiała...

- Co? - krzyknął Jansen. - Chce pan powiedzieć, że pozycja jakiegoś miejscowego szlachetki ucierpiałaby, gdyby jego córka wyszła za ambasadora Federacji? O'Reilly wiedział, że musi być cierpliwy. Ale myśl o rezygnacji stała się decyzją.

- Tyfrathon Gardemuus - odparł - to arystokrata od stu dwunastu pokoleń. Od takiego też czasu jego ród włada Kanderem. Jest kilkudziesięciu ludzi na całej planecie, których jego córka

mogłaby poślubić nie narażając pozycji ojca. A Gardemuus marzył o jej związku z następcą taurydańskiego tronu, co uczyniłoby go trzecią osobą na planecie. Rozumie pan teraz?

- Rozumiem, ale przecież go chyba nie zabił tylko za to?

- Oczywiście, że nie - O'Reilly machinalnie rozwinął stuloną do tej pory pięść na wysokości piersi - (znak zdumienia). - Oświadczyzny ambasadora Federacji i prawie że członka rodziny nie godziły w honor Gardemuusa.

- Więc co?

Teraz przychodził czas aby przejść do najtrudniejszej części opowiadania. Jak człowiekowi pokroju Jansena wytłumaczyć złożoność sprawy, uwarunkowaną wieloletnimi tradycjami i powodującą, że fakt, który na Ziemi uznano by za morderstwo, tutaj był tylko splotem nieszczęśliwych okoliczności, a śmierć Henricksa nie stała w kolizji z żadnymi przepisami prawa ani etyki? Należało zacząć od początku.

- Zdołał pan zapewne zauważyć - powiedział po namyśle - wyjątkową rolę masek w kontaktach międzyludzkich. Każdy z nas nosi u pasa przynajmniej z dziesięć różnych masek, które odzwierciedlają nasz stosunek do rozmówcy. Nie czas tutaj, abym tłumaczył panu całą złożoność tradycji i zwyczaju z tym związanego. A nie są to znowu sprawy łatwe do pojęcia dla kogoś, komu Tauryda jest zupełnie obca. Wracając jednak do sprawy. Henricks ubrany w najbardziej ceremonialny strój odwiedził pewnego dnia Gardemuusa. O przyjaźni jaką tyfrathon dla niego żywił może świadczyć założenie przez niego, gdy zobaczył ambasadora, maski Drogiego Przyjaciela. Zwykle człowiek o pozycji Gardemuusa ma tylko kilku, no, góra kilkunastu ludzi, w obecności których używa tej maski. Po pewnym czasie, który upłynął im na zwyczajowej, ceremonialnej rozmowie, Henricks założył maskę Pokornego Jałmużnika i wyłuszczył swoją prośbę. Kiedy wspominał ukochaną zmienia Pokornego Jałmużnika na Płomiennego Kochanka. Słowa oświadczyń są sformalizowane, ale użycie tych dwóch masek zastępuje wyznanie gorącej miłości połączone z kornym błaganiem. Na Taurydzie jest to najbardziej żarliwa forma oświadczyń.

- Ależ oni sobie komplikują życie - zauważył Jansen. - No i co dalej?

- Gardemuus nie chciał przyjąć tych oświadczyń; ale nie miał zamiaru też narażać na szwank przyjaźni z Henricksem, którego naprawdę lubił i cenił. Dlatego też przywdział maskę Dobrotliwego Ojca i odmówił. Wtedy Henricks powinien dać sobie spokój. Znał tutejsze obyczaje na tyle, że wiedział, iż nic już nie będzie w stanie zmienić decyzji Gardemuusa. On

jednak ponowił prośbę. No cóż, miłość zaślepia - O'Reilly pociągnął długi łyk zimnego napoju. - I wtedy tyfrathon zmienił maskę na Wybaczącego Władcę. Było to wyraźne ostrzeżenie, że dalsze nalegania mogą spowodować zerwanie ich przyjaźni. Dalej już mogło dojść tylko do tego, że założyłby Obojętnego Przechodnia dając Henricksowi do zrozumienia, że nie mają o czym mówić. No cóż, to byłaby już obelga i przyjaźń zostałaby zerwana: Henricks doskonale o tym wiedział, ale był już bardzo zdenerwowany. Wydaje mi się, że chciał zakończyć tę niezwykle kłopotliwą dla nich obu scenę, a mógł to zrobić zakładając Płomiennego Kochanka, co zresztą uczynił, i zmieniając ją potem na Ponurego Milczka. Byłaby to jak najbardziej właściwa forma prośby o wybaczenie niezręczności spowodowanej miłosnym zaślepieniem i w stosunkach pomiędzy przyjaciółmi nie pozostawiłaby zadrażnień. No, ale wtedy Henricks się pomylił.

- I cóż takiego zrobił?

- Wyciągnął maskę Barbarzyńcy i ją właśnie założył.

- I co? - spytał bez specjalnego zainteresowania w głosie Jansen.

- I wtedy Gardemuus go zabił - dokończył O'Reilly.

Inspektor patrzył na niego przez chwilę osłupiałym wzrokiem.

- Jak to? - wyjąkał w końcu.

- Barbarzyńca oznacza rozkaz, wymuszenie, groźbę. Używa się jej tylko w stosunku do ludzi bez honoru, najniższej służby, bądź też jeżeli chce się kogoś śmiertelnie obrazić. W przełożeniu na słowa założenie Barbarzyńcy oznaczałoby tyle co: „moje pożądanie jest tak wielkie, że jak mi jej nie oddasz, to cię zabiję”. Ale to nie w pełni oddaje obelżywość tej sceny. Gardemuus roztrzaskał mu głowę rytualną buławą. Zrobił to, sędzę, tak szybko, iż nie zdążył się nawet zastanowić nad tym, że postępowanie Henricksa musiało być wynikiem tragicznej pomyłki. Zagrała w nim krew stu dwudziestu arystokratycznych pokoleń. No i stało się.

- Straszne, okropne, niesamowite - Jansen z trudem przyjmował do wiadomości słowa agenta. - Czy tu do cholery nie ma żadnych sądów na tej przeklętej planecie?

- Są - odparł O'Reilly. - I Gardemuus był sądzony zgodnie z prawem.

- No i? - zmarszczył brwi Jansen.

„Boże”, pomyślał O'Reilly, „dlaczego obiecałem sobie mówić prawdę i tylko prawdę? Przecież to rozmowa jak ze ślepym o kolorach, A może i gorzej.”

- Sąd, któremu, nawiasem mówiąc, przewodniczył sam radca królestwa, wyraził swoje uznanie tyfrathonowi za tak ściśle wykonanie zalecanych przez zwyczaj obowiązków.

- Jezu! - Jansen był naprawdę wstrząśnięty. Ale z wolna wściekłość zaczęła brać górę. Wstał i chodząc wzdłuż ścian pokoju walił pięścią w otwartą dłoń. O'Reilly o mało nie podskoczył z wrażenia.

- Koniec z tym - warknął wreszcie: Ja tu zrobię porządek, bo pan, panie O'Reilly - tu spojrział ostro w stronę agenta - zbyt już chyba nasiąkł tymi barbarzyńskimi zwyczajami. No nie, do czego to doszło, ambasador Federacji zabity i nic! - mówił dalej kręcąc się po pokoju. - To im nie ujdzie płazem. Dziś jeszcze wysyłam raport, a panu radzę - znów ostre spojrzenie na O'Reillego - napisać natychmiastową rezygnację. To chyba lepsze od wywalenia na zbity pysk!

- Miałem taki zamiar - odparł sucho agent.

- Aha, jeszcze jedno. Chcę dziś jeszcze mówić z tym przewodniczącym sądu. Sądu - prychnął pogardliwie. - Parodia. Niech go pan tu wezwie.

„Wezwie”, powtórzył w myślach O'Reilly. Tak jakby radcę królestwa mógł ktokolwiek wzywać.

- To niemożliwe - odparł.

- Pan chyba nie zrozumiał jeszcze, że reprezentuję tu władzę Federacji. Jedno moje słowo, a wyładuje pan przed sądem. I to nie przed jakąś miejscową parodią, a dobrym, ziemskim trybunałem.

Przed sądem. Miły Boże. Czy ten dureń sądzi, że tak łatwo byłoby wywieźć z tej planety Rogera O'Reillego, agenta handlowego, człowieka o wysokiej pozycji społecznej i przyjaciela wielu osobistości? Jego nieobecność wywołałaby na tyle duże zamieszanie finansowe, że zbyt wielu Taurydańczyków zaangażowanych w prowadzone przez niego interesy miałyby spore kłopoty. A Taurydańczycy nie cierpieli kłopotów.

- A co się dzieje z tym człowiekiem? - zapytał nagle wstając Jansen.

- Z kim?

- Z tym całym Gardemuusem! - wrzasnął inspektor.

- Tyfrathon Gardemuus zrozumiał, że śmierć przyjaciela spowodował tragiczny błąd - objaśnił spokojnie O'Reilly - i mimo korzystnego wyroku sądu przywdział maskę Ponurego Milczka oraz udał się na wyprawę pokutną.

- Co to znaczy? - spytał nieprzyjaźnie Jansen.

- To znaczy, że dobrowolnie zrezygnował na czas pokuty ze swej społecznej pozycji, wygod, dostatku i przyjemności. Według wierzeń Taurydy, kiedy skończy się czas tułaczki

pokutnej, Gardemuus będzie znów przyjacielem Henricksa i w przyszłym życiu będą jak najukochańsi bracia.

- Co za bzdury! Powiem panu, co czeka tego Gardemuusa. Dobry, uczciwy sąd wojskowy na Ziemi. I jeżeli sędziowie będą mieli choć odrobinę zdrowego rozsądku, to sześć kul od plutonu egzekucyjnego.

- Niech pań posłucha - O'Reilly podjął ostatnią próbę przekonania inspektora. - Panu kara jaką nałożył na siebie tyfrathon może wydawać się śmieszna, ale to z jego strony wielkie poświęcenie. Przecież surowość kary można rozpatrywać tylko w odniesieniu do społecznych i historycznych tradycji i zwyczajów danego narodu. Kiedyś na Ziemi Arabowie karali przestępców obcięciem prawej dłoni. W Europie taki człowiek nie tracił nic, poza tym oczywiście, że stawał się kaleką, ale w krajach arabskich dodatkowo był automatycznie wyklęty ze społeczności. Nie mógł jeść ani mieszkać razem z innymi, uważano go za pariasa i...

- Co mi pan wyjeżdża z takimi duperelami! - uniósł się Jansen. - choćby pan rok gadał, to ja wiem swoje.

- A jak pan zamierza zmusić Gardemuusa, by opuścił Taurydę? - spytał O'Reilly.

- Jak? Powiem panu jak. Jutro wezwę najbliższy krążownik i załatwię tę sprawę raz dwa. Mam pełnomocnictwo drugiego stopnia, panie O'Reilly, a chyba wie pan, co to oznacza?

O'Reilly wiedział. Rzeczywiście, każdy statek bojowy przybędzie na jego wezwanie. No, a to niestety oznaczałoby wojnę. Tauryda nie da bezkarnie porwać jednego ze swych najczcigodniejszych obywateli. Wiedział, co teraz należy robić. Sprawy zaszły zbyt daleko. Trzeba będzie jednak poprosić radcę królestwa Natymuusa, aby raczył przybyć.

- Chciał pan rozmawiać z przewodniczącym sądu? - spytał O'Reilly. - Postaram się więc skłonić go do przybycia.

- No, no - zauważył protekcyjnie Jansen. - Nabiera pan rozsądku, co? Drugi stopień to nie w kij dmuchał, nie?

Agent wystukał na klawiaturze telefonu zastrzeżony numer Natymuusa. Na szczęście telefon odebrał sam radca. Po ceremonialnych powitaniach O'Reilly powiedział:

- Jak pan zapewne wie, ekscelencjo, goszczę u siebie znamienitego wysłannika Federacji Solarnej pana Jansena. Pan Jansen uniżenie prosi, aby raczył pan przybyć, gdyż chce złożyć panu wyrazy najszczerzego szacunku i osobiście podziękować za sprawiedliwy wyrok w sprawie szlachetnego tyfrathona Gardemuusa. Ponieważ pan Jansen już jutro musi opuścić wasz

wspaniałą kraj, pragnąłby spotkać się z panem, eksceleńco, jeszcze dzisiaj.

Radca królestwa był zadowolony. To, że wysłannik federacji Solarnej w czasie swego pobytu na Taurydzie będzie widział się tylko z nim znacznie podniesie jego prestiż. Dlatego też zgodził się chętnie: obiecał, że będzie nie później niż za dwie godziny, jeżeli oczywiście eksceleńca pan Jansen zechce czekać tak długo. Ponieważ pan Jansen ustami agenta O'Reillego obiecał czekać choćby do północy. Natymuus pożegnał się ceremonialnie i rozłączył.

- Co za bzdur mu pan nagadał? - spytał inspektor.

- Inaczej by nie przyjechał - odparł krótko O'Reilly. - A teraz najwyższy czas na kąpiel - zdecydował - Jestem pewien, że łazienka dla pana jest od dawna gotowa.

Leżał w seledynowej, ciepłej wodzie pachnącej bukietem ziół. Kiedy umył się już i spłukał mydło pod prysznicem wyszedł z wanny, przypominającej kształtem konchę muszli, i pozwolił się osuszyć nagim niewolnicom. Z przyjemnością spoglądał na ich smagłe ciała o pełnych piersiach i smukłych udach. Jansenowi na wszelki wypadek dał niewolników. Bał się, że inspektor zbyt dosłownie odebrałby obecność nagich kobiet podczas swej kąpieli, a każda zaczepka z jego strony obniżyłaby prestiż O'Reillego. Miał nadzieję, że Jansen nie będzie zaczepiał niewolników.

Potem kobiety starannie go wymasowały oraz natarły ciało olejkami. Wreszcie poczuł, że zmęczenie ustąpiło i jest jak świeżo narodzony. Przeszedł do garderoby. Założył najbardziej ceremonialny strój, zielony kaftan szamerowany złotem i ciemnogrnatowy płaszcz lamowany żółtym futrem molkara. Potem przypasał miecz w złoczonej pochwie. Przejrzał się z zadowoleniem w lustrze. No, teraz wyglądał wystarczająco godnie, by móc przyjąć radcę królestwa. Założył maskę Gościnnego Gospodarza i poszedł do pokoju, gdzie siedział już odświeżony Jansen. Kąpiel poprawiła mu humor.

- Niech pan zmieni maskę - poprosił O'Reilly. - Ponury Milczek jest niezbyt odpowiedni na przyjęcie takiej osobistości. Wydaje mi się, że ta będzie najlepsza. Wyciągnął w jego stronę Przyjaznego Nieznajomego, a Jansen założył tę maskę i oddał mu niepotrzebny już Ponurego Milczka. W milczeniu czekali na przybycie Natymuusa. O'Reilly pewien był jak potoczy się rozmowa z dostojnym radcą i ze stuprocentową dokładnością mógł przewidzieć jej finał. Właściwie miał wątpliwości, czy postępuje słusznie, ale wiedział, że wyjdzie to tylko wszystkim na dobre. No, może prawie wszystkim.

Tymczasem jednak zastanawiał się leniwie nad tym, w jakiej masce i w jakim stroju

przybędzie Natymuus. Prestiż O'Reillego był na tyle duży, iż wymogom grzeczności odpowiadałby jedynie ceremonialny strój gościnny zakładany na wyjątkowe okazje, a maska, no cóż, łatwo się domyślić, że radca założy Przyjaznego Nieznajomego. Ich stosunki są zbyt luźne, aby przyszedł w Dobrym Towarzyszu. Agent mógł jednak iść o zakład, że radca wychodząc z jego domu będzie miał na twarzy Dobrego Towarzysza, a kto wie, czy nie Drogiego Przyjaciela. Ale to pokaże czas. Już za jakieś dwie godziny wszystko powinno się rozstrzygnąć: przyszłość O'Reillego, przyszłość Jansena i przyszłość Taurydy. Da Bóg, to cała sprawa odbędzie się jak należy. Zgodnie z prawem, etyką i dobrymi zwyczajami.

- Kiedy przybędzie radca - powiedział agent - proszę starać się mówić jak najmniej i nie gestykulować. Tutaj gesty mają specyficzne znaczenia i wiele z nich może być potraktowanych jako zniewaga. Niech pan o tym pamięta.

- Dobra, dobra - odparł niegrzecznie inspektor. - Niech się pan nie martwi. Postaram się nie urazić tego dostojnika. - Ostatnie słowo wymówił z lekką drwiną w głosie.

Niedługo potem dźwięczny głos gongu obwieścił przybycie Natymuusa. Niewolnicy wprowadzili radcę do pokoju, po czym cicho wynieśli się zamykając drzwi. Gość był wysokim, szczupłym człowiekiem o pełnych energii ruchach. Pomimo siwych włosów i znamionującego leciwy wiek głosu, trzymał się prosto jak świeca. Ubrany był rzeczywiście w strój, o jakim myślał O'Reilly, a i przypuszczenia agenta co do maski Przyjaznego Nieznajomego okazały się słuszne. O'Reilly wstał z miejsca na powitanie gościa i nim usiadł ponownie, gestem poprosił radcę aby spoczął. Było to przyjęcie nad wyraz kurtuazyjne i wręcz wyrafinowanie grzeczne. Natymuus musiał być zadowolony. Jansen jednak postanowił przejąć inicjatywę w swoje ręce. Zbliżył się do radcy, i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Miło mi pana poznać, ekscelencjo - powiedział po taurydańsku. - Jestem inspektor Tobias Jansen z Centrum Federacji.

O'Reilly złośliwie uśmiechnął się pod maską, widząc zakłopotanie radcy, który w końcu po pełnej napięcia chwili wahania uścisnął dłoń Jansena. Gest ten, na Ziemi nie będący niczym innym oprócz powitania, na Taurydzie miał odmienne znaczenie. Zobowiązywał bowiem obu ludzi do niezmieniania masek na czas całej rozmowy. W pertraktacjach i rozmowach oficjalnych było to zupełnie tak, jakby jeden polityk prosił drugiego „porozmawiajmy, ale obiecaj, że będziesz dla mnie miły”. Nic więc dziwnego, że Natymuus poważnie wahał się, nim uścisnął dłoń Jansena. Teraz ta wizyta stała się tylko i wyłącznie ceremonialna, bo radca nie mógł

przystąpić do żadnych poważnych rozmów, będąc tak ograniczony w działaniu. Poza tym samo powitanie było jak na taurydzkie zwyczaje wręcz niegrzeczne, ale O'Reilly, choć mógł, wcale nie zamierzał tłumaczyć postępowania Jansena. Natymuus był zdziwiony zachowaniem wysłannika Centrum. Oczywiście nie pokazywał tego po sobie w żaden sposób. Przecież był nie tylko Taurydańczykiem, ale i dyplomata. Jednak zachowanie Jansena nie tylko go zdziwiło, ale i uraziło. Dawno już nikomu nie zdarzyło się tak bezczelnie zaproponować mu niezmienną maski. To jasne nadużycie zaufania i jeżeli ten Ziemianin myśli, że załatwi cokolwiek w taki sposób, to jest w głębokim błędzie. Stary radca miał też żal do O'Reillego. Agent mógł go przecież ostrzec przed tym człowiekiem. No, chyba, że łączą ich wspólne interesy, ale Natymuusowi zdawało się, iż jest z O'Reillym. w na tyle dobrych stosunkach, że ten nie poważy się na działanie przeciw niemu. A poza tym O'Reilly to człowiek o wysokim prestiżu, dobry przyjaciel nieszczęsnego Gardemuusa, co przecież o czymś świadczy. Radca wymieniając z agentem ceremonialne uwagi, a potem opowiadając o przygotowaniach do zaślubin córki jednocześnie intensywnie myślał nad całą tą zagadkową sprawą. W rozwiązaniu problemu pomogła mu pewna znajomość stosunków panujących na Ziemi. Nie był bowiem, jak większość Taurydańczyków, izolacjonistą, ale hołdował koncepcji poznawania obyczajów i historii innych nacji. Pamiętał przecież, że na Ziemi stosunek służbowego podporządkowania nie jest prostą wypadkową prestiżu. Wydawało mu się to niewiarygodne, ale w Federacji często wysokie funkcje pełnili ludzie o nikłym prestiżu. Podejrzewał, że Jansen piastuje jakieś wysokie stanowisko, jego pozycja społeczna jest wyższa od pozycji O'Reliego choć porównując prestiż obu, wydawałoby się to niemożliwe. Jansen wyraźnie był człowiekiem bez honoru. Świadczyło o tym każde wypowiedziane zdanie i każdy gest. A stary radca miał dobre oko co do ludzi. „Biedny O'Reilly”, pomyślał Natymuus, „być podwładnym takiego zera. Dobrze, że on jutro wyjeżdża, bo prestiż O'Reliego spadłby bardzo, gdyby dowiedziano się, kto jest jego zwierzchnikiem.” Radca poczuł się mile zaszczycony zaufaniem agenta. Oto on zaprosił go do swego domu widać wierząc, że Natymuus nie wykorzysta swych wiadomości przeciw jego prestiżowi. Zapewne ten Jansen chciał się spotkać z którymś z dostojników, a O'Reilly wybrał właśnie Natymuusa. To doprawdy wzruszające z jego strony. Ale oczywiście nie będzie można tolerować takich impertynencji jak poprzednia. Najlepiej uprzejmie się pożegnać i odejść. Biedny O'Reilly. Zaraz po powrocie wypadałoby mu przesłać jakiś drobny prezent. Niech wie, że radca Natymuus nie zdradza przyjaciół. Skończył opowiadać i wstał z miejsca.

- Cieszę się, że mogłem podzielić się z wami moją radością. Jestem do głębi wzruszony i zaszczycony spotkaniem tak znamienitego człowieka jak jego ekscelencja pan Jansen. Będę zrozpaczony, jeżeli nie powitam ekscelencji - zwrócił się bezpośrednio do inspektora - na ceremonii zaślubin.

O'Reilly wstał. Wiedział już, co nastąpi. Jansen wyciągnął rękę z wysuniętym wskazującym palcem.

- Chwileczkę, ekscelencjo! - zawołał. - Mieliliśmy porozmawiać o procesie w sprawie śmierci naszego ambasadora.

Cztery zniewagi w jednym zdaniu. Doprawdy trzeba mieć talent. Po pierwsze, wysunięcie wskazującego palca oznacza „uwaga, słuchaj mnie”, a radcy królestwa nie dyktuje się czego ma słuchać. Po drugie, nie zatrzymuje się dostojnika, gdy ten oficjalnie daje do zrozumienia, że chce się pożegnać. Po trzecie, na temat procesu się nie dyskutuje. Można podziękować, bądź wyzwać na pojedynek. Innych możliwości nie ma. Po czwarte proces nie dotyczył śmierci Henricksa, tylko honorowej sprawy tyfrathona Gardemuusa.

O'Reilly nie odzywał się. Wypadki bez jego ingerencji i tak toczyły się jak najbardziej odpowiednim torem. Natymuus był nieco bezradny. Obiecał, że nie zmieni maski, a przecież trzeba było teraz nałożyć Obojętnego Przechodnia i odejść. Przyjazny Nieznajomy nie może opuścić swego rozmówcy.

- Słucham - odparł radca siadając.

- Chciałem powiedzieć panu, ekscelencjo, że proces w sprawie ambasadora Federacji Solarnej uważam za karygodny - mówił wolno Jansen, starannie dobierając słowa. - Jak można było uwolnić od kary zabójcę wysokiego dostojnika Federacji? Oznajmiam panu, że Gardemuus będzie musiał stanąć przed ziemskim sądem i odpowiedzieć za swój czyn zgodnie z zasadami naszego prawa. Od pana ekscelencjo spodziewam się pomocy w schwyтaniu przestępcy.

Zniewag było tyle, że O'Reilly przestał je liczyć. Natymuus wolno wstał. Teraz powinien założyć maskę Szalonego Wojownika i zabić Jansena. Było to jednak niemożliwe z dwóch powodów. Po pierwsze, nie mógł zmienić maski. Gdyby to uczynił po uprzednim uściśnięciu ręki inspektora, byłoby to dyshonorem, no a Przyjazny Nieznajomy nie może walczyć. Po drugie, Natymuus był gościem, a wyciągnięcie miecza przeciwko drugiemu gościowi w obecności Gościnnego Gospodarza jest śmiertelną zniewagą.

- Jeżeli mi pan nie pomoże - ciągnął Jansen - będę zmuszony wezwać statek bojowy floty

federacyjnej, aby umożliwił mi wykonanie zadania. A uczynię to bez względu na konsekwencje.

Wymawiając słowo konsekwencje inspektor dla podkreślenia wagi swoich słów uderzył pięścią w otwartą dłoń. „Biedny Jansen”, pomyślał O’Reilly. Biedny, mały, bezradny pionek, który myślał, że decyduje o czymkolwiek, a który od samego początku rozmowy poruszał się na szachownicy, na której on był arcymistrzem. Agentowi zrobiło się żal Jansena. To w gruncie rzeczy ani lepszy, ani gorszy człowiek niż wszyscy inni. Może gdyby wykazał choć minimum dobrych chęci wszystko mogłoby skończyć się inaczej. Może gdyby znał obyczaje Taurydy ocaliłby życie. A teraz cóż, Jansen musi zginąć i nawet cała flota Federacji nie uratuje go przed śmiercią. Oto skutek zadufania i lekceważenia odwiecznych tradycji. Oto skutek nieuctwa, oto skutek lenistwa (przecież miał w drodze materiały o Taurydzie, nauczyłyby się z nich paru najprostszych rzeczy). Oto skutek lekceważenia (przecież O’Reilly ostrzegał go, żeby nie wykonywał żadnych gestów). Biedny, głupi Jansen. Uderzając pięścią w otwartą dłoń wykonał gest wyzwania do pojedynku. Gest najbardziej obelżywego wyzwania. W połączeniu z jego słowami dawało to piorunujący skutek. A nieszczęsny Natymuus nie mógł odpowiedzieć ostrzem. Cokolwiek by zrobił, stanowić musiało dyshonor. O’Reillemu żal było także starego radcy. Chyba jeszcze nigdy nie stanął przed tak poniżającą i trudną próbą. Teraz tkwił jak posąg pod drzwiami pokoju i agent wyobrażał sobie, jaka burza uczuć i myśli przetacza się przez mózg Natymuusa. A Jansen stał przed nim, wzburzony i groził wyciągniętym palcem. Pozostawało tylko jedno. O’Reilly błyskawicznie pozbył się Gościnnego Gospodarza i założył maskę Szalonego Wojownika. Teraz, kiedy Gościnnego Gospodarza już nie było, radca mógł walczyć. Lewa ręka szybko zmieniła maski, prawa chwyciła rękojeść miecza. Ale O’Reilly był szybszy. To prawda, iż Natymuus był kiedyś najlepszym fechtmistrem Taurydy. Ale te lata minęły, minęły już dość dawno. O’Reilly był nie tylko doskonałym handlowcem, ale i mistrzem walk mieczem. Nim starszy człowiek zdołał wyciągnąć swój miecz choćby do połowy, agent błysnął już w powietrzu srebrnym ostrzem.

- Jansen! - zawołał.

I kiedy inspektor odwracał się w jego stronę, O’Reilly ciął. Ostrze przeszło gładko przez szyję i głowa Jansena gibnęła się na bok, a bluzgający krwią kadłub upadł w drgawkach na biały futrzak. Radca schował ze zgrzytem. swój miecz do pochwy. Milczeli przez chwilę.

- Pozwoli pan przyjacielu - powiedział w końcu Natymuus - że przyślę niewolników z nowym dywanem na miejsce tego, który tak nieszczęśliwie się zabrudził.

- Będę zaszczycony - odparł O'Reilly. Dopiero teraz radca zorientował się, że nadal ma na twarzy Szalonego Wojownika i szybko zmienił tę maskę na Przyjaznego Nieznajomego. Agent znów stał się Gościnnym Gospodarzem.

- Jestem wzruszony - rzekł wolno radca - pańskim nad wyraz szlachetnym zachowaniem. Przewidując kłopoty, jakie mogą pana spotkać z uwagi na ten pożałowania godny incydent ośmielam się zaoferować panu wszelką pomoc, jakiej tylko mógłby udzielić człowiek. o tak skromnej pozycji jak moja. Będę zaszczycony, jeżeli zechce pan przyjąć moje usługi. - Mówiąc te słowa Natymuus zdjął maskę Przyjaznego Nieznajomego i założył Drogiego Przyjaciela. O'Reilly pochylił z szacunkiem głowę.

- Z radością przyjmuję, ekscelencjo, pańską nad wyraz szczodrobliwą propozycję. Nie mogę znaleźć słów potępienia dla siebie samego, że dopuściłem do zaistnienia w moim domu tak nieprzyjemnego incydentu. Jeszcze raz błagam o wybaczenie, ekscelencjo. - O'Reilly założył maskę Pokornego Jałmużnika, a radca zbliżył się wolno do niego, sięgnął do jego pasa, delikatnie zdjął z jego twarzy Jałmużnika i nałożył na nią to, co agent widział przed sobą: - Drogiego Przyjaciela.

- Pragnąłbym widywać pana jak najczęściej - powiedział Natymuus. - Będę zaszczycony, jeżeli poświęci pan swój drogocenny czas i zechce towarzyszyć mi w czasie popołudniowego odpoczynku, Myślę, że Jego Wysokość Następca Tronu z radością ujrzałby pana na najbliższym przyjęciu wydanym na cześć oddanych przyjaciół.

- Jestem zaszczycony pana łaskawością, ekscelencjo - odparł krótko O'Reilly, gdyż uznał, że każde słowo przekazywałoby zbyt mały ładunek emocjonalny.

- Pozwoli pan, że go pożegnam - rzekł radca - z radosnym niepokojem oczekuję naszego jutrzejszego spotkania.

Wymienili ceremonialne formuły pożegnalne, po czym radca odwrócił się jeszcze od drzwi. Nie było to zgodne z etykietą, ale przecież przyjaciele mogą pozwolić sobie na drobne odstępstwa.

- Dziś ogłoszę wiadomość o tym wypadku - powiedział Natymuus. - I jeżeli wolno mi przypuszczać, proces odbędzie się za tydzień. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, postaram się przewodniczyć obradom sądu, starając się, aby pańskie ważne zajęcia nie ucierpiały na skutek tego błahego zajścia.

- Będę zaszczycony, ekscelencjo - powtórzył O'Reilly.

Kiedy Natymuus wyszedł, agent udał się do garderoby, a potem łazienki, pozostawiając niewolnikom kłopot sprzątanego pokoju. Gdy leżał już w zielonkawej, cudownie pachnącej wodzie zaczął leniwie zastanawiać się nad konsekwencjami sytuacji. Cóż, stał się naprawdę kimś. Drogi Przyjaciel radcy królestwa Natymuusa. Teraz koncesje sypną się jak z rogu obfitości. Ale O'Reilly nie zrobił tego dla pieniędzy czy prestiżu. On po prostu kochał tę planetę, kochał swego najlepszego przyjaciela Gardemuusa, kochał tych ludzi i ich jakże odmienne od ziemskich obyczaje. I nie zamierzał pozwolić na to, by ludzie pokroju Jansena nękali tak mu bliski kraj. A poza tym kochał spokój i nie chciał, aby półgłówki z Centrum dręczyły go sprawą Henricksa. Rozciągając się wygodnie w wannie obmyślał treść raportu o śmierci Jansena i miał błogą nadzieję, że następnym razem przyślą mu rozsądniejszego inspektora.

Martwiło go jedynie to, że człowiek z jego pozycją społeczną nie będzie sobie mógł już pozwolić na samodzielne prowadzenie samochodu. A taurydańscy kierowcy byli tak nieostrożni.

2. Pięć Płonących Wzgórz

Była pierwsza po południu. Czas największej spiekoty, kiedy powietrze zdawało się zastygać w nieruchomą bijącą żarem ścianę. Ale tutaj, myślał O'Reilly w cieniu rozłożystych drzew, koło basenu z szumiącym wodotryskiem rozpryskującym na wiele metrów wokół krople wody, tutaj było naprawdę rześko i miło. O'Reilly siedział w wiklinowym fotelu, wolniutko sącząc z oszronionej szklanki purpurowy sok owoców maldo. Jedną z najcudowniejszych rzeczy ze wszystkich cudów, które natura wytworzyła na Taurydzie. O'Reilly - ziemski agent handlowy, wciąż, mimo wielu lat rezydentury, był w stanie rozkoszować się drobnymi radościami, jakich nie skąpił zwykły, powszedni dzień. Chociażby tym, że można siedzieć spokojnie we własnym cichym i ustronnym ogrodzie, popijać maldowy sok i z leniwą satysfakcją myśleć, że przed czwartą nadejdzie czas kąpieli i masażu. A kąpiel i masaż na Taurydzie były również nadzwyczajną przyjemnością, zwłaszcza kiedy prestiż pozwalał na posiadanie tak pięknych i zręcznych niewolnic jak te, które mieszkały w domu O'Reilly ego. Nikt też od dwunastej aż do czwartej nie zakłóci czasu sjesty, nie będzie nagłych telefonów, niespodziewanych wizyt ani spraw niecierpiących zwłoki. I właśnie wtedy, gdy agent porównywał niespokojne, pełne ciągłego pośpiechu i napięcia życie na Ziemi z życiem Taurydy, wtedy właśnie zabrzmiał przy drzwiach wejściowych mocny głos gongu. O'Reilly uniósł się w fotelu i odłożył szklankę. Któż, na Boga, wybrał tak niefortunny czas odwiedzin? Przecież nawet wróg nie przyszedłby po jego

głowę w czasie sjeisty, bo byłoby to powszechnie uznane za dyshonor. Były lepsze pory na morderstwo niż czas pomiędzy dwunastą a czwartą.

- Trzej Przyjaźni Nieznajomi, mój panie - obwieścił niewolnik, pochylony w głębokim ukłonie. Agent zastanawiał się przez chwilę.

Mógł nie przyjąć tych ludzi. Potraktowali go przecież jak osobę o nikłym prestiżu, której można przerwać czas odpoczynku. Jednak z drugiej strony, jeżeli znali pozycję O'Reilly'ego (a w stolicy każdy znał ją dobrze) i nie chcieli go obrazić, to sprawa, z którą przybywali, musiała być wyjątkowej wagi.

Po namyśle kazał niewolnikowi przyprowadzić gości. Trzech barczystych, wysokich mężczyzn, z których każdy miał jeden miecz u lewego boku, a drugi, krótszy, w pochwie wystającej nad prawe ramię. Policjanci. To oczywiste. Czegóż w domu O'Reilly'ego mogą chcieć policjanci? I to w dodatku o tak niewłaściwej porze! Wszyscy występowali w maskach Przyjaznych Nieznajomych, ale agent nie zmienił swej maski Obojętnego Przechodnia. Miał do tego pełne prawo i nie czuł się wcale w obowiązku nakładać ani Gościnnego Gospodarza, ani też rewanżować się gościom Przyjaznym Nieznajomym. W innym przypadku mogłoby to być rozumiane jako obraza, a nawet stać się powodem pojedynku, lecz O'Reilly i tak wyświadczył im łaskę, wpuszczając do domu o niestosownej porze. Policjanci powitali agenta w ceremonialny, niezwykle grzeczny sposób, po czym ten, który stał pośrodku, wyszedł krok do przodu. Gospodarz do tej pory nie wstał z miejsca ani nie zaproponował im, aby usiedli. Najpierw chciał usłyszeć, co mają do powiedzenia.

- Kiedy spotykam człowieka - zaczął policjant - który poświęcił życie opiece nad lasem, on zwraca się ze skargą. Zobacz, mówi, te rosłe drzewa, co stały tak dumnie, a dziś topór drwała strzaskał ich pnie i leżą teraz w pyle drogi. Patrz, mówi dalej ten człowiek, jakże okrutny był drwał, który to uczynił. Lękam się, że jego topór może rychło zastukać do drzwi mego domu.

Policjant zamilkł, a O'Reilly przez chwilę przetrwał otrzymaną wiadomość.

Taurydański obyczaj zakazywał zwracania się z problemem, którego rozwiązanie nie leżało w gestii rozmówcy. Oczywiście wolno było prosić o pomoc, ale wtedy stosowano skomplikowaną ceremonię przypowieści i alegorii, nie chcąc narażać się na odmowę, która mogłaby być dla proszącego śmiertelną obrazą.

Teraz wystarczyłoby, aby agent nie odpowiedział ani słowem, a przybysze wycofałyby się grzecznie i nikt do nikogo nie mógłby mieć pretensji. Jednak O'Reilly nauczył się, że na

Taurydzie dobrze jest pozyskiwać sobie wdzięczność i przychyłność innych. Nawet jeśli byli to tylko policjanci. Dał więc znak niewolnikom, którzy natychmiast przystawili gościom trzy wiklinowe fotele, po czym zmienił maskę na Przyjaznego Nieznajomego. Policjanci usiedli, przykładając lewe dłonie do prawej piersi - znak wdzięczności, który jednak nie nadszarpywał prestiżu. Teraz agent czekał na ich dalsze słowa. - Pan, ekscelencjo - zaczął policjant - cieszy się sławą człowieka, który zgłębił wspaniałe utwory naszych mistrzów. Ja i moi przyjaciele pragniemy usłyszeć pańskie zdanie na temat czynu megethona Astemynusa i radość nasza nie będzie miała granic, jeśli podzieli się pan z nami swymi przemyśleniami.

O Boże, pomyślał O'Reilly. Trafiony, zatopiony. Kto to był, do cholery, megethon Astemynus i kto napisał traktat o nim? Chyba mistrz Lodwerus. A może nie on? Zaraz, zaraz, skojarzyć to z drzewami, o co tu, do diabła, może chodzić?

Odwoływanie się do dzieł starożytnych pisarzy, do ich traktatów filozoficznych czy heroicznego eposu było starą i uświęconą metodą nawiązywania rozmowy, której nie można zacząć wprost. Jednak przybyszowi z Ziemi, choćby najbardziej zżytemu z taurydańską historią oraz obyczajami, sprawiało to ogromne trudności. Trzeba było bowiem przekopać całe tomy dzieł mistrzów, pisanych w archaicznym języku starotaurydańskim, i w dodatku jeszcze zapamiętać ważniejsze fakty, a najlepiej zapamiętać wszystko.

I wtedy O'Reilly'emu przypomniało się, kim był megethon Astemynus. Oczywiście! Przecież to jedna z historii heroicznego eposu poety Bredorwusa. Rzecz o dostojniku, mistrzu miecza i jednym z najbardziej znaczących ludzi na Taurydzie, który zrezygnował z zaszczytów oraz dostatku, aby zająć się pokonaniem okrutnych morderców z Górskich Klanów grasujących nocami w stolicy. Teraz rzecz stawała się jasna. Sytuacja się powtórzyła. Ktoś zakłóca spokój mieszkańcom miasta, a policja nie może sobie z tym poradzić. Ale dlaczego, na Boga, oczekują wsparcia od niego? Fakt, że dobrze włada mieczem, nie stanowi jeszcze o tym, że będzie pomagać w poszukiwaniu zbrodniarzy. Na to O'Reilly nie miał ani chęci, ani czasu... Zaraz... tu musi być drugie dno. Nie przychodzi się do człowieka o tak wielkim prestiżu i nie prosi bez powodu o pełnienie roli policjanta. Jeszcze chwilka, zaraz, olśnienie było blisko. Boże, trzeba było dokładniej czytać traktat Bredorwusa i już wszystko byłoby wiadome. Jak to się zaczynało? Aha, jest! Dlaczego megethon Astemynus zrezygnował z dostojności? Dlatego, że na czele górskich band stał jego brat i megethon uważał za swój honorowy obowiązek zabić tę zakałą rodziny. Boże, czyżby to znaczyło, że...

- Brat przestaje być bratem, kiedy traci honor - oznajmił O'Reilly. - A śmierć jest nie tylko wybawieniem dla zbrodniarza, ale i radością dla sprawiedliwego.

Oferta została przyjęta. Teraz formuły, symbole, alegorie przestały być potrzebne. Można wreszcie zacząć się posługiwać zwykłym, funkcjonalnym językiem, bo rozmawianie w sposób ceremonialny, choć czasem użyteczne, czasem miłe, a zawsze szkolące spryt, pamięć, logikę i refleks, w tej sytuacji wikałoby tylko sprawę.

- Doniesienia o morderstwach wpływają od prawie pół roku - zaczął policjant. - Na razie zdarzyło się jedenaście przypadków. Ciosy świadczą, że mieczem posługuje się mistrz walki, dwukrotnie pokonał trzech przeciwników naraz.

Ho, ho, zastanowił się O'Reilly. To brzmi niewiarygodnie. Taurydańczycy szkolą się w posługiwaniu mieczem od wczesnego dzieciństwa. Przecież na tej planecie - pozbawionej chorób, drapieżników i naturalnych kataklizmów - właśnie pojedynki są sposobem naturalnej selekcji i one pozwalają na eliminację jednostek mniej zaradnych życiowo. Niezły twardek musi być z tego mordercy, skoro zabija trzech za jednym zamachem.

- Dlaczego sądzicie, że to Ziemianin?
- Dzisiaj znaleźliśmy następnego trupa - wyjaśnił policjant. - Cios został zadany od tyłu.

No i wszystko się wyjaśniło. Przecież to hańba uderzyć odwróconego lub uciekającego wroga. Żaden Taurydańczyk by tego nie uczynił, chyba że w wyniku jakiegoś pożałowania godnego nieporozumienia. Tak splamić honor mógł tylko przybysz z Ziemi.

Swoją drogą, pomyślał agent, to koszmar, że hańbiące zachowanie jest wyjaśnieniem narodowości mordercy. Cóż, Ziemianie nie cieszyli się szacunkiem Taurydańczyków. Z jednym wyjątkiem, ale O'Reilly'ego nikt tu już nie uważał za obcego. Inaczej nie przyszliby do niego z tak delikatną sprawą. Zresztą, prośba o pomoc była w gruncie rzeczy gestem przyjaźni w stronę agenta. W tym właśnie tkwiła cała specyfika Taurydy Ci, którzy przychodzili z prośbą o pomoc, nagle stawali się wyświadczającymi przysługę. Policjanci okazywali O'Reilly'emu zaufanie, pragnąc, aby właśnie on poradził sobie z tajemniczym mordercą. Teraz już pokonanie nocnego zabójcy stało się dla agenta kwestią honoru i prestiżu. Musiał to zrobić, by odwdziżyć się policjantom. Postąpili delikatnie, uważając, że w rodzinie każdy powinien wymierzać sprawiedliwość błądzącemu i nikt postronny nie powinien się do tego mieszać. Jednak O'Reilly wiedział, że zadanie nie będzie łatwe. Człowiek, pokonujący trzech przeciwników w walce na miecze, był nie lada mistrzem. Co prawda, agent słynął ze wspaniałego opanowania sztuki walki,

ale teraz czuł, że trafi na wroga co najmniej równego sobie.

- Chciałbym otrzymać kod dostępu do waszego komputera - rzekł O'Reilly.
- Oczywiście - odparł policjant i wyciągnął z sakwy przy pasie magnetyczną kartę.

Wstali z foteli.

- Pozostaje mi tylko życzyć panu, ekscelencjo, miłego dnia i mam nadzieję, że nasza jakże nieodpowiednia i godna pożałowania wizyta nie zakłóciła rozmyślań ekscelencji.

Agent pożegnał ich grzeczną, ceremonialną formułą i dał znak niewolnikom, aby odprowadzili gości do drzwi. Westchnął ciężko. Nie było jeszcze drugiej, a nie wyglądało na to, aby można było próżnować przez następne dwie godziny. Wolnym krokiem udał się do gabinetu, usiadł przy pulpicie komputera i wystukał na klawiaturze kod policyjny. Najpierw zamierzał sprawdzić, jak wygląda sytuacja Ziemiań na Taurydzie i chwilę potem miał pełne dane. Przebywało tu stu szesnastu rodaków, z czego osiemdziesięciu siedmiu w stolicy - pozostałych O'Reilly na razie wyeliminował. Z mieszkających w mieście tylko sześciu przebywało dłużej niż pół roku. Jednym z nich był sam agent, a więc pozostawało pięciu potencjalnych podejrzanych. O'Reilly przyjrzał się uważnie kolejnym sekwencjom danych.

Robert McNamara, lat sześćdziesiąt dwa, wysłannik Konsorcjum Metali Ciężkich. Jego można było wyeliminować. Spokojny grubas, bez aspiracji i ambicji, traktujący pobyt na Taurydzie jako wygodną synekurę i dobre wakacje. Bardzo słabo znał taurydański, nie używał masek, prawdopodobieństwo, że był owym tajemniczym mordercą, sięgało zera. Agent przypuszczał, że McNamara nie miał najmniejszego pojęcia o walce mieczem.

Zatem następny: Silvester Calhoun, lat dwadzieścia jeden, siostrzeniec McNamary, spędzał na Taurydzie długie wakacje, nie zajmował się niczym poza drobną pomocą dla wuja. Ten raczej też nie.

Trzeci podejrzany: Tom Fleming, lat czterdzieści jeden, od dwóch lat na Taurydzie, podejrzenia o przemyt, dochody bliżej niewyjaśnione, biegła znajomość języka, używał masek, cieszył się pewnym prestiżem, wytrawny znawca sztuk walki. Wydawał się najbardziej pasować, ale czy biznesmen i przemytnik bawiłby się w nocne morderstwa?

Następny: Hubert Ostrovsky, lat trzydzieści pięć, obserwator z ramienia Ligi Rozwoju, świetny znawca historii i zwyczajów Taurydy, człowiek o sporym jak na Ziemiań prestiżu, w pełni zaaklimatyzował się na planecie. O'Reilly znał go bardzo dobrze i dlatego był pewien, że jest on niezdolny do popełnienia tak haniebnej zbrodni. Poza tym jego umiejętności w sztuce

walki były przeciętne.

Piąty Ziemianin: Sergio Duval, dezertier z Floty Kosmicznej, osobnik o zerowym prestiżu, nie chodził w masce, alkoholik. Gdyby używał maski, zabito by go już w pierwszych dniach pobytu, a tak liczne niezręczności, jakie popełniał, po prostu były ignorowane. Teoretycznie typ jak najbardziej zdolny do popełnienia zbrodni, odpadał jednak ze względów czysto praktycznych. Po prostu jego znajomość sztuk walki ograniczała się do wiedzy, którą stroną trzymać miecz. A to trochę za mało, by dać radę trzem taurydańskim fechtmistrzom.

Więc w takim razie kto? Może któryś z dwudziestu dziewięciu ludzi mieszkających poza stolicą? To nawet rozsądne. Przecież lepiej nie angażować się na własnym terenie i wyjeżdżać na gościnne występy. To było do sprawdzenia. Policja rejestrowała obecność gości spoza metropolii. Wystarczyło porównać daty rozjazdów i daty morderstw, aby dojść do prostego wniosku, że przestępstwa nie popełnił żaden z tych dwudziestu dziewięciu. Chyba że działało ich dwóch naprzemiennie. Tego wykluczyć się nie dało. Ale jakież było prawdopodobieństwo obecności dwóch znakomitych fechtmistrzów wśród stu szesnastu Ziemian?! A więc w takim razie - O'Reilly westchnął ciężko - pozostawało pięciu. Którego z nich można wyeliminować z całą pewnością? McNamarę i Ostrovsky'ego. A Duval? Czy potrafiłby udawać degenerata i alkoholika, a naprawdę być znawcą miejscowych zwyczajów i wykwalifikowanym mordercą? Nie. A więc odrzucamy trzech. Co wiadomo o młodym Calhounie? Właściwie nic. Spokojny, młody człowiek. Chodził bez maski, więc jego prestiż był zerowy, traktowano go uprzejmie, ale z pogardliwym dystansem. Lecz do Fleminga - biznesmena i przemytnika nie pasują przecież nocne morderstwa. A może to porachunki na tle lewych interesów? O'Reilly przejrzał listę ofiar i bezradnie pokręcił głową. Nie. Zamordowanych nic ze sobą nie łączyło. Po prostu zwykłe, przypadkowe ofiary. Biedni przechodnie, którzy padli łupem psychopaty.

A miejsca, gdzie znajdowano trupy? O, tu mógł być ślad. Agent wyświetlił na ekranie plan miasta i kazał nanieść komputerowi miejsca odnajdywania zwłok. No, no, tak - to coś dawało. Wszystkie punkty można było zmieścić w okręgu o średnicy półtora kilometra. Akurat najgorsza dzielnica stolicy. Pięć Płonących Wzgórz. Tak się ślicznie nazywała. Nazwa pochodziła jeszcze z czasów wojny klanów, kiedy Klan Ognisty miał swoje umocnienia na wzgórzach i pewnej pięknej nocy zostały one zdobyte i podpalone przez Klan Długich Toporów. Całe lata straszyły ze szczytów ruiny zwęglonych fortyfikacji, póki mniej więcej sto lat temu nie zaczęto tam stawiać nowych domów. Zresztą „dom” brzmiało zbyt dumnie, jeżeli widziało się

choć raz nędzne lepianki, wokół których piętrzyły się rzędy śmietnisk, spływały nieczystości i unosił się fetor zgnilizny.

Dzielnica słynęła z tego, że było w niej równie łatwo stracić życie jak splunąć, a bandy rabusiów grasowały pod osłoną nocy. Ale nie zabijano od tyłu. Honor i zwyczaj były jedyną regułą nawet dla najgorszych przestępców, jeżeli tylko wywodzili się z Taurydy. Człowieka, który poddał się, zdjął maskę albo założył Pokornego Jałmużnika, nie spotykało z reguły nic złego. Oczywiście obdzierano go do cna ze wszystkiego, co tylko miało jakąś wartość, lecz nie było powodów, by zabijać, jeżeli tylko w grę nie wchodziła rodowa zemsta. Wypada jednak wspomnieć, że na Taurydzie rzadko kto o jakim takim prestiżu decydował się poddać napastnikowi. Przecież właśnie na tej pięknej planecie przysłowie mówiące, że „klęska jest gorsza od śmierci, gdyż z klęską trzeba żyć”, miało licznych gorliwych wyznawców.

O'Reilly łapał się na myśli, że cały czas broni się przed faktem, iż mordercą może być Ziemianin. Lecz to, niestety, wyglądało na prawdę. Agent mógł oczywiście poprosić policję o obserwowanie każdego z podejrzanych (a nawet wszystkich stu szesnastu) Ziemian, ale jego prestiż musiałby na tym ucierpieć. Dałby po prostu poznać, że nie radzi sobie ze sprawą, którą obiecał załatwić we własnym zakresie. A O'Reilly'ego nie stać było na utratę pozycji, jaką z trudem zdobył na Taurydzie. Tak więc, niestety, trzeba było wziąć się do roboty i zacząć działać. Działanie oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko penetrację dzielnicy Pięciu Płonących Wzgórz.

No cóż, nie było to zadanie przyjemne. Nie każdy lubi babrać się w rynsztoku. Poza tym O'Reilly należał do ludzi ceniących sobie wygodę i spokój, a Płonące Wzgórze nie były dobrym miejscem na odpoczynek. Pomijając już niebezpieczeństwo napotkania wściekłego psychopaty, należało się liczyć z prawdopodobieństwem stoczenia pięknych walk z nocnymi rabusiami. Agent powoli zaczął przeklinać uprzejmość policji, która zmusiła go do podjęcia tak stanowczych kroków.

Podszedł do telefonu i wystukał numer radcy Natymuusa, dobrego przyjaciela i uczciwego człowieka. Było już na szczęście pięć po czwartej, a więc dobre obyczaje zostały w pełni zachowane. Po ceremoniach, zresztą krótkich, jak to między przyjaciółmi, O'Reilly przeszedł od razu do rzeczy.

- Człowiek w pewnym wieku obawia się o swój majątek - zaczął. - Cóż stanie się, myśli, z jego dalekimi spadkobiercami, kiedy umrze? Któż zawiadomi ich o pogrzebie, by znalazł się ktoś, kto zapłaci nad jego niegodnym grobem?

- Biedny człowiek, który nie ma przyjaciół - odparł stary radca. - Bowiem kto ich posiada, może być pewien, iż zaopiekują się spadkobiercami i nad grobem będą płakać wraz z nimi.

- Jeśli człowiek ciężką pracą uciułał kilka groszy, pragnie, aby cieszyły jego bliskich. Czy sądzi pan, ekscelencjo, że ich odnalezienie na dalekiej Ziemi nie przysporzyłoby przyjaciołom zbyt wielu kłopotów?

- Kłopoty naszych przyjaciół są naszymi kłopotami - odrzekł sentencjonalnie Natymuus.

- Wiele niebezpieczeństw czyha na samotnego przechodnia - ciągnął O'Reilly. - Samochody pędzące po ulicach mogą stać się przyczyną nieszczęścia.

- Zwłaszcza na Pięciu Płonących Wzgórzach - dodał stary radca.

Natymuus wiedział oczywiście o wszystkim. Czekał na telefon od agenta i poczuł się mile ujęty tym, że jego przypuszczenia się sprawdziły. O'Reilly miał do wypełnienia niebezpieczne zadanie i swój majątek oddawał w ręce starego radcy, wierząc, że ten rozporządzi nim zgodnie ze wskazówkami. Agent podał mu imię, nazwisko i kod identyfikacyjny swojego siostrzeńca, po czym pożegnali się ceremonialnie. O'Reilly siedział chwilę w bezruchu. Majątek został zabezpieczony. Stary radca był naprawdę osobą godną zaufania. A idąc w stronę Pięciu Płonących Wzgórz na spotkanie z psychopatycznym mordercą, należało przygotować się na każdą ewentualność.

Jakże proste były formalności testamentowe na Taurydzie. Wystarczyło porozmawiać z przyjacielem, a już wiadomo było, że jego życie i honor będą stały na straży dyspozycji. A honor radcy Natymuusa był nieskalany. Zresztą, gdyby nawet takie zadanie powierzyć rabusiowi z Płonących Wzgórz, to i tak człowiek ten (o ile prośbę by przyjął) stawał się pewnym wykonawcą testamentu i prędzej oddałby życie niż o włos odszedł od przekazanych mu zaleceń. Tak, Tauryda potrafiła O'Reilly'ego zdumiewać do dzisiaj, mimo wszystkich spędzonych na niej lat.

Agent postanowił wykapać się i odświeżyć masażem przed wyprawą. Oczywiście wiedział, że żał mu będzie opuszczać dom i wymykać się spod dłoni czułych, zręcznych niewolnic.

Kobiety były następnym zjawiskiem, jakie na Taurydzie olśniewało O'Reilly'ego. Tak, tak, słowo „zjawisko” było w tym wypadku jak najbardziej odpowiednie, gdyż każda z jego niewolnic na Ziemi zasłużyłaby na koronę Miss Universum... Co tam, ziemskie miss niegodna byłaby jej czyścić butów! Agent tylko w sytuacjach intymnych widywał twarze swych kobiet, bo

wtedy zdjęcie maski było nie tylko dozwolone, ale i mile widziane, lecz harmonia kształtów, którą miał okazję podziwiać o wiele częściej, do tej pory budziła w nim nieklamany zachwyt. Chociażby z powodu tych estetycznych doznań żał byłoby umierać. Cóż, skoro jest się osobą cieszącą się prestiżem, trzeba czasem ponosić tego konsekwencje, rezygnując z rozkoszy i wygod na rzecz błędzenia po zakazanych zaułkach Płonących Wzgórz.

Wszedł z domu około siódmej, a więc wtedy, kiedy słońce wolno już chyliło się nad Pachnącą Górą. O'Reilly spojrzął na łysy szczyt i uśmiechnął się do własnych myśli. Nadanie górze takiej właśnie nazwy było jednym z nielicznych na Taurydzie przejawów poczucia humoru, zresztą humoru dość specyficznego. Otóż około czterystu lat temu broniły się tam oddziały Klanu Purpurowych Oczu i po wielkiej bitwie, z której nie ocalał ani jeden żołnierz, martwe ciała długimi tygodniami rozkładały się w słońcu. Od tej pory góra nazywała się „pachnącą”.

O'Reilly szerokim łukiem ominął pełne sklepów i restauracji centrum miasta i zaczął pięć się wąską, niechlujnie asfaltowaną drogą, wzdłuż której ciągnęły się domy. Im szybciej zbliżał się do Pięciu Płonących Wzgórz, tym wyraźniej domy traciły swój miejski charakter i zamieniały się w ordynarne rudery. Samochody tędy nie jeździły, czasem tylko na poboczu tkwił zardzewiały gruchot. Sklepów było mało, a te wciśnięte gdzieś pomiędzy baraki wyglądały ubogo oraz obskurnie. Agent zszedł z drogi i zagłębił się w labirynt wąziuteńkich przejść ciągnących się pomiędzy domami.

Na sznurach suszyła się bielizna, zewsząd dochodził fetor nieczystości i smród gotowanej moarsy - najtańszej jarzyny na Taurydzie, pożywienia biedaków. O'Reilly wiedział, że nie jest tutaj miłym gościem. Jego ubranie i maska były zbyt dobre i drogie, wyraźnie nie pasował do dzielnicy nędzarzy i dlatego też w każdym momencie mógł się spodziewać ataku pijanego lub zdesperowanego mieszkańca. Pięć Płonących Wzgórz również za dnia nie było zbyt bezpiecznym miejscem. Oczywiście w nocy prawdopodobieństwo konfliktu znacznie wzrastało, ale i teraz mógł się znaleźć ktoś, kto zechciałby sprawdzić szermiercze umiejętności obcego.

O'Reilly kierował się ku jednej z cieszących się najgorszą sławą spelun. Instynkt mówił mu, że właśnie tam najprędzej będzie można spotkać tajemniczego mordercę. A jeśli nie, cóż, szklaneczka maldowego wina jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Po dłuższej chwili błędzenia w labiryncie wciąż wznoszących się i opadających uliczek trafił wreszcie pod drzwi osławionego lokalu. Wszedł do zatęchłego wnętrza wypełnionego zapachem wina, dymu fajkowego i potu

niemytych ciał. Było ciasno, ale znalazł sobie wygodne miejsce w kącie, twarzą do drzwi i postanowił przesiedzieć tam aż do nocy.

* * *

O'Reilly dziesięć razy by się zastanowił, gdyby teraz przyszło mu znów decydować o wzięciu sprawy w swoje ręce. Mijał już tydzień od wizyty policjantów, a on nie zyskał nic, oprócz nieprzespanych nocy. Codziennie po powrocie, który następował gdzieś koło czwartej nad ranem, kładł się wściekły do łóżka, a budził niewyspany i zmęczony około południa. Zaczął odkładać na bok ważne zawodowe sprawy i to denerwowało go najbardziej. Na szczęście tylko czterokrotnie próbowano go obrabować i był zmuszony zabić jednego człowieka, a kilku dość mocno poturbować. Teraz widocznie już go rozpoznawano, bo przez ostatnie trzy dni nikt nie wchodził mu w drogę, w końcu nawet na Płonących Wzgórzach niewielu było samobójców. A agent nie mógł sobie pozwolić na więcej niż szklankę wina co wieczór, wiedząc, że z nocnym mordercą sprawa będzie cięższa niż z przygodnie spotykanymi zbirami. Wolał więc zachować refleks oraz przytomność umysłu.

Siódmy dzień okazał się przełomowy. Już na początku O'Reilly zwrócił uwagę na siedzącego nieopodal wysokiego, szczupłego mężczyznę. Nie umiałby wyjaśnić, co tak charakterystycznego było w tym człowieku, ale im dłużej mu się przyglądał, tym pewniejszy był, iż ma do czynienia z Ziemianinem. Nie próbował w żaden sposób nawiązać z nim kontaktu, lecz kiedy wychodził z lokalu, dostrzegł kątem oka, że nieznajomy również przepycha się ku wyjściu.

Czyżby teraz? - pomyślał agent i przeszedł go dreszcz emocji. Obok czał się również strach. O'Reilly odrzucał go, jednak podświadoma obawa przed spotkaniem z mistrzem miecza i psychopatycznym mordercą była zbyt silna. Może lękał się nie tyle samego człowieka, ile jego sposobu myślenia i postępowania? Agent przyzwyczał się do widoku trupów, a pojedynki i związane z tym zabójstwa były dla niego chlebem powszednim. Lecz na Taurydzie mordowało się za coś, z określonego powodu i w określony rytuałem sposób. A ten człowiek zabijał dla przyjemności i może właśnie to przerażało O'Reilly'ego.

Wszedł w ciemny zaułek, obcy zniknął gdzieś w labiryncie uliczek. Ale agent wiedział już, co nastąpi, i nie zdziwił się, kiedy zauważył go wychodzącego z przechodniego podwórka. Stanęli twarzą w twarz. Obcy szybko zmienił maskę Obojętnego Przechodnia na Przyjaznego

Nieznajomego.

- Proszę wybaczyć ignorancję - powiedział - ale czy mógłby mi pan objaśnić, jak zejść najprostszą drogą do centrum miasta?

Agent rozpoznał akcent z Hedrenu, drugiego po stolicy wielkiego miasta Taurydy. Jednak w słowach nieznajomego usłyszał jakieś obce brzmienie. Może dawali się na to nabrać nieokrzesani mieszkańcy Płonących Wzgórz, lecz O'Reilly zbyt dobrze znał wszelkie dialekty Taurydy i zbyt dobrze poznawał charakterystyczne dla Ziemiaków akcentowanie samogłosek, które chociaż być może nierozpoznawalne dla innych, jego jednak nie mogło zwieść. Był przygotowany na to, że kiedy zmieni maskę, czego wymagała uprzejmość, nastąpi atak. Ale nie spodziewał się, że będzie on aż tak błyskawiczny. Miecz obcego wyprysnął z pochwy z niemal niewyobrażalną szybkością i agent, odskakując, ledwie zdołał sparować cios. Wiedział doskonale, że przeciętny, niczego złego niedomyślający się Taurydańczyk już dawno leżałby z rozłupaną czaszką. Jednak tak czy inaczej, walka nie trwała długo. O'Reilly nie przypuszczał nawet, że ktoś mógł zyskać tak wielką biegłość w walce mieczem. Wyłuskany z dłoni agenta oręż wyleciał w powietrze i z brzękiem upadł pod ścianę.

- Jezus, Maria! - krzyknął O'Reilly.

Ostrze o cal minęło jego głowę, po czym nieznajomy schował miecz do pochwy.

- Jesteś Ziemiakiem? - spytał. - Czego żeś nie mówił, człowieku? Byłbym cię zabił. Zdejmij maskę - rozkazał.

O'Reilly z ociąganiem pozbył się maski.

- Ach, nasz kochany agent handlowy - roześmiał się obcy. - Jak miło pana widzieć. Powinienem się zresztą domyślić, że nikt inny nie stawiałby mi czoła. No, proszę: spokojny, cieszący się wysokim prestiżem obywatel szuka nocą przygód na Płonących Wzgórzach. To nie pasuje do pana, O'Reilly.

Nieznajomy wyraźnie starał się zmieniać głos. Mówił cicho i ochryple. Widać zależało mu na tym, by pozostać nierozpoznanym.

• A kim pan jest? - burknął O'Reilly.

• Och, to już moja słodziuteńka tajemnica - znów zaśmiał się morderca. - Po co ma pan wiedzieć? Jeszcze jakieś głupie myśli wpadną panu do głowy.

• Rozumiem więc, że zamierza mnie pan puścić, czyż nie tak?

• Ależ oczywiście, mój drogi. Nie myśli pan chyba, że jestem mordercą? Co innego te

taurydańskie zwierzaki, ale rodaka, Ziemiańina? Mam nadzieję, że pan żartował O'Reilly...

- Jasne - mruknął agent.

- I mam też nadzieję - nieco wolniej dodał obcy - że nie poskarży się pan swoim taurydańskim przyjaciołom, bo wtedy, niestety, nasze następne spotkanie skończyłoby się dużo mniej radośnie.

- Tym razem pan żartuje - rzekł O'Reilly. - Straciłbym prestiż.

- Święte słowa - przyznał morderca. - A teraz, mój drogi, pójdzie pan grzecznie do domu, położy się spać i o wszystkim zapomni. Ja jeszcze dzisiaj mam ochotę zapolować. Nie wie pan nawet, O'Reilly, co to za frajda.

- Domyślam się - odparł agent pogodnym tonem, choć wszystko się w nim burzyło. Na szczęście Tauryda uczyła maskowania uczuć. Postąpił krok w stronę nieznanego.

- Wrócę jednak jeszcze się napić - westchnął, kręcąc głową. - To był denerwujący wieczór.

- Ależ proszę bardzo.

Jeszcze jeden krok do przodu. Morderca był już na wyciągnięcie dłoni.

Ach, ty głupcze! - wrzasnęło coś w O'Reillym. Ty zadufany w sobie idioto!

Rzecz jasna nie zdążyłby wyciągnąć miecza. Wcześniej miałby ostrze w piersiach. Ale agent do końca ukrywał małą niespodziankę. Z rękawa jego płaszcza wystrzelił długi na stopę nóż i wystarczyło jedno silniejsze pchnięcie, aby ostrze utkwiło mordercy prosto w splotie słonecznym. Obcy był szybki, bardzo szybki, jednak nawet jego miecz nie zdołał prześcignąć śmierci. Rzęząc, zwałił się na ziemię, z orężem wyciągniętym do połowy z pochwy. O'Reilly wolno wytarł ostrze noża o poły jego płaszcza i starannie schował. Nachylił się i ściągnął mordercy maskę z twarzy.

- Silvester Calhoun - powiedział na głos. - No, no, kto by pomyślał? Wydawał się takim spokojnym chłopcem.

Calhoun popełnił zasadniczy błąd. A błąd ten wynikał z jego niemożności zrozumienia prawdziwego zlepku dwóch kultur i dwóch systemów moralnych, jakim był O'Reilly. Ziemiańin nie zarznąłby z zimną krwią rodaka, który przed chwilą darował mu życie, Taurydańczyk nigdy nie zaatakowałby nikogo, mając na twarzy maskę Przyjaznego Nieznajomego. Przekonanie o praworządności oficjalnych przedstawicieli Ziemi tkwiło w Calhounie zbyt mocno, by spodziewał się ze strony O'Reilly'ego niebezpieczeństwa większego niż raport do Centrali czy

też próba aresztowania. A zarówno jednego jak i drugiego Calhoun wcale się nie bał. Natomiast system wpojony mu na Taurydzie nie pozwalał serio myśleć, że ktoś może atakować w przyjaznej masce. Tak, tak, tu tkwiła sprzeczność. Robił sam to, czego nie spodziewał się po innych. Cóż: „nosił wilk razy kilka...” - tak chyba zaczynało się to stare, dobre przysłowie.

Agent przyczepił maskę Przyjaznego Nieznajomego, którą morderca miał na twarzy, do jego pasa, a założył mu maskę Barbarzyńcy. Tak, teraz wyglądało to dużo lepiej, a ponieważ ostrze noża miało dokładnie szerokość ostrza miecza, więc nikt nie powie, że O'Reilly nie zabił przeciwnika w równej walce.

- I kto powiedział, że podwójna moralność jest pojęciem pejoratywnym? - mruknął do siebie.

Wolnym krokiem zaczął wchodzić pod górę. Teraz naprawdę mógł pójść na jeszcze jedną szklaneczkę wina. Nie obejrzał się do tyłu, aby spojrzeć na porzucone na środku ulicy ciało. O świcie na pewno sprzątną je śmieciarze.

3. Czas Tańczącego Smoka

O'Reilly - agent handlowy Ziemi na Taurydzie - od dawna spodziewał się tego telegramu. Dlatego wcale nie był zdziwiony, odbierając wiadomość z Centrali. Wreszcie przybył ambasador. Oczywiście jego obecność na Taurydzie była absolutnie zbędna, ale władze Federacji nie tolerowały stanu dyplomatycznej pustki. Swoją drogą, mianowanie nowego przedstawiciela Ziemi trwało dość długo, bowiem już dobrych kilka miesięcy minęło od tragicznej śmierci biednego Henricksa. Wydawało się, iż mętne i niejasne raporty O'Reilly ego (a umiał się postarać, by sprawiały wrażenie mętnych i niejasnych) dotyczące zgonu ambasadora nie przyciągały wielu chętnych. W każdym razie ktoś odważny lub zmuszony do odwagi przez władze, wreszcie się znalazł. Telegram głosił: „Pan O'Reilly proszony o odebranie ambasadora. B. Jackson, 7 czerwca, godzina 17⁰⁰, lotnisko Ganen. Dyspozycje: zapoznać z sytuacją, przedstawić na dworze, ułatwić wszelkie poczynania”.

Telegram, jak na słynące z lakoniczności Centrum, był wręcz wylewny, lecz oczywiście nikt nie zadał sobie trudu, by zapoznać O'Reilly'ego z biogramem nowego ambasadora. Dlatego też nie miał pojęcia, kogo się może spodziewać. W każdym razie oczekiwał jednego: nieliczych kłopotów.

Dla urzędników Centrum Tauryda była po prostu jeszcze jedną alfabetyczną nazwą w

rejestrze, umieszczoną pomiędzy Tauranem a Tawariną, a przydział ambasadorów na poszczególne planety mógł się odbywać równie dobrze za pomocą gry w orła i reszkę. Każdy, kto miał do czynienia ze służbą dyplomatyczną Federacji, przyznawał, że jest ona wręcz olśniewająco niekompetentna. I często nie wynikało to wcale z winy samych ambasadorów.

Słynna była już historia, prawdziwa zresztą, choć po latach opowiadana jako anegdota, o wysłaniu Ramseya na Goldhorn zamiast na Goldhome. Różnica polegała nie tylko na tym, że obie planety dzieliło ładnych kilka parseków, lecz przede wszystkim na tym, że Goldhorn był zamieszkały wyłącznie przez dwudziestu czterech ziemskich naukowców, którzy badali tę bezludną i nieatrakcyjną planetę. Przesłanie ambasadora z Centrum Federacji zachwyciło ich, ale i srodze zdumiało. Nieszczęsny Ramsey spędził na Goldhornie dwa lata, nim w końcu Centrum zdecydowało się go odebrać i przerzucić na Goldhome. Do historii przeszła rozmowa Ramseya z prezesem Centrum, a urzędnicy do tej pory przytaczają pewne zwroty z niej jako niepowtarzalny i olśniewający przykład ciągu rynsztokowych wyzwisk.

W sumie historia była dość niewinna. Nic się nikomu nie stało. Ramsey spędził co prawda dwa lata na Goldhornie, za to podciągnął się w zoologii, botanice i geologii, do czego z pewnością nie miałby okazji na Goldhome. Przy okazji poznał również przyszłą żonę, czego zresztą po latach nie uważał już za aż tak szczęśliwe wydarzenie. Tymczasem przesłanie niewłaściwej osoby na Taurydę mogło skończyć się naprawdę oślakaniem. Skoro zginął nawet Henricks - spec od taurydańskich zwyczajów, to jakiś żółtodziób miał nikłe szanse przeżycia. Zresztą, to akurat nie był duży kłopot. Umrzeć kiedyś musi każdy, a dla O'Reilly ego wiązałyby się to tylko z wysmażeniem nowego mętneho i niejasnego raportu. Na tyle mętneho i niejasnego, by któremuś z bardziej zادیornych chłopców z Centrum nie przyszło do głowy wysłać na Taurydę krążownika.

Problem był tylko jeden. Nieodpowiedni ambasador mógł nadszarpnąć prestiż O'Reilly'ego. A utraconego prestiżu nie odzyskuje się niemal nigdy. Przynajmniej na Taurydzie. Dlatego właśnie agent był serdecznie zmartwiony nowymi czekającymi go obowiązkami. Tliła się w nim tylko leciutka nadzieja, że tym razem urzędnicy Centrum nie grali w orła i reszkę. Lecz musiał przyznać, że było to bardzo mało prawdopodobne.

* * *

Siódmy czerwca niczym nie różnił się od szóstego, piątego czy czwartego. Niczym nie różnił się od majowych czy kwietniowych dni. Było potwornie gorąco, najmniejszego podmuchu wiatru, a prażące na bezchmurnym niebie słońce o godzinie siedemnastej dopiero myślało, czy skłonić się w kierunku zachodu. Na sali przylotów lotniska Ganen wprowadzono ostatnio rewelacyjne innowacje. Mianowicie zainstalowano trzy wściekle warczące, gigantyczne wiatraki. Wytrwale miesiły one rozgrzane powietrze, ale O'Reilly był pewien, że ich działanie ma tylko znaczenie psychologiczne.

Na szczęście samolot się nie spóźnił. Przyleciał punktualnie o piątej, jednak pięć minut pobytu w nie-klimatyzowanym wnętrzu sali wystarczyło, aby koszula przylepiła się agentowi do pleców. Strażnik w uprzejmej masce Przyjaznego Nieznajomego poprowadził O'Reilly'ego przez płytę lotniska aż do schodów, które podjechały pod drzwi samolotu. Drzwi otworzyły się i agent osłupiał, widząc wychodzącą postać. Nie sądził, aby po długoletnich doświadczeniach związanych z pobytem na Taurydzie cokolwiek mogło go jeszcze zdziwić. Tymczasem stało się! Zamarł i dopiero, kiedy nowy ambasador Federacji stanął tuż przed nim, zdołał wyjąkać po angielsku:

- Proszę to natychmiast zdjąć.

Bowiem przybysz założył maskę Tańczącego Smoka. O'Reilly jeden jedyny raz w życiu widział kogoś, kto miał prawo noszenia tejże maski, a był to człowiek o niezmiernym prestiżu. Maską Tańczącego Smoka należała do niezwykle rzadkiego i niespotykanego wręcz gatunku masek świadczących o społecznej randze właściciela.

Olbrzymia większość masek wyrażała po prostu stosunek ich posiadacza do otoczenia i w połączeniu z całym rytuałem słownych sekwencji oraz gestów pozwalała sprawnie porozumiewać się. Istniały takie maski jak Obojętny Przechodzień, stosowany, gdy miało się do czynienia z osobą obcą bądź rozmawiało o sprawach błażych, był Przyjazny Nieznajomy - wyraz szacunku dla kogoś nieznanego. Były również inne: Dobry Towarzysz, Gościnnie Gospodarz, Ponury Milczek czy Drogi Przyjaciel - maska zakładana jedynie, gdy kontakty były naprawdę zażyłe. No i oczywiście jeszcze kilka, w tym Barbarzyńca lub Szalony Wojownik, w których częste pokazywanie się nie było bezpieczne nawet dla mistrza walki mieczem.

Maska Tańczącego Smoka, którą O'Reilly zobaczył na twarzy nowego ambasadora Federacji, była maską śmierci. Oczywiście tylko dla osoby niepowołanej do jej noszenia. Bezpieczniej już byłoby przejść się ulicami Pięciu Płonących Wzgórz - dzielnicy słynącej z

gwałtów i grabieży - w wyzywającej masce Szalonego Wojownika niż założyć Tańczącego Smoka, jeśli się nie miało ku temu prawa.

Oprócz Tańczącego Smoka istniały jeszcze cztery maski tego typu: Człowiek z Ruin, Dwubarwny Wąż, Gdaczący Kogut i Gwiazdny Mędrzec. Nikt nikomu nie nadawał prawa noszenia tych masek, nie było uroczystego pasowania czy nominacji. Wszystko polegało na osobistej decyzji. Ktoś, kto uznał, że chce od tej pory występować jako Gwiazdny Mędrzec, mógł tak uczynić. A jeśli ginął jeszcze tego samego dnia, była to tylko i wyłącznie jego sprawa.

Osoba nosząca jedną z pięciu masek prestiżu nie musiała, czy też nawet nie mogła (tego niuanse tradycyjnych przepisów O'Reilly nie mógł nigdy pojąć) zakładać żadnej innej maski. Agent pytał kiedyś swego wielkiego przyjaciela, radcę królestwa Natymuusa, dlaczego na przykład Dwubarwny Wąż nie używa maski Drogiego Przyjaciela czy też w momencie wyzwania do walki nie zakłada Szalonego Wojownika. Odpowiedź starego radcy była równie prosta, co mało wyjaśniająca. „Przecież on zawsze i w każdej sytuacji jest Dwubarwnym Wężem”.

Życie Taurydańczyka noszącego jedną z masek prestiżu nie było łatwe. Otoczony szacunkiem, wręcz niewyobrażalnym z punktu widzenia człowieka wychowanego w innym społeczeństwie, był jednocześnie jak najpilniej kontrolowany. I jeśli uznano, że jego pozycja w hierarchii nie zasługuje na tak wielki zaszczyt, prędzej czy później znajdował się ktoś, kto go eliminował. Czyli mówiąc prościej, zabijał w pojedynku. I choć posiadacze masek prestiżu byli zazwyczaj czy też nawet zawsze wyśmienitymi fechtmistrzami, to ich moc nie miała nic wspólnego z siłą fizyczną, a wynikała tylko z szacunku społecznego.

Nie chodziło o to, aby nosząc Tańczącego Smoka, zwyciężać przeciwników w walce, ale aby nikt nie śmiał zaatakować właściciela tej maski, gdyż nawet w wypadku zwycięstwa narażałby się na utratę honoru, a prędzej czy później również życia. Dlatego właśnie O'Reilly przeraził się i kazał ambasadorowi czym prędzej zdjąć maskę. Jednak to, co usłyszał w odpowiedzi, zdumiało go stokroć bardziej.

- Człowiek, co rzuca nieopatrzne słowo nim pomyśli, jest jak dziecko bawiące się z wężem - odparł ambasador po taurydańsku z pięknym, śpiewnym akcentem metropolii. - Tak pisał mistrz Alamenus.

Agent, mimo że zdziwiony, nie stracił refleksu. Momentalnie przypomniał sobie, skąd pochodzi cytat. Z dzieła Alamenusa „O niebezpieczeństwie”. Wąż kąsa dziecko i ono umiera.

Groźba w słowach ambasadora nie została niczym osłodzona. Odpowiedź była makabrycznie trudna. O'Reilly potraktował ambasadora niczym przeciętnego Ziemianina, a ten zachował się dokładnie tak jak powinien zachować się Taurydańczyk. Należałoby właściwie założyć maskę Ponurego Milczka i prosić o wybaczenie. Lecz cóż to za szalone upokorzenie! Ponurego Milczka zakładał człowiek, który przeżył wielki szok psychiczny i w ten sposób prosił o wybaczenie ewentualnych uchybień wynikających ze złego stanu zdrowia. A pojedynek z Ponurym Milczkiem był dyshonorem dla wyzywającego. Lecz O'Reilly nie potrafił się zdobyć na ten gest. Przecież całej scenie przyglądał się strażnik! Wieść, iż agent został zmuszony do tak poniżającego czynu, rozeszłaby się po metropolii. A lepiej umrzeć niż stracić prestiż. Stali w milczeniu naprzeciw siebie, aż wreszcie ambasador odezwał się pierwszy.

- Różne są węże, jak naucza mistrz Berdanuus. Agent zdenerwowany zorientował się, że zdanie to ma łagodzić sytuację, ale za nic w świecie nie potrafił sobie przypomnieć, kim był mistrz Berdanuus i co napisał.

- Raczy pójść pan za mną, ekscelencjo - zdobył się w końcu na odpowiedź i w tej samej chwili zdał sobie sprawę z następnego błędu. Ludzi noszących maski prestiżu wolno było tytułować tylko nazwą maski. A więc nie „ekscelencjo”, a „Tańczący Smoku”. Wszystko inne było obelgą.

O'Reilly widział, że dłoń ambasadora przygotowała się do uchwycenia rękojeści miecza. Poczul to po napięciu palców i delikatnym, niezauważalnym dla kogoś mniej na te sprawy wyczulonego przekręceniu dłoni. Za moment napięcie ustąpiło.

- Wiatr przygina trzciny i łamie drzewa - powiedział Tańczący Smok. - Wiatr niszczy domostwa i porywa łodzie, czyż wina to wiatru?

Spokojnym krokiem minął O'Reilly'ego. Poszedł w stronę hali przylotów. Agent doskonale zrozumiał drwinę oraz obelgę w słowach ambasadora. Wynikało z nich, że wiatr jest niszczącą siłą, której nie można winić i karać, bo niszczenie jest jej przyrodzone. W kontekście błędu agenta znaczyło to, że O'Reilly'ego również nie można winić za przyrodzoną mu głupotę.

Ciężko powlókł się za szybko idącym ambasadorem. Mimo upokorzenia nie był w stanie myśleć o niczym innym jak tylko o tym, że dopiero teraz zaczynają się prawdziwe kłopoty. A to, co przeżył na Taurydzie poprzednio, było w porównaniu z nimi tylko nędzną przygrywką.

Nowy ambasador nie potrzebował pomocy O'Reilly'ego. Na lotnisku czekał już na niego luksusowy samochód z kierowcą, w stolicy natomiast wynajęta rezydencja i kilkoro służby.

Jacksonowi nie były również potrzebne kontakty O'Reilly'ego w sferach rządowych i wśród arystokracji. Został z rewerencjami przyjęty przez najdostojniejsze osobistości Taurydy, a jego maskę Tańczącego Smoka powszechnie zaakceptowano. W innym przypadku już by nie żył.

Agent miał ograniczone pole manewru. Instynktownie i intuicyjnie nie ufał ambasadorowi, ale wiedział, że może to wynikać zarówno z osobistej urazy, jak i z obaw, że straci (a raczej już stracił) pozycję pierwszego Ziemianina na Taurydzie. Tymczasem musiał radzić sobie sam. Wiedział, że nie pomoże mu nawet radca Natymuus. Nikt nie wystąpi przeciw Tańczącemu Smokowi, póki sam Tańczący Smok nie popełni błędu. A wszystko świadczyło, że Jackson w pełni zasługuje na swoją maskę.

O'Reilly jednak, mimo wszystkich przeciwności losu, zdecydował się na działanie. Praktyka uczyła, iż osobniki słabsze i mniej rozgarnięte są bezlitośnie eliminowane. A O'Reilly nie miał zamiaru zostać wyeliminowany. Połączył się z Centrum (rozmowa podprzestrzenna kosztowała sporo, jednak O'Reilly'ego stać było na taki wydatek) i niedługo zobaczył na ekranie twarz O'Hary - starego oddanego przyjaciela, który pracował w Wydziale Ewidencji i dzięki temu miał dostęp do wszystkich kartotek. Łączyło ich nie tylko irlandzkie pochodzenie oraz morze wspólnie wypitych trunków, ale również wiek i wiele przeżytych w młodości przygód, często niezupełnie zgodnych z obowiązującym na terenie Federacji prawem.

- Kogóż to moje piękne oczy widzą? - spytał zdumiony O'Hara. - Jak leci, stary byku?
- Ponieważ minuta tej rozmowy kosztuje mnie majątek, więc przejdźmy do konkretów - rzekł grzecznie acz stanowczo O'Reilly. - Chcę wiedzieć wszystko, co tam masz o nowym ambasadorze na Taurydzie.

- Jakież kłopoty? - domyślił się O'Hara. - Nic z tego, mój drogi. Dane o dyplomatach są utajnione i...

- Słuchaj no - przerwał mu agent - połączę się z tobą jutro i chcę mieć dokładne dossier. Do zobaczenia.

Rozłączył się, rozparł wygodnie w fotelu i sięgnął po papierosa. Rzadko pozwalał sobie na ten niezdrowy nałóg, ale chwila była wyjątkowa. Może znajdzie jakiś punkt zaczepienia, coś, na czym mógłby oprzeć swą walkę z nowym ambasadorem.

O'Reilly wiedział, że człowiek który przybył na Taurydę w masce Tańczącego Smoka, musiał być osobą wyjątkową. Z punktu widzenia Federacji ktoś taki był jak najbardziej pożądany w roli ambasadora. Jednak kiedy w grę wchodziły prywatne interesy O'Reilly'ego, dobro

Federacji absolutnie przestawało go interesować. A Jackson stanowił poważne zagrożenie.

- No cóż - szepnął do siebie - na podwórku jest miejsce tylko dla jednego koguta przywódcy. Inne muszą się podporządkować albo odejść. Najlepiej w zaświaty.

Podniósł się z miejsca i poszedł w stronę pokoju treningowego. Wezwał najlepszego sparingpartnera i walczył z nim do wieczora, aż do zupełnego zmęczenia.

Między godziną dwunastą a czwartą metropolia zmieniała się nie do poznania. Z ulic zniknął różnobarwny i gwarny tłum, zamykały się kramy, jadłodajnie i winiarnie. Każdy, kto mógł sobie na to pozwolić, odpoczywał w ogrodzie na tyłach domu, sączył w cieniu drzew zimne maldowe wino, pograżał się w lekturze lub zapraszał najbardziej oddanych przyjaciół na chwilę leniwej pogawędki.

O'Reilly nie należał do wyjątków. Na cztery godziny starał się odrzucić wszelkie bieżące sprawy handlowe. Jednak sprawa ambasadora była zbyt poważna, by przestać o niej myśleć nawet w czasie sjeisty. Dlatego agent zaprosił do siebie radcę Natymuusa, człowieka, któremu na Taurydzie najbardziej ufał, oraz szefa miejscowej policji medragona Artamuusa, z którym od czasu wyjaśnienia sprawy tajemniczego mordercy z Pięciu Płonących Wzgórz utrzymywał dość zażyłe stosunki.

Zaproszenie miało również inny wymiar. O'Reilly dysponował w metropolii siatką agentów i choć nie udało mu się żadnego wprowadzić do otoczenia ambasadora, jednak doskonale wiedział, z kim najczęściej spotyka się Jackson. Byli to radca Esterhuus - jedna z szarych eminencji taurydańskiego rządu, oraz tyfrathon Witemuus - arystokrata od stu sześciu pokoleń, cieszący się poważaniem w wyższych sferach. Esterhuus i Witemuus należeli do zwolenników młodszego brata następcy taurydańskiego tronu, natomiast zaproszeni przez O'Reilly'ego Natymuus i Artamuus byli członkami konkurencyjnej koterii dworskiej. Nie należy dodawać, że osobistości te łączyła wzajemna śmiertelna nienawiść.

Agent przypuszczał jednak, że nie uzyska żadnej konkretnej pomocy zarówno od starego radcy jak i od szefa policji. Pozycja Tańczącego Smoka była zbyt wysoka, aby ktokolwiek jawnie czy też skrycie wystąpił przeciw niemu. O'Reilly'emu chodziło o zaakcentowanie zażyłości z Natymuusem i Artamuusem oraz sprowokowanie ambasadora do uczynienia nierozważnego kroku. Nie mógł przecież umknąć jego uwagi fakt, że agent jawnie staje po stronie konkurencyjnego stronnictwa. O'Reilly'ego interesowało, czy w związku z tym Jackson zacznie szukać z nim porozumienia, czy też spróbuje go zniszczyć. Jeżeli wypowie jawną wojnę, będzie

to znaczyło, że czuje się naprawdę silny. Agent wiedział, że ludzi często gubiło przekonanie o własnej nieomyślności i doskonałości. Dlatego liczył, iż ambasador popełni jednak błąd.

Siedzieli we trzech w ogrodzie O'Reilly'ego w wygodnych trzcinowych fotelach i popijali maldowe wino z oszronionych szklanek. Rozłożyste liście komorowca osłaniały przed palącymi promieniami słońca, a fontanna rozpryskiwała wokół mgiełkę wody, która przyjemnie chłodziła zastale, rozgrzane powietrze. Gawędzili leniwie o sztuce, filozofii i literaturze, przeplatali rozmowę anegdotami i przypowiadkami, lecz O'Reilly w tej spokojnej, na pozór, pogawędce wyczuwał pewien niepokój. Wydawało mu się, że szef policji Artamuus kilka razy próbował powiedzieć coś ważnego, i tylko w ostatniej chwili się hamował.

Agent, tocząc beztruską rozmowę, jednocześnie intensywnie rozmyślał nad przydatnością Artamuusa jako sojusznika. Szef policji był człowiekiem młodym, zaledwie trzydziestoczteroletnim. Pochodził ze średnio zamożnej szlacheckiej rodziny. Wysokie stanowisko zawdzięczał tylko sobie samemu. Inteligencji, sile przebicia oraz odwadze i bezkompromisowości. Miał też tę dobrą cechę, że kierował się w życiu nie finezyjnym manewrowaniem pomiędzy zwaśnionymi koteriami, a wyłącznie własnym poczuciem sprawiedliwości i moralności. Poza tym jako człowiek młody oraz wychowany w liberalnej rodzinie nie był, jak większość Taurydańczyków, izolacjonistą, potrafił więc odchodzić nieco od uświęconych tradycją reguł, jeżeli było to dla niego wygodne.

Artamuus pochylił się nagle i podniósł z trawy małego żuczka o jaskrawopomarańczowym pancerzu. Owad przebierał odnóżami i groźnie łapał kleszczami powietrze.

- Kleszczak - powiedział O'Reilly. - Cóż za piękny przykład braku zdolności mimikry.

Rzeczywiście. Żuczek z pomarańczowym pancerzem był wśród zielonej trawy widoczny jak na dłoni.

• Niezwykle podobny do kleszczojada - dodał szef policji. - Odróżnić je potrafiłby jedynie specjalista.

• Kleszczojady, na szczęście, żyją tylko na południu - stwierdził radca Natymuus. - Natura wie, co robi, dostojni panowie, gdyż o ile mniej przyjemne byłyby nasze ogrody, gdybyśmy musieli zważać na jadowite owady.

• Ale jeżeli któryś zbiegiem okoliczności, czy też, kto wie, podrzucony ręką nieprzyjaciela, znalazł się tutaj - kontynuował szef policji - ja równie ufnie wziąłbym go do rąk,

myśląc, że to niegroźny kleszczak. I w kilka sekund później mógłbym już nie żyć. Gdyby nie jedna sprawa... - zawiesił głos. - Nawet, kiedy mam w palcach to niegroźne stworzonko - uniósł zdenerwowanego, przebierającego rozpaczliwie nogami owada - nigdy nie pozwalałam, żeby dotknął mnie kleszczami.

- Przewrotność godna szefa policji - spointował Natymuus.

O'Reilly zrozumiał, że rozmowa się rozpoczęła. A może mu się tylko tak wydawało? Może to jedynie wyobraźnia interpretowała słowa Artamuusa zgodnie z oczekiwaniami? Potrzebne były dalsze wskazówki. Potrzebne było dobre pytanie, dające szefowi policji możliwość postąpienia o krok dalej.

- Jeśli się nie mylę, jednym z najwybitniejszych współczesnych entomologów jest dostojny Kalanoiis - powiedział O'Reilly. - Niestety, moje skromne wykształcenie nie pozwala na pełne zrozumienie jego dzieł.

Była to szczerza prawda. O'Reilly przeglądał kiedyś książkę Kalanoiisa tyczącą życia owadów i musiał przyznać, że połączenie biologii, filozofii i mistyki jest dla Ziemianina całkowicie niestrawne. Ale rzeczywiście była to skarbnica wiedzy. Jeżeli tylko znalazło się pasujący do niej klucz.

- Dawniej też żyli wybitni specjaliści - ciągnął Artamuus i agent przysięgłby, że usłyszał w jego głosie nutę ledwie wyczuwalnego napięcia. - Na przykład mistrz Nardelduus.

Zapanowała chwila naelektryzowanej ciszy.

- Nardelduus nie był biologiem - rzucił ostro radca i wstał z miejsca. - Wybaczcie mi, dostojni panowie - rzekł już spokojnie. - Obowiązki nie pozwalają mi spędzić więcej czasu nawet z przyjaciółmi, których towarzystwo cenię sobie jak nic na świecie. Mam nadzieję, że spotkamy się niebawem, jeżeli tylko wybaczycie mi moje zapracowanie.

Wymienili jeszcze kilka kurtuazyjnych, formalnych grzeczności pożegnalnych, po czym stary radca odprowadzany przez niewolnika ruszył ku drzwiom. Artamuus i O'Reilly zostali sami.

A więc zdecydowałeś się wreszcie, myślał agent, patrząc w uśmiechniętą maskę Drogiego Przyjaciela, którą szef policji założył, przekroczywszy progi jego domu. Mistrz Nardelduus rzeczywiście nie był biologiem. Był autorem traktatu „O zdradzie”, taurydańskim Machiavellim, specjalistą od anatomii zdrady i władzy. Przez wiele lat jego dzieła były na indeksie, gdyż beztrząsco łamał w nich wiarę w uświęcone zwyczaje, pokazywał drogę do zdobycia władzy.

Twierdził, że osobnik potrafiący odrzucić balast tradycyjnych nakazów i zakazów będzie potrafił omotać i zniewolić społeczeństwo, a jego obcy system rozumowania i wartościowania da mu olbrzymią przewagę nad skrupowaną większością. Do tej pory prawo to nie spełniło się na Taurydzie. Było kilku, którzy próbowali systemu mistrza Nardelduusa. Źle skończyli. Ale O'Reilly wiedział, że w teorii autor traktatu miał rację. A wprowadzenie teorii w praktykę zawsze jest jedynie kwestią czasu. I agent miał niezachwianą pewność, że ten czas właśnie nadszedł. Czas Tańczącego Smoka. Znalazł cennego sojusznika. Teraz należało go poprzeć.

- Chociaż, jak słusznie zauważył ekscelencja radca Natymuus - zaczął O'Reilly - mistrz Nardelduus nie był biologiem, to jego teorie wydają mi się równie złowrogie, jak możliwe do praktycznego zastosowania.

Wszystko zostało powiedziane. Cała sekwencja oględnych, ogólnikowych i odwołujących się do dzieł klasyków formuł prowadziła ku jednemu celowi, stwarzała możliwość szczerzej, otwartej rozmowy akceptowanej przez obie strony. Jednak szef policji był człowiekiem ostrożnym. Postanowił jeszcze kontynuować grę.

- Sądzi pan, ekscelencjo - spytał - że mogłoby się to naprawdę zdarzyć?
- Myślę - odparł O'Reilly, ważąc każde słowo, świadom podjętego ryzyka - że to się już zdarzyło.

Kości zostały rzucone. Teraz Artamuus miał do wyboru trzy możliwości. Poprzeć agenta i wtedy przeszliby do konkretów, zbyć go ogólnikami, sugerując poparcie, ale i niechęć do podejmowania praktycznych działań, albo okazać dezaprobatę.

- Wiele miałem już okazji przekonać się o pana nieocenionej wręcz mądrości - powiedział szef policji. - Pozwoli więc pan, że wyrażając mu moje całkowite uznanie i poparcie, oczywiście na miarę skromnych możliwości, pozostanę pana gorliwym i oddanym uczniem.

Zaszyfrowana w tej grzecznej odpowiedzi wiadomość była łatwa do odczytania. „Pomogę ci, ale nie angażując się oficjalnie. Walka należy do ciebie”.

- W domu pewnej osobistości - odezwał się Artamuus - założyliśmy podsłuch. Nic jednak nie wskazuje na jakiegokolwiek niezgodne z prawem poczynania.

- Próbuję zdobyć dossier tej osoby - rzekł O'Reilly. - I mam nadzieję, że będę miał je już dzisiaj.

Domyślał się, że Artamuus naprawdę traktuje sprawę poważnie, jeżeli założył podsłuch. Wykrycie mikrofonów w rezydencji ambasadora spowodowałoby skandal dyplomatyczny. A to

źle skończyłoby się dla szefa policji, nawet jeśli decyzja o założeniu podsłuchu pochodziła nie od niego, a od jego przełożonych.

- Osoba ta podlega ciągłej inwigilacji i jak wiem... - Artamuus zawiesił głos - nie tylko ze strony moich agentów.

O'Reilly uśmiechnął się lekko pod maską. On też otoczył Jacksona siecią szpiegów.

- Czy sądzi pan, że prestiż tej osoby zasługuje na noszenie tak znamienitej maski?

Artamuus zawahał się.

- Na pierwszy rzut oka wydaje się, że tak - odparł po chwili. - Przyznam, że moje podejrzenia są niejasne i wynikają nie z obserwacji, a tylko z wewnętrznego przeczucia. Lecz niebezpieczeństwo, sędzę, jest zbyt duże, aby lekceważyć nawet przeczucia.

- Zgadzam się z panem - odparł agent. - A w dowód zaufania pozwolę sobie powiedzieć panu, że człowiek, z którym przyjdzie nam się zmierzyć, przerasta mnie pod każdym względem, i przystępuję do wojny z nim z obawą oraz niepokojem.

Teraz się okaże, jakim jesteś człowiekiem, pomyślał O'Reilly, w napięciu oczekując słów szefa policji.

- Pozwolę sobie zauważyć - odrzekł Artamuus - że nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś, kto mógłby się równać z panem odwagą, ekscelencjo.

Agent odetchnął z ulgą. Artamuus okazał się właściwym człowiekiem.

O'Hara był wściekły, ale z zadania wywiązał się doskonale. Trzymał w ręku komputerowy odpis z dossier ambasadora.

- To może mnie kosztować pracę - powiedział nieprzyjemnym tonem. - Poza tym nie ma tu nic szczególnego.

- Czytaj - poprosił O'Reilly.

- Dobra. Dwadzieścia dziewięć lat, wzrost, waga, stan zdrowia i te bzdety, to chyba cię nie interesuje. Ekskluzywna szkoła średnia, potem studia na Akademii Spraw Zagranicznych. Sześcioletni program w trzy lata, najlepsze wyniki w historii szkoły. Specjalizacja: system kulturowy, gospodarczy i polityczny ustroju feudalnego. Roczny kurs poświęcony Atlantydzie. To taka planeta w... - zaczął O'Hara tonem wyjaśnienia.

- Wiem - przerwał mu O'Reilly. - Dalej.

- Potem roczny staż na Atlantydzie w roli attache kulturalnego. Następnie pięć lat na

Iraklisie, w pierw jako attache kulturalny, potem sekretarz ambasady, a w końcu pierwszy zastępca ambasadora. Opinie przełożonych doskonałe. Specjalnie podkreślana bezkonfliktowość oraz umiejętność współzycia społecznego. Pracownik zdyscyplinowany. Jednocześnie zauważono, że mimo ustawicznej chęci pogłębiania wiedzy wykazuje brak ambicji zawodowych i politycznych. Wystarczy?

• Cholera, wystarczy - odparł O'Reilly, trąc podbródek. Nic mu się nie zgadzało. Jackson bezkonfliktowy? Brak ambicji? Umiejętność współzycia społecznego? Śmiechu warte.

• No i co, pomogłem ci? - spytał zaciekawiony O'Hara.

- Gównu pomogłeś - odburknął niegrzecznie agent.

• Podobno niezła z niej lala - rzekł niezrażony O'Hara. - Na zdjęciu też niekiepska.

• Coś ty powiedział? - O'Reilly jak zahipnotyzowany wlepił wzrok w ekran.

• Powiedziałem, że niezła z niej dziewczyna - odparł zdetonowany O'Hara. - Coś nie tak?

• Z kogo, na rany boskie? - ryknął agent. - Mówże, człowieku!

• Czy ty się dobrze czujesz? - zapytał po chwili O'Hara. - Z twojego ambasadora, oczywiście. Z panny Belindy Jackson.

O'Reilly rozłączył rozmowę i drżącymi dłońmi zapalił papierosa. Kobieta. Przecież to było absolutnie niemożliwe. Tylko właściwie dlaczego? Figura skryta pod obszerną szatą, na twarzy maska, głos zawsze cichy, schodzący prawie do szeptu, mógł należeć zarówno do mężczyzny jak kobiety. Staż na Atlantydzie, praca na Iraklisie. Przecież to kultury różniące się od taurydańskiej niczym woda od ognia. Mimo że stopień rozwoju gospodarczego podobny. Trzeba jeszcze raz połączyć się z O'Harą.

• Dawnośmy się nie widzieli - mruknął O'Hara. - Dobrze ci się powodzi ostatnio, prawda? - dodał, nawiązując do kosztów podprzestrzennej rozmowy.

• Słuchaj - zaczął agent. - Związki z Tauryda, pobyty, nie wiem, instruktorzy stąd, zainteresowanie kulturą. Masz coś na ten temat?

• Pomyliłeś adresy, staruszku. Ja nie pracuję w wywiadzie. Mam oficjalną kartotekę, w której znajdują się wiadomości o szkołach, praktykach, wyniki w nauce. Wszystko to bzdety. Jedynie naprawdę interesujące są opinie przełożonych i testy. A zapewniam cię, że u Belindy Jackson, jeżeli cokolwiek odbiega od normy, to tylko w pozytywnym znaczeniu tego słowa.

• Przeczytaj mi całe dossier - poprosił agent zmęczonym głosem.

• Jeżeli chcesz... - O'Hara wzruszył ramionami. - To twoje pieniądze. A więc czytam.

Belinda Jackson, urodzona w 2230 roku, planeta Ziemia, miasto Nowy Jork. Panna. Wzrost sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, waga pięćdziesiąt dwa kilogramy, oczy zielone, włosy jasnoblonde, znaków szczególnych brak.

- Wróc - rzekł straszonym głosem O'Reilly.
- Odkąd?
- Wzrost?
- Sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, waga pięćdziesiąt dwa kilogramy.
- Wystarczy!

Agent rozłączył się i głęboko odetchnął. Belinda Jackson miała sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Tymczasem człowiek paradujący w masce Tańczącego Smoka był mniej więcej wzrostu O'Reilly'ego. A O'Reilly mierzył dokładnie sto osiemdziesiąt pięć centymetrów.

Wszystko stało się jasne. Nowym ambasadorem nie była Belinda Jackson. Ale kto, na stu piekielnych bogów, mógł nim być? Kto z Ziemiaków w stopniu doskonałym potrafił zaaklimatyzować się na Taurydzie? Nawet O'Reilly nigdy nie śmiałyby założyć maski Tańczącego Smoka, mimo tylu lat spędzonych na poznawaniu historii, kultury i filozofii planety, a nade wszystko psychologii jej mieszkańców. Agenta czekało mnóstwo pracy, by wyświecić tę zagadkową i niepokojącą historię. Nie sądził, iż wpadł na trop intrygi któregoś z zasiadających w Centrum „jastrzębi”. Ci raczej nie byli w stanie myśleć na tyle finezyjnie i aby zdobyć wpływy na planecie, prędzej wysłaliby krążownik pełen komandosów niż Tańczącego Smoka.

Wszystko wyglądało na dworską grę prowadzoną przez możnowładców nieprzychylnych następcy tronu. Jednak skoro nawet O'Reilly nie znał nikogo godnego nosić maskę Tańczącego Smoka, to jakim sposobem mogli takiego człowieka znaleźć oni? I co się stało z prawdziwym ambasadorem? Co się stało z Belindą Jackson? Istniał prosty sposób rozwiązania zagadki. Wystarczyłoby powiadomić Centrum, a ono, choć zbiurokratyzowane i mało energiczne, z pewnością poruszyłoby niebo i ziemię, by odnaleźć zaginioną panią Jackson. Lecz to było niebezpieczne. Zwróciłoby uwagę Centrum w stronę Taurydy, a poza tym O'Reilly uważał, że rozprawa z Tańczącym Smokiem jest jego osobistą sprawą i wyręczenie się cudzymi rękoma byłoby dyshonorem. Należało więc zakasać rękawy i zabrać się do roboty.

O'Reilly był absolutnie pewien, że znajomość taurydańskich zwyczajów musiała zostać podbudowana solidną praktyką na tej planecie. Tańczący Smok kiedyś tu przebywał. Wystarczyło więc połączyć się z policyjnym komputerem i zadać mu pytanie „Kto mieszkał na

Taurydzie co najmniej pięć lat?”. Na ekranie ukazało się tylko jedno nazwisko. Samego O’Reilly’ego. Co najmniej trzy lata? Jak wyżej. Dwa lata? Tutaj już poza jego nazwiskiem było pięć i cztery agent od razu wyeliminował, ponieważ ludzie ci aktualnie mieszkali w metropolii. Zostawała jedna osoba. Tobias Goldenmayer i nazwisko to nie było O’Reilly’emu obce, mimo że ostatni pobyt Goldenmayera na Taurydzie miał miejsce dziesięć lat temu.

Prawie dwa dni i furę pieniędzy kosztowało agenta dotarcie do tajnych kartotek ewidencyjnych Federacji. Ale po tych dwóch dniach miał już dokładne dossier Goldenmayera. Pasowało idealnie. Wzrost sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, siedem pobytów na Taurydzie, w tym jeden przeszło dwuletni, tłumacz literatury taurydańskiej, wykładowca na Uniwersytecie Columbus i niepokonany przez osiem lat mistrz świata w kendo. Posiadał poza tym najwyższe stopnie wtajemniczenia w pięciu innych sztukach walki, w tym w najbardziej morderczej, a mianowicie zenobijskich zapasach. Nie ulegało wątpliwości, iż on właśnie jest Tańczącym Smokiem i właśnie on podszył się pod ambasadora Federacji. Nie był przeciwnikiem łatwym do pokonania.

O’Reilly’ego coraz bardziej kusiło, by powiadomić Centrum i zażądać wystawienia nakazu aresztowania na nazwisko Tobiasa Goldenmayera oraz przysłania grupy komandosów w celu ujęcia go. Jednak czy takie postępowanie nie wywołałoby zbyt daleko idących reperkusji? Czy Taurydańczycy pozwolą, by ziemską specgrupa bezkarnie usunęła osobę o niezmiernym, zaakceptowanym przez nich prestiżu? Z pewnością nie. Można, co prawda próbować, bezszelestnego zlikwidowania pseudoambasadora, ale to zapewne, zważywszy jego wyszkolenie, nie byłoby takie proste.

W dwa dni po tym, kiedy O’Reilly rozgryzł już, kim jest Tańczący Smok, ale wciąż nie był pewien, jak rozwiązać sprawę, wyrwał go z zamyślenia dzwonek telefonu. Zobaczył na ekranie ni mniej, ni więcej tylko twarz Tobiasa Goldenmayera.

- Panie O’Reilly - odezwał się Goldenmayer - przejdę od razu do rzeczy, bo ta rozmowa drogo mnie kosztuje. Po co wsadzał pan nos w moją kartotekę?
- Gdzie pan teraz jest? - wyjąkał po długiej chwili agent.
- W Ohio, a gdzie mam być? Chyba dowiedział się pan, że pracuję tutaj?
- O mój Boże! - O’Reilly potarł z zakłopotaniem knykciami brodę. - Zaraz to panu wyjaśnię...

- Byłoby szybko i niech się pan modli, żeby te wyjaśnienia mnie zadowolili.

Agent starał się w paru słowach jak najprecyzyjniej wyjaśnić dramatyzm sytuacji. Goldenmayer zrozumiał wszystko nad podziw prędko.

- Wysoko pan mnie ocenia - powiedział wyraźnie zadowolony. - Dziękuję. Jednak szczerze mówiąc, nie sądzę, bym kiedykolwiek sprostą obowiązkowi Tańczącego Smoka.

I wtedy też wypowiedział zdanie, które dla agenta było olśnieniem oraz rozwiązaniem zagadki. Wiedział już - kto, chodziło tylko, aby wyjaśnić - po co. Zrozumiał też, że sprostać sytuacji musi samotnie.

O'Reilly poprosił szefa policji o możliwość skorzystania z niedostępnych dla niego dotychczas programów komputerowych, skontaktował się z przebywającym na Taurydzie ziemskim biochemikiem i z trudem nakłonił go do wykonania pewnej nader delikatnej pracy oraz odbył długą rozmowę z radcą Natymuusem.

Wreszcie był gotów do podjęcia walki. Wystosował o trzeciej po południu uprzejmy list na adres rezydencji ambasadora (z adnotacją „tylko do rąk własnych”), w którym prosił o natychmiastową audiencję koniecznie o godzinie siedemnastej, motywując to nad wyraz ważkimi przyczynami.

Tak jak przypuszczał, o wpół do piątej zjawiła się limuzyna z kierowcą z ambasady, aby zawieźć go na miejsce. O'Reilly ubrał się w najbardziej ceremonialny strój: zielony kaftan szamerowany złotem i ciemnogrnatowy płaszcz. Przypasał miecz w złożonej pochwie i założył maskę Przyjaznego Nieznajomego. Następnie poprzez swoich szpiegów dyskretnie powiadomił Tańczącego Smoka o założonym podsłuchu i był pewien, że mikrofony zostaną natychmiast zlikwidowane, a jednocześnie wieść o przecieku nie dojdzie do nikogo z zewnątrz. Gabinet ambasadora strzeżony był przez dwóch barczystych strażników. Tańczący Smok siedział przy biurku pod samym oknem, a na blacie leżał, co O'Reilly z ulgą zauważył, list.

- Chciał pan mnie widzieć, O'Reilly - rzekł nienaganną angielszczyzną z akcentem charakterystycznym dla absolwentów elitarnych wyższych uczelni.

- Owszem - odparł agent. - I miło, że zechciał pan mnie przyjąć

- Słucham więc.

- Opowiem panu historię, jeśli pan pozwoli - zaczął O'Reilly. - Historię o porwaniu pewnej kobiety i zastąpieniu jej przez nieznanego, tajemniczego osobnika. Czyż to nie

pasjonujące?

Tańczący Smok pokiwał głową,

- A więc doszedł już pan do tego - stwierdził obojętnym tonem. - Cóż dalej?

- Nazywa się pan Barharius i sporo czasu minęło nim wpadłem na to, iż jest pan Taurydańczykiem, a nie Ziemianinem. Chcę uzyskać odpowiedź na kilka pytań. Po pierwsze, w jakim celu przeprowadzono całą tę akcję, po drugie, co się dzieje z Belindą Jackson, po trzecie, czy jest to wewnętrzna intryga, czy też zamieszany jest w to ktoś z Centrum Federacji.

- Odpowiedź na trzecie pytanie brzmi: to tylko i wyłącznie nasza sprawa, na drugie: Belinda Jackson przebywa w bezpiecznym miejscu i nie zamierzamy jej uczynić żadnej krzywdy. Natomiast jeśli chodzi o cel, to chyba sam pan potrafi w znacznej mierze go odgadnąć.

- Obalenie króla, zlikwidowanie następcy i objęcie władzy przez jego młodszego brata, czytaj przez koterię radcy Esterhuusa i tyfrathona Witemuusa.

- Już? - spytał grzecznie Tańczący Smok. - Czy to nie za mało jak na tak interesującą akcję? Jak pan myśli, co się stanie, gdy ziemski ambasador zabije króla i następcę tronu, do których jako Tańczący Smok ma nieograniczony dostęp? Rozpęta się nagonka nienawiści przeciw Ziemianom, rozpocznie krwawa rzeź. Po kilku dniach młodszy brat następcy tronu obejmie władzę, surowo rozprawi się z winnymi tego pożałowania godnego incydentu i wystosuje do Centrum oficjalne wyrazy ubolewania. Tak to się skończy, panie O'Reilly. Pozbędziemy się za jednym zamachem i Ziemian, i opozycji.

- To szaleństwo! Federacja nie puści tego płazem!

- Czyżby? - zapytał drwiąco Tańczący Smok. - Proszę nie zapominać, że ja doskonale znam historię waszej cywilizacji. A teraz - dodał po chwili - skoro wyjaśniłem już panu wszystko, o co pan prosił, pozwoli pan, że się pożegnamy.

- Sądzi pan, że kiedy wyjdę, nie będę próbował zażegnać niebezpieczeństwa?

- Pan stąd nie wyjdzie O'Reilly - odrzekł Tańczący Smok. - I dziwię się, że mógł pan uważać inaczej.

- Chce mnie pan zabić?

- Przykro mi. - Tańczący Smok rozłożył dłonie - Nie sądzę jednak, by nasze interesy dały się kiedykolwiek pogodzić.

O'Reilly zerknął na zegarek. Była dokładnie siedemnasta piętnaście. Przyszedł czas ostatecznego rozstrzygnięcia.

• Jeszcze chwila, jeśli pan pozwoli - rzekł. - Czuję się najzupełniej rozgrzeszony, gdyż przyznam, że nie wybaczyłbym sobie mojego postępowania, jeśli zdecydował się pan tylko unieszkodliwić mnie, a nie zabijać.

• Nie rozumiem - odparł po chwili Tańczący Smok.

• Wytlumaczę. O godzinie piętnastej wysłałem list, podejrzewam, że otworzył go pan zaraz po czwartej, zgadza się?

- Tak.

- A teraz pytanie z dziedziny historii naszego społeczeństwa, którą zna pan podobno tak dobrze. Nie pomylę się, myśląc, iż nieobce jest panu nazwisko rodziny Borgiów?

• Owszem.

• I wszystkie podejrzenia z nim związane?

• Tak.

- Wracajmy do listu. Czy rozłożenie kart nie sprawiło panu pewnego kłopotu? Czy nie musiał pan poślinić palców lub chociażby zwilżyć ich wodą?

Tańczący Smok milczał. W końcu wolno zdjął maskę i otarł pot. Miał szarą, zmęczoną twarz i przygasłe oczy.

- Rozumiem, dlaczego od pewnego czasu słyszę taki szum w głowie i jest mi słabo. Zabił mnie pan, O'Reilly. Nigdy nie spodziewałem się podobnej zdrady po człowieku o tak wysokim prestiżu. Tauryda nigdy panu tego nie daruje. Wszyscy będą panem gardzić, nawet jeśli uratował im pan życie.

Założył z powrotem maskę. Chwycił mocno poręczę fotela, aż zbieleły mu palce.

- Zginiesz w walce, Tańczący Smoku – rzucił O'Reilly, przechodząc na taurydański i błyskawicznie zmieniając maskę Przyjaznego Nieznajomego na maskę Szalonego Wojownika.

Wyszarpnął miecz z pochwy. Gdyby Tańczący Smok był w swojej normalnej kondycji, agent prawdopodobnie już w tym momencie leżałby z rozplatanym gardłem. Ale osłabiony trucizną Barhariusus, choć zdołał wyciągnąć broń, nie był w stanie zadać ciosu. Udało mu się tylko odbić osłabionymi dłońmi pierwsze uderzenie agenta, po czym następne przełamało jego zastawę, wytrąciło miecz z rąk, a koniec ostrza rozharatał szyję, wypuszczając z tętnic strugę krwi. Tańczący Smok zwałił się na biurko. O'Reilly spokojnie zmienił maskę Szalonego Wojownika na Obojętnego Przechodnia i wyszedł z gabinetu.

- Zajmijcie się jego ekscelencją - rozkazał strażnikom. - Jego dusza rozstała się z ciałem.

Wiedział, że opuści spokojnie rezydencję. Nikt nie odważy się zaatakować człowieka, który w równej, uczciwej walce zabił Tańczącego Smoka.

Wszystko zakończyło się pomyślnie. Odnalazła się Belinda Jackson i okazała się miłą, rozsądną osobką, która czym prędzej opuściła metropolię i spędzała czas w nadmorskim kurorcie oddalonym o kilka godzin lotu. Szef policji, medragon Artamuus odwiedził radcę Esterhuusa i tyfrathona Witemuusa, którzy niedługo po tej wizycie popełnili samobójstwo. Radca Natymuus stał się niekwestionowaną pierwszą osobą w państwie, a prestiż O'Reilly'ego - zwycięzcy Tańczącego Smoka - wzrósł niezmiernie. Czasem tylko agenta oblewał zimny pot, kiedy wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby odkryto jego fortel. Na szczęście na Taurydzie nie istniał zwyczaj przeprowadzania sekcji zwłok, a poza tym cóż, przecież cel uświęca środki.